



CRAIG SILVEY

Jasper
Jones



CRAIG SILVEY

Jasper
Jones

Przełożyła Katarzyna Waller-Pach



DOM WYDAWNICZY REBIS

POZNAŃ 2011

1

Jasper Jones przyszedł pod moje okno.

Nie wiem czemu, ale przyszedł. Może ma kłopoty. Może nie ma żadnego innego miejsca, do którego mógłby pójść.

Tak czy owak, cholernie mnie przestraszył.

Trwa najgorętsze lato, jakie pamiętam. Gęsty upał sący się i nie pozwala mi zasnąć. Czuję się, jakbym przebywał we wnętrzu ziemi. Jedyłą ulgę przynosi chłodniejszy powiew przeciskający się między cienkimi listewkami pojedynczej okiennicy. Prawie nie da się spać, więc noce spędzam teraz, czytając przy lampie naftowej. Dzisiaj nie było inaczej. Jasper Jones zapukał zniecierpliwionym i syknął moje imię, co kompletnie wytraciło mnie z równowagi. Zeskoczyłem z łóżka, upuszczając egzemplarz *Wartogłowego Wilsona*.

– Charlie! Charlie!

Przyklęknałem jak sprinter, czujny i niespokojny.

– Kto tam?

– Charlie, chodź tutaj!

– Kto tam?

– Jasper!

– Co? Kto?!

– Jasper. Jasper!

Przybliżył twarz do światła. Jego oczy były zielone i dzikie. Zmrużyłem swoje.

– Co? Naprawdę? Co się dzieje?

– Musisz mi pomóc. Wyjdź, to ci powiem, o co chodzi – wyszeptał.

– Co? Po co?

– Jezu Chryste, Charlie! Pospiesz się! Wyłaź.

No więc jest tutaj. Jasper Jones stoi pod moim oknem. Trzęsąc się, gramolę się na łóżko i przymykam zakurzoną okiennicę, przesuwając ją po poduszce. Szybko wskakuję w dzinsy i zdmuchuję lampę. Kiedy się wyslizguję z pokoju głową naprzód, mam wrażenie, jakby jakaś niewidzialna siła przytrzymywała mnie za nogi. Uświadamiam sobie, że po raz pierwszy w życiu wymykam się z domu. Niepokój, który ta myśl wywołuje, połączony z faktem, że Jasper Jones potrzebuje mojej pomocy, przepełnia tę chwilę czymś złowieszczym.

Moje wyjście przez okno przypomina trochę narodziny żrebaka. Jestem nieporadny i upadam ciężko wprost w gerbery mamy. Szybko się podnoszę i udaję, że nie bolało.

Mamy dzisiaj pełnię. Jest bardzo cicho. Psom sąsiadów w tym upale nie chce się nawet zaszczekać na alarm. Jasper Jones stoi na środku naszego podwórza. Przeszczepuje z nogi na nogę, jakby stapał po rozmiękłym gruncie.

Jasper jest wysoki. Jest tylko rok starszy niż ja, ale wygląda dużo dojrzej. Jego ciało jest szczupłe, ale takie jakieś... konkretne. Ma już wyraźnie zarysowane mięśnie i ukształtowaną sylwetkę. Twarde strąki włosów sterczą mu niechlujnie. Widać, że sam się strzyże.

Wyrósł z ubrania. Jego zapięta pod szyję koszula jest brudna i mocno przylega do torsu, a spodnie są obcięte tuż poniżej kolan. Nie ma butów. Wygląda jak rozbitek na bezludnej wyspie.

Robi krok w moją stronę. Ja – krok do tyłu.

– Dobra. Gotowy?

– Co? Gotowy na co?

– Mówiłem ci. Musisz mi pomóc, Charlie. Noo! – Kłuje mnie jego spojrzenie, odpycha niewygodna bliskość silnego ciała.

Jestem ożywiony, ale się boję. Tęsknię za zadem klaczy, z którego właśnie wypadłem. Chcę na powrót usadowić się bezpiecznie w ciepłym łonie mojego pokoju. Ale to Jasper Jones. On przyszedł do mnie.

– Okej. Poczekaj – mówię, bo uświadomiłem sobie, że jestem boso.

Odwracam się do schodków, gdzie idealnie równo stoją moje porządnie wyczyszczone sandały. Zapinając je, uzmysławiam sobie, że włożenie tego pedziowatego obuwia to manifestacja dziewczynskiej słabości. Zabrało mi to parę chwil, więc w końcu podbiegam do Jaspiera, starając się okazać tyle męskości, ile tylko zdołam, choć wiem, że nawet w świetle księżyca przypominam artretyczne kurczę.

Pociągam nosem i spluwam.

– Okej. Już. Gotowy?

Jasper nie odpowiada. Po prostu odwraca się i rusza.

A ja za nim.

Przelazłszy przez nasze ogrodzenie za domem, kierujemy się do Corrigan. Zbliżamy się do centrum miasta. Domy stoją coraz bliżej siebie, w pewnym stłoczeniu. O tej porze opustoszałe budynki wyglądają, jakby starto z nich kolory. Czuję się, jakbyśmy szli przez pocztówkę. Dalej w kierunku wschodniego skraju, za stacją kolejową, domy znowu rozkwitają, a my cicho idziemy pod ulicznymi światłami, które wydobywają z ciemności trawniki i ogrody. Nie mam pojęcia, dokąd zmierzamy. Im dalej jesteśmy, tym silniejsze są moje obawy. Przecież to dziwne, że się nie śpi, kiedy śpi cała reszta świata. Trochę jakby się wiedziało coś, o czym inni nie wiedzą.

Strasznie długo idziemy, ale nie zadaję pytań. Dalej za miastem, za mostem i za rzeką Corrigan, kiedy jesteśmy w okolicach farm, Jasper zatrzymuje się, żeby włożyć do ust papierosa. Bez słowa potrząsa pogniecioną paczką w moją stronę. Jeszcze nigdy nie paliłem. I z pewnością nikt mi nigdy nie proponował papierosa. Czuję przyływ przerażenia. Chcąc jednocześnie odmówić i zrobić wrażenie, nie wiadomo czemu przyciskam dłonie do brzucha i wydymam policzki, kręcąc odmownie głową. Ma to sugerować, że tyle już dzisiaj wieczorem wypaliłem, że mam dosyć i po prostu nie dam rady zapalić kolejnego.

Jasper Jones unosi brwi i wzrusza ramionami.

Odwraca się i opiera biodrami o słup bramy. Kiedy zaciąga się dymem, ja się rozglądam i uświadamiam sobie, gdzie jesteśmy. Robię krok do tyłu. A tam, upiorna w świetle księżyca, tkwi przykucnięta, ogorzała od gorących podmuchów chatka Szalonego Jacka Lionela. Szybko spoglądam na Jaspiera. Mam nadzieję, że to nie tutaj mieliśmy przyjść. Dla dzieciaków z Corrigan Szalony Jack jest postacią, która budzi największą ciekawość i wywołuje najżywsze spekulacje. Właściwie nikt z nas nie miał okazji go zobaczyć. Soczystych opowieści o tym, że ktoś się z nim spotkał lub go widział, było co prawda wiele, ale rychło okazywały się nieprawdą. Wszystkie jednak nawiązywały do pewnego niezaprzeczalnego faktu: przed laty Szalony Jack pozbawił życia młodą kobietę i od tego czasu nie wychodził z domu. Nikt z nas nie zna dokładnych okoliczności tego wydarzenia, ale co rusz pojawiają się nowe teorie na ten temat. Naturalnie z biegiem czasu okrucieństwo i ogrom zbrodni Szalonego Jacka znacznie się rozrosły, co tylko głębiej pogrzebało ziarnko prawdy. Rozrasta się więc legenda, a wraz z nią nasz strach przed szalonym zabójcą skrywającym się w tym domu.

Popularnym sprawdzianem odwagi w Corrigan jest kradzież czegoś, co należy do Szalonego Jacka Lionela. Kamyki, kwiatki i

różne resztki są biegiem wynoszone z wysokiej, wyschłej trawy, z bałaganu na podwórzu przed domem, a potem z dumą demonstrowane i studiowane w zachwycie. Jednak wyczynem najrzadszym i godnym najwyższego uznania jest zerwanie brzoskwini z wielkiego drzewa, które rośnie tuż obok budynku, jak ręka zombi wynurzająca się z grobu. Jeśli zwędzisz brzoskwinię z farmy Szalonego Jacka Lionela, przez chwilę jesteś królem. Pestkę owocu przechowuje się na dowód heroizmu, wszyscy ci jej zazdroszczą i wszyscy podziwiają.

Zastanawiam się, czy przyszliśmy tu, żeby ukraść po brzoskwini. Mam nadzieję, że nie. Chociaż bardzo chciałbym podnieść swój status, to trzeba przyznać, że brakuje mi odwagi i szybkości, które są niezbędne w tej operacji. Poza tym obawiam się, że jeśli nawet jakimś cudem uda mi się tego dokonać, nikt, nawet Jeffrey Lu, i tak mi nie uwierzy.

A jednak widzę, że Jasper Jones wyraźnie gapi się na chatę. Strzepuje popiół i zgniata papierosa.

– O to chodzi? Tu mieliśmy przyjść? – pytam.

Jasper się odwraca.

– Co? Nie, Charlie. Zatrzymaliśmy się tylko na papierosa.

Staram się ukryć ulgę, którą odczuwam, kiedy opuszczamy farmę Lionela.

– Uważasz, że to wszystko prawda?

– Taaa. Tak myślę. To, co ludzie mówią, jest zwykle gówno warte, ale ten rzeczywiście ma fioła.

– Jasne – potwierdzam, ponownie pociągam nosem i spluwam.
– Kompletnego.

– Wiesz, ja go widziałem. Dobrych parę razy. – Jasper mówi to tak po prostu i ja mu wierzę. Uśmiecham się do niego.

– Naprawdę? Jak on wygląda? Jest wysoki? Rzeczywiście ma długą bliznę na twarzy?

Ale Jasper zasypuje stopą niedopałek, jakby mnie nie słyszał. Znowu ruszamy.

– Skazę – mówi.

Idę, powłócząc nogami.

Znowu zbliżamy się do rzeki. Przez jakiś czas idziemy wzdłuż jej podeschniętego brzegu. Żaden z nas się nie odzywa. Eukaliptusy, które nas otaczają, wyglądają nieziemsko i upiornie w srebrnym świetle. Staram się iść po śladach Jaspera.

Okolica wydaje mi się coraz mniej znajoma. Rzeka tu wysycha, a brzegi stają się bardziej zarośnięte. Leży tu pełno czegoś. Linie brzegu porastają kwitnące drobno krzaki dzikiej róży. Wkrótce zaczynamy się przedzierać wąską ścieżką wydeptaną przez kangury, oddalającą nas od wody.

Jasper idzie długim, mocnym krokiem. Postępuję za nim, wpatrzony w jego sylwetkę odcinającą się na tle ciemności. Jego obecność i pewność mnie prowadzą. Oczywiście ciągle się boję, ale przebywanie w jego pobliżu uspokaja. Po prostu mu ufam, chociaż nie mam powodu i wiem, że niewielu ludzi zaufałoby Jasperowi.

Jasper Jones ma w Corrigan fatalną reputację. Jest Złodziejem, Kłamcą, Bandytą, Wagarowiczem. Jest leniwy i nie można mu wierzyć. Jest dziki, jest półsierotą i tym podobne. Jego matka nie żyje, a ojciec jest niedobry. Jasper to postać, którą przywołują rodzice, kiedy formułują ostrzeżenie: „Tak właśnie skończysz, jak będziesz niegrzeczny”. Stanowi przykład tego, dokąd wiodą nieposłuszeństwo i złe zachowanie.

Wśród rodzin zamieszkujących Corrigan to jego właśnie się obwinia, kiedy pojawia się jakiś ślad występku. Nieważne, o jakiego

rodzaju zły postępek chodzi ani na ile oczywista jest wina ich własnych dzieci, rodzice zaczynają od pytania: „Byłeś z Jasperem Jonesem?” Oczywiście dzieci najczęściej wówczas kłamią. Kiwają główkami, bo wiadomo, że obecność Jaspера uwalnia je momentalnie od winy. Od razu wiadomo, że ktoś zły je namówił. No i kiedy sprawa jest już wyjaśniona, pozostaje oczywisty przekaz: „Trzymaj się z dala od Jaspера Jonesa”.

Kiedyś usłyszałem, że powiedziano o nim mieszaniec, co nie było dla mnie całkiem zrozumiałe, aż do wieczoru, kiedy użyłem tego słowa przy stole, gdy jedliśmy kolację. Mój ojciec jest człowiekiem łagodnym i opanowanym, ale to określenie najwyraźniej wytrąciło go z równowagi. Spojrzał na mnie zza swoich grubych szkielek i zapytał, czy rozumiem, co właśnie powiedziałem. Nie rozumiałem. Wtedy się uspokoił i już nie tak ostro wyjaśnił.

Później przyszedł do mojego pokoju ze stosem książek i udzielił zgody na coś, o czym marzyłem przez całe życie: na nieograniczone korzystanie z jego biblioteki. Półki wypełnione rzędami powieści należących do ojca fascynowały mnie, odkąd nauczył mnie czytać, ale dotąd zawsze sam wybierał dla mnie książki, które jego zdaniem były odpowiednie. Jego zgoda na wolny dostęp do biblioteki była więc znamienita i ważna zarówno dla mnie, jak i dla niego. Byłem ciekaw, czy jej udzielił, bo uznał, że dorastam, czy w obawie przed tym, że Corrigan może mnie pociągnąć w kierunku, który go niepokoił.

Tak czy owak coś, co było zakazane, stało się dostępne. Na początek dał mi stos oprawnych w skórę dzieł pisarzy z Południa. Byli wśród nich Welty, Faulkner, Harper Lee, Flannery O'Connor. Jednak najwięcej miejsca zajmował Mark Twain. Był tam chyba tuzin jego książek.

Kładąc je delikatnie na moim biurku, ojciec mi wyznał, że Mark Twain jest pisarzem, który skłonił go, by uczyć literatury. Powiedział, że nie ma ważnej rzeczy, której nie można by się od

Marka Twaina nauczyć, i że we wszystkich istotnych sprawach wyraził opinię. Dodał, że Twain był mądrym doradcą i że gdyby każdy człowiek w odpowiednim czasie przeczytał choć jedną z jego powieści, świat byłby znacznie lepszy.

Potem, jak to czasem robił, przesunął kciukiem po moim wicherku nad czołem, poczochnął mi włosy i uśmiechnął się.

To było w zimie. Teraz jestem już w połowie tego stosu. Wiem, dlaczego wybrał te książki. Najbardziej podoba mi się powieść Harper Lee, ale ojcu powiedziałem, że moją ulubioną jest *Huckleberry Finn*. Zacząłem też *Wściekłość i wrzask*, ale musiałem odłożyć. Uczciwie mówiąc, nie mam pojęcia, o co w tym chodzi. Nie zapytałem jednak ojca. Nie chciałem, żeby myślał, że nie jestem dość bystry.

A to chyba moja jedyna mocna strona. W Corrigan najbardziej liczy się sport. Na tym polu dzieci wypracowują swoją pozycję społeczną. Większość ludzi zatrudnia się tu w kopalni, a reszta w elektrowni, co oznacza, że nie ma mowy o jakichś podziałach klasowych. Dzieciaki ustalają więc hierarchię na podstawie umiejętności piłkarskich, a nie ubrania czy rodzinnego samochodu. Jestem kiepski w sporcie, ale w nauce lepszy od większości. W tej sytuacji w szkole się o mnie pamięta, ale po rozdaniu świadectw tracę na ważności. Świadectwo jest czymś, co stawia mnie ponad nimi, chociaż związana z tym radość przeżywam w pojedynkę.

Trzeba przyznać, że w tym układzie zwykle mnie ignorują. Bardziej nawet niż Jeffrey Lu, mojego najlepszego i jedyne go przyjaciela, który jest ode mnie młodszy, mniejszy i, prawdę mówiąc, inteligentniejszy. Jeffrey przeskoczył rok i stanowi dla mnie jedyną, obok Elizy Wishart, liczącą się konkurencję w szkole. Nie uważam ich jednak za zagrożenie. Przynajmniej Elizy nie uważam.

Rodzice Jeffrey'a są Wietnamczykami, z którego to powodu chłopacy w szkole częściej go popychają i zaczepiają. Jeffrey musi stawiać czoło chyba nawet większym przykrościom niż Jasper. Ale

znosi to zaskakująco dobrze, co pogłębia moje poczucie winy wywołane przez to, że nie mam dosyć odwagi, żeby go wziąć w obronę. Jeffrey'a ciosy jakoś nie boją. Nosi na twarzy uśmiech, którego nie sposób zetrzeć, stracić ani zdrapać. Jeffrey nigdy nie zniża się do pochlebstwa i nigdy się nie obraża. Nie to co ja. W pewnym sensie jest twardszy niż którykolwiek z tych mściwych wyrostków z pestkami brzoskwiń w kieszeniach. Ale nigdy mu tego nie powiem.

Kiedy Jasper Jones zatrzymuje się i nagle kładzie mi ręce na ramionach, wstrząsa mną dreszcz, jakby mnie kopnął prąd. Poprawiam okulary i czekam. Jasper przedziera się przez krzaki i pociąga mnie za sobą. Schodzimy ze ścieżki. Zatrzymuję się.

– Dokąd idziemy? Czego ty ode mnie chcesz?

– Już niedługo. Zobaczysz.

Wierzę mu. Muszę wierzyć. Za daleko zaszliśmy. Jeżeli teraz mnie zostawi, za nic nie trafię z powrotem.

Nie słyszę już szumu rzeki, a pnąca nad naszymi głowami zasłaniają księżyc. Im dalej się przeciskamy, tym trudniej mi sobie wyobrazić, jakiego rodzaju pomocy może ode mnie oczekiwać Jasper. Nie mam pojęcia, jaką to umiejętność mam tu do zaoferowania. Koalicja między Jasperem i mną jest przedziwna. Dotychczas nigdy nawet nie rozmawialiśmy. Zaskoczyło mnie, że zna moje imię i wie, gdzie mieszkam. Rzadko bywa w szkole, tyle tylko, ile potrzeba, żeby się zakwalifikować do drużyny. Niekiedy widziałem, że z oddali na mnie popatruje. Nie potrafię opanować podniecenia wywołanego tym, że zostałem przez niego w coś włączony. Już sobie wyobrażam, jak o tym opowiadam Jeffreyowi.

Jesteśmy teraz w gęstym buszu. Panuje tu nieziemska cisza. Jasper jak dotąd nie powiedział niczego bez mojego nacisku, a jego nieliczne odpowiedzi były raczej mruknięciami na odczepne. Mimo że nie ma tu żadnych charakterystycznych punktów, on zdaje się

znać tę okolicę. Z ulgą stwierdzam, że najwyraźniej wie, dokąd zmierzamy. Trzymam się blisko niego, jak wierny pies. Narasta we mnie oczekiwanie.

Zastanawiam się, czy rodzice słyszeli, jak wychodzę. Nie wiem, co by zrobili, gdyby zobaczyli moje puste łóżko. Zmięte prześcieradła, odrzuconą pościel, uchyloną okiennicę. Pewnie by uznali, że mnie uprowadzono. Porwano. Nie uwierzyliby, że wymknąłem się z własnej woli. To by było największe z moich wszystkich przestępstw. Jeśli mnie przyłapią, będę pewnie jedynym dzieckiem w całym Corrigan, które będzie mogło uczciwie powiedzieć, że Jasper Jones je namówił.

Jasper zaczyna przyspieszać. Gałęzie i krzaki uderzają mnie coraz mocniej. Podrapałem rękę o paproć. Nie marudzę, tylko idę szybciej, żeby nadażyć. Nasze stopy przybierają ten sam marszowy rytm. Spociłem się.

Nagle Jasper staje. Tu, pod ogromnym, rozłożystym eukaliptusem. Drzewo jest nieprawdopodobnie wielkie. Nie mogę się powstrzymać od zadarcia głowy i popatrzenia, jak wysoko sięgają jego gałęzie. Czuję, jak krew we mnie pulsuje. Sapię. Muszę przetrzeć okulary. Kiedy pochylam głowę, widzę, że Jasper się na mnie gapi. Nie umiem określić, z czym kojarzy mi się jego mina. Wygląda, jakby zeskoczył nagle z dużej wysokości. Obracam głowę i niespodziewanie czuję strach. Mam niejasne, straszne przeczucie. Coś jest nie w porządku. Coś się tu stało. Staję mocniej na piętach. Nie chcę już tutaj być.

Jasper odwraca się w lewo, w kierunku płataniny gałązek wielkiego eukaliptusa.

– To tam – mówi.

– Co to?

– Zobaczysz, Charlie. Cholera. Wolałbyś nie widzieć, ale zobaczysz. Na razie jeszcze nie jest za późno. Jesteś pewien, że chcesz mi pomóc?

– Nie możesz mi po prostu powiedzieć, o co chodzi? Co to jest? Co tam jest?

– Nie mogę. Chłopie, nie mogę. Ale ci wierzę. Myślę, że mogę ci zaufać.

To nie jest pytanie, chociaż trochę tak brzmi.

Sądę, że gdyby to był ktokolwiek inny, w tej chwili postanowiłbym zawrócić. Nie pochyliłbym głowy i nie przesunął się za kurtynę z wiotkich gałązek, z której złote owocki posypały się na moją głowę jak konfetti. Nie przysunąłbym się do grubego pnia, żeby się uchronić przed spadającymi drobinkami. Nie oderwałbym płatu odchodzącej kory. Nie podniósłbym głowy i nie ujrzał widoku, który się odsłonił. Nie spojrzałbym za postać Jaspera Jonesa i nie poznał jego sekretu.

Ale nie zawróciłem. Zostaję i podążam za Jasperem Jonesem.

I widzę to.

I wszystko się zmienia.

Świat rozłamuje się, wiruje i drży.

Krzyczę, ale krzyczę jak przez knebel. Nie mogę złapać tchu. Czuję się, jakbym był pod wodą. Ogłuszony i tonący. Jasper Jones jedną ręką zasłania mi usta, a drugą przytrzymuje mnie przy sobie, obejmując na wysokości ramion. Moje biodra wyrywają się do tyłu, do tyłu, ale stopy trwają w miejscu, jakby miały korzenie wrośnięte w tę polanę. Błogosławieństwem są łzy, które wypełniają mi oczy i przesłaniają scenę, ale mrugam i widok znowu pojawia się przede mną. Jasper trzyma mnie mocno. Z łatwością panuje nad moim drobnym ciałem. To potworne. Zbyt potworne, żeby wyrazić to słowami.

To dziewczynka.

Dziewczynka ubrana w zabrudzoną, koronkową koszulę nocną. Jest blada. W srebrnym świetle dostrzegam zadrapania biegnące wzdłuż ramion. I na łydkach. Jej twarz jest brudna, wykrzywiona i zakrwawiona. Grubą liną jest przywiązana za szyję do gałęzi srebrnego eukaliptusa. Jest spokojna. Bezwładna. Jej białe stopy są zwrócone do środka. Długie włosy są mocno ściągnięte pod pętlą. Głowę ma lekko przechyloną na bok, jak na jakimś biblijnym obrazku. Wygląda na rozczarowaną i smutną. I osaczoną.

Nie mogę nie patrzeć. Jasper nie patrzy. Trzyma mnie tak, że jest odwrócony plecami do dziewczynki, i kontruje moje ruchy, aż ustają. Słabnę, oddycham bardzo szybko. Trzęsę się. Nie rozumiem. On o tym wiedział. Wiedział i przyprowadził mnie tutaj. Żeby zobaczyć tę wiszącą na drzewie dziewczynkę. Martwą. Ona umarła. Kiedy się odzywam, Jasper puszcza moje ramiona. Ledwo stoję.

– Kto to jest?

Mija parę chwil, zanim Jasper Jones odpowiada:

– Laura Wishart. To jest Laura.

Myślę przez chwilę.

– O Boże. O Boże. Tak. To ona.

– Tak – mówi miękko Jasper. Teraz na nią patrzy. Widać, jaki jest chudy. I zgarbiony. Jak chłopiec.

Jestem kompletnie zagubiony. Wszystko rozgrywa się jakby w zwolnionym tempie, jak we śnie. Dosłownie. Jakbym nie był tu naprawdę i jakby to się nie działo. Jakby to było przywidzenie. Odrywam się i oglądam wszystko jakby z zewnątrz, jak z widowni.

– Przepraszam, Charlie. Przepraszam, chłopie. Nie wiem, co robić.

Podnoszę brwi i odwracam się w kierunku Jaspera Jonesa.

– Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś? Nie powinno mnie tu być. Muszę wracać do domu. Powinieneś o tym komuś powiedzieć.

– Poczekaj, Charlie. Jeszcze nie, chłopie. – To jest błaganie.

Obaj milkniemy.

– Czemu ona to zrobiła? Co to...? No, czemu? Nie rozumiem. Co jej się stało? – Prawie szepczę.

– Ona tego nie zrobiła. Nie zrobiła tego sama. To nie ona.

– O czym ty mówisz?

– Mówię, że nie mogła tego zrobić sama.

– Ale dlaczego, no, dlaczego?

– No, przede wszystkim popatrz. Popatrz na linę. Widzisz? To moja lina. Huśtam się na niej tam, na górze. Widzisz? Ale potem zawsze ją dobrze chowam. Wciągam ją na tamtą gałąź i przywiązuję tak, że jej nie widać.

Jasper mówi szybko. Tak szybko, że ledwie nadażam. I po raz pierwszy rozglądam się wokół. Za eukaliptusem, który rozszerza się ku dołowi, przyjmując kształt jakby rozpiętego namiotu, jest jezioro. Polana, na której stoimy, jest oczyszczona z krzaków, a jej obrzeża są gęsto porośnięte wysokimi zaroślami i drzewami. To dziwna, mała enklawa. Wyobrażam sobie, że w świetle dnia to miejsce może być niezwykłe i zachwycające. Spokojna oaza w buszu. Jednak teraz polana jest złowroga, a wrażenie przytłaczające. Muszę się stąd wydostać. Nie mogę tu zostać. Laura Wishart umarła. I jest tutaj. Nie mogę tam patrzeć.

Gruby konar eukaliptusa, do którego przywiązana jest lina, wyrasta z pnia na wysokości jakichś piętnastu stóp. Z wyjątkiem ciemnej dziupli mniej więcej w połowie tego odcinka nie ma tam gdzie postawić stopy.

– Cholernie trudno się tam dostać – mówi Jasper. – Jakbyś wlaził na palmę albo coś takiego. Nie ma mowy, żeby Laura sama tam weszła. W żaden sposób.

– A z jakąś podpórką czy czymś takim? Albo lina się zsunęła. Przez wiatr. No, nie wiem.

– Nie wiem jak ty, ale ja nie widzę tu żadnej podpórki. Wiatru też nie ma. I lina nie mogła się zsunąć, bo ją wciągnąłem i dobrze przywiązałem. Bo nie chcę, żeby ktokolwiek się dowiedział o tym miejscu.

Zawstydzony kiwam głową. Chyba jeszcze nie rozumię normalnie.

Znowu wszystko cichnie.

– Więc co myślisz? Co to wszystko znaczy?

– Charlie, słuchaj. Mówię, że ona tego nie zrobiła.

– Więc kto? – pytam, zanim lodowate przerażenie sprawia, że zacznę się wycofywać. Zająkuję się na słowie: „Ty?”

Jasper odwraca się do mnie. Wygląda na załamane i rozbitego. Niecierpliwie kręci głową. Podbródek mu drży.

– Co? Do cholery, Charlie. Myślałem, chłopie, że lepiej główkujesz. Myślisz, że to ja? Myślisz, że ja to zrobiłem? To ci przyszło do głowy?

– Nie wiem. Nie wiem, co myślę.

I to prawda. Nie wiem. Czuję tylko, że jest mi niedobrze i że jestem zmęczony. Chcę stąd odejść.

Ale Jasper znowu się odwraca i kręci głową. Spluwa.

– Słuchaj, Charlie. Muszę ci to wyjaśnić. Ta polana, to miejsce tutaj jest jakby moje. Nie tylko ja tu bywam, ale tylko ja umiem tutaj trafić. Nikt tu nigdy nie przyszedł beze mnie. Nigdy. No, do teraz. Do

tej nocy. Normalnie to jest miejsce, gdzie pomieszkuję. Śpię tu i jem, kiedy nie idę do domu. To w pewnym sensie jest mój dom. Kapujesz?

Jasper przerywa, żeby się podrapać w tył głowy i przesunąć ręką po czole. Odchrząkuje.

– No, w każdym razie przychodzę tu dzisiaj i od razu... – Przerzywa i szura nogą. Jego głos twardnieje. – Kurwa, od razu ją zobaczyłem. Tam, na górze. Zobaczyłem w mig, że to Laura. Podbiegłem tam, złapałem ją za nogi i próbowałem unieść. Chciałem ją podtrzymać. Ale ona już odeszła, Charlie. No, czułem, że jej już nie ma.

Dociera to do mnie powoli. Otwieram usta.

– I co zrobiłeś? – pytam.

– Nie wiedziałem, co mam zrobić. Trochę odszedłem i patrzyłem na nią. Ale nie mogłem tu zostać. Po prostu nie mogłem. Zabrałem się stąd i wtedy poszedłem do ciebie.

– Myślisz, że ktoś to zrobił? Ktoś ją powiesił?

– Tak, Charlie. Popatrz na jej twarz. Jest cała pobita. Sama sobie tego nie mogła zrobić. Ktoś jej to zrobił.

– Kto?

– Nie wiem.

W tym momencie rozglądam się i patrzę między drzewa. Kolana mi się trzęsą. To sen. Niemożliwe, żeby to się działo naprawdę.

– Chryste, Jasper, a jeżeli oni jeszcze tu są? Może ktoś nas obserwuje? Co ty sobie myślałeś? Po co mnie tu przyprowadziłeś?

Nadal się rozglądam. Mam wrażenie, jakby drzewa wokół nas były coraz bliżej.

– Cicho, Charlie, cicho. Spokojnie. Nikogo tu nie ma.

– Ale skąd... skąd to wiesz? – piszcze jak dziewczyna.

– Nie wiem skąd. Po prostu wiem. Umieję rozpoznać – mówi spokojnie.

Mimo to czuję ostry przyływ strachu. Jak chłodny powiew na skórze. Czuję, jakby ktoś nas obserwował. Podśluchiwał. Ciało Laury Wishart wydaje się takie surrealistyczne. Jest tak blisko. To, że jej śmierć jest faktem, jeszcze nie całkiem do mnie dociera. To nie jest już Laura Wishart. To pusta torebka. Lalka. Oczyszczona muszla. To takie dziwne. Nie mogę się zdobyć na współczucie dla tego czegoś. Jest tak, jakby jakaś część mnie była z nią tam, na górze, bezwładna i pozbawiona uczuć.

Widać jednak, że w tym cichym miejscu rozegrało się coś bardzo gwałtownego. Znaleźliśmy się tu niedługo potem. Jeszcze kręgi rozchodzą się na wodzie. Laura Wishart nie żyje. Patrzcie. Nie żyje. Jest tu. Wisi na drzewie. Tutaj, w samym środku świata Jaspera Jonesa. Kołysze się nad jego miejscem na ziemi.

Dwaj chłopcy i ciało.

W mojej głowie wala bębny. Bum, bum, bum. Tak ciężko się oddycha na tej małej polance. Coś się zmieniło. Pękła bańka mydlana. Chcę się wydostać. Słabo mi. Muszę się z tego wyplatać. Chcę być z powrotem w domu, choć to przecież bardzo daleko. Jestem przerażony, bo uświadamiam sobie, że mogę nie trafić do domu, nawet jeśli się stąd wyrwę i podejmę próbę powrotu.

Nie. Jest za późno. Tak jak Jasper Jones, widziałem, co widziałem. Jestem w to zamieszany.

– Jasper, nie wiem, co robić. Nie wiem, po co tu jestem – mówię, patrząc na boscę, brudne stopy Laury Wishart. – To straszne. Musimy komuś o tym powiedzieć.

Jasper wpatruje się we mnie z niesamowitym skupieniem.

– Nie możemy. Nikomu nie możemy powiedzieć. Nikomu, Charlie. – Jasper zaciska usta. Jego oczy są rozszerzone i dziwnie białe. – My musimy to wyśledzić, Charlie.

– Co znaczy „wyśledzić”?

– Musimy dojść, kto to zrobił. Kto zabił Laurę. Musimy się dowiedzieć, kto tu przyszedł i jej to zrobił.

Kręcę stanowczo głową, zanim odpowiadam:

– Co ty pleciesz? Nie! Musimy iść na policję! Tak trzeba zrobić. Pójdziemy do dyżurnego i powiemy mu, co się tu stało, a oni wyśledzą sprawców. To jest ich praca. Nie możemy tego ukrywać. Jej rodzina musi się dowiedzieć. Nie my się tym zajmujemy.

– Cholera, Charlie. Ty nie masz bladego pojęcia, o co chodzi.

– Dlaczego?

– Otwórz oczy, chłopie.

– O co chodzi? Mam otwarte oczy. Co mi próbujesz powiedzieć?

Jasper głęboko wzdycha.

– Kurde. Słuchaj, Charlie, nie możemy nikomu wygadać. Nie ma mowy. Szczególnie policji. Bo oni powiedzą, że to ja. Od razu tak powiedzą. Rozumiesz? Przyjdą tu, zobaczą to miejsce, jej twarz, zobaczą, że ją pobito, że to jest moja lina. I powiedzą, że to ja ją powiesiłem. Osądzą mnie i zamkną, chłopie. Bez gadania.

– Ale dlaczego? Bzdura, Jasper. Tak nie będzie.

– Tak myślisz? – Jasper patrzy na mnie, podnosząc się jak wąż przed atakiem. – A kto był pierwszą osobą, o której ty pomyślałeś? O kim ty najpierw powiedziałeś, że ją powiesił?

Tak to jest. Tak się dzieje, kiedy po raz pierwszy pojmujesz, że nie ma czegoś takiego jak czary. Że nikt nie reaguje na twoje modlitwy ani nawet ich nie słucha. Pierwsza straszna chwila, kiedy

ktoś podcina ci kopniakiem stopy i jesteś całkiem rozbrojony. I wiesz o tym. On ma słuszność. Jasper Jones ma rację. On naprawdę jest w paskudnej sytuacji.

Oczywiście miasto jego obwini. Jasne, że Corrigan go o to oskarży. Nieważne, co on powie. Jego słowo znaczy tyle, co gówno. Liczy się tylko fakt, że dziewczyna nie żyje, i to, co w mieście mogą sobie wyobrazić. Od razu go wyciągną i osadzą. Mieszkańca, który zabił córkę przewodniczącego rady hrabstwa. Jasper nie ma szans.

– Więc co zrobimy? I co z Laurą? – pytam. – Zaczną jej szukać, jak tylko odkryją, że zniknęła. Tak czy inaczej ją tu znajdą.

Jasper kręci głową, wyciągając papierosa. Zauważam, że lekko drży. Nie odpowiada na moje pytanie. Zamiast tego rzuca następną przerażającą myśl:

– I tego też nie rozumiem. Czemu to się stało tutaj? Ktoś musiał mnie śledzić. Ktoś jeszcze wie o tym miejscu. Myślałem, że to niemożliwe.

– Sądzisz, że ktoś chce cię zrobić? – Jasper częstuje mnie papierosem, a ja znowu nie wiadomo czemu wykonuję gest, z którego ma wynikać, że jestem „przepalony”.

– Tak. Myślę, że tak może być, Charlie.

Przymykam oczy.

– Ale wcześniej powiedziałeś, że jacyś ludzie już tu byli. Z tobą. Tak jak ja dzisiaj.

– Jasne. Tylko że ty jesteś jedynym facetem, który zobaczył to miejsce. A w sumie było tu tyle osób, że można policzyć na palcach jednej ręki.

– A czy kiedyś przyprowadziłeś tu Laurę Wishart?

Jasper Jones trzyma ręce w kieszeniach i patrzy w ziemię.

– Tak. Przyprowadziłem. Kilka razy, Charlie. Właściwie dużo razy. Ale zawsze prowadziłem ją inną trasą przez busz, tak żeby nie umiała sama tutaj trafić.

– A czemu tak?

– A czemu o to pytasz? Nie chcę, żeby ktoś wiedział, jak tu dojść. Nie umiem powiedzieć dlaczego. Czasem dobrze jest się podzielić tym miejscem, ale raczej wolę je zatrzymać dla siebie.

Kiwam głową.

– Ale z Laurą nie było tak, jak myślisz – mówi dalej, chociaż nie mam pojęcia, co próbuje mi wytłumaczyć. – Ona nie była jak inne dziewczyny z miasta. Była bystra, Charlie. Nie tak jak ty. Była jakoś mądra. Dobrze nam szło. Ona lubiła tu przychodzić. Zawsze była ode mnie lepsza, ale to mi nie przeszkadzało. Wiesz, jak to jest, że spotykasz kogoś pierwszy raz i wydaje ci się, jakbyś go znał całe życie. Takie to było. Naprawdę spoko. Nie tak jak z innymi dziewczynami, które tu przychodziły. Nigdy właściwie nie poszaleliśmy, chociaż ona była starsza. Dziwna była pod tym względem. Ale się tym nie przejmowałem, naprawdę. W każdym razie nie po to ją tu przyprowadzałem.

Czuje niezrozumiałe zażenowanie. Ramiona Jaspera jakby opadły. Wygląda na przegranego i smutnego.

– Więc kto by miał to zrobić? Znałeś ją. Czy jest ktoś, kto mógł chcieć to zrobić?

– Mam podejrzenie – mówi i wyciąga następnego papierosa. Mimo bezwietrznej ciszy panującej w tym miejscu zasłania dłonią przypalaną końcówkę. Nie częstuje mnie, chociaż tym razem nagle żałuję, że tego nie robi. – Myślę, że wiem, kto to mógł zrobić. Zaraz mi to przyszło do głowy i nie mogę przestać myśleć, że... Cały czas o tym myślę. I wydaje mi się, że tak mogło być.

– Więc kto? – Pochyliłem się do przodu.

Jasper strząsa popiół, obraca papierosa i podaje mi.

– Jack Lionel. Myślę, że to był Jack Lionel.

Oczy mi się rozszerzają.

– Widzisz, Charlie, jak mówiłem, że widziałem go masę razy, to dlatego że on naskakiwał na mnie bardziej niż wszyscy inni w mieście. Na mur-beton. To jest cholerny wariat. Za każdym razem kiedy w drodze tutaj przechodzę koło jego domu, wyskakuje na ganek i macha, wrzeszczy i mnie woła. Naprawdę dziwne. On zna moje imię, Charlie. Myślę, że chce mnie dopaść. Naprawdę.

Za dużo tego wszystkiego. Za szybko się to dzieje. Jestem beznadziejnie zagubiony. I boję się. Teraz naprawdę chcę papierosa. Patrząc na jego rozżarzoną, bursztynową końcówkę, jak podnosi się i opada, kiedy Jasper mówi. Wygląda uspokajająco. Jestem zmęczony. Chcę usiąść. Albo się położyć na tym skrawku miękkiej ziemi. Ale nie mogę. Jestem w to wmieszany. I nie rozumiem: w jakiś sposób zostałem w to zaangażowany.

– Ale co to ma wspólnego z Laurą? Jeżeli Szalony Jack Lionel ma coś do ciebie, to czemu miałby jej to zrobić?

– Bo stał na ganku, zawsze kiedy szliśmy tutaj z Laurą. Więc ją widział. Wiedział, że dużo razem przebywamy. I ona też go widziała. Zaczęła się go bać. Naprawdę działał jej na wyobraźnię. Więc może on za nami poszedł. Tylko o nim potrafię pomyśleć, że to zrobił. Albo skądś tam wiedział, dokąd idziemy. Może znał to miejsce. Może to on, Charlie.

Jasper uprzedza moje kolejne pytanie.

– Za każdym razem, kiedy mnie widzi, wyskakuje, wrzeszczy, wydziera się i wydziera bez końca. Za każdym razem. Tylko nie dzisiaj, Charlie. Pamiętasz? Nawet światło nie było zapalone. Nic. A my staliśmy i czekaliśmy. Ani słowa.

Marszczę brwi. Nie czuję się już tak jak na początku. Przygryzam policzki od środka. Nagłe łzy kłują mnie w oczy. Naprawdę nie chcę płakać, jestem tylko zły. I oszołomiony. I bardzo się boję. No, nie wiem. Czuję się zdradzony czy coś takiego. Ale przede wszystkim czuję przerażenie. Głos mi się załamuje, kiedy mówię:

– Czekaj, jak pomyślałeś, że Jack Lionel kogoś zabił, to przyszedłeś po mnie i zabrałeś mnie prosto pod jego dom? Nie mówiąc mi po co? A potem przyprowadziłeś mnie tutaj, żebym to zobaczył! I istnieje prawdopodobieństwo, że ten porąbany koleś ciągle gdzieś tu jest i czeka na ciebie albo na nas obu? Czemu? Czemu mi to robisz? Spadaj. Spierdalaj. Idę, kurwa. Idę stąd.

Mocno zaciskam zęby, żeby powstrzymać łzy. Szczypie mnie nos, język mi puchnie, a w ustach mam słony posmak. Nigdy dotąd tak nie przeklinałem. Czuję się dziwnie. I oczywiście nie ruszam się z miejsca. Jestem w pułapce. Nie ma drogi ucieczki. Od niczego. Ani od tego miejsca, ani od tego bajzlu. Tylko Jasper Jones może mnie wyprowadzić.

Podchodzi do mnie, wysoki, z żarzącym się papierosem w ustach. Kładzie mi rękę na ramieniu i natychmiast czuję ulgę.

– Nie idź jeszcze, Charlie. Dobrze, chłopie? Musisz mi pomóc. Nie wiem, co innego można zrobić. Naprawdę nie wiem. Przepraszam. Naprawdę mi przykro.

Mrugam. Chrząkam i s pluwam. Poprawiam okulary. Ręka Jaspiera nadal spoczywa na moim ramieniu.

– Słuchaj, Charlie. Jesteś przy mnie bezpieczny. Zaufaj mi. Musisz mi zaufać, tak jak ja ufam tobie. Wiem, że jesteś w porządku. Wiem to. Zrobimy, co trzeba. Razem.

Kręcę głową.

– Ale co? Co mamy zrobić? Nie widzisz, jakie to wszystko beznadziejne? Nie jesteśmy detektywami. To nie jest *Nancy Drew!* To poważna sprawa. Nie umiemy prowadzić przesłuchań. Nie możemy rozmawiać o tym z ludźmi. Niczego nie możemy zrobić.

– Ale jednak możemy spróbować. I to będzie więcej, niż w tej sprawie mogłaby zrobić policja w Corrigan, jeśli bym teraz do nich poszedł i powiedział, co się stało. U nich ta sprawa zostanie zamknięta, zanim się na dobre rozpocznie, Charlie. Sprawa stanie na pierdolonej wokandzie jeszcze przed pogrzebem. Wiesz, że tak będzie. Znasz to miasto. Ja tutaj niczego nie muszę robić, żeby mieć kłopoty. No więc to my musimy się dowiedzieć, kto to zrobił. Musimy.

I choć to absurdalne i nielogiczne, w przewodzie myślowym Jaspiera jest coś, czemu nie mogę się oprzeć. Łatwo się zgodzić z tym, że on się nie myli. Że to on pójdzie do więzienia za coś, czego nie zrobił. Że to zaściankowe miasto jest właśnie takie. Że Szalony Jack Lionel naprawdę może być za to odpowiedzialny. Że możemy coś z tym zrobić. Że nagonka na Jaspiera Jonesa jest czymś obrzydliwym i złym. Że możliwe, że uda się nam jakoś rozwiązać problem i właściwie ustawić sprawy. Możliwe, że to ja jestem jedynym człowiekiem w Corrigan, który był w stanie uwierzyć Jasperowi Jonesowi. Może dlatego do mnie przyszedł. Dlatego mnie tu zaciągnął. A to oznacza, że ufał mi już wtedy, kiedy pukał w okiennicę, zakłócając mi lekturę. Musiał zakładać, że naprawdę jestem w porządku. Jak Atticus Finch: klasa, rozsądek i mądrość. Albo coś, co w tym mieście najbardziej jest do tego zbliżone. A może on wie, że nie potrafiłbym zawieść jego zaufania. Albo to mieszanka jednego i drugiego: poczucia bezpieczeństwa i zaufania. Chociaż wolałbym, żeby Jasper Jones przybiegł do mnie, ślęczącego w nocy nad Markiem Twainem, po dar mojej mądrości. Jakbym był samym Salomonem. Takim człowiekiem, do którego się udajesz, kiedy sprawy przybierają zły obrót.

Ale to wszystko na nic. Nie wiem, jaką pomoc miałbym mu okazać. Jestem zagubiony. Nie mogę spojrzeć w lewo. Zablokowałem Laurze dostęp do mojego pola widzenia i do moich myśli, ale ona nalega, naciska. Jest tak blisko. Nie mogę o tym myśleć. Za dużo naraz. Za szybko. Wydaje się, że w pewnym sensie ignorujemy obecność Laury Wishart. Powieszanej. Wiszącej. Zaledwie parę jardów od nas. Jeśli nie będziemy patrzeć, nie będziemy o niej mówić, rozplynie się i zniknie w ciemności nocy. I to się odstanie. I będę mógł wrócić do domu, zasnąć i obudzić się bez tej ciężającej mi świadomości.

Po chwili wymownego milczenia odwracam się do Jaspera Jonesa i nabieram powietrza. Mówię cicho:

– Okej, a co by się stało, gdybym ja to zgłosił? Sam, bez ciebie. Może pójde na policję albo do moich rodziców, teraz, od razu, i powiem im, co widziałem. Nie powiem o tobie. Nigdy.

Jasper Jones skubie brodę. Stanowczo kręci głową.

– To nie przejdzie, Charlie. Po pierwsze, skąd się tu wzięłeś, zupełnie sam? To się nie trzyma kupy.

Wzruszam ramionami.

– Mogę powiedzieć, że całe lato tu myszkowałem. Że chodziłem na ryby albo na wyprawy, cokolwiek. Nieważne.

– Z całym szacunkiem, Charlie, nikt w to nie uwierzy: ani twoi bliscy, ani tym bardziej policja.

– Może uwierzą – nalegałem bez przekonania.

– A po drugie, jak tylko się dowiedzą, gdzie ona jest, pół tuzina dziewczyn w tym mieście rozpozna to miejsce, pójdzie na policję i powie, kto je tutaj przyprawdzał. I skojarzą. I będą wiedzieli, że zmyślałeś dla mnie. Już oni to odkryją, nie martw się o to. I będziesz współwinny, Charlie. Z pewnością. A ja będę bez szans.

Ocieram pot z czoła wierzchem dłoni.

– No dobra, a jeśli ją stąd zabierzemy? Skoro to dla ciebie niebezpieczne, że Laura jest tutaj, może zabierzemy ją gdzie indziej? Gdzieś bliżej miasta, gdzie ktoś inny ją znajdzie. Odkryje ciało. Wiesz, jakby po raz pierwszy. W ten sposób miałbyś szansę, prawda? Nie przebywałbyś w pobliżu.

Ledwie mogę uwierzyć, że to mówię. Niemożliwe, że naprawdę coś takiego proponuję. To pewne. Ale ze sposobu, w jaki Jasper drapie się po policzku, widzę, że bierze takie rozwiązanie pod uwagę. Wnętrznoci mi się przewracają. Chcę to odwołać. Natychmiast.

– Rozumiem, o co ci chodzi, Charlie, ale to jest, chłopie, zbyt ryzykowne. Jeżeli ktoś nas zobaczy, jeśli nas przyłapia, to kompletnie leżymy. Bez dalszych pytań. Będziemy winni. A jeśli nawet nas nie przyłapia, policjanci to nie idioci. Będą wiedzieli. Będą wiedzieli, że ją przenoszono. Możemy zostawić odciski albo coś takiego. Mogą, kurde, nawet przyjść tutaj po naszych śladach.

– Zbyt ryzykowne – zgadzam się szybko.

– Ale dobrze, że myślisz. Ja o czymś takim nie pomyślałem.

Odwracam się.

– No dobrze, Jasper. A co zrobimy, gdy odkryjemy, kto to zrobił. Wyobraźmy sobie, że znajdziemy dowody, że to Szalony Jack. I co wtedy? Co zrobimy? Powiemy mu, żeby się przyznał? Wyślemy anonimowy list?

Jasper Jones skubie włoski na ramieniu i wzdycha.

– Będziemy myśleć, który most wybrać, jak już dojdziemy nad rzekę. Wiesz, o co mi chodzi? Jeszcze nie znamy okoliczności ani nic takiego, prawda? Kto wie? Może nawet nie będziemy musieli podejmować takiej decyzji? Ale, Charlie, musimy spróbować. Musimy. Prawda jej się należy, no nie?

Kręcę lekko głową i wzdycham. To nie ma sensu. Nie można odkryć prawdy, zaczynając od kłamstw. Chcę mu to wyjaśnić, tak jak zrobiłby to Atticus.

– Jasper, ciągle istnieje szansa, że cię nie oskarżą. Jest taka szansa, prawda? Słuchaj, jeszcze możemy to zrobić jak trzeba. Możemy powiedzieć właściwym ludziom. Ważnym ludziom. Zrobić to jak należy. Wiesz, jesteś przecież chroniony przez prawo...

– Chryste, Charlie! Gówno mnie chroni! Po prostu się boisz. Umywasz ręce. Wiesz dobrze, że nie będzie uczciwie. Doskonale wiesz, co się wydarzy. W tym mieście wszyscy wiedzą, że jestem, cholera, zwierzęciem. Uważają, że dobrym miejscem dla mnie jest klatka. I to tutaj będzie tylko fajnym pretekstem, żeby mnie do niej wsadzić. Nie potrzeba im niczego poza tym, co tu zobaczą. Będą się liczyć tylko pozory. Jestem w tarapatach, Charlie. Naprawdę. I nie mogę uciec, bo jeżeli odkryją Laure, znajdą i mnie. Muszę to zrobić, Charlie. Musimy.

Podnoszę ręce do twarzy, unoszę okulary, trę oczy.

– Zrobić? Co zrobić, do cholery? Co mamy zrobić?

– Tylko jedno wymyśliłem. Jedyłą rzecz, która mnie tymczasem ochroni.

Patrzę na niego jak sroka w gnat.

– Co?

– Musimy ją pochować. Schować. Tutaj. Sami.

– Co? – Spoglądam na Jaspiera z przerażeniem.

– To jedyny sposób, Charlie.

– Wcale nie jedyny! To ty się boisz!

– Taaa. Wiem. Ale mam się czego bać. To jest jedyny sposób, żeby mnie chwilowo wybawić z kłopotu. Nie rozumiesz?

Znowu kręcę głową. Niemożliwe. Desperacko staram się wskazać jakąś alternatywę, drogę ucieczki.

– Nie, nie możemy. Nie zdołamy jej teraz pochować. Nie mamy żadnej łopaty ani niczego... Tak czy inaczej, to będzie trwało godzinami. Słońce wstanie, zanim skończymy. I to będzie naprawdę cholernie podejrzanie wyglądało, jak wrócę rano do domu brudny jak cholera, po wykopaniu grobu, a zaraz potem się okaże, że Laura Wishart zaginęła.

– Nie w ziemi, Charlie. Tam.

I Jasper pokazuje jezioro. Powierzchnia wody jest gładka jak kartka. Żołądek mi się przewraca. Będziemy topić trupa.

– W jezioro?

– Taaa.

Jestem w potrzasku. Wbrew mojej woli wciąga mnie coraz dalej i głębiej.

– A co z jej rodziną? Czy oni nie mają prawa pochować własnej córki? Pożegnać się z nią? A Eliza? Ostatnie namaszczenie? A religia?

– Ty w to wierzysz?

– Nie chodzi o to, w co ja wierzę. To nie ma znaczenia.

– Słuchaj, wiem na pewno, że jej staruszek nie jest dobry. Jest nic niewart i pije gorzej niż mój. A jej mama to chodząca śmierć. Najdziwniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem. Na mur. Wiem, że nie o to chodzi. I mówię ci, wieczorem będą się interesować, co się z nią stało, a nie jak została pochowana. I tak zrobimy, Charlie. Będziemy mieli więcej czasu, żeby wykryć, kto to zrobił. No i nie wiem, ale jak już wsadzimy Szalonego Jacka, możemy jeszcze wszystko zrobić jak trzeba. Przecież będziemy wiedzieć, gdzie ona jest.

Trudno mi w to uwierzyć, ale coraz bardziej się pograżam. Spoglądam na wiszącą sylwetkę Laury Wishart, czuję kolejny przyływ mdłości i strachu. Laura jest duchem utkanym z sieci pajęczej. Jest nierealna. Tak samo jak to miejsce.

– Nie wiem, Jasper. No a jeśli nie odkryjemy, kto to zrobił? Jeśli Wishartowie nigdy nie poznają nawet tej części prawdy? Może się mylimy co do Corrigan, co do Szalonego Jacka i wszystkiego?

Jasper nagle niespokojnym ruchem podrywa się na nogi i kręci głową. Wykonuje ręką zamach, jakby chciał złapać przelatującego owada.

– A co byś wolał, chłopie? Chciałbyś mnie wsadzić do więzienia tylko po to, żeby Wishartowie mogli się pożegnać z córką jak należy? Ja tego nie zaplanowałem, rozumiesz? Chcę tylko zrobić, co trzeba, i uniknąć tego, co jej się przytrafiło. – Jasper wskazuje wiszące ciało Laury. Ma dziwnie rozszerzone oczy i wpatruje się we mnie. – Bo tak właśnie, cholera, będzie. I doskonale to wiesz. I jeszcze raz ci przysięgam na ducha mojej matki, że nie miałem z tym nic wspólnego. Przyszedłem tu dziś w nocy i znalazłem ją. Nie wiem, co mam robić innego, jak tylko ratować własną dupę. I spróbować odkryć, co się tu stało. Dlatego potrzebuję twojej pomocy. Bo ty jesteś bystry i inny niż wszyscy. Pomyślałem, że na pewno zrozumiesz. Kurde, naprawdę ryzykowałem, przychodząc do ciebie.

Spuszczam wzrok i milczę.

– Dla mnie, Charlie, to była duża sprawa, żeby ci zaufać. To jest ryzyko. I ciebie proszę o to samo. Nie mogę cię zmusić, żebyś coś zrobił. Ale wierzyłem, że spojrzysz na sprawy z mojej strony. Przecież ty właśnie coś takiego robisz na co dzień. Jak czytasz. Widzisz, jak to jest od strony i nnych ludzi.

Kiwam głową.

– Charlie, pomyśl o tym miejscu i o tym, co ono dla mnie znaczy. I pomyśl, co ja mam zrobić. Co się powinno zrobić.

Czuje się całkiem pokonany. Czemu wszystko wokół tego spokojnego skrawka ziemi jest takie pokręcone? Laura Wishart, jej wiszące ciało, to nie powinna być nasza sprawa. Nie my powinniśmy być odpowiedzialni za rozwiązanie tej zagadki. Powinno być tak, że przełożymy sprawę właściwym ludziom. A teraz uciekniemy, jak dzieci przy zabawie w chowanego, i ukryjemy się gdzieś w bezpiecznym miejscu. Nie powinno być tak, że znajdujemy powieszoną Laurę Wishart i od razu wiemy, że Jasper będzie miał poważne kłopoty. I w tym wszystkim ja.

Jasper łagodnieje. Przykuca i przeczesuje ręką zmierzwione włosy.

– Charlie, wiesz, to wszystko... Wiem, że rozumiesz, o czym mówię. Chodzi o to, że jeżeli zostaniesz i mi pomożesz, nic ci się nie stanie. Zupełnie nic. Jeżeli się wyda, zrobię wszystko, żeby podejrzenie nie padło na ciebie, zgoda? Nie musisz się tym martwić. Obiecuję.

Znowu kiwam głową.

– Musisz dorosnąć, Charlie. Wiesz, o co chodzi, kiedy mówię, że mam prawdziwe kłopoty. Ja musiałem wcześniej dorosnąć. Odkąd pamiętam, musiałem być dorosły. Ja to wszystko musiałem zrobić bardzo szybko. Niekiedy wydaje mi się, że jestem już bardzo stary, wiesz?

– Tak, wiem – przytakuję.

– Wiesz, tutaj wszyscy nie wiadomo czego się boją. W tym mieście wszystko się dookoła tego kręci, chociaż oni pewnie tego nie widzą. Trzymają się tego, co wiedzą, co usłyszeli jeden od drugiego. Nie rozumieją, że można wybrać też coś innego.

Podnoszę głowę i patrzę Jasperowi w oczy.

– Wiesz, o co chodzi. Ludzie zawsze się mnie bali. Głównie dzieci, ale starsi też. Różni. Uważają, że jestem na wpół zwierzęciem,

bez prawa głosu. Że jestem zły. A ja się zawsze zastanawiałem dlaczego? Przecież nawet mnie nie znają. Nikt mnie nie zna. To się nie trzyma kupy. Ale potem zrozumiałem, że to właśnie dlatego tak jest. Wszystko tu tak wygląda, Charlie. To takie głupie. Ale ja już ich nie nienawidzę.

Jaka niesamowicie przejrzysta jest ta noc. Czuję się dziwnie osamotniony i wysadzony z siodła. Jak nagle strząśnięta śnieżna czapa. W mojej szklanej kuli panuje zamieć. Wszystko, co w moim świecie było na swoim miejscu, stałe i pewne, nagle przyspieszyło i wiruje w powietrzu jak konfetti. Ta książka, którą znałem na pamięć, teraz została podarta na kawałeczki i rzucona na wiatr. Skrawki papieru kołyszą się z szumem. Wszystko wyrwane ze swojego miejsca i zniszczone. Dziesiątki katastrof jednocześnie. Nie mogę się zabrać do zbierania kawałków i układania ich z powrotem na miejscu. Muszę wyleźć ze swojej muszli i się ujawnić. Nie dany jest mi luksus wyboru odpowiedniego czasu po temu. Trochę jak Jasperowi Jonesowi. Nie mogę czekać z opuszczeniem kokonu do chwili, gdy już się przepoczwarzę i będę gotowy. Zostałem zbyt wcześnie wyciągnięty i zostawiony na zimnie.

Przez chwilę pozwalamy się kołysać tej dziwnej, pustej ciszy. Głowy mamy odwrócone od drzewa.

W końcu Jasper mówi, że musimy się tutaj ostatni raz rozejrzeć. Ostatni raz przeczesać okolicę, zanim kompletnie zatrzemy wszystkie ślady. Nie opieram się, ale idę tuż za nim i drzę, kiedy zbliżamy się do ciała Laury.

Nie. Za bardzo jestem roztrzęsiony, żeby zwracać uwagę na szczegóły. Nie wiem nawet, czego właściwie mam szukać. Pewnie śladów stóp. Dowodów. Listu z nabazgranym wyznaniem. Czegokolwiek. Ale wszystko jest tu dla mnie nieznane, więc nie mam pojęcia, co może wyglądać inaczej niż zazwyczaj. To tylko potwierdza, jakie to całe śledztwo jest beznadziejne. Jak wszystko

sprzysięga się przeciwko nam. Jasper chodzi wokół. Czasem marszczy się i pochyla.

W świetle księżyca przeglądamy dokładnie cały obszar pod drzewem. Nie zabiera nam to wiele czasu. Kiedy Jasper kończy inspekcję okolicznych krzaków, przeczesując darń, kiwa głową z zadowoleniem.

– No, przyszli tą samą drogą, którą ja tu przychodzę. Tą samą, którą myśmy przyszli – mówi wreszcie z namysłem, pokazując w kierunku kępy zarośli. Pokazuje coś palcem. – Ale zobacz, trawa tutaj wygląda, jakby ją przyciśnięto. Nie za mocno. No, nie wiem. To można różnie wytłumaczyć. Może Laura próbowała uciekać. Może nie. Nie wiemy. Nic nie wiemy. Nie wiemy nawet, czy oni ją naprawdę powiesili.

– Co masz na myśli?

– Charlie, tu się wszystko mogło zdarzyć. Mogli ją zabić, a potem powiesić, żeby wyglądało, jakby zrobiła to sama. Nie wiemy.

Kiwam głową, trochę nieobecny. To dla mnie za dużo, żebym był w stanie myśleć. Nie wiem, jak Jasperowi udaje się zachować taką trzeźwość. W jaki sposób jest w stanie tu i teraz tak kombinować. Ja mogę tylko iść za nim i słuchać w niemym pomieszeniu.

Patrzę w górę na niego, a on spogląda na mnie. Cierpliwie. Świat wokół wiruje.

– Jesteś gotowy, Charlie?

Odwracam wzrok.

Jasper Jones patrzy na mnie jeszcze przez chwilę. A potem mówi, żebym zaczekał tu, gdzie stoję. To mi przynosi ulgę. Moje pedalskie sandały są wrośnięte w ziemię.

Patrzę, jak Jasper podchodzi do eukaliptusa. Wskakuje do zacienionej, przepastnej dziupli w pniu. Kiedy tylko tracę go z oczu,

czuję przyływ niepokoju. Tyłek mam dziwnie napięty, a w głowie kłębowisko nieskoordynowanych myśli. Jasper wynurza się, trzymając rękojeść szerokiego noża.

Patrzę, jak przymocowuje go do szortów, przekładając przez szlufki. Jest tak blisko ciała Laury, tak blisko, że mógłby go dotknąć. Ale głowę trzyma odwróconą.

Zaczyna się wspinać. Mimo że obserwuję tę scenę z bliska, mimo że jest tu tak mało miejsca i jest tak parno, mam wrażenie, jakbym patrzył na to wszystko z oddali. Jakbym patrzył na idącego po ścianie pajaka. Jasper chwyta się i podciąga, a ja myślę o Jeffreyu Lu. Pamiętam, że jest początek sezonu i gra jego ulubiony zawodnik, Doug Walters. Jestem pewien, że Jeffrey nie może spać z niecierpliwości. Ciekaw jestem, czy Doug Walters jest w tej chwili tak zdenerwowany jak ja. Ciekawe, czy śpi tej nocy. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek widział trupa. Bliżej tamtego konara Jasper zwalnia. Podciąga się krótszymi ruchami. Tak, wygląda na to, że to nie jest łatwa wspinaczka. Trzeba tu kogoś silnego i zwinnego.

Patrząc na napinające się i rozciągające ramiona i łydki Jaspiera Jonesa, zastanawiam się, jak Szalony Jack Lionel mógł to zrobić. Wydaje się to niemożliwe. Ja sam nie dotarłbym na wysokość tej gałęzi, a nawet poprzedniej, więc jak miałoby się to udać staremu człowiekowi? Ale nie pytam o to Jaspiera. Stoję tylko i czekam.

Na wysokości gałęzi Jasper przekręca się i winduje na rękach, ze zwisającymi luźno nogami, ruchem, jakiego ja nigdy bym nie wykonał. Jest nieustraszony. Jak cyrkowy akrobata, wyćwiczony i pewny swoich ruchów. Huśta się przez chwilę i siada okrakiem na konarze. Przesuwa się w kierunku węzła liny.

Serce mi wali. Nagle już nie jestem odległym widzem. Denerwuję się nie do opisania, kiedy Jasper sięga po nóż. Jestem zmęczony, tak że bardziej się nie da. Niewyobrażalnie się boję. Czuję wszystkie emocje naraz. Wszystkie dzwony dzwonią. Tylko nie myślę już o Jeffreyu. Nie myślę o Wishartach. W głowie mi pulsuje, kiedy

patrzę, jak Jasper przesuwam ostrzem po linii opasującej szyję Laury. Słyszę swój oddech. Mam zaciśnięte pięści, których nie jestem w stanie rozluźnić.

I nagle ona spada. Szybko. Jak biały latawiec z wiotkim ogonem pikujący ku ziemi. Zgina się i załamuje. Jak lalka. Jak torebka wilgotnych kości. Kiedy dotyka gruntu, słychać miękki, upiorny, głuchy dźwięk. Dźwięk, który przypomina mi, że ona jest już tylko kawałem mięsa. Może nie powinno tak być, ale jestem zupełnie zaszokowany brakiem w niej życia. Wygląda tak ciężko, beznadziejnie. Mam dreszcze. Czuję, jakby po całym moim ciele biegały mrówki. Jasper rzuca nóż, którego ostrze łatwo wbija się w ziemię. Zaczyna się zsuwać po pniu.

Kiedy ląduje, prostuje się i bardzo ostrożnie podchodzi do Laury. Ja się nie ruszyłem. Mam nadzieję, że nie jestem mu potrzebny.

Jasper klęka. Bardzo delikatnie rozprostowuje ramiona Laury i całe jej ciało. Robi to tak, jakby ona głęboko spała, a on nie chciał zakłócić jej snu. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że widzę, jak wierzchem dłoni gładzi ją po policzku. Jego ruchy są powolne i przemyślane. Pełne szacunku. Czuję się dziwnie, jakbym oglądał bardzo intymną scenę. Jakbym podkradł się pod okno Jaspera, żeby podglądać coś, co powinno się odbywać bez świadków. Powinienem odwrócić głowę i patrzeć w inną stronę. Nie powinienem tego obserwować. Stoję jednak jak słup. Jasper Jones delikatnie zdejmuje sznur z jej szyi. Trudno na to patrzeć. Mam zatkałe uszy. Wydaje mi się, że Jasper się niecierpliwi. Że mu się nie udaje. Ciągnie, ale nie może zdjąć.

Wtedy ruszam. Nie wiem dlaczego, ale zbliżam się i nagle klęczę obok.

Jasper spogląda na mnie krótko.

- Hej, Charlie - mówi, jakby właśnie zobaczył, że tędy przechodzę.

Nie odpowiadam. Jestem sparaliżowany ze strachu. Przerażony. Kolorem jej twarzy. Opuchlizną. Szklistym spojrzeniem. Niedobrze mi. Jej lewe oko jest wyraźnie bardziej opuchnięte i ciemniejsze. Ma niewielkie zadrapanie na szczęce i jeszcze jedno, w poprzek łuku brwiowego. Została uderzona. Ktoś ją mocno pobił. Naprawdę. Żołądek mi się przewraca. Trzęsąc się, poprawiam okulary.

- Nie chcę, żeby to miała na szyi - wyjaśnia Jasper cicho, ze spuszczoną głową. - Ale nie mogę rozwiązać. Zobacz, to nawet nie jest pętla, tylko zwyczajny supeł. To supeł tylko na pokaz. Może naprawdę dopiero potem ktoś ją powiesił. Pewnie wcześniej już nie żyła. Będę to musiał przeciąć, Charlie. Ale muszę być ostrożny.

Kiwam głową.

Jasper oddala się, żeby przynieść nóż. Chcę, żeby natychmiast wrócił.

Tnie linę z chirurgiczną precyzją, jakby nie chciał zranić Laury. Słyszę tylko równomierny dźwięk, jaki wydaje przesuwające się ostrze. Szur. Szur. Szur. Wreszcie się udaje. Podskakuję lekko, jakby wyszło mi coś trudnego. A Jasper powoli zdejmuję linę. Przypomina to zdejmowanie drogocennego naszyjnika.

Myślę, że żaden z nas nie był przygotowany na czarne, głębokie pręgi biegnące w poprzek jej szyi. Czuję nagłe dreszcze. Ręce mi drętwieją. Obaj wciągamy powietrze i wstrzymujemy oddech. Jasper wydaje dźwięk, jakby coś go zadrapało w gardle. Zęby mu szczękają.

Delikatnie bada ciało Laury. Dotyka zadrapań na brodzie i ramionach. To ciche, dziwne oględziny. Mam nadzieję, że nie oczekuje, że ja też to zrobię. Ogląda jej nogi, kostki, stopy. Marszczy się. A potem podnosi rąbek nocnej koszuli. Strasznie mnie to

zawstydzę. Odwracam się i gapię w ziemię. Sądzę, że wiem, na co on patrzy.

I wiem, czego szuka.

Kiedy znowu spoglądam, Jaspera nie ma. Zniknął.

Oczywiście wpadam w panikę. Kręcę przerażony głową w jedną i drugą stronę, odwracam się. Znowu dreszcz przebiega mi po plecach. Nigdzie go nie widzę. Jestem sam na polanie. Ściany z gałęzi pochylają się ku mnie, przytłaczają. Kucam, chowam się. Oczy mam szeroko otwarte. Żeby zachować równowagę, opieram się o ramię Laury. Jest ciepłe. Odskakuję, jakbym się oparzył. Wyję z przerażenia. Ona jest ciepła.

Zaraz zemdleję. Tutaj. Obok niej. Znowu nadpełza ta mgła.

Mdli mnie i kręci mi się w głowie. Zupełnie jakby dotknięcie Laury przypieczętowało moje przeznaczenie. Jestem wplątany w tę historię. Nie można zapomnieć o Laurze. Ona jest prawdziwa. Dotknąłem jej. Byłem przy niej, kiedy była jeszcze ciepła. Gdy dym się unosił nad zgasłym ogniskiem. Nie wiadomo czemu, zaczynam przyglądać się jej twarzy. Ma dziwny wyraz. Jest jakby zdziwiona, zagubiona, smutna i przestraszona jednocześnie. I zastanawiam się, czy taka była, kiedy życie z niej uciekało. Myślę, jak bardzo jest podobna do swojej siostry, Elizy. Myślę o chwili, kiedy Eliza dowie się, co się stało, i czuję się rozdarty.

Słyszę cichy szelest po drugiej stronie eukaliptusa. Nie wiem, czy mam czuć strach czy ulgę. Podrywam się na nogi.

– Jasper – szepczę.

Wynurza się, trzymając w ramionach spory kawał granitu. Kładzie go blisko przy udzie Laury. Gdybym nie wiedział, po co ten kamień, gdybym nie był oszołomiony wizją tego, co zamierzamy za chwilę zrobić, to nawrzeszczałbym na niego, że mnie tu zostawił samego.

Wolno kręcę spuszczoną głową. Jestem u kresu wytrzymałości. Naprawdę. Jasper staje na chwilę w miejscu i obaj patrzymy na siebie. Nie ma co mówić.

Po jakimś czasie Jasper klęka. Przetacza kamień do stóp Laury. Patrzę, jak bierze linę i ściśle obwiązuje ją wokół kamienia, a na końcu robi pętlę. Chrząka, a potem delikatnie unosi bose stopy Laury. Są drobne, chude i brudne. Końcem liny Jasper związuje nogi w kostkach. Cierpi przy tym. Słyszę, jak mruczy przeprosiny.

Zaciska pętlę. Stopy Laury podnoszą się przy tym, jak to bywa u dziecka, któremu ktoś niecierpliwie zawiązuje sznurowadła. Jasper ma pewnie spocone dłonie, bo wyciera je o koszulę. Jak tu parno. Jak duszno. Powietrze jest ciężkie i gorące. Trudno oddychać.

Kiedy unoszą się stopy Laury, rąbek koszuli nocnej przesuwają się wyżej. Jasper przerywa, żeby ją poprawić. Teraz sięga tam, gdzie powinna. Jasper owija koszulę wokół kolan Laury. Nawet teraz, choć jesteśmy tutaj sami, choć chcemy ją ukryć, on ciągle stara się uszanować jej godność. Usiłuje traktować ją tak, jak zwykł to robić. Przychodzi mi do głowy, że byli sobie bliżsi, niż Jasper wyjawiał. Zdaje mi się, że przywykł do dotykania jej z czułością. Może się kochali. Może była jego dziewczyną.

Jasper kilkakrotnie dociąga węzły na obu końcach liny. Przesuwają dłońmi po obwiązonym kamieniu. Widać, że to mu sprawia jakąś ponurą satysfakcję.

Laura Wishart nie żyje i jest przywiązana do kawałka granitu. A Jasper Jones klęczy i patrzy na nią w ciszy. Oczy ma przymrużone, oddycha ciężko i przez długi czas pozostaje na kolanach obok niej. Po prostu patrząc. Wygląda to tak, jakby właśnie skończył jej śpiewać kołysankę do snu i siedział przy jej łóżku jeszcze przez chwilę, zanim wyjdzie z sypialni.

A ja nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Jest w tym smutek i ciepło, ale ta surrealistyczna scena przejmuję mnie dreszczem. Nie

muszę już sobie przypominać, że Laura nie żyje. Widziałem jej oczy. Dotknąłem jej. Jej już tutaj nie ma. Naprawdę. Chociaż jest ciepła, odeszła w inną przestrzeń. Widzę i czuję jej nieobecność. Nie wiem, ale to już nieważne, czy przepłynęła w jakieś inne miejsce, czy zgasła, jak gaśnie światło. Nagle to wszystko traci znaczenie.

Jasper Jones podnosi się i zbliża do jej twarzy. Przesuwa wierzchem dłoni po jej policzku. Teraz widzę to już na pewno. I to mnie boli. Przeciąga otwartą dłonią po jej twarzy, delikatnie ją głaszcząc, i wyraz tej twarzy się zmienia. Oczy są zamknięte, nie patrzy już spokojnie. Chcę to jakoś poprawić. Laura wygląda na zdjętą dziwnym niepokojem, jakby krzywiła się poruszona strasznym snem. A ja nie chcę, żeby została z tym cierpieniem na wieczność. Nie chcę tego zrobić. Nie chcę topić jej na dnie jeziora, chować za kurtyną wody. Ale już w tym siedzę. Sprzymierzony z Jasperem Jonesem. Współwinny zbrodni. To nie jest czyn honorowy. Popatrz na nią. Widzisz, co ona nam mówi, co mówi jej czoło, zaciśnięte usta! Ona tego nie chce. Nie chce odchodzić!

Jasper podnosi się, robi krok do tyłu i odwraca się.

– Dobra, Charlie – mówi.

A ja nie rozumiem, o co chodzi, dopóki na nią nie wskaże. Staje obok kamienia. Ja mam ją wziąć pod rękę. To moje zadanie. Mam ją podnieść. Ciężką i bezwładną. Mam ją zanieść do wody.

I robię to. Łapię, trzymam mocno, walczę z jej ciężarem. Szuram nogami, starając się zachować równowagę. Och, jaka ona ciepła. Głowa przekręca się jej na bok. Zaciskam zęby, wciągam nosem powietrze. Spoglądam na Jaspiera, który przyciska kamień do brzucha. Nie ruszamy się. Ona ugina się w pasie, jakby leżała na hamaku. Wyślizguje się. I znowu podjeżdża jej koszula. Wiem, że dla Jaspiera Jonesa to trudne, bo patrzy tam.

– Jesteś gotowy? – pyta.

– Ona się wyślizguje – mówię. – Upuszczę ją.

– Włóż jej ręce pod ramiona aż do łokci i złap ją przez piersi. Będzie ci łatwiej.

Ale nie chcę tego zrobić. Teraz trzymam ją dłońmi pod pachami. Ledwie trzymam. I nie chcę trzymać niczego więcej. Nie chcę obejmować jej piersi. Im bardziej jej dotykam, tym większe mam poczucie winy. Wyślizguje się. Kręcę głową.

– Upuszczę ją! Połóż ją! Połóż! – szepczę spanikowany.

– Ostrożnie! Ostrożnie! – instruuje mnie Jasper, jakbyśmy nieśli kruchy mebel, który łatwo połamać.

Obaj się pochylamy i kładziemy ją na ziemi. Dyszę ciężko. W zaciśniętych ustach mam sucho. Oddycham przez nos. Jasper czeka cierpliwie, chociaż czuję, że chce to już mieć za sobą.

Muszę być dzielny.

Ocieram czoło. Pochylam ramiona i usztywniam plecy. Potem wycieram dłonie o koszulę. Wydymam policzki. Jasper schyla się i podnosi kamień. Trzymam Laurę Wishart pod ramiona. Trudno mi. Znowu się wyślizguje. Odchylam się na bok. Niesiemy ją do wody. To tylko kilka jardów. Jesteśmy przy brzegu, który nawet w lecie jest stromy. Tu jest głęboko, to dobrze.

Jasper mówi łagodnie:

– Liczymy do trzech, dobra?

Zaczynamy ją bujać. Huśtamy ją, jakby to była niewinna psota. Jakbyśmy wrzucali koleżankę do wody dla śmiechu.

Raz. Dwa. Trzy.

Nie jestem dość silny, żeby ją rzucić. To kamień wyrzucony mocno przez Jaspiera wyrywa Laurę z mojego słabego uchwytu. A potem następuje głośny, głęboki plusk. Jak dźwięk szarpniętych strun. A ja prawie ją przytrzymałem. O mało nie wpadłem za nią do wody. To, jak mi ją wyrwano, wywołało wstrząs, ale Jasper

przywraca mi równowagę, kładąc rękę na moim ramieniu. I patrzemy. Przez chwilę unosi się na wodzie. A potem widzimy, jak się zanurza. Nierówno i bez wdzięku. Wzdęty bąbel nocnej koszuli. I my, grabarze. Patrzemy, jak znika. Nie możemy jej ochronić. Kręgi na wodzie biegną aż do naszych stóp. Już jej nie ma. Naprawdę odeszła.

Utopiliśmy ją.

Potwory.

Stoję, nic nie czując. Ręce mi zwisają. Patrzę na ostatnie drgnienia wody, na coraz łagodniejsze zmarszczki na powierzchni. Patrzę uważnie aż do całkowitego uspokojenia się tafli. Zafascynowany spoglądam, jaka jest teraz gładka. Jak szkło. Dziwnie jest pomyśleć, że jeszcze po południu Laura Wishart może spacerować po Corrigan, bez trosk i obaw. Z koleżankami. Z siostrą. Teraz jest zakotwiczona na dnie ciemnego jeziora. Przywiązana liną, na której ją powieszono. Laure Wishart pochłonęła woda. Nie ma dla niej powrotu. I my w tym pomogliśmy.

Boję się, że mogę się zatoczyć i wpaść za nią. Czuję nawet coś jakby lekkie pchnięcie w stronę wody. Aż nagle słyszę Jaspera Jonesa. Nie ma go już przy mnie. Gwałtownie się odwracam. Stoi zwrócony do mnie plecami. Jedną ręką opiera się dla równowagi o pień drzewa. Otwieram usta, kiedy widzę, jak trzęsą mu się ramiona, i słyszę jego przerywany łkaniem oddech.

Czuję klucie w gardle. Powinienem do niego podejść i powiedzieć coś mocnego, uspokajającego i mądrego. Spojrzeć mu prosto w oczy. Ale nie robię tego. Po prostu patrzę. Drugą rękę trzyma przy twarzy. To jest prawda. Kolana ma ugięte, mięśnie napięte. Usta zaczynają mi drżeć.

Siadam ciężko i zaczynam płakać z głową schowaną między kolanami. Nie szlocham gwałtownie. Bardzo cicho. Zsuwam okulary i wycieram oczy wierzchem dłoni. Nie rozumiem, co się właśnie

stało. Chce mi się kupeć. Muszę się wykapać. Muszę się wyspać. Ta noc pozbawiła mnie cennych rzeczy, których już nigdy nie odzyskam. Czuję się ograbiony, ale nie uważam, że to Jasper Jones mnie oszukał. Jakaś dziwna pustka. Jakby się człowiek wprowadził do nowego domu, gdzie nie ma mebli ani znajomych ścian i ma się uczucie opuszczenia i niepokoju. Wrażenie samotności.

Mocno zaciskam powieki. Nie chcę smarkać, bo wtedy Jasper będzie wiedział, że ja także płakałem. Wciągam powietrze, trochę ściskając nos.

Kiedy podnoszę wzrok i nakładam okulary, widzę, że Jasper siedzi oparty plecami o drzewo. Widać, że jest wyczerpany. Trzyma na brzuchu butelkę. Pełną. Bez etykiety. Oczy mu błyszczą. Podnosi wzrok i z wolna kręci głową.

Szybko pociąga łyk. Potem spogląda na mnie i już butelka toczy się w moją stronę. Naprawdę mnie kusi, ale kręcę głową i podnoszę otwartą dłoń.

Jasper przesuwa mocno ręką po twarzy i skubie skórę na brodzie. Zapala papierosa. Kładzie ręce na kolanach.

– Palimy? – pytam.

Jasper się uśmiecha. Wyciąga papierosa z paczki i podaje mi. Ściskam go mocno w ustach, kiedy podaje mi ogień. Czujnie pochylam się w kierunku płomienia, jakbym chciał pocałować koński zad, ale tak żeby koń mnie nie kopnął.

– Czekej, czekej, Charlie – odzywa się nagle Jasper z uśmiechem. – Drugą stroną. To filtr, widzisz?

Bierze ode mnie papierosa, sam go zapala i znowu mi podaje.

Wiedziałem, że będę kaszlał, ale nie że aż tak. Jedno sztachnięcie wykręca mi płuca jak ścierkę. Charczę i pluje. Staram się opanować, ale mi się nie udaje.

– To ta... astma. I... duchota. Taaa. Normalnie ja... – Zezuję na papierosa, którego ciągle trzymam w dłoni, jakby ten właśnie przemówił i powiedział coś zaskakującego. Niepotrzebnie strząsam popiół, a uderzony palcem wskazującym papieros wypada mi z ręki. Oczywiście instynktownie staram się go chwycić w locie, co, ku mojemu zdumieniu, mi się udaje. Poparzyłem lewą dłoń. Nienawidzę tego papierosa. A teraz będę musiał go wypalić.

Pod moimi stopami trawa jest miękka. Mam wrażenie, jakbyśmy przeżyli sztorm i teraz odpoczywali na wraku. Długi czas siedzimy pod osłoną ciszy.

Jasper stale pociąga z butelki. Nie wiem, co powiedzieć. Jest tak nieziemsko cicho, że słyszę trzeszczenie bibułki tłącej się na końcówce papierosa w momentach, kiedy Jasper się zaciąga. I leciutkie pyknięcie jego warg. Mój papieros tymczasem pali mi się między palcami.

– Mam wrażenie, jakbym to wszystko śnił – mówię.

Jasper podnosi brwi.

– Taaa. Wiem. Ta cała noc. Ta cała porąbana noc. Kurde, chciałbym, żeby to był sen, Charlie. Mówię ci, że jest tak, jakby coś ze mnie wyrwano.

Jasper gasi papierosa i wkłada do kieszeni. Wykorzystuję okazję i robię to samo. On zapala następnego i mówi dalej:

– Laura była zawsze jedyną osobą, co do której czułem, że ją znam. Tak jakbym nie musiał jej o nic pytać. Po prostu dobrze się czułem. Wiesz, ona była jakby moją dziewczyną, moją matką i rodziną jednocześnie. Zawsze wszystko było łatwe. No, czasem miewała złe nastroje i wtedy tylko siadała i milczała. To też jakoś rozumiałem. Ja też tak czasem mam. Ale przez większość czasu była naprawdę wesola. I bystra, Charlie. Już ci to mówiłem.

Jasper opróżni tę butelkę. Połowę już wypił. Niepokoję się, że jeśli za bardzo się znieczuli, nie znajdziemy w buszu drogi powrotnej.

Jasper czyta w moich myślach.

– W porządku, Charlie. Nie popłynę. Nie to, co mój staruszek, ale on jest biały. Chcesz trochę? Masz, łyknij.

Sięgam na próbę po chłodną, wilgotną butelkę, bardziej po to, żeby on wyhamował, niż żeby samemu się napić.

– Co to?

– Samogon. Smakuje jak siuśki.

Pociągam mały, piekący łyk. Oczywiście, szczypie mnie w ustach i pali w gardle, spływając do przetyku. Od razu się dławię, ocieram usta i próbuję zaczerpnąć tchu. Przechylam głowę i udaję, że czytam nieistniejącą etykietę. Oczy mi łzawią, więc widzę mętnie. To gównno to trucizna. Uzmysławiam sobie, że zostałem oszukany w sprawie dwóch nałogów, o których czytałem. I które miałem uwielbiać. Salvatore Paradise wznosił butelkę z gorzałką jak pani domu w reklamie butelkowanego detergentu. Holden Caulfield sięgał po papierosa, jakby wypełniał akt wiary. Nawet Huckleberry Finn pykał fajeczkę z ulgą i zadowoleniem. Niczemu nie można ufać. Jeżeli seks okaże się równie paskudny, już nigdy nie będę czytał. Grozi mi, że poparzę sobie chuja i skończę z pokręconym.

Patrzę na swoje sandały i próbuję jakoś chytrze wyjaśnić, czemu mi nie smakuje.

– Taa. Gównno. Ja zwykle piję... no, jak to się nazywa... Destylowany... słód?

– Nie mam pojęcia, chłopie. Nie było czasu, żeby czytać etykiety. Żebrak nie wybiera. Bierze, co mu dają.

– To znaczy, że ją ukradłeś? – pytam, podając butelkę ku jego wyciągniętej ręce.

– No, nie zapłaciłem za nią. Podebrałem staruszkowi. Wziąłem mu ją spod nosa. Był nieprzytomny i trzymał w rękach pustą butelkę, więc pozwoliłem sobie zabrać pełną.

W milczeniu kiwam głową, a Jasper przerywa, żeby zaczerpnąć łyk.

– Ale tobie pewnie już mówiono, że jestem złodziejem. Zbójem. Że zabieram różne rzeczy.

– Nie odpowiadam, bo szukam właściwych słów.

– W porządku, Charlie. Nie twoja wina, że słyszysz takie rzeczy. Ale słyszysz, prawda?

– No, pewnie tak.

– Dobra. Ale nie wiesz i nikt ci na pewno nigdy nie powiedział, że łącznie z tym, co podbieram z kieszeni staruszka, nigdy nie wziąłem niczego, co nie było mi potrzebne. Na mur-beton. Mam na myśli jedzenie, zapaliki, czasem ubranie, takie rzeczy. Nic wielkiego. Nigdy. Rzeczy, bez których ci ludzie mogą się obejść. A mówimy o takich ludziach, którzy jedzą trzy posiłki dziennie, mają wyprasowane ubrania, żonę, samochód i pracę. Oni patrzą na mnie jak na śmiecia. Jakbym miał wybór. To oni mówią dzieciom, że jestem zły. Gównu wiedzą. Nie mają pojęcia, jak to jest być mną. Nigdy nie pytają dlaczego. Dlaczego on kradnie? Myślą, że taką mam naturę. Że ze mnie nic dobrego. I wiesz, co jeszcze, Charlie? Nigdy nie dałem się przyłapać. Nikt nawet nie był blisko. Oni wszyscy tylko się domyślają. Oni tego oczekują. Mówią tak: Oczywiście, że to złodziej. Oczywiście, to on podpalił posterunek policji. Oczywiście, to on powiesił tę biedną dziewczynę. Tę biedną dziewczynę.

Jasper ma wilgotne usta. Jego słowa brzmią coraz mniej wyraźnie.

– Twój tata nie kupuje nawet jedzenia? – pytam i natychmiast żałuję swojego niedowiarstwa.

– Żartujesz, prawda?

– No, nie wiem. To na co wydaje wszystkie pieniądze?

– Zazwyczaj na alkohol, dziwki i konie. Ale od czasu, kiedy go zwolnili, na to też już mniej. Od miesiący nie ma pracy. Powinien, nieużywany chuj, wstąpić do armii. Jechać do pieprzonego Wietnamu albo gdzieś. Ja sobie poradzę.

– No to co mu kradniesz? – naciskam.

– Zwykle to, czego mi potrzeba. Fajki, alkohol, pieniądze, jeżeli je ma. To, co nosi w kieszeni. Cały numer polega na tym, żeby mu to zabrać, jak jest nieprzytomny. Wtedy nie jest pewny, czy tego nie wypił, nie wypalił albo nie wydał. Różnie to bywa. Czasem, kiedy podejrzewa, że to ja, nawet robi mu się głupio. Ale nieczęsto.

Jasper drapie się po piersi. Wyciąga do mnie butelkę. Wykrzywiam się.

– A ty czasem czujesz się winny? Że zabierasz jego własność?

– Ani razu, chłopie. Wiesz, ja uważam, że od niego mi się należy. To dupa, nie ojciec. Muszę sobie brać, Charlie, bo on mi nigdy nie da. No i jak dotąd niczego mi nie odebrano, więc część majątku jest także moja.

Kiwam głową. Jasper mówi dalej:

– Ale cały czas nie da się tak myśleć. Takie myślenie to trucizna. Nie ma po co siedzieć i się nad sobą użalać, bo inne dzieciaki dostają prezenty na Gwiazdkę, ich staruszkowie dają im jakieś gówna, a mamy są najlepszymi kucharkami czy coś takiego.

– Jasne, ale przecież masz prawo...

– Ach, pieprzyć to, Charlie. Mówiłem ci. Nie chcę tak myśleć. To gówno warte. Nie wiem. Nie chcę takiego kiepskiego życia jak tych wszystkich, którzy się ciągle boją, że im coś znowu nie wyjdzie, bo tak już jest. Myśmy zawsze myśleli, że wszystko się zmieni, jak tylko

wyrwiemy się z tej dziury. Myśleliśmy, że wszystko się odwróci. Pojedziemy do wielkiego miasta, zrobimy miliony. Na mur.

– My?

– Taa. My. – Jasper spuszcza głowę i dłubie kciukiem w szyjce butelki.

Znowu ogarnia mnie zmęczenie. Łatwiej sobie z tym radzę, kiedy on mówi.

– A jaki masz plan? No, jak już się stąd wydostaniesz?

– Jeszcze o tym nie myślałem, ale coś wykombinuję. Mam duży wybór. Może piłka? Kto wie. Może ostrygi na północy? W tym są dobre pieniądze. Albo mógłbym pracować w kopalni, wydobyć trochę złota. Nauczyć się handlu. Chodzić w garniturze. A ty? Pewnie uniwersytet, co?

Trochę się wiercę. Dziwne. Wydaje mi się to wyrazem braku szacunku, tak rozmawiać tutaj o przyszłości, kiedy Laura Wishart została właśnie ograbiona ze swojej. Wydaje się, jakby to było nieważne. Ale może właśnie o to chodzi. Może to jest teraz potrzebne Jasperowi. Może gadanie jest tym samym co ta upiorna butelka. Ma uspokoić umysł. Zahamować przyływ paniki.

– Nie wiem – odpowiadam. – Zawsze lubiłem czytanie i te rzeczy. Książki, poezję. Może będę pisarzem. Zawsze myślałem, że to by było coś. Pisanie książek. Wymyślanie historii.

Staram się to pokryć obojętnym wzruszeniem ramion. Jakby to była taka sobie myśl, jakby to nie była jedyna rzecz, o której myślę, odkąd nauczyłem się pisać.

Ku mojemu zdumieniu Jasper kiwa głową z aprobatą.

– Taaa, Charlie, myślę, że to coś dla ciebie.

– Naprawdę?

– Jasne. Na pewno będziesz w tym dobry. Przeniesiesz się do jakiegoś wielkiego miasta z maszyną do pisania. Spotkasz ludzi, spiszesz ich historie. Może pewnego dnia napiszesz moją historię. I zrobimy z tego film, zobaczysz. Wyobrażasz to sobie?

Uruchamiam wyobraźnię. Jasper powiedział to tak, że wyjazd z Corrigan w celu zostania pisarzem wydał mi się zupełnie realny. Fajna perspektywa. Życ z pisania powieści. Z pisania prawdziwej, dobrej literatury. Czasem, kiedy mnie coś najdzie, lubię sobie wyobrażać siebie jako znanego autora, który stoi w oświetlonej kandelabrami sali balowej i żartuje sobie z poetami czy powieściopisarzami. Z Harper Lee czy Trumanem Capote'em.

Jasper przerywa moją zadumę. Poderwał się na nogi, zatacza się, pochyla, jakby dostał cios w żołądek. Nie zdążyłem wpaść w panikę, a już zaczyna wymiotować ohydną cieczą. Wymiociny błyszczą. Jasper trzyma pustą butelkę. Coś śmierdzi kwaśno. Znowu zwraca. Pochyla się gwałtownie, jakby niewidzialny napastnik walnął go w brzuch. Jasper wymiotuje i kaszle, między torsjami dyszy ciężko. Pluje i cicho jęczy, zanim znowu zacznie wymiotować. Wreszcie staje prosto.

– A mówiłeś, że nie popłyniesz – odzywam się.

Jasper znowu splota, ociera usta i uśmiecha się.

– Zwykle mi się udaje. Dziś tak sobie.

Odwraca się i idzie w stronę wody. Klęcząc, napełnia butelkę. Wydaje się jakiś niepewny. Pada na plecy pod drzewem, wypija trochę. Narozlewał wody z butelki. Nie zwraca na to uwagi. Jest zubożniały i nieobecny. Może tego właśnie chciał.

Wydaje mi się, jakby nagle stało się jaśniej. Najpierw zastanawiam się, czy to możliwe, że przyzwyczailem się do ciemności. A zaraz potem podrywam się na nogi jak strażak i potrząsam Jasperem.

– Jasper, cholera! Jest prawie jasno! Musimy wracać. Natychmiast! Jeżeli moi rodzice się dowiedzą, że wychodziłem, to po mnie.

Jasper czka i wolno otwiera oczy. Chyba zrozumiał.

– Taaa, masz rację. Okej, Charlie. Chwilkę.

Mówi niewyraźnie. Teraz naprawdę boję się, że w drodze powrotnej się zgubimy. Ale nie tak bardzo jak tego, że rodzice odkryją moje puste łóżko. Tego nie potrafię sobie nawet wyobrazić.

– Teraz, musimy iść!

Jasper podnosi się niepewnie i ciężko stąpa. Opiera mi rękę na ramieniu. Patrzy na mnie szczerym, trochę nieobecny spojrzeniem. Jest smutny. Ma kwaśny oddech.

– Dżobra. Ydziemy.

Staje na chwilę. Ociąga się i lekko się kołysząc, patrzy w stronę upiornego eukaliptusa. Mimo własnego niepokoju i pośpiechu nie poganiam go. Jeszcze raz spogląda na drzewo i ruszamy.

Powrotna droga wydaje się znacznie krótsza niż w tamtą stronę. Może dlatego, że jestem świadomy, dokąd idziemy, a może dlatego, że prawie deptę Jasperowi po piętach.

Jego ramiona wydają się opadnięte. Nie maszeruje wyprostowany i energiczny, jak wcześniej. Potrząsa paczką papierosów. Pusta. Wkłada ręce do kieszeni. Idziemy cicho i szybko. Sroki się ożywiły i skrzeczą swoją poranną pieśń. Słońce już za chwilę oświetli drogę losu. Dziwne, ale im łatwiej orientuję się w przestrzeni, tym bardziej jestem przestraszony i niespokojny. Ale przynajmniej noc się kończy. Jest w tym jakaś ulga. Nie będę już musiał nikogo więcej pochować. Niedługo będę mógł zasnąć. Może. Choć na kilka godzin.

Wracamy na wąską ścieżkę. Kiedy nią podążamy, nagle czuję powinowactwo między nami. Jakbyśmy byli starymi kumplami. Czuję się lepiej. Wiem już, gdzie jesteśmy. Przede mną same

znajome rzeczy. Tędy przechodziliśmy w kierunku drogi. Czuje się, jakbym długo przebywał z dala od domu, ale teraz do niego wracał. Z upiorną tajemnicą, której muszę dochować. Ukryć.

Światło jest szare, ale z każdą chwilą jaśniejsze. Może dotrzemy, zanim świat się obudzi. Może nam się uda.

Teraz idę obok Jaspera Jonesa. Rozważam, czy nie powinniśmy się rozdzielić. Czy nie grozi nam, że zobaczą nas razem. No i, co istotne, wiem, że jeśli będę widziany z Jasperem Jonesem, wzbudzi to podejrzenia. Szybko nabieram powietrza, żeby to powiedzieć, ale się powstrzymuję. Nagle nie chcę tego mówić. I nie jest to kwestia odwagi. Nie wiem. Przeszliśmy razem przez coś dramatycznego i istotnego, więc odczuwam potrzebę lojalności. Czuje, że gdybyśmy się teraz rozdziłi, byłoby to zerwaniem przymierza. Wydaje mi się nagle, że to bardzo ważne, żebyśmy zostali razem. Ramię przy ramieniu.

I kiedy docieramy do przypominającego sepiową widokówkę centrum Corrigan, mijamy Dom Górnika i hotel Królewski, odnowioną pocztę, niewyraźnie widoczny, przycupnięty posterunek policji, nagle czuję, że tkwię w tej sprawie po uszy. W samym środku. Nieważne, jak to się ma skończyć. Oczywiście, że się boję. A jednak, idąc w półmroku, nagle doznaję przyływu niecierpliwego oczekiwania. Nie mogę się doczekać: Jasper Jones i ja, detektywi i partnerzy. Na dobre i złe. Niezależnie od wszystkiego, czuję radosne podniecenie na myśl o tym, że z pewnością znowu go zobaczę. I że on mnie potrzebuje. Nie czuję się już jak niedorozwinięty asystent. Chociaż całe miasto uważa, że Jasper Jones to nic dobrego, mnie kręci fakt, że on traktuje mnie jak równego sobie.

Kiedy w końcu skręcamy w moją ulicę, szybko przechodzimy wzdłuż szerokich podjazdów i podkradamy się z boku do mojego domu, czuję niewyraźną ulgę. Wygląda na to, że rodzice jeszcze śpią. Nikt mnie nie przyłapał. Jak dotąd. Nie wiem, jak długo uda mi się zachować wrażenie, że w pewnym sensie miałem szczęście.

Wydarzenia dzisiejszej nocy ciągle się przecież we mnie czają, lodowate i trudne do zniesienia. Zakotwiczyły się w mojej świadomości jak ta biedna, przywiązana przez nas do kamienia dziewczyna w wodzie. Kiedy będę wykończony i oszołomiony, to zacznę boleć. Zacznę we mnie fermentować i eksploduje. Wiem to.

Już prawie świta. Zaczyna się rozjaśniać. Ale czuję, jakby ciągle panowała noc. Odwracam się do Jaspera. Wydaje się wyczerpany. Teraz uświadamiam sobie, że dla niego nie ma żadnej ulgi w tym wszystkim. Nie ma ukojenia. On nie może donikąd pójść i się położyć, żeby ktoś się nim zaopiekował. Już nigdy. Jeśli takie miejsce kiedykolwiek miał, była to polana, z której właśnie wracamy. Miejsce wokół eukaliptusa, które jest teraz źródłem niebezpieczeństwa i które złamało mu serce. Ma rację: do tej nocy jeszcze niczego szczególnego w życiu mu nie odebrano.

Jasper Jones jest wykończony i pijany, ale otrząsa się, prostuje plecy. Zastanawiam się, dokąd teraz pójdzie. Czy oddali się gdzieś, usiadzie w ciszy i będzie spokojnie czekał na burzę, czy uda się do domu, jeśli można tu użyć tego słowa.

Czuję się paskudnie z tym, co mam. Co zawsze posiadałem. Strasznie mi głupio, że tyle razy na różne rzeczy narzekałem. Czuję, że jestem zepsutym gówniarzem, który teraz wypełźnie sobie do bezpiecznego gniazdka, podczas gdy Jasper Jones dalej poniesie brzemie kompletnie sam. To nie w porządku. To zupełnie nie jest w porządku. Chcę zaprosić Jaspera Jonesa do środka, chcę mu oddać swoje łóżko i nienawidzę siebie, bo nie mogę tego zrobić i nie zrobię. Rzygać mi się chce, jak pomyślę, że kiedy się obudzę, będzie na mnie czekało śniadanko. Że moja mama żyje, a mój tato jest kulturalnym abstynentem. Tak nie powinno być. Ja mam tyle rzeczy, których on nie ma. Mógłbym się znowu poryczeć, ale nawet na to jestem za bardzo zmęczony. Jestem wypruty i wypluty.

Ocieram czoło. Miałem rację: ulga była chwilowa.

Jasper Jones uśmiecha się do mnie krótkim, słabym grymasem i klepie mnie w ramię. Znowu wkłada ręce do kieszeni. Nic nie mówimy. Patrzymy tylko, kiwamy głowami i ruszamy. Nie trzeba słów.

Wyłażę ze swoich pedalskich sandałów, cicho podchodzę do okna. Zawieszam się i podciągam, po czym zwisam, jak przewieszony przez siodło. Utknąłem. Odwracam głowę i szepczę:

– Podsadzisz?

Jasper Jones podchodzi i bez wysiłku mnie winduje. Przelazłem. Jestem z powrotem w łóżku.

– Dziękuję – szepczę przez okno.

– Taaa. Ja też – odpowiada Jasper. – Do zobaczenia, Charlie. – Ociąga się, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale w końcu tylko krótko wzdycha.

I już go nie ma.

Ustawiam okiennicę tak, jak była. Mam wrażenie, jakbym się włamał do własnego pokoju. Chociaż mój pokój nie jest już taki, jakim go zostawiłem. Czuję się tu bezpiecznie, ale nie jak w domu. Choć światło ciągle jest błękitne, już się czuje nadciągający upał. Widzę, jaki jestem brudny, spocony i podrapany, i uświadamiam sobie, jak szybko wali mi serce. Laura Wishart odeszła. Naprawdę odeszła. Została zamordowana na tej dziwnej polanie, którą zna tylko Jasper Jones. Widziałem ją, wiszącą na sznurze. Nieżywą. Pomogłem ją zanieść do jeziora i wrzuciłem ją do wody, żeby utonęła. Przywiązana do kamienia. Tego się nie da odwrócić. To prawda. Wiemy o tym. Chce mi się pić. Jestem w tarapatkach. Niedobrze mi i nie mogę opanować drżenia. Z jakiegoś powodu wiem, że dopóki jestem po stronie Jaspiera Jonesa, wszystko jest dobrze. On mnie broni i robię to, co należy. Kładę się. Na teraz koniec.

2

Budzę się zlany potem. Musi być późno. Słońce świeci mi prosto w oczy. Mrugam. Mam wrażenie, jakbym uciekł spod skalpela. Jakby moje wnętrzności ktoś wyciągnął i w nich grzebał. Ciekawe, która godzina.

Miniona noc wraca do mnie w dziwnych odpryskach i odłamkach. Już po chwili w nich tonę. Obrzydliwy moment, lekka, biała koszulka nocna. I pamiętam wszystko.

Siadam, przestraszony. Spodziewam się policjantów z gwizdkami, wydających gwałtowne rozkazy. Wycia syren. Bicia dzwonów. Helikopterów. Psów. Żółtej taśmy i zaaferowanych ludzi. Spodziewam się, że na niebie będzie czerwona luna i złowrogie chmury. Wyglądam przez okno. Na naszym podwórku panuje całkowity spokój, jeśli nie liczyć chóru cykad dźwięczących jak kastaniety. Mimo wszystko wydaje mi się, że ktoś mnie obserwuje. Wychylam się przez okno najdalej jak mogę i upewniam, że nie jestem śledzony.

Wstaję i patrzę na łóżko. W miejscu, gdzie leżałem, widnieje ciemny zaciek. Dotykam go. Mokry. To pot. Dookoła wilgotnej plamy widać nalot brudu. Przypomina nakreślony kredą obrys sylwetki zamordowanego. Jakbym umarł tej nocy. Albo zrzucił skórę jak wąż.

Muszę się wysikać. I to zaraz. Siusiak dziwacznie sterczy mi w majtkach, jakby o sobie przypominał. Jest twardy i nieposłuszny. Zbieram się do kupy, chwytam ręcznik i szybko przemykam się do łazienki z nadzieją, że nikogo nie napotkam. Na szczęście droga wolna. Zatrząskuję drzwi i rzucam ręcznik. Co za niewiarygodna ilość moczu. Z ulgi lekko się uśmiecham.

Siedzę na krawędzi naszej cytrynowej wanny. Nagi rozpoczynam ceremonię: puszczam wodę, a pierwsze krople parzą mi palce. Woda chlapie i piecze mi stopy. Cofam je. Cholera. Czy ktoś rozpalił ogień pod naszym zbiornikiem na wodę? Chcę krzyknąć do rodziców. W końcu strumień staje się mniej gorący. Niczego lepszego nie mogę się spodziewać. Ochlapuję twarz, przesuwam ręką po szyi. Dokładnie się myję pumeksem. Fajnie jest porządnie wydrapać całą skórę. Nieważne, że trochę boli. Siadam ze spuszczoną głową, z której skapuje woda. Wstydzę się, że mam tak mało mięśni. Od góry do dołu skóra i kości. Kościste ciało dzieciaka. Żadnych zaokrągłeń, łuków, żadnych blizn. Niepodobne do ciała Jaspera Jonesa. Ociągam się z wyjściem. Tu jest chłodniej. I, prawdę mówiąc, trochę jakby powstrzymuję płacz. Ciągłe czuję się zmęczony. Jestem zły i smutno mi. Czuję się trochę tak jak wtedy, gdy bierze mnie przeziębienie. Smutno i dziwnie. Brzuch mnie pobolewa. Mam wrażenie, jakby mną ktoś zdrowo potrząsał, ubił i rozciągnął. Chcę objąć głowę rękami, ale się powstrzymuję. Nie zrobię tego. Jeżeli to zrobię, to się poryczę.

W głowie mi się kręci.

A jeżeli to był Jasper Jones? Jeżeli on to zrobił? Jeżeli to on zabił Laure Wishart? Jeśli on był sprawcą, a ja nic nie powiem, to czy pójdę do więzienia? Czy on naprawdę mógł powiesić tę biedną dziewczynę na tej cichej polanie? To się wydawało całkowicie nieprawdopodobne, kiedy był obok mnie, ale właściwie na ile ja go znam? Na dobrą sprawę cały czas mógł mi wciskać kit. To mógł być on. Grzebię sobie palcem w uchu.

Ale w takim razie po co po mnie przyszedł? To nie ma sensu. Nie jest możliwe, żeby ktoś najpierw dopuścił się morderstwa, a potem poszedł po świadka. Tak nie mogło być. To idiotyczne. Więc tego nie zrobił. Na mur.

A poza tym ufam mu. Naprawdę. I nie tylko dlatego, że muszę. Myślę, że prawdopodobnie jest najuczciwszą osobą w tym mieście.

Nie ma powodu kłamać. Nie ma dobrej reputacji, której musiałby bronić. Tej nocy ani razu nie podejrzewałem, że mnie wkręca. Ani razu. Jasper Jones mówi w taki sposób, jakby był niezdolny do krętactwa. Mówi z takim przekonaniem, że wiesz, że on w to wierzy. Takie masz wrażenie i już.

W ogóle jest tak, że większość ludzi, jakich spotykamy, mówi przez dziesiątki warstw kolorowych woali. Czasami od razu, jeszcze zanim otworzą usta, wiadomo, że kłamią. Mam wrażenie, że im ludzie starsi, tym bardziej są w tym bezwstydni. Desperacko kłamią nawet w sprawach bez większego znaczenia. Na przykład mój tato zaczesuje sobie włosy, ukrywając łysinę, a mama farbuje się na rudo. No i tato się upiera, że wpajanie dzieciakom z Corrigan miłości do literatury jest wyzwaniem, które on uwielbia. A mama zapewnia swoją siostrę, która mieszka w dużym mieście, że tu jest jej dobrze i że nie, wcale nie jest za gorąco, i że społeczność tutejsza jest po prostu urocza. Nie wiem. Może się jakoś do tego przyzwyczaili i nawet już nie zauważają. Może z tym jest tak jak z podkradaniem się. Im więcej ćwiczysz, tym łatwiej ci to przychodzi. Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że oni myślą, że ktoś im wierzy.

Tak. Sądzę, że w tym mieście kłamców Jasper Jones jest jedyną osobą, która mówi prawdę. Wierzę w to. Źródłem moich podejrzliwych myśli była właśnie aura kłamstw, które ludzie wokół niego rozsnuli. Gdyby to na przykład Jeffrey Lu obudził mnie zeszłej nocy i w ciszy zaprowadził do tego okropnego miejsca, ani przez moment nie wątpiłbym w jego wersję wydarzeń. Nawet bym go nie wypytywał. Więc dlaczego miałyby być inaczej, gdy chodzi o Jaspiera Jonesa?

Winduję się z wanny, ciężki i nadal zmęczony. Nie czuję się dużo czystszy niż wtedy, kiedy do niej wchodziłem.

*

Kiedy niepewnie wchodzę do kuchni, rodzice milkną i patrzą na mnie podejrzliwie spod uniesionych brwi. W ten sposób pokazują bez użycia słów, że oczekują wyjaśnień. Przez krótką, upiorną chwilę myślę, że jednak coś wiedzą. Może mama już obejrzała gerbery na rabacie, zauważyła odciski palców na zakurzonej szybie w oknie mojego pokoju i natychmiast, z właściwą sobie łatwością do oskarżania, nawet przy braku dowodów, odgadła, że przez całą noc byłem gdzieś z Jasperem Jonesem, że widziałem coś strasznego i że mam kłopoty.

Ale tato uśmiecha się ironicznie i wyciąga rękę, żeby klepnąć mnie w plecy.

– Nasz Rip Van Winkle! Ciało powstało! Jak miło, że do nas zawitałeś.

Siadam i uśmiecham się słabo.

Mama robi kubek gorącej kawy Pablo z dużym ładunkiem słodzonego, kondensowanego mleka. Pochyliła się, z dłońmi opartymi na kolanach.

– Mam nadzieję, że jest pan zadowolony z pobytu w naszym hotelu, panie Bucktin. Pozwolę sobie tylko zwrócić pańską uwagę na fakt, że nasza poranna zmiana kończy się punktualnie o dziesiątej. Czy na lunch życzy pan sobie jajka?

Tato parska. Mama jest najbardziej sarkastyczną osobą w kosmosie. Tato nazywa ją Rodzinnym Kpiarzem. Myślę, że to okazja, żeby się zmyć bez zwracania na siebie zbytnej uwagi. Mama jest najbardziej zgryźliwa, jeśli się ją wkurzy, czyli właściwie ciągle.

– Nie, dziękuję – odpowiadam. – Która godzina?

– Prawie południe. Zmarnowałeś zaledwie połowę dnia. To naprawdę miłe.

Jest do mnie odwrócona plecami. Ma na sobie cienką sukienkę w kwiatki, która oblepia ją w tym upale. Dobrze dzisiaj wygląda.

Muszę to przyznać. Zazwyczaj wygląda tak wtedy, gdy wraca z miasta, gdzie ostatnio bywa częściej. Chcę ją przytulić. Chcę, żeby mnie przygarnęła, ale to by było zbyt dziwne i nietypowe. Jednak jej włosy wyglądają dzisiaj ładnie.

– Ładną masz fryzurę – mówię.

Obróciła się gwałtownie. Spogląda, jakbym właśnie rozlał kawę po stole i nazwał ją kurtyzana.

– Co powiedziałeś?

– Powiedziałem, że masz ładną fryzurę.

– Och – wzdycha i marszczy czoło, doszukując się jakiegoś podtekstu. Mruży oczy. – Chcesz czegoś?

– Co? Nie, niczego nie chcę. Mówię tylko, że masz ładną fryzurę.

– Ale czemu to mówisz?

– Nie wiem. Bo twoje włosy ładnie wyglądają.

Wzburzony odwracam się do taty. Kiwa głową i śmieje się cicho, odwrócony do mamy plecami.

Po krótkiej chwili mama mówi:

– Dziękuję ci. – Takim tonem mogłaby z równym powodzeniem powiedzieć: „Nie rób tego”.

Wzruszam ramionami.

Tato się śmieje i składa gazetę.

– A więc, chłopcze, nie mogłeś zasnąć czy nie mogłeś się wyspać?

Poprawiam okulary i pociagam nosem. Nie jest łatwo grać tę rolę. *Charlie Bucktin na śniadaniu. Scena pierwsza.* Nie czuję się tym samym człowiekiem. Niewygodnie mi we własnej skórze.

– Taa. Nie spałem w nocy. Za gorąco. Chyba po prostu długo czytałem.

– Rozumiem, a co cię tak pochłonęło?

– *Wartogłowy Wilson*. To naprawdę dobre.

– Och – tato się pochyła – od lat tego nie czytałem. I jak ci się podoba ta książka.

– Tak jak powiedziałem. Naprawdę dobra.

Zaciskam usta i unoszę brwi. Nie chcę dalej grać tej sceny. Od kawy robi mi się gorąco. Pocę się. Utknąłem w plastikowym fotelu.

Ciągle nie mogę się wyzbyć nieprzyjemnego wrażenia, że za chwilę mnie złapią. Tak jakby mrówki chodziły mi po grzbiecie. W każdej chwili mogą się tu zjawić zastępy w błękitnych mundurach, włamią się do naszego domu i przewrócą go do góry nogami. A mnie wyprowadzą na zewnątrz. Sąsiedzi będą stali wzdłuż ulicy, będą spluwać i wznosić okrzyki, a mnie będą brutalnie ciągnąć do pojazdu z błyskającym kogutem.

Kiwam głową w kierunku gazety, którą trzyma tato.

– Jakieś newsy? Co dobrego?

– Żadnych rewelacji, mój chłopcze.

– Okej. – Łykam kawę i patrzę w przestrzeń.

– Dobrze się czujesz, Charlie? – mówi tato nieco głośniej. Wyciąga rękę i kładzie na moim czole. Przesuwa kciukiem po wicherku. Chcę mu wszystko powiedzieć. Chcę, żeby mnie objął i uratował.

– Taaa. Dobrze. Jestem tylko zmęczony.

– No, młody człowieku, skoro nie jesz, może poszedłbyś do Jeffrey'a? – odzywa się mama. – Od rana wpadał tu jak wariat chyba z pięć razy. Mówiłam mu, żeby wszedł i cię obudził, ale za każdym

razem truchtał z powrotem do domu, zapowiadając, że spróbuje później. Ten chłopiec jest zbyt grzeczny.

Kurde. Mecz testowy. Kompletnie zapomniałem. Nie dziwię się, że nie chciał wejść. Nie był zbyt grzeczny, tylko nie chciał stracić relacji. Teraz Jeffrey kuca przy radiu, wsłuchany z przejęciem, jakby relacja ujawniała tajemnice państwowe. Nigdy tego nie rozumiałem. Przecież zawsze jest tak samo. Rozgrywki krykietowe to najbardziej powtarzalne i przewidywalne wydarzenie w historii. Ale Jeffrey będzie z równym napięciem słuchał po raz osiemnasty słów sprawozdawcy – „Którego odbijającego wyznaczy kapitan jako pierwszego w kolejności?” – z jakim wsłuchiwał się w nie za pierwszym razem.

Nie chcę już kawy, ale nie warto narażać się mamie, wylewając resztki. Przelykam szybko, krzywiąc się od gorczy, której na spodzie kubka jest więcej. Kawa pali mi wnętrzności, ale mam ją z głowy. Spłukuję fusy do zlewu i opuszczam scenę, mruknawszy zwyczajowe:

– To cześć.

Jeffrey mieszka po drugiej stronie ulicy, cztery numery wyżej. Gdyby to było dalej, chyba bym nie doszedł. Dzisiaj jest najgorętszy dzień w historii. Albo Słońce zaczęło przyciągać Ziemię, albo samo się do niej zbliża jak potężny meteoryt. Nasz trawnik chrzęści pod stopami. Nad ulicą obserwuję dziwne falowanie rozgrzanego powietrza. Docieram do drzwi domu Jeffreya z uczuciem, jakbym przebiegł maraton, i schowany w cieniu werandy szybko pukam. Mówię „Hej” do Prezesa Miau, burego kota Jeffreya, który ignoruje mnie, skulony pod białą klatką zaprzyjaźnionej papużki, Prezesa Kri.

Otwiera pani Lu.

– Witaj, Chully – mówi i natychmiast jej szeroki uśmiech znika. Pani Lu kręci głową ze smutkiem, jakby nagle się załamała. – Nie jest dobrze. Mecz testowy, a tam pada. Chodź, chodź.

Jeffrey wypada z salonu. Jest cały ubrany na biało.

– Gdzieś ty był, idioto?

– Nie wiem. Spałem. Pada?

Pani Lu nagle wybucha śmiechem.

– Nie, Chully. Jest bardzo gorąco. – Ściska mnie za ramię, kłania się i odchodzi, chichocząc.

– Co to miało być? – pyta Jeffrey, patrząc za odchodzącą mamą.

Idę za Jeffreyem do salonu. Ma tam nastawione radio. Siadam na kanapie, a Jeffrey na stolku od pianina, który ustawił przy odbiorniku. Tutaj jest znacznie chłodniej. Jeffrey opowiada mi przebieg meczu z niepotrzebną drobiazgowością. Najwyraźniej jest rozczarowany. Dzisiaj debiutuje Doug Walters, w dodatku w meczu testowym Wielka Brytania-Australia, a wygląda na to, że na pozostałą część popołudnia wszystko zostanie przerwane z powodu deszczu. Wizja deszczu wydaje mi się obecnie nadzwyczaj atrakcyjna. Wyobrażam sobie potężną, ostro zacinającą ulewę.

Cichutko wchodzi pani Lu, niosąc talerz słodczy i owoców i dwie wysokie szklanki soku z liczi. Dziękuję, a Jeffrey zanurza rękę w słodczych. Pani Lu odwraca się i krzyczy coś do niego po wietnamsku. Jeffrey z pełnymi ustami odpowiada:

– Nie jestem niegrzeczny! To tylko Chuck! On na to nie zwraca uwagi!

Monolog pani Lu trwa jednak nadal, chociaż ona sama się oddala. Jeffrey uśmiecha się szeroko. Bierze tacę i zgina się w ukłonie.

– Zechciej, o Potężny, spróbować smakołyków, które, ja, niegodny, przygotowałem dla ciebie.

– Tak lepiej – odpowiadam i biorę coś okrągłego i jaskrawopomarańczowego. Jest pyszne.

– Niesamowite! Co to jest?

Jeffrey mruży oczy.

– *Bang chow pow.*

– Kłamiesz.

– I tu się mylisz. To się tak nazywa. Jesteś ignorantem.

– A ty idiota.

– A ty komunistą.

Jeffrey rozlał trochę soku, gestykulując. Wyciera go ściereczką.

– No to pomyślmy: wolałbyś umrzeć z gorąca czy z zimna? – pyta.

Odchylam się i kładę nogi wyżej.

– Masz na myśli nagłą śmierć w płomieniach albo pod lodem czy długotrwałą mękę?

Jeffrey pociera szczękę.

– Długotrwałą mękę.

– No nie wiem. Ani jedno, ani drugie.

– Coś musisz wybrać.

– Dlaczego?

– Chuck! Jesteś opóźniony? Hipotetycznie.

– Ale kiedy miałyby się zdarzyć sytuacja, w której musiałbym dokonać takiego wyboru?

- Założmy, że musisz wybrać.
- Ale dlaczego muszę?
- Bo przykładają ci hipotetyczny rewolwer do skroni.
- Kto?

Jeffrey się uśmiecha. Kręci się niespokojnie na stołku do pianina.

- Nie wiem. Rosjanie.
- A czemu Rosjanie mieliby chcieć mojej śmierci?
- Bo są okrutni i hipotetyczni! A ty jesteś szpiegiem. Sprzedałeś ich tajemnice.
- Komu?
- Niemcom.
- Aha. No to wybieram, żeby mnie hipotetycznie zabili strzałem w głowę. I tak umrę, więc po co mam hipotetycznie cierpieć?
- Okej. Po pierwsze, jesteś idiotą. A po drugie, za poważnie to wszystko potraktowałeś. – Jeffrey sięga po ciastko. – No i mają też twoich rodziców.

- Ależ, Jeffrey, to przecież bonus!

Obaj się śmieją. Biorę jeszcze jedną pomarańczową kulkę. A potem Jeffrey się uśmiecha z miną wskazującą na podstęp.

- Okej, okej. Powiedzmy, że mają też, no, na przykład Elizę Wishart. I co, Chuck, co wtedy robisz? Możesz ją uratować, jeśli wybierzesz jedną z tamtych dwóch opcji.

Wspomnienie jej imienia mnie elektryzuje. Uświadamiam sobie, jak bardzo głęboko chowałem myśl o Laurze, odkąd się tutaj znalazłem. Odkładam pomarańczowy przysmak. Czuję, jakbym miał wymiotować.

Mówię Jeffreyowi, żeby spierdalał. Oczywiście słowa te wiszą jeszcze w powietrzu, kiedy pani Lu wchodzi z kolejnym poczęstunkiem. Zamieram z wytrzeszczonymi oczami, bo spodziewam się, że zmyje mi głowę, ale ona udaje, że nie słyszy. Jeffrey bezgłośnie dusi się ze śmiechu.

– Proszę, Chully – mówi miękko pani Lu i ponownie napełnia szklanki. Wychodzi tak cichutko, jak weszła. Patrę za nią z wrażeniem, że uszedłem pewnej śmierci.

– W porządku, ona nie zna brzydkich wyrazów – wyjaśnia Jeffrey, kiedy już się opanował. – Szkoda, że nie widziałeś swojej miny!

– Naprawdę?

– Taaa. Posłuchaj tego. – I Jeffrey woła w stronę kuchni: – Mamo, Chuckowi kurewsko smakują pomarańczowe kulki. Naprawdę kurewsko!

Przez chwilę obaj czekamy na odpowiedź.

– To dobrze! Dziękuję, Chully! – woła przez korytarz pani Lu.

Musimy gryźć pięści, żeby nie wyc z śmiechu.

Prostuję się i opieram. Ale w tym momencie znowu mi się przypomina i pochylam się z powrotem. W brzuchu mi się przewraca. Tak bym chciał wszystko opowiedzieć Jeffreyowi. Naprawdę. Zastanawia mnie, co takiego jest w skrywaniu tajemnicy, że to aż tak boli. Przecież to, że mu powiem, niczego nie zmieni, niczego nie cofnie. Przecież to tylko informacja. Nie wyciągnie tej biednej dziewczyny z dna jeziora, nie tchnie w nią na powrót życia. No więc czemu tak bardzo chcę to wszystko z siebie wyrzucić? Czy chodzi tylko o sam fakt, że mu powiem? Że odkręcę zawór i wydobę z siebie to całe okropieństwo? Może jeśli to z siebie wypłuję, trochę lżej będzie to dalej dźwigać? Czyli, podążając dalej tym tropem, jeżeli powiem każdemu mieszkańcowi Corrigan, albo

Australii czy świata, to każdy weźmie swoją część i to stanie się możliwe do udźwignięcia?

Ale tak czy owak, nie wolno mi. To jest we mnie ukryte. Nie dlatego, że nie ufam Jeffreyowi, ale dlatego, że Jasper Jones mi ufa. Moje poczucie lojalności stało się dziwnie pokręcone. Wiem, że nie wolno mi powiedzieć ani słowa.

– Okej, mam! – Jeffrey rozkłada ramiona i pokazuje otwarte dłonie jak sztukmistrz. Robi tak zawsze, kiedy chce opowiedzieć kawał. – Dlaczego piraci nazywają się „piraci”?

Patrzę na niego nieprzytomnie.

– Bo piracą!

Jeffrey kona ze śmiechu. Prawie się dusi. Musi przestać, bo zaczyna kaszleć.

– Jeffrey, to najgorszy kawał, jaki w życiu słyszałem. Naprawdę. Najgłupszy.

– No, nie, Chuck! Ależ ty jesteś niemiły!

Śmieję się. Nie mogę się nie śmiać.

– Naprawdę. Daj spokój, jest beznadziejny.

– Zapamiętaj go sobie. Możesz go opowiedzieć Elizie Wishart!

– Jeffrey, bo wezmę niehipotetyczny pistolet i przyłożę ci do głowy. I jak będzie trzeba, to cię zastrzelę.

– Nie mógłbyś tego zrobić. Nie strzeliłbyś w tę urodziwą twarz.

Zostajemy w salonie aż do końca transmisji. Mimo że jest oczywiste, iż gra nie zostanie dzisiaj wznowiona, Jeffrey nie chce przepuścić ewentualnych świeżych wieści z boiska.

Hałaśliwie pokonuje mnie w Ludo, ale potem ja rozwalam go w scrabble. Jeffrey wzrusza ramionami i mówi:

– Jest moj engielski niedobry.

Zaczynamy się nudzić i wiercić. Jeffrey proponuje, żebyśmy poszli na boisko. Ja bym wolał zostać i posiedzieć na tyłku w salonie, ale wiem, że nie mam na to szans. Jeffrey popędza mnie do drzwi, jakbyśmy uciekali przed pożarem. Woła przez ramię:

– Mamo, idziemy do miasta pograć w pieprzonego krykieta!

Milkniemy na chwilę.

– Jeffrey! Poczekaj, dobrze? Poczekaj! – woła ostro jego mama.

Dostrzegam chwilową panikę na twarzy Jeffreya. Jego mama schodzi po schodach. Ukazuje się, trzymając dwie butelki z zimną wodą, uśmiecha się i zamyka drzwi.

– Szkoda, że nie widziałeś swojej miny! – mówię.

Kiedy wybiegamy na ulicę, Jeffrey się śmieje.

W drodze do miasta Jeffrey podrzuca w rękach lśniącą, czerwoną piłkę. Uderza ją palcami i nadgarstkiem, a ona z sykiem wcina się w powietrze. Zarys szwów zaciera się w szybkim wirowaniu.

Nie mogę powiedzieć, że jakoś szczególnie nie lubię krykieta, ale to, jakim uwielbieniem darzy go Jeffrey, z pewnością wskazuje na patologię. Nie wiem. Może dlatego tak to widzę, że jestem w tym kiepski. No, bez wątpienia, jestem słaby. Pewne utrudnienie stanowi już to, że od urodzenia nie wykazuję odwagi, ale głównie chodzi o to, że moje kończyny nigdy nie robią dokładnie tego, co im każą. Mam wrażenie, że włada nimi jakiś złośliwy lalkarz.

Jeffrey Lu jest niedościgniony. Jego umiejętności robią tak piorunujące wrażenie, że nawet mu nie zazdrozczę. To, co wyczyniają jego ręce z czerwoną piłką, jest niezwykle. Naprawdę. Kijem też

operuje niesamowicie. Jest taki skoordynowany i silny. Nie bacząc na to, że ma rozmiary ogrodowego krasnala, Jeffrey potrafi być groźny. Kiedy ma na sobie ochraniacze, a w ręce kij, nie jest już taki łagodny. Staje się jak zwierzę, agresywny i skupiony. Albo może jak bohater z mieczem w dłoni. Jego czujne oko zawsze wyśledzi piłkę.

Jasne, że ja nie jestem dla niego partnerem w grze, ale wiem, że gdy tylko będzie miał okazję naprawdę pograć, ujawni się cała jego sprawność.

Idziemy powoli, chowając się w cieniu. Choć to już późne popołudnie, nadal panuje ta głupia duchota. Ciężki, suchy upał napiera ze wszystkich stron. Jeffrey w zestawieniu ze swoją torbą karłowacieje.

– Wiesz, co myślę? – pyta, łapiąc piłkę i strzelając palcami. – Ze Spidermanem jest taki kłopot, że poza Nowym Jorkiem staje się kompletnie bezużyteczny.

– A to czemu?

– Na przykład, gdybyśmy mieli zapobiegać zbrodni tutaj, w Corrigan, na nic by się nam nie przydał. Nie miałby się o co zaczepić w locie. Jemu jest potrzebne...

– ...wielkomięskie środowisko?

– Tak, proszę pana. Na przykład kogo uratowałby Spiderman na pustyni Gobi? Albo na Antarktydzie? To bohater jednego miejsca.

– No tak, ale jednak ma niezwykłą moc.

– Chuck, ja to pojmuję. Jednak z drugiej strony, ta moc jest uzależniona od otoczenia. Spiderman jest przykuty do swojego miejsca. Wystarczy, że masz wielbłąda albo psy husky i go prześcigniesz. On tyle znaczy, co psie jaja. Nagle staje się tylko dziwnie wyglądającym gościem, który potrafi wystrzeliwać smarki z nadgarstków.

Zastanawiam się.

– Słusznie – mówię.

– Oczywiście, że słusznie. I dlatego to Superman jest największym superbohaterem – stwierdza Jeffrey i podrzuca piłkę wysoko w powietrze. Działa w każdym terenie. W jednej sekundzie może ogarnąć cały świat. Jest najwspanialszy. Proste.

– Nie zgadzam się.

Jeffrey upuszcza piłkę.

– Co? Czy ja dobrze usłyszałem? Jak możesz się z tym nie zgodzić? Jesteś idiotą.

– Pomyśl trochę, mały fanatyku. Superman jest nudny. Superman jest wyposażony we wszystko. Nie ma w nim nic interesującego. Nie ma żadnej historii. Jest za dobry. Dla niego dopaść kryminalistów czy uratować dziecko z pożaru to żaden wysiłek. W końcu musieli wynaleźć bezsensownie zielony minerał, żeby go obdarzyć jakąś słabością. Nie, to jest nudziarstwo. I dobrze o tym wiesz.

Jeffrey mruży oczy w słońcu i jęczy z otwartymi ustami.

– Chuck, z ciebie jest pieprzony komunista. Po pierwsze Superman ma inne słabości.

– Niby jakie? Bzdura. Wymień chociaż jedną.

– Okej, młocie kochany. Jasne, że ma. Na przykład jego rodzina. Lois Lane. Mogą zostać wykorzystani przeciwko niemu.

– Lois nie ma co uwzględniać – przerywam mu.

– Bo co? Pedalem jesteś?

– Nie jestem pedalem, idioto.

– A po drugie, to, że Superman ciebie nie interesuje, nie oznacza, że nie jest największy. Nie jesteś królem opinii publicznej. Tylko ograniczonym głupkiem.

– Nie, to ty nie masz wyczucia. I bladego pojęcia o tym, o czym mówisz.

Jeffrey się śmieje.

– No dobra, to kto jest większy?

– Batman. To oczywiste. Największy z nich wszystkich.

– Batman? – Jeffrey zatrzymuje się i rozgląda, jakby szukał potwierdzenia na twarzach zgromadzonych sędziów. – Ależ z ciebie peda!

– Mówię ci, Jeffrey, że największy.

– Chuck, ty idioto! To najgłupsza rzecz, jaką słyszałem! Przecież Batman w ogóle nie jest superbohaterem!

Teraz z kolei ja się zatrzymuję.

– Zamknij się! – Wytrącam mu piłkę z rąk. Podskakuje i toczy się ulicą.

– Ale to prawda! On nie jest superbohaterem!

– Jeffrey, ty idioto!

– Sam jesteś idiota! Batman nie ma żadnych supermocy. Nie jest super, więc nie może też być superbohaterem.

– Jeffrey, co ty gadasz? Przecież to Batman!

– To znaczy kto?! Batman jest właściwie tylko ekscentrycznym miliarderem, który cierpi na bezsenność. To najwyżej strażnik porządku publicznego, a nie superbohater. Nawet nie ma supermocy! Ma tylko niezły wóz i fajny pasek.

– Jeffrey, ty kretynie. Przede wszystkim kompletnie się nie zgadzam, żeby do bycia superbohaterem były potrzebne supermoce. Ale i tak uważam, że on jest super, jeżeli rozumiemy słowo super jako większy od zwyczajnych. W każdym wypadku Batman jest superczłowiekiem.

– Więc na przykład Doug Walters jest superbohaterem z powodu swoich ponadprzeciętnych umiejętności?

– Nie. Doug Walters jest maniakiem. Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Batman to najwyższe stadium człowieka. Nie ma wad czy słabości, chociaż mógłby je mieć. Doprowadził do perfekcji umiejętności ninja. Jest jednym z największych naukowców i detektywów na świecie. Ciało utrzymuje w najwyższej kondycji. Jest człowiekiem o nadzwyczajnych przymiotach etycznych. Jest człowiekiem idealnym. Człowiekiem renesansu. I nie ma znaczenia, że to po prostu zwyczajny gość, który ma kupę kasy i jakąś wendetę do przeprowadzenia. Liczy się to, że jest w stanie walczyć przeciwko tym wszystkim, którzy dysponują supermocą. On jest superbohaterem. A ty idiota.

– Charles, jesteś po prostu uosobieniem głupoty. Powiem to powoli: Batman nie ma supermocy, więc nie jest superbohaterem.

Kiedy Jeffrey mówi do mnie „Charles”, wiem, że wygrywam.

– On nie potrzebuje supermocy. O tym właśnie mówię, idioto. Może pozostać sobą. Ma alter ego, kostium. Walczy w imię Sprawiedliwości i Prawdy. Ma straszliwych wrogów. I wszystko robi bez żadnych metamorfoz czy mutacji. Jest po prostu prawdziwie zmotywowany. To właśnie jest w nim takie interesujące. Wystarczy mu zapał i determinacja, żeby zostać Batmanem. Pokazać drogę następnym Batmanom i Batludziom. I to czyni go wielkim.

Jeffrey zamyka oczy i wydyma policzki.

– Jeffrey, wiesz doskonale, że mam rację. Tak samo Lex Luthor nie potrzebuje supermocy, żeby być superłobuzem. Chodzi o kontekst, o całą sytuację. Popatrz na to obiektywnie. Ja wygrywam, a ty przegrywasz, bo nie masz racji. Doug Walters to bohater. Muhammad Ali to bohater. A Batman to superbohater. Rzecz jest prosta. A to, co go czyni największym superbohaterem, to właśnie twój idiotyczny argument: że jest po prostu zwyczajnym gościem. Ma

słabości. W odróżnieniu od Supermana potrzebuje prawdziwej odwagi.

– Charles, co ty pierdolisz? To oczywiste, że Superman jest najdzielniejszym superbohaterem. On właściwie wynalazł odwagę. Wychodzi naprzeciw pociskom. Nie bierze pod uwagę ryzyka. Nie zastanawia się, tylko rzuca się w niebezpieczeństwo.

Rozkładam ręce.

– Oczywiście, tak właśnie robi. Jest Supermanem. Jest idiotą. Jeffrey, przecież on jest totalnie zabezpieczony na wszystkie okoliczności.

– I co z tego? – Jeffrey wykrzywia twarz.

– To z tego, że to nie jest odwaga. On jest z kamienia, ty półgłówku. Superman jest niezwycięzony. Nie musi być dzielny. Jeżeli kule nie mogłyby ci wyrządzić krzywdy, to czy musiałbyś być dzielny, żeby iść im naprzeciw?

Jeffrey robi minę wyrażającą powątpiewanie, ale nic nie mówi.

– Widzisz, Batman to co innego. Jest śmiertelny. Ryzykuje prawdziwe życie. A Superman musi się tylko wystrzegać kryptonitu. Wielka mi rzecz. Superman niczego się nie boi, ponieważ z wyjątkiem kilku bardzo szczególnych okoliczności, w których może się zetknąć z tym głupim minerałem, nigdy nic mu nie zagraża. Batman natomiast ma te same słabości, co my wszyscy, więc odczuwa też takie same lęki. I dlatego jest najodważniejszy. Bo musi je przezwyciężyć i walczyć, chociaż wie, jakie to niebezpieczne. O to mi właśnie chodzi: im więcej masz do stracenia, tym większa twoja odwaga, jeśli pokonasz strach. I dlatego Batman stoi ponad Supermanem. A ja jestem mądrzejszy od ciebie.

Jestem genialny. Zwyciężyłem.

– Phii, tam. Założę się, że Batman nie będzie taki ponad, jak go Superman załatwi paroma ciosami.

Jeffrey wyprowadza kilka ciosów kung-fu, a potem wzrusza ramionami i wydyma policzki. Powłócząc nogami, idziemy wzdłuż wschodniej dzielnicy miasta. Nagle Jeffrey uśmiecha się chytrze.

– Mam nadzieję, że ty jesteś odważny – mówi znacząco.

To Eliza Wishart.

Kamień, który mam w brzuchu, staje się cięższy.

Eliza ma na sobie prostą, kremową sukienkę bez rękawów z żółtawym paskiem. Jej włosy są jakby mniej puszyste niż zwykle. Może to upał. Skórę ma zaróżowioną. Zazwyczaj jest biała jak płatki lilii. Stoi przed księgarnią, w cieniu kwitnącego krzewu, i ogląda tanie książki w miękkich okładkach wyłożone na stołach. Jedną z nich trzyma w ręku. Szkoda, że stąd nie widzę, co to za książka.

Nikt nie wie o Laurze. Widać to jak na dłoni. Nikt oprócz mnie i Jaspera. Zastanawiam się jednak, jak Eliza może sobie tu stać, skoro jej siostra zaginęła. Jak może przeglądać książki? I wygląda tak jak zawsze. Jest spokojna i nieobecna.

Sposób bycia Elizy zawsze mnie intrygował. Wydaje się, że cierpi, a jednak jest nieskończenie spokojna. Niekiedy w szkole serce bije jej za szybko i musi usiąść. Odchodzi cicha i spokojna, a każdemu mówi, że wszystko w porządku, chociaż widać, że nie może złapać tchu i jest spocona. A ja chcę wtedy wziąć ją za rękę, uspokoić jej puls, wyciszyć ją.

Zastanawiam się, dlaczego Eliza nie panikuje. Czemu nie tłucze w szklane drzwi posterunku policji? Dlaczego nie woła na ulicach swojej siostry, nie łomocze pokrywkami garnków, jak przy nagonce, nie zwołuje mieszkańców?

Poprawiam okulary i ciągnę się za ucho. Jesteśmy coraz bliżej Elizy. Znowu narasta we mnie gwałtowna potrzeba, żeby wszystko z siebie wyrzucić. Wylać z siebie tę truciznę. Głupio to zabrzmiało, ale chcę wziąć Elizę za rękę i zaprowadzić ją nad porośnięty krzewami

brzeg rzeki Corrigan. W miejsce, gdzie jest chłodniej i spokojniej. Powiedzieć jej, co widziałem, co zrobiłem i czego się obawiam. Chcę jej powiedzieć, że Jasper tego nie zrobił. Chcę, żeby była tego pewna. Chcę jej powiedzieć, żeby nie wierzyła w to, co mówią ludzie. Z całego serca chcę jej powiedzieć, że znam Jaspera. Jestem jego przyjacielem i wiem, jaki jest. I że nie byłby zdolny do czegoś takiego. Że to nie miałyby sensu. Że myślę, że on kochał Laurę. Chcę powiedzieć Elizie, że czuję się okropnie. Chcę ją przeprosić i powiedzieć, jak wyglądała twarz jej siostry tej nocy. Że zanim ją zabraliśmy, wydawała się dziwnie spokojna. Chciałbym ją zapytać, czy wie, kto mógł to zrobić. Czy to był po prostu jakiś cholerny, pechowy zbieg okoliczności czy coś groźniejszego. Chciałbym jej patrzeć w oczy, gdy będę to mówił. I mocno przytulić, gdy się rozplacze. I tulić tak długo, aż się uspokoi. A potem złożyć jej obietnicę i powiedzieć wszystko to, co się powinno powiedzieć.

Patrzę na nią, kiedy podchodzimy. Czujnie, jakby była miną, która może wybuchnąć. Ten kretyn Jeffrey szura nogami i chrząka, kiedy się do niej zbliżamy. Mam ochotę złapać go za łeb i ścisnąć z obu stron, aż pęknie.

Ona spogląda na nas znad książki. Moje ciało tężeje.

– Dzień dobry, panno Elizo – śpiewa Jeffrey i wykonuje gest, jakby zdejmował z głowy niewidzialny kapelusz. Zabiję go za to.

Eliza lekko unosi brwi. Na nosie ma ledwie widoczne piegi. Jej usta są po prostu idealne. Czerwone i błyszczące. Nie mogę pozbyć się myśli o jej podobieństwie do siostry. Ma takie same oczy, takie same podkrażone oczy. Przeraza mnie to. Dłonie mi drżą znacznie bardziej niż zazwyczaj, gdy ją spotykam.

– Cześć, Jeffrey – mówi Eliza słodziutko, a potem spogląda na mnie. Pochyliła głowę i przenosi ciężar ciała na jedną nogę. – Cześć, Charlie – dodaje.

Mam sucho w ustach, więc moja odpowiedź to tylko cichy szept, skinienie głowy i słaby uśmiech. Jestem idiotą. Zastanawiam się, czy nie spróbować głośniejsze, ale w czasie, który poświęciłem na podejmowanie tej decyzji, już ją minęliśmy. Czy mam się odwrócić? Może powinienem. Powinienem. Odwróć się.

Jednak się nie odwracam. Patrzę pod nogi. No to tyle z trzymania jej za rękę i prowadzenia nad rzekę.

Jeffrey się szczerzy. Kiedy już jesteśmy poza zasięgiem słuchu Elizy, mówi:

– Wszystkie słowa zachowujesz na scrabble?

– Spieprzaj.

Odrzuca głowę i śmieje się.

– Chuck, ty ją kochasz.

– Jeffrey, zabiję cię. Pewnego dnia naprawdę cię zabiję. Masz moje słowo. Jesteś najbardziej wkurzającym karłem w historii.

Zbliżamy się do boiska. Chcę zawrócić i zrobić jeszcze jedno podejście do Elizy Wishart. Tym razem żadnej niezdarności. Mocno i otwarcie. Chcę jej spojrzeć prosto w twarz, sprawdzić, czy da się zauważyć cokolwiek innego niż zwykle. Coś, co byłoby nie w porządku. Coś podejrzanego. Chcę wiedzieć, co czyta. Może ta książka da mi odpowiedź. Ładnie pachniała. Naprawdę ładnie. Bardziej niż ładnie. Zawsze ładnie pachnie. Ta myśl powoduje, że krew szybciej mi krąży. I mam jakąś lżejszą głowę.

Docieramy na boisko. To nieskazitelnie utrzymana, bujnie porośnięta przestrzeń. Jedyne miejsce w Corrigan tak pieczołowicie zadbane. Stary człowiek w uniformie w kolorze khaki stoi na środku i podlewa murawę między bramkami.

Pole do gry jest zajęte przez drużynę Corrigan Countryweek. Jestem rozczarowany i onieśmiałony. Słyszę głuchy odgłos uderzanej

piłki. Z daleka gracze wyglądają jak dobrze funkcjonujący silnik. Zatrzymuję się. Mam zamiar zawrócić i odejść.

– Cholerny pech, co? – rzucam.

– W porządku, Chuck. Tam w środku mamy trochę miejsca.

– Chyba żartujesz? Jeffrey, nie pozwolą ci! Nigdy nie pozwalają. Chodź, wracajmy. Pogramy na ulicy.

– Pozwola, Chuck. Zobaczysz.

Jeffrey zbiega po trawiastym nasypie.

– Na jakim ty świecie żyjesz? – wołam za nim i kręcę głową, ale on się śmieje i idzie dalej z niewzruszonym optymizmem, holując torbę. Stoję w miejscu, ale trochę się bujam. Jeffrey to wariat. Albo stracił pamięć.

Postanawiam iść za nim, ale w pewnej odległości. Kiedy podchodzę, widzę drużynę, której obraz jest dokładnie taki, jak zapamiętałem. Warwick Trent pociera z wolna piłką o biodro. Ma najszerze ramiona i najlepszy rozbieg ze wszystkich. To jeden z tych chłopaków, którzy zawsze wyglądają, jakby byli o dwa lata starsi od rówieśników. Zapewne urodził się z zarostem na brodzie i na kłacie, wył przy tym i śmierdział jak ogromne, cuchnące gówno, którym jest.

Warwick Trent ma największy zbiór pestek brzoskwiń zebranych z drzewa Szalonego Jacka Lionela. Nosi w kieszeni cztery pestki zdobyte w czterech podejściach. Uprawiał prawdziwy seks. Więcej niż raz. Brał udział w większej ilości bójek niż ktokolwiek i większość z nich wygrał, łącznie z tą, którą stoczył poza granicami naszego okręgu z dorosłym górnikiem. Wszyscy mu ustępują i się go boją, a on o tym świetnie wie. Jest gburowaty i porywczy. Nie znoszę go jak cholera.

I pewnie w związku z tym, że wszystkie jego moce skupiły się w sferze fizycznej, Warwick ma wstręt do nauki. Rzadko się tym

chwali, ale jest rekordzistą także w dziedzinie repetowanych klas – powtarzał już dwie. To mnie nieco cieszy, ale i dołuje, bo po tych manewrach wylądował w mojej klasie.

No i jest tak, że jeśli w czasie lekcji zdarzy mi się użyć wyrazu, który w jego ocenie jest za mądry i nie należy do pół tuzina jednosylabowych słów, które on rozumie, on i jego poplecznicy dopadają mnie w czasie przerwy na lunch albo po szkole i powtarzają ten „obraźliwy” wyraz jak mantrę, za każdym razem uderzając mnie w plecy.

Monosylaba. Och. Monosylaba. Ach. Monosylaba. Uch.

Jeśli ucieknę, dopadną mnie, przewrócą na ziemię i pobiją. Jeśli spróbuję walczyć, ryzykuję totalną anihilację. To samo, jeżeli ich znieważę. Jeżeli komuś o tym powiem, wydam na siebie wyrok śmierci. Jeżeli będę stał i przyjmował ciosy jak dziewczyna, zabiją mnie w mgnieniu oka.

Zwykle więc nic nie robię i w milczeniu przyjmuję dowolnie podyktowaną karę. Na ogół jest ona krótka i bolesna, ale zdarza się, że kiedy okaże się szczególnie bystry albo kiedy nauczyciel jest ze mnie nadzwyczaj zadowolony, dodatkowo zrzucają mi okulary albo wystawiają mnie na publiczne pośmiewisko.

Ich komunikat jest jasny: Nie bądź za bystry.

Wszystko, co osiągnęli, to pobudzenie mojej ambicji, by być jeszcze bardziej bystrym. Wywołali u mnie głód nowych słów. Każdy nowy wyraz, jaki napotykam, poddaję oglądowi i magazynuję w pamięci. Każde nowe słowo to jakby sparowanie ciosu. Nieistotne, jak bardzo będzie górnotne czy staromodne. Wchłonę je i zachomikuję. Kolekcjonuję słowa jak skarby.

Każdego wieczoru je powtarzam. Co wieczór zaglądam do skarbca. Mam czarne pióra i żółte notesy. Co wieczór piszę opowiadania i wiersze. Poleruję perły. Czasami wyobrażam sobie, że rzucam w tych chłopaków moimi wierszami, choć rozumiem, że to

trochę jak szermierka piórką. Wiem, że tylko by się śmiali. I oddaliby pewnie czymś znacznie cięższym. Ale mam swego rodzaju satysfakcję, wiedząc coś, czego oni nie wiedzą, i posiadając coś, czego oni nie mają. To mi pozwala w milczeniu przyjmować ich ciosy.

Sadowię się przy samej linii. Wystarczająco daleko, żeby nie rzucać się w oczy. Pozostanę tu i będę zbierał piłki, które wylecą lub potoczą się za daleko, a potem będę je odrzucał ze schyloną głową. Nie spodziewam się przejawów wdzięczności, ale myślę, że w ten sposób trochę wesprę Jeffreya.

Ciągle jednak czuję zdenerwowanie. Patrę, jak Jeffrey zwyczajnie kładzie swoją torbę obok ich toreb. Z wolna podchodzi i miesza się z zawodnikami, jakby był częścią zespołu. Wydaje się taki drobny. Mam wrażenie, jakbym obserwował szczeniaczka przechodzącego przez ruchliwą ulicę. Jeffrey zajmuje miejsce, ale zostaje mocno odepchnięty, dalej niż zamierzał się znaleźć. Słyszę, jak ktoś mówi:

– Odepierdol się, żółtku – i w brzuchu mi się przewraca.

Nie rozumiem. Jeffrey próbował już nieraz i zawsze kończyło się to upokorzeniem. Obserwuję go, jak krąży, czekając na okazję, żeby włączyć się do gry. Ale wiem, że będzie tak jak zawsze. Jeffrey rzuca lewą ręką podkręcone piłki i ktoś, kto odbija po jego rzucie, stara się posłać je tak daleko, jak tylko się da. Zwykle jednak po rzucie Jeffreya nie trafiają w piłkę i wtedy jakiś zawodnik bierze jego piłkę i odrzuca daleko poza pole gry. A Jeffrey błyskawicznie za nią biegnie, znajduje ją i wraca na miejsce, zgrabnie obracając ją na palcu.

Czasami Jeffrey rzuci wcześniej, niż wskazuje kolejność, i wtedy wszyscy go popychają, przezywają ze złością, a jego piłkę wykopują daleko.

Bardzo rzadko pozwalają Jeffreyowi odbić piłkę. Zwykle już pod koniec gry, kiedy jest prawie ciemno. Jest sprężysty, a jego

uderzenie znakomite. Zdarza się, że go wtedy pacną w ramię czy w plecy i zarzą śmiechem. Jeffrey jednak zawsze pozostaje w gotowości do końca; do momentu, aż się w końcu rozejdą.

Patrzę, jak Jeffrey precyzyjnie wykonuje pierwszy rzut. Oczywiście Jacob Irving nie zdołał odbić i zrobił śmieszny, krzywy zamach. Zawodnicy wybuchają śmiechem. Tak jak się spodziewałem, Irving pochyła się i odrzuca piłkę Jeffreya gdzieś daleko. Spluwa w jego kierunku, składa ręce w rękawicach jak do modlitwy i mówi:

– Ojoj, mnie tak przikro!

Wszyscy się śmieją, patrząc, jak Jeffrey biegnie po piłkę w swoim odprasowanym, białym ubranku. Popychają go i trącają. Jest taki mały. Ktoś go kopie w łydkę i mówi:

– Spieprzaj, skośny.

Jeffrey potyka się, ale biegnie dalej z podniesioną głową. Tak mi wstyd. Nie mogę na to patrzeć. Chcę podbiec do Jeffreya i powiedzieć, że powinniśmy już iść. Ale nie robię tego. Nawet trener rechocze. Rudy, rumiany facet z podkładką do pisania w ręku i z papierosem. Nad brwiami pobłyskuje tłusty nalot potu. Kiedy się śmieje, brzmi to, jakby kaszłał.

I tak to się powtarza. Jeffrey znajduje piłkę, wraca i czeka cierpliwie na ponowną możliwość rzutu. Czekam i obserwuję. Żaden z nich nie daje rady przy jego rzucie. Czemu ten debilny trener tego nie widzi? Jeffrey jest tu jedynym dobrze podkręcającym zawodnikiem. Strzela jak z armaty. Ma taki zabójczy rzut, że nie odbiliby go nawet drzwiami od stodoły. A oni za każdym razem, choć jego piłka łąduje coraz dalej, za każdym razem się śmieją.

Zawsze myślałem, że talent Jeffreya wymusi wreszcie coś w rodzaju niechętnego szacunku. Podobnie jak w przypadku Jaspera. Drużyna Corrigan nigdy nie wygrałaby bez Jaspera. On ledwie kiwnie palcem, przewyższy nawet najciężej trenującego zawodnika.

Jest fenomenalny, jest ponad wszystko. Nie można się nie zachwycić. Jasper nigdy nie ćwiczy, nie słucha trenera, nie ustawia się prawidłowo, po prostu robi swoje. Nie ma własnych butów do gry. Jasper jest największym graczem, jakiego widziałem. Jest o jakieś pięć lat młodszy od tych, z którymi gra, ale ma siłę smoka. Ma niewiarygodną rękę i przedziwny instynkt do gry. Genialnie biega i wyprzedza absolutnie wszystkich.

Trudno pojąć jedną rzecz. Ci sami ludzie, którzy oglądają jego grę i kibicują mu, jakby był jednym z nich, nie zauważają go, kiedy przechodzi obok nich parę godzin po meczu. A jednak w czasie gry uśmiechają się i kręcą głowami w zachwycie nad jego maestrią. Tak samo zawodnicy z drużyny. Podczas meczu pełni podziwu otaczają go, poklepują, klaszczą mu i zachwycają się, ale gdy tylko gra się kończy, powracają do zwykłego zachowania. Chłopacy go ignorują, a dziewczyny po cichu źle o nim mówią, a skrycie go wielbią. Jasper odnosi buty i strój do szatni.

Trudno nie pomyśleć, że w tym stroju jest jakaś znacząca siła. W chwilach, kiedy wściekłe grubasy wrzaskiem zagrzewają do gry najlepszych zawodników w mieście, a kobiety piszczą, trudno nie uznać, że Jasper wywalczył dla siebie coś w rodzaju tymczasowego zawieszenia broni, bo wśród najlepszych właśnie on jest niekwestionowanym mistrzem. Wszyscy muszą to uznać. Jest najlepszym biegaczem. Jest jednym z nich. Jasper Jones to zawodnik, który uosabia ich nadzieje.

Zastanawiam się, czemu ten stan mija. Dlaczego gdy Jasper zdejmuje strój, wszystko się cofa. I czemu Jasper musi w końcu oddać koszulkę. I dlaczego Jeffrey nie zaznaje choćby cienia takiego samego podziwu mimo swojego mistrzostwa. Może dlatego, że w odróżnieniu od Jaspiera nie złamał w tym sezonie dwóch nosów i trzech żeber.

Po następnym rzucie Jeffreya piłka ląduje daleko i kopnięta przez kogoś toczy się w moim kierunku. Pochyliam się i podaję w ich stronę.

– Co, skośny, jest tu twój chłopak?

– O, Charlie! Twoja miłość.

– Od dawna się kochacie, żółtku?

Któryś z nich klepie Jeffreya po policzku, ktoś inny szczypie go mocno w tyłek.

Pomyślałem, że jednak pamiętają, jak mam na imię.

Wszyscy chichoczą z powykrzywianymi gębami. Szczególnie głośno trener, który obserwuje scenę znad swojej podkładki. Zęby ma w kolorze proszku do czyszczenia wanien. Warwick Trent łapie Jeffreya za kołnierz, podnosi i odrzuca do tyłu. Jeszcze więcej śmiechu. Jeffrey podnosi się szybko i znowu zajmuje pozycję.

Nie chcę już na to patrzeć. Żałuję, że nie ma tu teraz Jaspera Jonesa. Szkoda, że nie stoi tu obok mnie. Mógłbym wtedy wykrzyknąć wszystko, co chcę wykrzyknąć. Mógłbym pokazywać palcem i przeklinać. Mógłbym nawrzeszczyć na trenera. Powiedzieć mu, że się, do cholery, kompromituje. Że nie ma pojęcia o grze. I powiedziałbym Warwickowi Trentowi, że jest śmierdzącym gównem i że nigdy nie wyjedzie z tego miasta, bo zatrzyma go tu własna głupota. Jak szczura w klatce. Uśmiechnąłbym się szyderczo i powiedział, że jest równie wyrafinowany jak ameba, a potem cieszył się wyrazem zdziwienia na jego twarzy. A później mocno bym go walnął w ramię i powtarzał: Wyrafinowany, wyrafinowany! Ameba, ameba! A potem podałbym piłkę Jeffreyowi, żeby mógł ją odbić i pokazać, że jest najlepszy z nich wszystkich. I musieliby stanąć dokoła i przekonać się, że nie mogą go nie podziwiać.

Ale to się nigdy nie zdarzy.

Pocieram brodą o ramię. Robi się coraz ciemniej. W poblasku zachodzącego słońca dostrzegam Elizę Wishart idącą przez boisko. Ciagle ma tę książkę.

Wszystko dzisiaj odczuwam dziwnie wyraźnie. Zmysły mam wyostrzone i wyczulone. Najdrobniejsze zakłócenie wydaje mi się wstrząsem. Męczy mnie uporczywe brzęczenie owadów latających wokół mnie. Mam wrażenie, jakbym był w ogromnym ulu. Patrzę na idącą Elizę Wishart i jestem zelektryzowany. Jak może być tak spokojna i pewna siebie. Myślę, że ona mnie widzi. Podnosi wzrok. Spuszczam oczy. Nic na to nie mogę poradzić. Kiedy znowu patrzę w jej kierunku, Eliza lekko macha ręką. Ja też macham, z niewyraźnym uśmiechem. Powinienem podejść i powiedzieć coś zabawnego. Na przykład, że mnie śledzi. I powinniśmy się zaśmiać. Potem mógłbym zapytać o książkę. I porozmawialibyśmy. Moglibyśmy trzymać się za ręce. Zapytałbym, czy chciałyby spotkać się ze mną później nad rzeką. I patrzyłbym jej w oczy, żeby dać do zrozumienia, że to ważne. A ona byłaby pod takim wrażeniem mojej otwartości i szczerości, że zgodziłaby się natychmiast.

Powinienem. Teraz powinienem ruszyć. Jak Jasper Jones, z szerokimi ramionami, pewnym siebie uśmiechem i długim krokiem. Idę. Od razu.

Wkładam ręce do kieszeni.

Gdzieś za mną rozlega się pojedynczy gwizd. A potem już wszyscy gwizdzą. Podrywam się. Oni się śmieją. Warwick Trent przykłada dłoń do ust.

– Uszki czy cycuszki? Oj!

Eliza patrzy w ziemię i przyspiesza.

Jestem przerażony. Mam nadzieję, że Eliza nie myśli, że jestem z nimi. Warwick Trent pieje i macha do niej. Wszyscy go dopingują. Na szczęście już się odwróciła.

Śmieją się. Odwracają się. Już się nią nie zajmują. Eliza Wishart prawie odeszła. Patrzę, jak się rozplywa. Powinienem być coś powiedzieć. Bronić jej. Walczyć w jej barwach. Jestem idiotą. Chcę stąd iść. Siadam, bo trochę kręci mi się w głowie.

Laura Wishart nie żyje. Jej siostra o tym nie wie. Ale niedługo wszyscy w Corrigan się dowiedzą. Jestem w oku cyklonu. Świat przewraca się do góry nogami. Nie wiem, jak miasto zareaguje. Czuję się, jakbym czekał przyczajony i milczący na rozpoczęcie bitwy.

Powoli zaciska się obręcz wokół mojej piersi. Wiedza o czymś, czego nikt inny nie wie, jest niewygodna.

Jak Jasper Jones może oczekiwać, że tam wrócimy i wszystko odkręcimy. Jak?! Przywiązaliśmy ją do kamienia. Pochowaliśmy ją w wodzie. Zrobiliśmy to. Nie ma nadziei, że rozwiążemy tę zagadkę. Dla nas to za dużo. To wielka i nie do ogarnięcia tajemnica. Od czego mielibyśmy zacząć?

Laura Wishart nie żyje. I tylko godziny dzielą nas od chwili, kiedy zostanie ogłoszone jej zaginięcie. Chyba że już je ogłoszono. I nie znajdują jej. Chyba że ktoś się przyzna. Chyba że Szalony Jack Lionel przyjdzie do miasta, wyciągając ręce do skucia kajdankami. No więc co się zdarzy? Wywalczyliśmy trochę czasu dla Jaspера Jonesa. Ale ile? Kiedy zaprzestaną poszukiwań? Jak daleko to zajdzie? Jak głęboko?

Przede wszystkim naprawdę nie mogę sobie wyobrazić, jak to się stało. Jak ktoś mógł to zrobić. Jak można zabić dziewczynkę. Jak mogli zabrać ją do buszu, zbić i powiesić w tej nocnej koszulce. Jak mogli patrzeć, jak umiera. Jak mogli ją tam zostawić. Jak mogą teraz z tym żyć. Zabijam komara na twarzy. Wycieram rękę o szorty. Wzdrygam się. Są wszędzie. Nie znoszę owadów.

Laura Wishart nie żyje, dotknąłem jej ciepłego ciała, a ono zaraziło mnie smutkiem. I mogę tylko mieć nadzieję, że jej nie znajdują, dopóki nie odkryjemy prawdy.

Jeffrey odwraca się i rozgląda. Nikt nie ruszył w kierunku pozycji, którą zajął. Jeden z graczy machnął do niego. Jeffrey uśmiecha się. Podbiega i rzuca. I dokładnie w momencie, kiedy wypuszcza piłkę, ktoś prędko ściąga mu białe szorty aż do kostek. Jeffrey szybko je podciąga. Oni znowu się śmieją. Trener gwizdże. Piłka upada daleko. Jeffrey stoi i poprawia szorty. Jego drobna pupa wygląda jak śliwka.

Tymczasem zawodnik wziął piłkę. Odwraca się i uderza ją mocno i wysoko. Piłka przelatuje nad boiskiem i wpada między drzewa i krzaki. Silne uderzenie. Piłka z pewnością przepadła. Jeffrey patrzy, jak ginie w oddali. Serce mi pęka, bo wiem, że ta piłka to był prezent urodzinowy, o który Jeffrey prosił rodziców przez wiele miesięcy. Cały się kulę, kiedy widzę, jak Jeffrey idzie w kierunku swojej torby. W bezsilnej złości patrzę, jak tamci mierzwią mu włosy i lekko go popychają.

Obserwuję też tego cholernego trenera. Stoi sobie, od czasu do czasu drapie się po jajach i przestępuje z nogi na nogę. Jak te ciemne, mysie oczka mogą spokojnie patrzeć na takie chamstwo. Bawi się papierosem. Ma wstrętne paluchy. A ja myślę: Skoro potrafi na coś takiego patrzeć z uśmiechem, to jakie jeszcze okrucieństwa jest w stanie obserwować i nie interweniować?

Zagryzam policzek od środka. Twarz mi płonie. Patrzę w bok. Jakaś część mnie ma żal do Jeffreya za to, że się przyłączył do tamtych i że przez to czuję się tak jak teraz. Oczy mnie szczypią. Mrugam.

Jeffrey zachowuje się jak gdyby nigdy nic. Jakby wyeliminowali go w uczciwej grze. Bierze torbę, a oni ciągle obrzucają go wyzwiskami. Nie chcę tego dłużej słuchać. Chcę już odejść. Jeffrey idzie w moim kierunku. We włosach ma żdźbła trawy. Kiedy podchodzi, ma spuszczoną głowę; gdy jednak jest już bliżej, prostuje się i uśmiecha.

– Widziałeś ten rzut? Podkrecona, że nie mogę! Bang! Poszłaaa! Wielkie dzięki! – Jeffrey rozrzuca ramiona, jakby chciał pokazać, że piłka wybuchła.

– Rzeczywiście – mówię prowokującym tonem. – Nieźle rzucił.

– Nieźle? Chuck, ten przedostatni gostek ma dobry rzut, ale ja umiem go odbić. Wiem jak. Będzie załatwiony.

– Dobrze by było, żebyś dysponował jeszcze jakimiś zawodnikami oprócz siebie, jak już do tego dojdzie. – Fajnie mi się gada. Chcę się z nim przekomarzać.

– Charles, gdybyś cokolwiek wiedział o grze, tobyś rozumiał, że umiejętność odbicia takiej piłki ma fundamentalne znaczenie. Po prostu czekasz na taki rzut i wtedy: bang! Masz ich w garści. Piłka leci, a ty masz tyle czasu na bieganie między bramkami, ile ci się żywnie podoba. – Jeffrey serwuje mi swoją zwyczajną walkę z cieniem, dodając efekty dźwiękowe.

– Spokojnie, Muhammad.

– Frunę jak motyl, żądlę jak pszczoła. Twój cios nie dosięgnie, czego oczy nie dostrzegą. Bang! – Jeffrey całuje swoją pięść.

– Masz fioła.

– Co, Chuck? Chcesz powiedzieć, że jestem wielki?

– Nie, chcę powiedzieć...

– I masz rację. Rzeczywiście jestem wielki! – Jeffrey gwałtownie rozpoczyna następną rundę walki z cieniem. Naciera, robi uniki, wymierza ciosy. Ja jednak kręcę głową.

– Nienawidzę tych kretynów.

Jeffrey wzdycha.

– Chuck, gdyby ktoś nie ukradł mu roweru, to Muhammad Ali sam z siebie by nikogo nie zaatakował. – Jeffrey zatrzymuje się i wskazuje mnie palcem. – Poza tym jesteś idiotą.

– A to czemu?

– A to temu, że nie podszedłeś do Elizy Wishart i z nią nie porozmawiałeś.

– I co z tego? – Wzruszam ramionami.

– Chuck, jesteś po prostu królem idiotów. Zachowujesz się tak, jakby Eliza nie przyszła na boisko, bo wiedziała, że tu jesteś. Ona cię miłuje!

Kręcę głową.

– Czerwienisz się! – woła Jeffrey dramatycznie i znowu wskazuje mnie palcem, zupełnie jak świadek przyprowadzony przez policję na miejsce zbrodni. – Załamujesz mnie!

– Jeffrey, po pierwsze, ja się nie czerwienię. Po prostu mi gorąco. Mamy ciepły dzionek. Jest upał. Jestem rozgrzany i moja twarz też jest rozgrzana. Po drugie, Eliza nie wiedziała, że idziemy na boisko, i w związku z tym nie mogła tutaj przyjść wyłącznie dla mnie. Podsumowując, gadasz bez sensu.

Jeffrey odrzuca głowę w tył i krąży wokół mnie krokiem zombi.

– Charles, ty nic nie wiesz o sztuce uwodzenia. Musi cię w tym względzie oświecić ekspert, czyli ja. Wiem wszystko o dziewczynach. One są za głupie, żeby mogły stanowić jakąkolwiek zagadkę.

– Jeffrey, to ty nie wiesz nic o dziewczynach.

– Bzdura! A co tu jest do wiedzenia?

– Sporo.

– Wiem na przykład, dlaczego one się malują i perfumują.

– Dlaczego? – wzdycham.

– Dlatego, że są brzydkie i śmierdzą.

W drodze powrotnej do domu przekomarzamy się dla wprawy. Zajadamy dzikie owocki z jeszcze nieogolonej gałęzi, którą wypatrzył Jeffrey. Dyskutujemy, kto pierwszy odkrył, że krowy dają mleko, a potem kto ułożył litery w alfabecie i co podyktowało taką, a nie inną kolejność. Zastanawiamy się także, dlaczego piloci kamikadze mieli na głowach hełmy. Ale ani przez chwilę nie wkładam serca w tę rozmowę.

Kiedy skręcamy w naszą ulicę, przyłapuję się na tym, że trzymam się trochę za Jeffreyem. W wyobraźni widzę ciemne, groźne samochody zaparkowane gwiazdźście na naszym trawniku i ludzi w garniturach i okularach przeciwsłonecznych, którzy czekają i wskazują mnie palcami w momencie, kiedy się ukazuję. Megafony. Helikoptery. Wstrząśnięci gapie.

Jestem bezpieczny, ale nie czuję ulgi. Mój niepokój się pogłębia. Oczekiwanie zaostrza strach.

– Przestań się gapić na mój tyłek – mówi Jeffrey.

Zrównuję się z nim.

Na naszej ulicy jest trochę więcej życia niż wtedy, gdy ją opuściliśmy. W chłodniejszym powietrzu sąsiedzi gawędzą na trawnikach i podlewają rośliny wodą z węży albo cynkowanych konewek. Całkiem gołe brzdące chwiejnie uczą się chodzić, pozostałe dzieci skaczą i wygłupiają się dookoła zraszaczy, ubrane tylko w bieliznę. Przez otwarte drzwi sączy się zapach kolacji. Słychać głosy z telewizora, rodzicielskie gderanie i śmiech.

Tata Jeffrey'a, An, jest przed frontem swojego domu. Pieczołowicie pielęgnuje ogród. Różne dziwne owoce i warzywa uprawia za domem, a tutaj prezentuje wyłącznie idealną harmonię barw.

An Lu jest inżynierem w kopalni, wieczorami zaś obsesyjnie oddaje się uprawie warzyw albo kwiatów, nawet jeśli przychodzi mu

pracować do późna. Obszar przed domem Jeffreya jest jak lokalny ogród botaniczny naszego miasta. To z pewnością widok, który robi największe wrażenie w okolicy. Jeffrey mówi, że Ana sprowadza nasiona i sadzonki z całego świata. Prowadzi też rodzaj dziennika z instrukcjami, kiedy i w jakich warunkach każda roślina powinna zostać zasadzona i jak pielęgnowana. Ziemia należąca do Ana jest zakomponowana z precyzją godną symfonii. Przez okrągły rok, nawet w czasie zimy, w ogrodzie Ana grają kolory, ale wiosną po prostu eksplodują jak nagle uwolniona petarda. Ana zawsze przebywa wśród swoich roślin, jak konstruktor kierujący ich rozkwitem.

Ludzie na wieczornych przechadzkach krążą wokół feerii barw w ogrodzie Ana Lu. Lubią sobie pokazywać i zrywać glicynie, jaśminy, maki, miniaturowe różyczki. Zastanawiają się głośno, która z roślin Ana jest najbardziej egzotyczna, i wyrażają podziw dla ich kompozycji i zapachu.

Jednak tym, co ja dostrzegam przede wszystkim, jest niewiarygodna chmara owadów unoszących się nad wybujałymi koronami płatków. Trzymam się więc możliwie daleko od jednych i drugich. Owadów boję się śmiertelnie. Pszczoły, osy, szerszenie. Wszystko, co lata, pełza, skacze czy żądli. Już moja mama nieźle się bawi moją fobią, ale najgorszy jest Jeffrey. Jeden z jego ukochanych kawałów polega na ostrzeganiu mnie, że pszczoła siedzi mi na plecach albo że na ramieniu mam jadowitego pajaka. Jeffrey zatrzymuje się nagle, otwiera szeroko oczy i mówi:

– Nie ruszaj się. – Zupełnie jakbym miał nastąpić na minę. Za każdym razem się na to nabieram.

Może pewnego dnia uda mi się zbliżyć do pięknego ogrodu Ana Lu bez gęsiej skórki i przerażającego wrażenia, że muska mnie milion małych, jadowitych stworków. Na obecnym etapie najlepsze dla mnie miejsce do obserwowania ogrodu jest tutaj, gdzie teraz stoję. Przed moim domem.

Jeffrey poprawia torbę na plecach. Ja wycofuję się na nasz trawnik.

– Zaprosiłbym cię na kolację, ale naprawdę cię nie lubię – mówię.

– Phii! Raczej polizę własną dupę, niż siądę do kolacji z twoją rodziną.

– Pierdy – odpowiadam. – Polizałbyś własną dupę, bo to lubisz.

Jeffrey się śmieje.

– Smakuje lepiej niż potrawy twojej mamy.

– *Touché* – śmieję się.

Jeffrey odwraca się, żeby odejść, ale nagle zawraca z chytrym uśmiechem.

– Hej, Chuck?

– Co?

– Co jest najtrudniejsze, gdy się lubi Batmana?

Zamykam oczy i wzdycham.

– Nie wiem.

– Najtrudniej jest oznajmić rodzicom, że jest się gejem.

Oczywiście Jeffrey pokłada się ze śmiechu.

– Ty idioto, to nie ma najmniejszego sensu.

– Sam jesteś idiota. To przezabawne.

– To nie ja lubię lizać własną dupę.

– Gdybyś miał taką dupę, tobyś lubił. – Jeffrey podskakuje, boksując się z niewidzialnym przeciwnikiem. – Jakiż jestem piękny! Jaki piękny!

– Pa, pa, Muhammedzie!

– Bo piracą, Chaaarlie, bo piracą!

Jeffrey dociera do domu. W tym momencie An gwałtownie się podnosi i wskazując Jeffrey'a sekatorem, mówi coś ostro. Jeffrey zatrzymuje się wyprostowany. Wygląda na to, że sobie nabrechał. Patrzę, jak chowa głowę w ramionach i znika we wnętrzu. Robię to samo.

W czasie kolacji staram się wysondować rodziców na okoliczność najświeższych wiadomości, ale niczego nie uzyskuję. Potem biorę kawę i idę prosto do swojego pokoju. Nie mam nastroju na oglądanie telewizji ani pogawędki. Tato pyta, czy wszystko w porządku, ale wzruszam tylko ramionami i mówię, że mam ochotę sobie poczytać. Odstawiam kawę i uchylam okiennicę. Przez chwilę patrzę przez listewki na podwórko w nadziei, że zobaczę Jaspera Jonesa. Ale go nie ma.

Próbuję czytać, ale nie mogę się skoncentrować. Odkładam *Wartogłowego*. Brudną koszulką ocieram pot z twarzy. Myślę o wczorajszym wieczorze i wydaje mi się odległy o wieki. Zupełnie jakbym żył w innym wymiarze i innym ciele.

Nie mogę się uspokoić. Wyciągam spod łóżka starą, brązową walizkę, otwieram zameczki i wydaję żółty notatnik. Sadowię się z nim przy biurku. W powietrzu wisi jakby obietnica. Za chwilę popłynie czarny jedwab. Potrzebuję tego. To nieznośny przymus. Muszę to z siebie wyrzucić. Muszę wyznać swoje tajemnice. Ale pióro nie pisze. Jest suche i bezużyteczne. Gapilę się na kartkę.

Wydaje mi się, że coś słyszę. Wślizguję się na łóżko i patrzę przez listewki. Szepczę imię Jaspera. Nic.

Więc znowu siadam. Przecieram okulary, stukam piórem w lampkę. Ciagle nic. To dziwne. Buzują we mnie słowa. Są zamknięte w moim wnętrzu jak w ściśle przykrytym garnku. Tyle tylko że nie

potrafię ułożyć ich we właściwym porządku. Krażą i wzlatają jak podstępne owady. Męczące, brzęczące i nonsensowne.

Wzdycham, odkładam pióro i opieram głowę na rękę.

Muszę się spotkać z Jasperem Jonesem. I to szybko. To, że nie mogę tego z nikim podzielić, jest złe. Laura Wishart nie żyje. Pochowaliśmy ją. W wodzie. Przywiązaliśmy ją do kamienia. Zrobiliśmy to.

I dopóki nie zobaczę znowu Jaspera Jonesa, nie będę zdolny, żeby choć spróbować to ogarnąć. Nie mam najmniejszej nadziei, że dotrę do korzeni tych wszystkich spraw. Muszę z nim porozmawiać o możliwych scenariuszach, interpretacjach i strategiach, które trzeba rozważyć. O wszystkich problemach i pomysłach, które kotłują się w mojej głowie i brzuchu. Jest tak, jakbym zaczął czytać tragiczną opowieść od końca i teraz miał uzupełnić brakujące fragmenty dotyczące tego, co się stało wcześniej. Ale nie umiem. Nie umiem bez Jaspera. Bez poznania prawdy. Zbyt wiele jest rzeczy, których nie wiem.

Nagle rzucam wszystko i podrywam się. Dopadam łazienki w ostatniej chwili. Mój brzuch wystrzeliwuje z siebie coś paskudnego i płynnego. A na suficie siedzi ćma. Wielka jak ptak. Czy one gryzą? Zamykam oczy i udaję, że jej tam nie ma.

Co zrobimy, jak ktoś przyniesie tę informację. Jeżeli ktoś naprawdę chciał zrobić Jaspera Jonesa. I jeśli zobaczył, co zrobiliśmy. Jeżeli Szalony Jack Lionel zadzwoni na policję i powie, gdzie ona jest, a oni jej tam nie znajdują? Co nam wtedy zrobią? Jak głęboko siedzimy w gównie? Czy Jasper dotrzyma słowa? Czy będę bezpieczny?

Nad moją głową ćma uderza o szklany klosz, rzucając przy tym upiorne, dziwaczne cienie. Jest ogromna. To superćma. Pewnie ma żądło. Mogłaby jednym uderzeniem skrzydeł powalić szczura. Takie ćmy wiszą na sufitach albo w grotach i polują na wszystko, co pod

nimi przemyka. Zaciskam zęby i pozbywam się kolejnej porcji kwaśnej zawiesiny.

Dlaczego do tej pory niczego nie ujawniono? Czy Wishartowie się nie niepokoją? Ona jest córką wysoko postawionych ludzi. Dlaczego nikt jej nie szuka? Gdzie są dziennikarze? Podpieram głowę dłonią. Nie mogę znieść tego upału. Kryje się w tym wszystkim przyczajony olbrzym. Tykająca bomba.

Wracam do swojego pokoju. Znowu sprawdzam okno.

Szybko opróżniam kubek i kawa daje mi lekkiego kopa.

Zaczynam czytać *Wartogłowego*. Zmuszam się do uważnego podążania za słowami, choć w przerwach spoglądam na okno.

Na początku dwunastego rozdziału coś mnie elektryzuje. To fragment kalendarza *Wartogłowego*: Odwaga to opór wobec strachu, zwycięstwo nad strachem, a nie brak strachu. W głowie mi szumi. Tak, dokładnie to chciałem powiedzieć Jeffreyowi o Supermanie. Szkoda, że go tutaj nie ma. Użyłbym tego cytatu jak czerwonego sztandaru.

Przesuwam kciukiem wzdłuż tych słów. Może ojciec miał rację. Mark Twain ma coś mądrego do powiedzenia na każdy temat.

Wracam do biurka i zapisuję te słowa. Potem piszę dalej, dookoła nich i pod nimi. Zasłaniam dłonią to, co piszę, tak samo jak to robię w szkole. Piszę i piszę, łapię rytm i już jest dobrze.

Myślę, że mnie jest trudniej być dzielnym. Trudniej mi wyjść na ring i unieść pięści. Myślę, że im więcej się wie i im mniej ma się na sobie mięsa, tym bardziej jest się podatnym na ciosy i tym mocniej odczuwa się ból. Im mniej się waży, tym częściej zdarza się podfrunąć. Myślę, że im więcej jest tego, czego chce się bronić, tym trudniej jest zrobić krok do przodu bez oglądania się w tył. Gdyby nic mnie nie mogło zranić, kroczyłbym pewnie jak Superman, ale

mam posturę Charlesa Bucktina. Można mnie posiniaczyć łatwo jak brzoskwinie. I boję się owadów. I nie umiem się bić.

Czy to znaczy, że Jasperowi Jonesowi jest łatwiej niż mnie? A Jeffreyowi Lu? Nie wiem. Może on jest najdzielniejszy z nas wszystkich.

Moja pisanina zostaje gwałtownie przerywana.

– Jezu Chryste, Charlesie Bucktin! Cos ty zjadł?

Mama właśnie weszła do łazienki. Uśmiecham się do siebie. Mam na końcu języka pół tuzina różnych docinków, jakie mógłbym rzucić na temat jej sztuki kulinarnej, ale wypowiedzenie każdego z nich byłoby równoznaczne z wyrokiem śmierci.

Piszę dalej. Piszę bez celu i chaotycznie, ale to pomaga. Jakby się odkręciło wentyl. Jakbym przelał na kogoś chociaż część tego całego bałaganu.

Kiedy wreszcie kończę, jest już późno i jestem wyczerpany. Dom jest rozgrzany i cichy. Wślizguję się na łóżko i jeszcze raz sprawdzam okno. Szepczę imię Jaspiera w kierunku miejsca, w którym chciałbym, żeby stał. Daję oczom dość czasu, żeby przyzwyczyły się do ciemności. Nic. Wzdycham.

Porządkuję biurko. Odkładam żółty notatnik do walizki. Zanim zakoduję zameczki, przesuwam kciukiem po zapisanych już notesach, tak tylko, żeby je poczuć. Na samym dnie leży pakunek owinięty grubym, brązowym papierem. Uśmiecham się. Odwijam czerwony sznureczek i zaczynam wertować kartki.

W deszczowe dni ostatniej zimy Jeffrey i ja pisaliśmy razem powieść. Z początku była to prosta historyjka przygodowa, ale szybko akcja wymknęła się spod kontroli i to nie z mojej winy. Siedziałem z notatnikiem na kolanach, podczas gdy Jeffrey Lu krążył przed kominkiem, z jedną ręką za plecami, a drugą żywo gestykułując, i przedstawiał coraz to nowe, szalone wątki. Akcja

miała tyle zwrotów, co trąba powietrzna. Jeffrey odpowiadał za intrygę i przebieg akcji. Zwykle osiã były walki kung-fu i dzikie pościgi. Moją sprawã było powiãzanie tego wszystkiego w całość, co Jeffrey nazywał „zabawã dla dziewczynek”. Zostałem tak¿e mianowany Ministrem Dowcipnego Dialogu.

W naszej awanturniczej i w szaleńczym tempie biegnãcej akcji brał udział stary wyga, były gliniarz z Detroit, nazwaliśmy go Truth McJustice, który po tajemniczym znikniêciu ¿ony rzucił pracã w policji (choć pozostała tam chlubna legenda jego sposobu zwalczania przestêpczości) i oddał siã całkowicie swojej dawnej pasji: archeologii.

Fabula obejmowała wiele mało prawdopodobnych zdarzeñ. Truth odnajdywał świętego Graala, odkrywał tajemnicã Józefa Stalina, który podstępem zastąpił prawdziwego papieża i przebrawszy siã za niego, przejawiał ataki szału, Truth napotykał tak¿e swojà zaginionã ¿onã, która po praniu mózgu, jakiemu jã poddano, i przyjawszy imię Ivany Knockyourblockov, została wynajêta w celu wykonania na mę¿u wyroku śmierci i odbicia jego cennych zdobyczy.

Wszystko znajdowało kulminacjã w pokojach papieskich, gdzie rozgrywały siã wspaniałe pokazy sztuk walki. Truth odnajdywał wreszcie kochającã ¿onã, a Stalin doczekał (za herezjã) śmierci przez powieszenie na placu Świętego Piotra.

Niezbyt chętnie zgodziłem siã na taki koniec Stalina, ale Jeffrey powiedział, ¿e ze względu na bardzo dobrze brzmiący tytuł śmierć Stalina na szubienicy jest konieczna. Jeffrey zdecydował, ¿e nasze dzieło będzie nosiło tytuł *Papież na linie*.

Ja sam optowałem za tytułem *Truth ciã wyzwoli*. W koñcu ustaliliścmy, ¿e zmiksujemy obie wersje, przy czym moja będzie funkcjonowała jako podtytuł.

Wybraliśmy odpowiedni pseudonim (Clifford J. Brawnheart), a następnie Jeffrey zawinał nasz manuskrypt w brązowy papier i ogłosił, że pakunek zawiera Wielką Powieść Australijską.

– Czemu tak to nazywasz? – zdziwiłem się. – Przecież w tej historii nie występuje ani jeden Australijczyk. Poza tym momentami następstwo zdarzeń jest trochę szokujące. Krytycy nas rozszarpia.

Jeffrey odrzucił głowę i jęknął.

– Chuck, oświadczam, że masz mentalność wyrobnika. Nie będzie żadnego rozszarpywania. Nic nie wiesz o literaturze. Musisz zrozumieć, że rzeczywistość jest dziwniejsza od fikcji. Posłuchaj: ludzie są gotowi przełknąć każdą wyświechtaną bzdurę, jeśli tylko zaprezentujesz ją bez lęku. Ludzie chcą opowieści. I nie chcą w nic wątpić. Nie chce im się. Jeśli im opowiesz historię tak, jakbyś w nią naprawdę wierzył, wygrasz. Zapewniam cię, Charles. Jeśli będziesz rznął pewniaka, to wygrasz. Weźmy na przykład Dickensa! Nawet morderstwo uszło mu na sucho! Poza tym nie zmuszaj mnie, żebym cofnął się do historii Chrystusa i całego tego wstawiania z martwych na podobieństwo zombi. Zobacz, jaki to mało prawdopodobny zwrot akcji, którego nikt nie kupi: on skonał. Skonał, nie, czekajcie, kto tam wyłazi zza skały? Nie, niemożliwe! No, ale... czekajcie! Tak! Tak, on żyje! Witaj Zombi Jezu! Powrócił!

– Wybacz, z całym szacunkiem, ale to brzmi trochę cynicznie.

– To nie cynizm, tylko fikcja.

– Fikcja? To się nie trzyma kupy. Nawet gadać nie warto.

Jeffrey wyciąga ku mnie wygaszoną fajkę, którą trzyma w ręce.

– Charles, kłopot polega na tym, że ty kompletnie nic nie wnosisz. Jeśli choć na chwilę przestałbyś swoimi ciągłymi wątpliwościami hamować mój dynamiczny rozwój, może udałoby mi się wtrącić, że Clifford J. Brawnheart ma zawsze rację. Koniec, kropka.

No i to rzeczywiście był koniec. *Papież na linie* od owej chwili pozostawał zamknięty w mojej walizce i chociaż różne dotyczące go kwestie merytoryczne były jeszcze długo omawiane, nikt go już więcej nie czytał. Wątpię, czy to dzieło stanie się moją przepustką do Penklubu, ale jestem pewien, że nadejdzie taki dzień, kiedy napiszę coś dużego i znaczącego. Zadziwię to głupie miasto, a książka z moim nazwiskiem na okładce zrobi karierę na Manhattanie.

Często się zastanawiałem, czy tato w swojej bibliotece też nad czymś takim pracuje. Od dawna podejrzewałem, że coś pisze. Spędza tam większość wieczorów. Czasami zasypia przy biurku.

Na mur-beton nad czymś pracuje. Ciekaw jestem, o czym to jest. Interesuje mnie, czy już się zbliża do zakończenia. I jakie to jest długie, ile ma stron, ile ma słów. Zaczął się tam wymykać przed wielu laty i zawsze zamyka za sobą drzwi na klucz, czego nigdy nie rozumiałem. To znaczy ja i tak nie wszedłbym bez uprzedzenia, a mama też tam nie zaglądała. Od ośmiu lat. No bo biblioteka taty była kiedyś drugą sypialnią. Pomalowano ją na kolor liliowy i urządzono na przyjęcie mojej młodszej siostry, która umarła tuż po urodzeniu. Mama o mało nie przyplącała tego życiem. Wiadomo, że po tym wszystkim nie ma już szans na następne dziecko.

Jednak dziwnie się robi, jak się pomyśli, że i ja, i tato nocami, pod jednym dachem, potajemnie gryzmołimy, snując fikcyjne historie. Ciekawe, czy gdybym powiedział mu o moim pisaniu, on opowiedziałby mi o swoim. I czy pozwoliliby mi trochę przeczytać?

Starannie zamykam walizkę i zabezpieczam zameczki. Wsuwam ją pod łóżko. Potem opieram głowę na rękach i wyglądam po raz ostatni przez okno. Jasper Jones nie przyszedł. Tej nocy jestem sam.

Odwracam się i kładę na poduszce. Spoglądam w dół, na tułów i brzuch, krzywię się na widok patykowatych ramion i żeber sterczących jak szczeble drabiny. Robię smutną minę. Zsuwam się

na podłogę i z determinacją wykonuję serię pompek. Przy dziesiątej jestem już prawie nieżywy.

Wracam do łóżka, dysząc, wsuwam ręce pod głowę i myślę o Elizie Wishart.

Może to zabrzmie śmiesznie, ale niemal czuję jej zapach. Zamykam oczy. Powinienem był z nią porozmawiać. Powinienem przemierzyć boisko i podejść z kieszeniami pełnymi najwłaściwszych słów. Tak bardzo chcę ją zobaczyć, że to prawie boli.

Zastanawiam się, co się teraz dzieje u niej w domu. Czy Eliza śpi, czy czuwa, przerażona. Myślę o jej rodzicach zgadujących, co się stało, panikujących. Na pewno zaangażowali już policję. Lokalne władze. Ludzi, których praca polega na odnajdywaniu zaginionych. Pewnie teraz już tam są. Jest ich mnóstwo. Specjalistów. Pewnie mają mapy, tablice, schematy prowizorycznie rozpięte na stołach. Zaczynają się organizować. Piją czarną kawę. Mówią szybko i głośno, palą papierosy. Kołnierzyki rozpięte, krawaty poluzowane. Przerzucają się argumentami, spierają się. Koncentrują się na świeżych tropach, które przywiodą ich bezpośrednio do mnie.

Ależ ten strach jest ohydny. Kiedy się pojawia, to jakby ktoś wyłączył grawitację. Wszystko nagle się zapada i wiruje jak w lodowatym wietrze. Mam takie samo uczucie jak wtedy, gdy nie mogę zasnąć i nagle, bez żadnego powodu, nachodzi mnie myśl, że kiedyś umrę. Że zostanę pochowany i zapomniany. Że będę pozbawiony wszystkiego i wszystkich, których znam, pamiętam i kocham. Kiedy sobie coś takiego uświadamiam, jakby kurczy mi się serce i nie mogę normalnie oddychać. Ta myśl we mnie pozostaje i się rozrasta. Rozumiem, że za sto lat każdy, kto teraz żyje w Corrigan, w Australii i na świecie, każdy rodzic, dziecko, każde zwierzę, wszyscy umrą. To dziwne i niewypowiedziane smutne uczucie. Jestem jednocześnie pusty i ciężki.

I teraz to czuję. Do tego doprowadził mnie Jasper Jones. Przewracam się na bok. Myślę o Elizie. Przypominam sobie jej

zapach i mój strach przeobraża się w radość. W brzuchu fruwią mi motylki. Myślę, jak miękkie wydają się jej policzki i jakie by to było uczucie, gdyby się przycisnęło do nich usta. I jak bym się czuł, gdybym szeptał jej do ucha słowa, które by sprawiły, że leciutko by się uśmiechnęła, słowa, które ukołoby jej przerażone serce i spowodowały, że to serce zabiłoby mocno i równo jak zegar na wieży Domu Górnika. Jak bym się czuł, obejmując ją w talii ramionami. Mocno. Jaka ciepła by była. I drzę.

3

Musiałem mocno spać, bo budzę się w tej samej pozycji. Skulony na boku. Czuję się stary i ociężały. Gdybym się z powrotem położył, mógłbym przespać kolejną noc.

Mrugam. Jeszcze raz mrugam. Najpierw widzę okno.

Tam jest osa. Tam. Siedzi na szybie, wciśnięta w narożnik. Wygląda na ożywioną. Jej odwłok porusza się powoli i złowieszczo.

Czuję przyływ strachu. Jakby mnie oblano lepką melasą. Najpierw oszołomiony, z niezrozumiałą przyjemnością przyglądam się osie. Potem zeskakuje z łóżka, jakby mnie prąd kopnął. Nigdy nie poruszałem się tak szybko. Nikt nigdy nie poruszał się tak szybko. Ręce i nogi mi się płaczą, usta wyrzucają serię samogłosek. Po omacku namierzam nocny stolik i rzucając na niego książkę. *Nadzy i martwi* nie trafili na blat, ale uderzyli w okiennicę, domykając ją.

Chwytam ręcznik i wybiegam. Nie jestem pewien, czy zamknąłem osę w pokoju, czy wyleciała. Strach mi mówi, że osa ciągle jest u mnie. I szepcze mi złowieszczo do ucha, że nieźle ją wkurzyłem. Serce mi wali, jakby było workiem treningowym napalonego boksera.

W łazience obmywam twarz ciepłą wodą i staram się uspokoić. Żeby nie ryzykować już spotkania z osą, nie wracam do pokoju, tylko biorę rzeczy z kosza na brudną bieliznę i naciągam na siebie.

Oczywiście, gdy tylko wchodzę do kuchni, atakuje mnie mama. Nawet się nie odwraca. Zupełnie jakby wyczuwała, że ciuchy są zmięte i nieświeże.

– Charlie, zdejmij to. Jeszcze ich nie wyprałam!

Stawia przede mną kubek kawy i szarpie moją bawełnianą koszulkę. Trę oczy i wzdycham.

– Ale ona nie jest brudna. Jest w porządku – mówię i upijam łyk kawy.

– Nie jest w porządku, Charlie. Nie będę cię drugi raz prosić.

Mama spogląda na mnie wzrokiem, który mógłby wytopić tunel w górze lodowej. Ale dzisiejszego ranka się tym nie przejmuję.

Siedzę cicho, co mama z pewnością uznaje za dowód niechętniej zgody. Żuję tosta, którego podała, i bez większego zainteresowania przeglądam jedną z gazet taty. On jest tego ranka dziwnie milczący. Zwykle jest trochę nieobecny i sprawia wrażenie, jakby myślami był daleko, ale dzisiaj przypomina ducha.

Mama udaje, że jest bardzo zajęta pucowaniem nieskazitelnej kuchni. Patrząc przez okno, przemawia do mnie ostro:

– Charlie, jeżeli wybierasz się dzisiaj do Jeffrey'a, to albo zostańcie u niego w domu, albo na naszej ulicy, tak żebym cię widziała.

Zamieram i marszczę brwi.

– Dlaczego?

– Dlatego, że tak mówię.

Patrzę na tatę, ale on, jak zwykle usadowiony na drugim końcu stołu, nie zabiera głosu. Równie dobrze mógłbym tu siedzieć z dobrze odżywionym psem myśliwskim. Unoszę ręce, jakbym dźwigał naczynie pełne pytań.

– Ale co to za uzasadnienie?

– Jestem twoją matką. Nie muszę niczego uzasadniać.

– Przecież to nie ma najmniejszego sensu! – wybucham i wtedy ona się odwraca. Mam za swoje. Wściekłe spojrzenie matki. Te oczy

mogłyby nawet z Errola Flynna uczynić eunucha. Pod jej wzrokiem muszę spuścić powieki i spojrzeć w bok. Zupełnie jakbym próbował patrzeć prosto w słońce.

– Będiesz tak ze mną dyskutował, czy, do cholery, zrobisz to, co powiedziałam?

Retoryczny zwrot, którego nie cierpię. Nie wygram. Nigdy nie mam szans na wygraną. Przede mną zawsze widnieje troje czerwonych drzwi z napisami: MILCZENIE, ZGODA i NIEUCHRONNE BICIE. Otwarcie którychkolwiek zapewnia jej zwycięstwo.

W tym momencie nienawidzę obojga rodziców tak, jak nienawidzę os. Ojca za to, że jest taki służalczy i bezużyteczny, a matki za to, że wymachuje czerwoną flagą.

Otwieram czerwone drzwi z napisem MILCZENIE. Najmniej bolesna przegrana.

– No dobrze.

Matka powraca do pucowania czystej ławy. Wściekam się, ale milczę i żuję tosta. Czas płynie, a ja parę razy spoglądam na ojca. Przemykam wzrokiem po tytułach w gazecie i czytam o tym, jak Amerykanie pomagają Wietnamczykom, i o tym, że w najbliższym czasie więcej australijskich oddziałów prawdopodobnie zostanie tam wysłanych.

To niepokojące, bo tato nie znosi wojny. Chciał pojechać do miasta, żeby się przyłączyć do protestujących, ale mama mu nie pozwoliła. Powiedziała, że to kompletna strata czasu i pieniędzy: jechać tylko po to, żeby się przespacerować w tłumie ludzi. Chciałem, żeby tato się zbuntował i pojechał. Mógłbym wtedy wyruszyć razem z nim. Ale został.

W końcu mama wychodzi z kuchni, głośno mówiąc o stercie prania, które na nią czeka. Nasłuchuję, czy jest zajęta. Potem cicho

wstaje i wychodzę, delikatnie zamykając za sobą frontowe drzwi. Drugi raz w ostatnim czasie wymykam się z domu.

Szybko idę do Jeffreya, oglądając się przez ramię. Wyobrażam sobie, że mama otwiera na oścież drzwi mojego pokoju i wypada przez nie chmara wielkich owadów, które obsiadają ją całą, jak kolczuga, i brzęczą głośniejsz niż pracujący tartak.

Obawa przed owadzią zemstą powoduje, że gnam, nie zatrzymując się, przez ogród pana Lu. Niecierpliwie pukam do drzwi. Ku mojemu zdumieniu sam Jeffrey natychmiast otwiera. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Jego mina jest kwintesencją rozczarowania.

– Szanowny panie, przyszedłem porozmawiać o Chrystusie. Błagam tylko o chwilę pańskiego czasu. Dla Chrystusa Pana – mówię.

Jeffrey gwałtownie schyla głowę. Wzdycha głęboko.

– Nic z tego, Chuck.

– Ale panie, na Chrystusa...

– Nie, poważnie, nic z tego – odpowiada Jeffrey, ciągle przytrzymując drzwi. – Nie możesz wejść, a ja nie mogę wyjść.

– Nie musisz wychodzić, i tak wszyscy wiedzą, że jesteś pedałem. – Uśmiecham się i przeciskam do środka.

– Zamknij się, debil. Mówię poważnie. Jestem uziemiony.

– Naprawdę? – Drętwieję.

– Tak.

– Ale dlaczego?! Co zrobiłeś? Wczorajem widziałem, jak twój tato na ciebie krzyczał.

– No... – Jeffrey uśmiecha się słabo i szepcze: – Wczoraj pani Sparkman przyszła do nas coś pożyczyć i dokładnie w chwili, kiedy

mama otworzyła drzwi, Prezes Kri gwizdnął i zaskrzeczał: „Mamo, idziemy do miasta pograć w pieprzonego krykieta! Mamo, idziemy do miasta pograć w pieprzonego krykieta!” Oczywiście pani Sparkman stanęła w pasach i powiedziała mamie, co to znaczy i jak chamsko brzmi. Głupie ptaszysko mnie wydało!

Konam ze śmiechu. Jeffrey trzyma palec na rozciągniętych w uśmiechu ustach.

– Wiem, że to śmieszne. Ale mama się wściekła. Była jak tornado. Huragan furii. Teraz naprawdę jest chujowo. Nie pozwoli mi nawet słuchać sprawozdania z meczu testowego. Ja tu zwariuję, Chuck. Wiesz może, jaki jest wynik? I czy Doug Walters już gra?

– Pojęcia nie mam.

– Kurwa! – syczy Jeffrey i gwałtownie strzela palcami. – Jesteś kompletnie beużyteczny, Chuck.

– Ja jestem beużyteczny? A co niby mam zrobić?

– Nie wiem. Idź i odszukaj Elizę Wishart. Zróbcie sobie piknik na łące, uwijcie wianuszki ze stokrotek i... jak to się mówi? Aha, igrać! I poigrajcie sobie na trawie.

– Może lepiej wypruję ci flaki gołymi rękami.

– Pedał.

– Co w tym niby pedalskiego?

– Nie wiem co, ale coś jest.

Za Jeffreyem jego mama mówi coś ostro. Nie rozumiem słów, ale jej ton jest wystarczająco wyrazisty.

– Muszę wracać do środka, Chuck – mruczy posepnie Jeffrey, wzdycha i macha mi ręką, zamykając drzwi.

Nasza spokojna, czysta ulica stała się nagle przytłaczająca. Ogród Ana, upał, który wpelznął wszędzie, gniazdo os, jakim stał się

mój pokój, ta cegła w brzuchu, kobieta-potwór czekająca w domu na moją zgubę. Ruszam bez celu w kierunku miasta. Może pójde do biblioteki. Albo do księgarni. Szkoda, że nie wziąłem ze sobą oszczędności.

Przechodząc obok boiska, patrzę, jak jakieś dzieciaki próbują puszcząć latawiec. Zdaje się, że same go zrobiły z patyków, gazety i żyłki wędkarskiej. Nie sądzę, żeby im się udało. Powietrze jest nieruchome, a nad boiskiem chyba jeszcze gorętsze. Mimo to biegną szybko po prostej, a za nimi sunie w podskokach latawiec. Wygląda to, jakby ich gonił.

Docieram do biblioteki. Poza panią Harvey, bibliotekarką, nikogo nie ma.

Od czasu, kiedy uzyskałem dostęp do książek ojca, bywam tu coraz rzadziej, więc czuję się trochę tak, jakbym odwiedzał starą ciotkę. Unosi się tutaj znajomy, mocny zapach. Nagle czuję, że jestem w domu.

Jakiś czas spędzam w dziale powieści, ale tylko prześlizguję się wzrokiem po grzbietach książek. Idę dalej. Kiedy jestem już w dziale kryminałów, serce zaczyna mi walić, zatrzymuję się i zaczynam patrzeć uważnie. Wyławiam tomy i cały stos biorę w ramiona. Kiedy stają się zbyt ciężkie, żeby je utrzymać, zanoszę na biurko w kącie. Kładę je na blacie i zapalam małą, stołową lampkę. Jestem podekscytowany myślą, że dokładnie wiem, po co przyszedłem. Wszystkie te książki opisują autentyczne zbrodnie. Na okładkach mają niewyraźne, prasowe zdjęcia reportażowe albo ilustracje ze scenami z miejskich ulic. W tekstach reklamowych najczęściej pojawia się sformułowanie „mrożący krew w żyłach”. Sprawdzam, kto je wypożyczał przede mną. Czy jest jakieś nazwisko, które się powtarza. Większość nazwisk na kartach katalogowych nic mi nie mówi, zresztą na ogół są nieczytelne. Nie ma tu nazwiska Jack Lionel. Nie ma nikogo, kogo bym kojarzył.

Fascynująca lektura. Przedzieram się przez historie sławnych i nieznanym morderców. Dowiaduję się, że Kuby Rozpruwacza nigdy nie złapano. Że Burke i Hare mordowali dla pieniędzy, a potem sprzedawali ciała uczelniom medycznym. Pochłaniam słowa. To takie gotyckie i surrealistyczne. Czytam o Albercie Fishu, który nosił przydomek Wampir z Brooklynu. Jego wspomnienia są tak przerażające, że nawet nie mogę dokończyć czytania. Gwałtownie zamykam książkę. Patrzę w lewo, patrzę w prawo. Odrzuca mnie to wszystko i zarazem pociąga. Znowu otwieram książkę.

Fotografia robi piorunujące wrażenie. Twarz potwora – pożeracza niewiniątek. Asymetryczna ptasia twarz i groźne oczy. Muszę odwrócić wzrok. Dokładnie tak wyobrażam sobie Szalonego Jacka Lionela. Taki powinien być: ostry i przyczajony. Jakby w każdej chwili mógł warknąć i ugryźć.

Przeglądam pozostałe tytuły. Są intrygujące i niepokojące. Pochyliam się nad kartkami, ale czegoś mi tu brakuje. Nowy Jork, Londyn, Paryż. Wszystko takie odległe w przestrzeni i w czasie. Historie są napisane trochę jak fikcja literacka. Za dużo zostawiają pola dla wyobraźni.

W tym momencie przypominam sobie Potwora z Nedlands. Tak, to o nim chcę czytać. Pamiętam głównie jego ubiegłoroczną egzekucję, która ucieszyła chyba wszystkich poza moim tatą. Ale niewiele wiem o tym, co Potwór zrobił.

Odkładam książki i idę do działu czasopism. Przez godzinę wyszukuję gazety, gdzie na pierwszych stronach pojawia się jego nazwisko. Buduję na prawo od siebie duży i ciężki stos gazet. Pani Harvey ostro zwraca mi uwagę, żeby je potem odłożyć we właściwej kolejności. Myślę, że tak naprawdę jest szczęśliwa, że w końcu ktoś robi użytek z jej dzieła.

Znoszę gazety na biurko i zabieram się do nich, starając się czytać w porządku chronologicznym. Od przyczajonego cienia, który przed trzema laty w ciągu jednego weekendu zastrzelił pięcioro ludzi,

do spokojnego, cichego mężczyzny z zajęczą wargą, którego wreszcie aresztowano i powieszono. Ta historia jest bardziej makabryczna i przerażająca niż inne, bo znam te miejsca i pamiętam czas. Histeria bijąca z tytułów jest zaraźliwa nawet dla mnie, chociaż wiem, jak to wszystko się skończy.

W tym poddaniu się strachowi nie jestem odosobniony. W artykułach i listach do redakcji wyraźnie czuje się strach, który wzmaga się, kiedy pojawiają się informacje o kolejnych zbrodniach. To taka gorączkowa panika, wywołana niewidzialnym i przyczajonym złem, zupełnie jakby Perth było samym Gotham City.

Wyobrażam sobie przestraszonych mieszkańców miasta, otulających się szczelniej płaszczami na zimnym wietrze, który miota liście na ich drodze. Czytam. Dziennikarze napominają ludzi, żeby zamykali drzwi na klucz, domagają się wprowadzenia godziny policyjnej i zachęcają panie do noszenia długich spódnic. Znajduję rozkładówkę z instrukcją, jak zabezpieczyć swój dom, napęczniała wprost od przerażenia i najdzikszych spekulacji. Nigdzie nie było spokojnie, nikt nie był bezpieczny. Każdy mógł być następny.

A potem go złapali. To był Eric Edgar Cooke, który wrócił po pistolet. Policja go dopadła. Pewnie się zastanawiał, czemu zajęło im to tak dużo czasu.

Gapię się na jego zdjęcie. Szczupły, przygarbiony mężczyzna, który sterroryzował całe miasto. Przez niego uciekali w trwodze i przez niego byli wobec siebie nawzajem tacy podejrzliwi. Eric wygląda jak pobity i pokonany Jack Dempsey. Jest słaby, udręczony i chory. Dużo rzeczy jest wyrytych na tej twarzy, ale ja szukam w niej odpowiedzi na pytanie dlaczego. Dlaczego zabił kobietę w jej własnym łóżku? Dlaczego strzelił między oczy człowiekowi, który otworzył drzwi, gdy Eric do nich zapukał? Dlaczego? Dlaczego zabił tych wszystkich ludzi? Dlaczego chciał, żeby wszyscy w mieście się pozamykali?

Wolno kręcę głową i czytam dalej. Nie interesują mnie już morderstwa same w sobie. Wydaje mi się dziwne, że nawet kiedy go już złapano i wsadzono do więzienia i kiedy się okazało, że jest takim małym, nijakim człowieczkiem, panika w mieście wcale nie ustąpiła. Ludzie cały czas się trzęśli.

W końcu zaczynam sobie z kawałków budować historię życia i obraz dzieciństwa Erica. Myślę, jak okrutnie się nad nim pastwili z powodu zajęczej wargi. O tym, jaki był samotny. Jak wszyscy go opuścili z wyjątkiem jego biednej matki. Myślę o jego ojcu alkoholiku, który bił go pięściami, a czasami grubym pasem. Ojcu, który wydawał pensję na alkohol i pozwalał, żeby rodzina chodziła głodna. Eric musiał kraść, żeby utrzymać się przy życiu.

To straszne i smutne. Ciągłe jednak nie rozumiem. Czy to naprawdę dlatego? Czy takie są cechy mordercy? Podpieram głowę na ręce i myślę o Jasperze Jonesie. Jest sierotą, no, prawie sierotą. Jego ojciec dużo pije i ciężko bije. Swojego jedyne go syna. Jasper też musi kraść, żeby mieć co jeść. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, co się dzieje w jego domu. Myślę o Jeffreyu Lu, którego przez całe życie każdego dnia ktoś upokarza. Myślę o Samie Quinnie, chłopcu z naszej szkoły, który ma rozszczep podniebienia. I o Prue Styles, samotnej dziewczynce, która ma na twarzy duże, czerwone znamię. I o Szalonym Jacku Lionelu. Widzę jego twarz podobną do twarzy Alberta Fisha i kilku morderców zapamiętanych z kina. Wyobrażam sobie, jak siedzi samotnie na werandzie w nocnej ciszy. Twarz z blizną, dzikie oczy. Pilnuje swojej upiornej farmy. Patrzy, jak dziewczynka w nocnej koszuli idzie w stronę rzeki.

Poprawiam okulary i jeszcze raz spoglądam na Erica Cooke'a. Nagle uświadamiam sobie, że ludzie mogą sobie nawzajem coś takiego zrobić. Naprawdę są do tego zdolni. Myślę: Jak cienka jest granica? Czy każdy z nas nosi to w sobie? Czy wystarczą konflikt i presja? Pech i bieda? Czas i okazja? Drapię się w głowę i wzdycham. Może Mark Twain zna odpowiedź.

Ku mojemu zaskoczeniu następne czasopismo zawiera odpowiedź pochodzącą od samego Cooke'a.

Papier jest suchy i szeleści, kiedy przeglądam tekst. I pachnie starością. Znajduję właściwą stronę. Róg jest zaznaczony małym naddarciem. Ciarki przechodzą mi po krzyżu na myśl o kimś, kto kiedyś zaznaczył sobie w sekrecie ten fragment. Tu jest inne zdjęcie Cooke'a. Teraz wygląda bardziej żałośnie. Sprawia wrażenie zrezygnowanego. Czytam zachłannie. Pod koniec dziennikarz pyta go dlaczego. Dlaczego to zrobił? Cooke odpowiedział: „Po prostu chciałem kogoś zranić”.

Wzdycham i opieram brodę na pięści. Przez jakiś czas patrzę w okno. To nie to. To nie może być wszystko. Sięgam po gazetę, która ukazała się dzień po egzekucji Cooke'a, ale nie znajduję w niej żadnej relacji. Dopiero kiedy sporo już przeczytałem, zorientowałem się, że się pomyliłem: 27 października 1965. Cały rok później.

Czytam, mimo że data jest niewłaściwa. Natrafiam na tytuł, który przejmuje mnie dreszczem. Przerywam, żeby przetrzeć okulary skrajem koszulki. Wstrzymuję oddech i kieruję wzrok na tekst pod nagłówkiem.

Czytam o dziewczynce z Ameryki o nazwisku Sylvia Likens. Policja znalazła ją nieżywą na brudnym materacu. Sylvia miała szesnaście lat. Tyle samo co Laura Wishart. Czuję, że kusi mnie ścieżka, na którą nie powinienem wkraczać. Historia Sylvii jest mroczna i obrzydliwa. Niedobrze mi, zimno i czuję się jakiś pusty, chcę jednak wiedzieć więcej. Wracam do półek z czasopismami i przynoszę sobie na biurko kolejne numery po październiku. Pani Harvey patrzy znad oprawki okularów. Siadam ciężko. I czytam, znowu czując cegłę w brzuchu. Odtwarzam historię Sylvii Likens.

Jej rodzice pracowali w wesołym miasteczku i ciągle jeździli od miasta do miasta. Kilka miesięcy wcześniej, w lipcu, musieli wyjechać do kolejnej pracy. Nie stać ich było na zabranie ze sobą dzieci, więc ojciec zwrócił się do nowo poznanej kobiety, Gertrude

Baniszewski, i zaproponował jej dwadzieścia dolarów tygodniowo za opiekę nad Sylwią i jej młodszą siostrą Jenny. Baniszewski, opisana jako kobieta chorowita i surowa, przyjęła propozycję, mimo że miała siedmioro własnych dzieci i pozostawała w separacji z mężem.

Wydaje się, że gdy tylko drzwi się zamknęły, rozpoczął się koszmar Sylvii Likens. Od początku Gertrude Baniszewski była nieprzyjemna, podejrzliwa, zazdrosna i groźna. Od razu znieubiła dziewczynki, a szczególnie Sylwię, i często niesłusznie oskarżała ją o kradzież, żeby móc ją ukarać.

Po pierwszym tygodniu pieniądze, które obiecał ojciec dziewczynek, nie nadeszły. Rozwścieczona Baniszewski zabiła Sylwię drągiem. To było pierwsze z wielu pobić. Przemoc stale się powtarzała i nasilała. Baniszewski była mściwa i ohydna. Z jakichś powodów oskarżała Sylwię, że jest nieczysta. Sylvia musiała być przerażona. Po kilku tygodniach zaczęła moczyć się w łóżko. Jednak Baniszewski nie zęcała się nad nią sama. Pociągnęła za sobą własne dzieci i innych z sąsiedztwa, zachęcając do pastwienia się nad Sylwią. Trudno mi o tym czytać. A jeszcze trudniej uwierzyć, że to prawda. Mocno ją związali. Dwanaścioro dzieciaków. I robili rzeczy nie do pomyślenia. Ranili ją i bili. Zmusili, żeby się rozebrała. Kazali tańczyć. Kazali jej włożyć sobie butelkę coli w miejsce intymne.

Muszę odwrócić wzrok. Patrę przez okno i zagryzam wargi. Staram się powściągnąć wyobraźnię. A jednak wracam do czytania. Coś mnie do tego popycha, chociaż wiem, że nie powinienem tego robić.

Tortury Sylvii były coraz straszniejsze. Codziennie była kopana, raniona, bita i przypalana. Chłopcy ćwiczyli chwyt judo na jej wątłym ciele. To była dla nich jakaś makabryczna zabawa. Na rozkaz Baniszewski metodycznie torturowali Sylwię. Zanurzali ją w lodowatej wodzie i trzymali pod powierzchnią, żeby oczyścić ją z grzechów. Sypali sól na jej otwarte rany.

Wreszcie Sylvia spróbowała uciec. Złapali ją na półpiętrze. Nie zdołała dotrzeć nawet na podwórko. Baniszewski zaciągnęła ją z powrotem. Wepchnęła pod schody do piwnicy. Od tego czasu Sylvia mieszkała tam razem z psami. Baniszewski traktowała ją, jakby była jednym ze zwierząt. Było coraz gorzej. Zaczęli ją budzić w nocy. Głodzili ją, dając do jedzenia tylko sucharki. Nie pozwalali jej się ubrać ani skorzystać z łazienki. Kazali jej zjadać własne odchody i wymiociny. Na kilka dni przed śmiercią Sylvii Baniszewski związała ją i rozpaloną igłą tatuowała napis na jej brzuchu. Ale musiała przerwać, bo zemdleł ją odór przypalanego ciała. Przekazała igłę chłopakowi z sąsiedztwa. Napis brzmiał: „Jestem prostytutką i jestem z tego dumna”. Chłopak też musiał przerwać, bo nie wiedział, jak się pisze „prostyutka”. Baniszewski mu pokazała i skończył.

Sylvia powiedziała Jenny, że niedługo umrze. Powiedziała, że jest tego pewna. Jak strasznie musiała się bać. Chyba się poddała. Tyle wycierpiała. Nie miała już siły.

Jedyny akt oporu Sylvii polegał na waleniu przez całą noc łopata w ścianę piwnicy. Ale nikt nie przyszedł. Nikt jej nie wyzwolił. Umarła w wannie. Z głodu i szoku. Po prostu osunęła się do wody. Baniszewski i jej córki, kiedy to odkryły, rzuciły zwłoki na brudny materac w korytarzu. Skrzyżowały jej ręce na piersi. A potem Baniszewski kazała temu samemu chłopakowi zawołać policję.

Policjanci znaleźli drobne ciało, podrapane, powiązane, poranione, posiniaczone i napiętnowane, ciągle jeszcze mokre. Sylvia miała na skórze bąble od oparzeń i pełno śladów po gaszonych na niej papierosach. Wybito jej zęby. Miała podbite oczy. Połamane paznokcie. Przekłutą dolną wargę.

Zanim policjanci wyszli, Jenny Likens w milczeniu pociągnęła jednego z nich za koszulę. Powiedziała: „Jeżeli mnie stąd zabierzecie, wszystko wam opowiem”. Tego samego popołudnia Baniszewski została aresztowana.

Przestaję czytać.

Najtrudniej mi zrozumieć, dlaczego Jenny przemówiła dopiero tamtego dnia. Patrzyła na to od tygodni, była przy każdym akcie okrucieństwa. Przecież mogła coś zrobić. Czy nie chodziła do szkoły, kiedy Syvię trzymano związaną w domu? Mogła tam komuś powiedzieć.

Ale nie chodzi tylko o Jenny. W gardle mnie ściska na myśl o całym milczącym chórze. Czemu nikt jej nie pomógł? Sąsiedzi wiedzieli. Och, wiedzieli. Ci, którzy mieszkali obok, Vermillionowie, bywali u Baniszewski i widzieli, jak bardzo Sylvia jest poraniona. Słyszeli krzyki i hałasy. Głuche uderzenia łopaty. Jednak z ich strony nie padło ani słowo. Pozwolili, żeby to się stało. Czy ich to nie obchodziło? Wszystkich? Tego mnóstwa ludzi, całej dzielnicy, całego miasta? Tych wszystkich rodzin? Nikt nie powiedział ani słowa.

I jak to się stało, że Gertrude Baniszewski nakłoniła tyle dzieci do udziału w tych okrucieństwach? Jak mogły wracać dzień za dniem i robić te wszystkie nieludzkie rzeczy? Jak to się stało, że po powrocie wieczorem do domu nie okazywały przygnębienia i wstydu? Czym Sylvia Likens zasłużyła sobie na to wszystko? A może to był tylko cholerny pech i okazja?

Wszystko się we mnie gotuje. Muszę to stłumić, żeby nie wybuchnąć.

Za dużo przeczytałem. Za dużo widziałem. Jestem dziwnie rozdygotany. Zły i oszołomiony. Nie wiem, co ze sobą zrobić. Chcę umyć trzęsące się ręce. Jakoś wypłukać głowę w środku. Żałuję, że nie potrafię zapomnieć tego, co już wiem. Chciałbym oczyścić pamięć z myśli o Ericu Cooke'u, Albercie Fishu, wyrwać z serca Syvię Likens. A Laura Wishart? W tej chwili byłbym zdolny jednym pociągnięciem wymazać ich wszystkich z pamięci. Wybrałbym zapomnienie. Spałbym spokojnie w swojej szklanej kuli i nie otworzył okna przed Jasperem Jonesem.

Opuszczając bibliotekę, jestem kompletnie wyczerpany. Zostawiam na biurku stos wymieszanych książek i czasopism.

Mrużę oczy w słońcu i zastanawiam się, dokąd pójść. Po całym ranku spędzonym na czytaniu mam więcej pytań niż odpowiedzi.

Postanawiam iść do domu drogą przy księgarni. Idąc, patrzę na swoje stopy. W głowie mi się kręci od myśli. Popływałbym. Chciałbym zanurkować w rzece Corrigan, zanurzyć się w jej falach i zmyć z opalonej skóry całą tę gorączkę. Wyobrażam sobie, jak ocieram się o dno, a potem wypływam. I leżę na powierzchni. Dryfuję. Jak tratwa. Albo zwłoki.

Myśli mam zajęte, więc potykam się o wystającą płytę chodnika. Nie upadam co prawda, ale łapiąc równowagę, robię z siebie widowisko. Człapię jak kaczątko po lodzie. Kiedy się prostuję, podnoszę oczy i dostrzegam przed księgarnią Elizę Wishart. Wygląda na rozbawioną i zaniepokojoną.

– Nic ci się nie stało, Charlie?

Tłumię ból i opieram ręce na biodrach. Zmuszam się do uśmiechu, który pewnie wygląda jak chytry grymas, i podnoszę rękę. Muszę sprawiać wrażenie gościa, który właśnie wypił szklanke cudzego moczu i reklamuje go jako świetny napój orzeźwiający.

– Taaa... – odpowiadam i naprężam plecy. – Jasne. Nic mi się nie stało. Nie bolało. Naprawdę. Wcale. Tylko... Cholera, trzeba to zgłosić radnym. Te płyty są... niebezpieczne.

Chryste, boję się spojrzeć w dół. Powinienem był umyć nogi. Wstrzymuję oddech. Chciałbym umrzeć albo się rozplakać, albo odciąć sobie kończyny piłą.

Ale Eliza się uśmiecha i wszystko we mnie się wycisza. Jest piękna. Dzisiaj wygląda trochę jak Audrey Hepburn.

– Mogę powiedzieć ojcu. Przypilnuję, żeby sprawa chodnika była pierwszym punktem najbliższych obrad.

– Och, nie! – protestuję, kiedy wreszcie skojarzyłem. – Nie chciałem, żeby, no, wiesz...

– W porządku, Charlie, żartowałam.

– Och.

– A gdzie Jeffrey? Gra w krykieta?

– Nie. Jest uziemiony. Nie może wyjść z domu.

Eliza spogląda współczująco.

– Naprawdę? A co zrobił? To coś poważnego?

– Nie, głupstwo. Nic, no wiesz, złego.

Denerwuję się. Gdzie się podział ten elegancki, czarujący młodzieniec, którym bywałem, wyobrażając sobie taką chwilę jak ta? Błyskotliwość mnie opuściła. Akurat teraz, kiedy jej potrzebuję. Jestem tępakiem.

– Co robisz w mieście? – pyta Eliza.

– Och, nic – mruczę i spuszczam oczy. – Byłem tylko w bibliotece.

Eliza kiwa głową.

– Wiesz, żeby poczytać.

– W bibliotece?

Od razu się peszę, a ona się śmieje. Och, przechytrzyła mnie. Totalnie. Muszę się pozbierać. Czuję, że się czerwienię. Szuram piętą po ziemi.

– Tak. To mniej podejrzane niż udawanie przed księgarnią, że się przegląda książki z zamiarem kupna.

– Nie rozumiem, co masz na myśli. – Eliza przenosi ciężar ciała na jedną nogę i przechyla głowę.

– Udajesz, że tylko przeglądasz książki, ale wiem, że tak naprawdę je czytasz. Przyłapałem cię.

Eliza uśmiecha się i przewraca oczami.

– No tak. Przejrzałeś mnie, Charlie. Czytasz we mnie jak w otwartej księdze. Będzie z ciebie wielki detektyw.

To mnie ustawia do pionu. W głowie mi wiruje i czuję mrowienie w palcach. Uśmiecham się słabo, próbując opanować mdłości. Obok mnie przelatuje ważka, więc się zwijam, jakby mnie postrzelono z broni palnej.

Eliza unosi brwi.

– Muszę iść do domu, Charlie. Wymknęłam się po cichu.

– Okej. – Kiwam głową gwałtownie jak gołąb.

Eliza macha cienką książką, którą trzyma w ręku, i poprawia sukienkę.

– Muszę tylko to kupić – mówi szybko, a potem milknie i otwiera drzwi. – Chcesz mnie odprowadzić?

Otwieram usta. Wzruszam ramionami i znowu kiwam głową.

Kiedy drzwi się za nią zamykają, rozlega się delikatny dzwoneczek.

Mam pewnie za mało czasu, żeby wziąć się w garść. W myślach karzę się za włożenie brudnych ciuchów. Mam nadzieję, że nie śmierdzą.

Właśnie obwąchuję sobie pachę, kiedy Eliza wychodzi z książką w brązowej torbie. Opuszczam ramię tak gwałtownie, że tracę równowagę.

Ruszamy. Wkurzam się na siebie. Czy mam ją wziąć za rękę? Mam to zrobić? Tak. Powinienem to zrobić. Ale dłonie mi się pocą. Mocno. To by było niemiłe. Odpychające. Jakbym dał jej do potrzymania obleśnego bezkręgowca. Więc nie zrobię tego. Nie.

Ale idę blisko niej. Dochodzimy do boiska. Mam nadzieję, że ci debile nadal trenują i widzą mnie z nią. Ale ich nie ma. Boisko jest

puste, tylko jeden starszy mężczyzna ćwiczy pod figowcem zamach kijem golfowym.

Udaję, że obserwuję go z zainteresowaniem. Wpadam w panikę. Powinienem ją zabawić rozmową. Powinienem wyprężyć ramiona jak Jasper Jones. Staram się, żeby moja głupia mózgowica wyprodukowała zgrabne powiedzonka i riposty.

– Jaka książkę kupiłeś? – pytam, wskazując głową na brązową torbę.

– Och... – Eliza podnosi torbę obiema rękami. – *Śniadanie u Tiffany'ego*.

Kiwam głową i otwieram, a potem zamykam usta, jak wielka ryba. W głębi duszy jestem wściekły, że tego nie czytałem. Przeczytam. Jeszcze dzisiaj wieczorem.

– Cztery razy oglądałam film – mówi Eliza. – Ale jeszcze nie czytałam książki. Mama mówi, że mi nie wolno, ale to bez sensu, bo i tak wiem, co się stanie. I tak to przeczytam. Szkoda, że nie mieszkam na Manhattanie.

– Ja też bym chciał. Albo w Brooklynie – mówię.

– Ale będę mieszkać na Manhattanie. A ty możesz w Brooklynie i będziemy się spotykać w hotelu Plaza na herbatce. Będę ubrana w futro z lisa, a na nogach będę miała pantofle na wysokich obcasach. A ty będziesz miał szalik w szkocką kratę i brązowy garnitur w prażki. I fajkę.

– Brzmi nieźle.

Minęliśmy boisko i skręciliśmy w zwirowaną dróżkę prowadzącą do jej domu. To jest starsza dzielnica miasta. Stoi tu sporo dwukondygnacyjnych domów, przed którymi rosną wiekowe drzewa. To jedyna część Corrigan, która wykazuje trochę klasy. Dzisiaj jest tu dziwnie cicho. Nie przejeżdża żaden samochód, nie ma dzieci ani zwierzaków.

– Lubisz Audrey Hepburn? – pytam.

– Tak. Uwielbiam. – Eliza się ożywia. – Uważam, że jest olśniewająca. I ładna. Jest taka... dystyngowana. A tobie się podoba?

– Żartujesz? – Miło mi, że tak ją to zainteresowało. – Jasne, że jest piękna. Naprawdę. Oszalająca. Podoba mi się najbardziej... z aktorek oczywiście.

Eliza się uśmiecha. Mam nadzieję, że nie było zbyt łatwo mnie przejrzeć. Nie panuję nad rękami. Machają we wszystkich kierunkach, jakby w ogóle do mnie nie należały. Pewnie wyglądam, jakbym nie kontrolował własnego ciała. Ale mówię dalej:

– I oczywiście ma talent. To widać. Nie jest po prostu, no wiesz, ładna. Jest też inteligentna. Naprawdę ją lubię. Bardzo.

Eliza wygląda na rozbawioną.

– Widziałeś już *Śniadanie u Tiffany'ego*? – pyta i spogląda na mnie spod przymrużonych powiek.

– No, nie. Jeszcze nie widziałem.

– Naprawdę? Musisz zobaczyć. A co widziałeś? Cholera. No to leżę. Jakie filmy widziałeś, Charlie?

Kretyn.

– No, może... mój ulubiony to pewnie... No ten ostatni... z tym...
– jąkam się.

– Z Rekssem Harrisonem?

– Tak! – prawie wykrzykuję w poczuciu ulgi. – Nie mam pamięci do nazwisk.

– *My Fair Lady* – podpowiada Eliza, a ja miałbym ochotę ją ucałować.

– Tak, o ten mi chodziło! – mówię. – Była w nim niesamowita. Naprawdę.

– Podobała ci się, bo miała na imię Eliza?

– Och, jasne. Oczywiście – odpowiadam i czerwienię się.

Eliza uśmiecha się i spuszcza oczy. Strasznie chciałbym zmienić temat rozmowy. Przez chwilę idziemy w milczeniu. Zbliżamy się do ulicy Sullivan, na której panuje wyraźnie większy ruch. Trawniki są tu puszyste, gęste i lepiej utrzymane. Na całej długości okalają je dwa rzędy starannie przystrzyżonych drzewek. Eliza zwalnia.

– Pewnie już słyszałeś, prawda? – pyta miękko.

Żołądek mi się przewraca i całe ciało tężeje. Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Nie panuję nad oddechem i znajome uczucie mdłości powraca. Chcę uciec.

– Nie. A o czym?

– O mojej siostrze. Zaginęła. Nie ma jej od wczoraj. Nie wiemy, gdzie jest.

Milczę. Stajemy w cieniu drzewa, kilka budynków od jej domu. Spoglądamy przez ażurowe korony drzewek. Eliza wydaje się w plamach cienia taka malutka.

– Rodzice wariują. To znaczy matka. Nie przestaje się trząść i płakać. Tato stara się być taki jak zawsze, czyli śmierdzi piwem i dużo pokrzykuje.

Nie mogę nic powiedzieć. Mam zbyt sucho w ustach.

– Dzisiaj rano w domu była policja. Dlatego się wymknęłam. Nie znoszę ich.

– Czy oni... – chrząkam. – Podejrzewają, gdzie ona może być? – pytam. Czuję, że dreszcz przebiega mi po plecach, jakby już mnie przyłapano.

– Nie – mówi Eliza dziwnym tonem. Jakby opowiadała o rodzinie kogoś innego. Nie ma w niej śladu paniki. Żadne z nas nie może spojrzeć drugiemu w oczy. Eliza patrzy w ziemię, a ja gdzieś nad jej ramieniem. – Nie, naprawdę nie mają pojęcia. Zamierzają wkrótce rozpocząć poszukiwania. Pewnie jeszcze dzisiaj po południu. Wydaje mi się, że włączą w to ludzi z miasta i że przyjadą specjalne jednostki policji.

– Och, tak. Boże, Eliza. To potworne. Pewnie czujesz się... Jak się czujesz? A ty wiesz, gdzie ona może być?

Powiniennem położyć jej rękę na ramieniu. Albo otoczyć ją ramieniem. Albo powiedzieć coś uspokajającego. Ale to wydaje mi się nieszczerze i głupie. I nieuczciwe. Bo ja dokładnie wiem, gdzie jest jej siostra. Eliza Wishart cierpi, a ja dbam wyłącznie o własny tyłek. Czuję się jak świnia.

Zanim Eliza zdołała odpowiedzieć, ciszę ulicy przerwał głośny krzyk. To jej matka szybko idzie, prawie biegnie w naszą stronę. Ma czerwoną twarz i różowe, podpuchnięte oczy. Wygląda jak furiatka. Robię krok do tyłu.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyczy w stronę Elizy i wchodzi pod nasz parasol z liści. Kąciki ust ma skierowane w dół. Eliza pozostaje bierna i spokojna, kiedy matka gwałtownie nią potrząsa, chwytając za ramiona. Głowa szarpanej Elizy na zmianę pochyla się i odchyła. Eliza wydaje się taka krucha, jakby mogła się połamać, ale stoi prosto.

– Co ty wyprawiasz, głupia dziewczyno? Gdzie byłaś? Co ci wpadło do głowy, żeby wyjść z domu i nikomu nie powiedzieć? Wszędzie cię szukaliśmy! Ty głupia, głupia dziewczyno! Co ty chcesz mi zrobić?!

Matka Elizy cała się trzęsie z emocji. Wyraźnie widzę, że stara się stłumić płacz. Trzyma Elizę za ramiona.

Eliza wygląda jak ofiara drapieżnego ptaka. Mówi miękko:

– Wyszłam tylko na ulicę, żeby się spotkać z Charliem. Nie odeszłam daleko. Byłam tutaj. Przed wyjściem powiedziałam ojcu.

– Nie kłam!

– Nie kłamię – mówi po prostu Eliza i wzrusza ramionami.

Matka tylko raz uderza ją w twarz. Mocno. Czuję się dziwnie i jest mi wstyd. Eliza wydaje się nieporuszona.

– Więc skąd to masz, moja panno? – Matka wyrywa jej z rąk książkę i trzyma tuż przed twarzą Elizy.

Przytomność dziewczyny mnie zdumiewa.

– Charlie mi ją kupił. Dlatego się spotkaliśmy. Chciał mi dać prezent. To wszystko.

Matka Elizy po raz pierwszy patrzy na mnie. Jej spojrzenie jest przenikliwe i podejrzliwe. Oczywiście domyśla się, że to bzdura. Moja twarz wyraża trwogę. Staram się jakoś okazać poparcie dla słów Elizy.

– Myślę, że już najwyższy czas, żebyś wrócił do domu, jeśli nie masz nic przeciwko temu – mówi do mnie matka Elizy, a potem łapie ją za ramię i szarpie mocno.

Eliza, mijając mnie, odwraca się i uśmiecha słabo.

– Do widzenia, Charlie. Dziękuję za książkę.

– Proszę – wołam i dodaję: – Do zobaczenia w Plazie.

Myślę, że nie usłyszała. Moja pierwsza próba wykazania się poczuciem humoru odbija się od ściany liści.

Rozchylam gałązki i obserwuję, jak idąc w kierunku domu, matka Elizy garbi się i szlocha, skrywając twarz w dłoniach. Widzę, że role się odwróciły i teraz Eliza ją prowadzi. Obejmuje ją w tali. Przygarnia.

Myślę o zachowaniu Elizy. Jest taka spokojna i skupiona. Mimo całej paniki wokół pozostaje racjonalna. Patrzę, jak wchodzi po schodach wiodących z ogrodu do drzwi frontowych, obejmując łkającą matkę. Ktoś tam na nie czeka, wyciąga rękę i patrzy niespokojnie. Chowam się za gałązkami. I nagle wdziera się we mnie pewność. Jak ostrze noża. Czuję ciarki na całym ciele. Serce omal nie wyskakuje mi z piersi, a cegła w brzuchu nabiera ciężaru. Eliza Wishart coś wie.

Matka uderzyła mnie, jeszcze zanim zamknąłem za sobą frontowe drzwi. Mocno i dotkliwie. Trochę jak pani Wishart Elizę, ale w mojej matce jest wyraźnie więcej jadu. Długo boli. Dotykam twarzy, zszokowany. Matka krzyczy do ojca:

– To on, Wesley. Nic mu nie jest!

Matka nieczęsto mnie bije. A jeszcze rzadziej mówi do ojca Wesley. Mogę się jedynie domyślać, że to oznacza, że siedzę po szyję w gównie. Kiedy szedłem do domu naszą wyludnioną ulicą, miałem nadzieję, że matka zapomni o tym, że rano wymknąłem się ukradkiem.

Znowu mnie uderzyła. Jeszcze mocniej. Wykrzykuję jakieś słowa protestu. Zaczyna się przesłuchanie.

– Chryste, co ty wyczyniasz? Gdzieś ty był?

– U Jeffrey'a! – wołam i odwracam oczy. Marszczę brwi. Mam nadzieję, że nie widać łez.

– Bzdura, Charlie. Nie kłam! – Znowu mnie bije. Trzyma mnie za kołnierz i potrząsa.

– Przestań! To prawda! – Oczywiście, że nieprawda. Jestem okropnym kłamcą.

– Byłam tam trzy godziny temu i szukałam cię, mój panie! Kłamiesz! Dokąd poszedłeś? Gdzie byłeś?

– Byłem tylko w bibliotece. Uspokój się. Przepraszam.

– Mam się uspokoić? Uspokoić? Chcesz, żeby ludzie pomyśleli, że nie masz rodziców?

Chcę uwolnić kołnierzyk z jej dłoni. Chcę ją kopnąć w gołe i wybiec na zewnątrz.

– O co chodzi? Byłem tylko w bibliotece!

– Och! Tylko w bibliotece! Zaraz potem, jak kazałam ci nie oddalać się od naszej ulicy! Jak ci powiedziałam, żebyś nie wychodził z domu, dopóki się nie przebierzesz! Tam jest niebezpiecznie, rozumiesz? Wiesz, że w mieście grasuje cholerny kidnaper, a ty sobie spacerujesz po ulicach jak lord? Myślisz, że kim jesteś?

– Co?

– Zaginęła dziewczynka, Charlie – matka syczy mi prosto w twarz. Wbija paznokcie w skórę. – Laura Wishart. Została uznana za zaginioną. Rozumiesz?

– Zaginioną czy uprowadzoną? – pytam. Chcę wybadać, co ona wie.

– Nie pyskuj! – krzyczy i znowu robi zamach, żeby mnie uderzyć.

Prostuję się i trafia mnie w ucho. Czuję impuls, który przeszywa mi mózg. Przez chwilę mam wrażenie, jakbym był pod wodą. Nie myślę. Odpycham ją. Wygląda na zaskoczoną.

– Idź do swojego pokoju! – krzyczy.

– Nie mogę! Tam jest osa!

– Co?

– Osa! Dlatego nie mogłem się przebrać!

– Nic mnie to nie obchodzi! – krzyczy matka i pokazuje palcem wewnątrz domu.

– To się od jakiegoś czasu rzuca w oczy!

– Słucham? – Matka pochyła się bojowo i mówi przez zaciśnięte zęby.

– Mam to gdzieś! – wrzeszcze. – Pójdę tam i pozwolę, żeby mnie, cholera, użądliła!

Ruszam, a matka tuż za mną. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Właśnie użyłem przekleństwa przy matce. To jakbym popełniał harakiri, nie używając miecza. Zatrzasnę za sobą drzwi i klinuję cienką książeczką z serii Penguin. Matka zaraz wpadnie i mnie zmiążdży.

Wydziera się po drugiej stronie drzwi, a mnie zajmuje myśl o osie. Odleciała czy nadal jest tu gdzieś uwięziona? Szybko oglądam ściany i sufit. Podnoszę z łóżka otwarty egzemplarz *Nagich i martwych* i odrzucam w róg pokoju. Ciekawe, co by teraz o mnie pomyślał Norman Mailer. Uśmiechnąłby się pewnie ironicznie, pokręcił głową i powiedział, że jestem śmierdzącą cipką. Albo ruszyłby na mnie ze scyzorykiem. Gorąco mi ze złości i wstydu.

Krzyki się urywają. Książeczka wytrzymała napór. Przeszukuję pokój cal po calu. Wygląda na to, że jakimś cudem osa zniknęła. Tymczasem mam ją z głowy. Z drugiej strony oczywiście przysporzyłem sobie innych kłopotów.

Matka wpada do pokoju jak gestapo. Książeczka, która pełniła funkcję klina, ładuje w kącik. Matka łypie na mnie i wyciąga palec zakrzywiony jak hak rzeźnicki. W ręku trzyma łopatę. Nie wiem po co. Mam nadzieję, że nie posłuży jako narzędzie zbrodni.

– Chodź ze mną – mówi matka.

Nie oponuję.

Wychodzę za nią na zewnątrz. Jest już po południu i trwa nieznośny upał. Mrużę oczy pod światło. Stoję bez ruchu, a matka wbija łopate raz przy razie takim ruchem, jakby kogoś uśmiercała. Kiedy kończy, podnoszę głowę. Wyznaczyła szpadlem zarys okręgu o średnicy mniej więcej takiej jak rozpiętość moich ramion. Marszczę brwi. Matka wyciąga łopatę w moją stronę. Biorę ją.

– Co to jest?

– Łopata – odpowiada krótko.

Nie rozumiem jej tonu. Nie umiem odgadnąć, czy jest urażona, zła czy zadowolona z siebie. Może zresztą wszystko po trochu.

– To wiem – mówię.

– Więc zacznij kopać. Dokładnie tutaj. – Matka pokazuje palcem wyznaczony kontur.

– Co? Po co? – pytam cicho. Jestem naprawdę zdziwiony.

– Dowiesz się później. Jak będzie wystarczająco głęboko, możesz skończyć.

Kręcę głową.

– Nie! Jest za gorąco!

Nozdrza matki się rozduwiają, wyciągniętym palcem dźga mnie w pierś.

– Charlie, nie powiem tego drugi raz. Będziesz kopał, aż dół będzie wystarczająco głęboki. Jeżeli tego nie zrobisz, resztę lata spędzisz w swoim pokoju, czy będą tam osy czy nie. Zrozumiano? I wyniosę stamtąd twoje książki. Co do jednej. Twój wybór.

– Ale to nie fair! To po prostu śmieszne.

– Ja nie jestem od tego, żeby być fair. Chcę cię nauczyć, że masz robić to, co ci kazano. – Matka kieruje się w stronę domu. Wie, że wygrała. Zawsze wygrywa.

Biore łopate i spoglądam na splachetek ziemi jak na zdrajcę. Jakby to były wrota piekieł. Krzywię się i wbijam szpadel w ziemię, wyobrażając sobie, że przebijam się przez kark matki. Już się spociłem. Muchy krążą wokół mnie, jakbym był świętym Graalem. Wzdrygam się z obrzydzenia, kiedy przysiadają. Wbijam, lekko poruszam i unoszę łopate, przeklinając matkę najpaskudniejszymi słowami, jakie tylko umiem wymyślić. To zupełnie nowy, nieziemski poziom inwektyw. Może jak skończę kopać ten dół, to ją do niego wrzucę. Dzięki złości praca idzie mi łatwiej. Przez krótką chwilę kopanie spełnia funkcję katarktyczną. Ale to mija, kiedy piaszczysta wierzchnia warstwa gruntu przechodzi w zbitą glinę, a na moich dłoniach powstają pęcherze. Zdejmuję mokrą koszulę i rzucam na ziemię. Kopię w jej kierunku grudę gliny, bo wiem, kto ją będzie prał. Chce mi się pić. Umieram. Jest mi tak cholernie gorąco, że mam wrażenie, jakbym kopał własny grób.

Staram się wymyślić, jakiemu celowi ma służyć ten dół. Może dlatego, że się smaże, mam nadzieję, że zostanie w nim zasadzone rzucające cień drzewo. Eukaliptus. Albo wielka morwa, taka, jaką ma pan Malcolm na końcu ulicy. Drzewo, pod którym można czytać. To by było miłe. Albo mogłyby to być takie drzewa, jakie rosną na ulicy, gdzie mieszka Eliza.

Myślę o tym, jak stoimy razem w cieniu, Eliza i ja. Jej czysty, dziewczęcy zapach, rumieniec na policzkach, jej smutne, spuszczone oczy. Myślę o jej dziwnym, jakby nieobecny wzroku, kiedy spoglądała w stronę swojego domu, mówiąc o Laurze. Szkoda, że nie mogłem ująć jej za rękę albo pogłaskać po policzku. Szkoda, że nie mogłem jej powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Że Laura niedługo wróci.

Laura Wishart nie żyje. I ja o tym wiem. Patrzyłem, jak Jasper Jones ją odcinał. Potem wrzuciliśmy ją do wody. A teraz jej szukają, a kiedy ją znajdą, przyjdą po mnie.

Szkoda, że jej nie zapytałem. Mam tyle pytań. Eliza może nie wiedzieć tego, co ja wiem, ale myślę, że ma jakiegoś asa w rękawie. Może kogoś podejrzewa? Czy wie o Laurze i Jasperze Jonesie? Czy wie o kryjówce Jaspera? Czy wie, że Laura wymykała się tam wieczorami? Na pewno nie wie.

A może...

Eliza Wishart ma w ręku karty książki, które zawierają opowieść zmierzającą do upiornego zakończenia. Albo przynajmniej parę z nich. Ale jak mam wyjąć jej z dłoni te karty? Muszę się z nią znowu zobaczyć. I to szybko. Żebym miał coś do powiedzenia Jasperowi, kiedy znowu przyjdzie pod moje okno. Żebyśmy mogli wyjaśnić wszystkie zawiłości.

Pęcherz pęka. Wciągam powietrze przez zaciśnięte zęby. Spoglądam w dół i widzę rudą gąsienicę zaledwie cal od mojej stopy. Jest wielka. Ogromna jak pyton. Ciekawe, czy pożera nietoperze. Na pewno pokonałaby kota. I małe dziecko. Robię gwałtowny wdech, rzucam łopatę i uciekam do płotu.

Oczywiście w tym momencie matka wyłania się z domu jak wściekły rewolwerowiec z saloonu. Ramka z siatką na owady uderza najpierw o ścianę, a potem obija się o drzwi. Matka patrzy ostro najpierw na dół, a potem na mnie.

– Przepraszam, ale nie przypominam sobie, żebyś ci powiedziała, że możesz skończyć! Kop dalej, Charlesie Bucktin! – mówi groźnie.

Zamykam oczy i wzdycham.

– Mam pęcherz.

– A ja mam leniwego syna. I jedno, i drugie boli. Jak skończysz, dam ci jodynę. No już! Kop! Czy to jest twoja koszula? Podnieś ją z ziemi, brudasie! Już! Okaż trochę szacunku dla rzeczy!

Maszeruję z powrotem do dołu i w myślach mówię dosadnie, gdzie mam matkę, ale to niewiele pomaga. Znowu chwytam łopatę, ale trzymam w górze, jak drzewko przed wsadzeniem w ziemię. Gąsienica zniknęła. To jeszcze gorzej: wiem, że tam jest, ale jej nie widzę. Prawdopodobnie czai się pod ziemią, czyhając, żeby zaatakować jak maniakałny obcy z *Wojny światów*. Ciarki przechodzą mi po grzbiecie. Chce mi się siku.

– Kop! – wrzeszczy matka.

Kopię.

Matka stała się taka trudna. To kłopotliwe. Zawsze była szorstka i niecierpliwa, ale pod tym wszystkim kryło się ciepło. Nie wiem. Może wreszcie ma dość. Każdy, z wyjątkiem mojego ojca, widzi jasno jak na dłoni, że ona nie cierpi Corrigan. Sądzę, że zawsze tak było. Mogę się oczywiście tylko domyślać, ale fakt, że się pobrali i przenieśli tutaj na sześć miesięcy przed moimi narodzinami, wskazuje na to, że się wstydzieli i postanowili uciec razem gdzieś daleko od miasta. A może to było jedyne miejsce, gdzie mój ojciec mógł zdobyć posiadłość. A może to była tylko przygoda: zacząć od zera w rozwijającym się mieście górniczym.

To wydaje się nieprawdopodobne.

No bo jest tak: matka pochodzi z rodziny, która od dawna miała duże pieniądze. Ze strzępków różnych rozmów, jakie podsłuchałem, wiem, że oczekiwano, że dzięki małżeństwu będzie ich miała jeszcze więcej.

Tato z kolei wyrósł w rodzinie, która wcale nie miała pieniędzy. Mój dziadek po mieczu był robotnikiem i umarł młodo na gruźlicę. Z informacji, które docierały do mnie we fragmentach, wiem, że starsi bracia ojca musieli porzucić szkołę, żeby zapewnić rodzinie wyżywienie i dach nad głową. Tato miał łatwiej, bo był dużo młodszy i wolno mu było zostać w szkole, w której robił duże postępy. Cała rodzina wierzyła, że zostanie lekarzem albo prawnikiem. Chcieli,

żeby miał możliwości, które im nie były dane. Myślę więc, że rozczarował wszystkich, kiedy obwieścił, że będzie studiował literaturę.

Rodzice spotkali się na uniwersytecie. Trudno mi ich sobie wyobrazić jako młodych ludzi, o lśniącej skórze i bujnych włosach. A jeszcze trudniej wyobrazić ich sobie zakochanych, gdzieś nad brzegiem rzeki Swan, cieszących się, że są razem. Ciekaw jestem, czy tato chciał wtedy być pisarzem. Zastanawiam się, czy właśnie to pociągało w nim matkę. Nie wiem. W każdym razie jego życie bardzo odbiegało od standardów, w których dorastała.

Kiedy zaszła w ciążę, mieli tylko tyle czasu, żeby mama zdążyła wyjechać. Zanim brzuch stał się wyraźnie widoczny, tato zdobył tytuł naukowy. Matka nigdy nie ukończyła studiów, a tato nigdy nie napisał powieści.

I trzynaście lat później, z perspektywy jaskini pełnej robactwa, widać jasno jak na dłoni, że matka jest tutaj bardzo nieszczęśliwa. Nie zadowala jej ani nasz stan posiadania, ani tryb życia. Po śmierci mojej małej siostrzyczki na jakiś czas dała za wygraną. Myślę, że poddając się poczuciu rezygnacji, zaczęła odgrywać pewną rolę. Wstąpiła do Stowarzyszenia Kobiet Australijskich, zaczęła się widywać z ważnymi paniami z Corrigan, pomagała w przygotowywaniu poczęstunków na spotkania naszej społeczności i zapisała się do wszystkich możliwych organizacji sportowych, których uczestniczki występują w plisowanych spódniczkach, a także do kilku komitetów. Zaliczyła wszystkie zebrania mieszkańców. A teraz? Teraz jest po prostu zła. Lukier z niej spłynął. Nie bawi się już w dobre maniery. Jest jak zły pies na łańcuchu.

Ostatnimi czasy, a szczególnie tego lata, częściej odwiedza swoją rodzinę. Dawniej jeździła do miasta raz czy dwa razy w roku i wracała tego samego dnia. Teraz zaczęła coraz częściej wyjeżdżać na weekendy i zatrzymywać się tam na noc. I często nawet nie uprzedza nas, że wyjeżdża. Upewnia się tylko, że tato i ja mamy dość jedzenia

i czyste ubranie, i wychodzi z domu bez fanfar, jakby udawała się do rzeźnika.

Kiedyś wyjeżdżała, a potem wracała rozluźniona. Jakaś taka lżejsza. Przywoziła podarunki i ploteczki. Nastrój jej się poprawiał, była mniej zgryźliwa wobec mnie i miłsza dla taty. A teraz po powrocie jest zgorzkniała i poirytowana, jakby ją zamknięto z powrotem do klatki po nieudanej próbie ucieczki.

Uświadomiłem sobie, że pewnego dnia matka może w ogóle nie wrócić. Może po prostu nie chcieć. Wiem, że jej rodzina nalega. Wiem, że ją rozpieszczają, że się nią interesują, że stale przypominają jej o wszystkim, co utraciła, choć wie, że na to zasługuje. I nawet nie winię jej, że tak się daje uwodzić. Wiem przecież, że w takich warunkach wyrosła. Tuż pod skórą matki kryje się dziewczynka, która zawsze dostawała wszystko, czego chciała. Ale winię ją za to, że się nas wstydzi. Za każdym razem, kiedy wraca, odnoszę to samo przemożne wrażenie: ona uważa, że nie jesteśmy dość dobrzy. To jest nie do zniesienia. Ojciec jest co prawda irytujący, ale pozostaje dobrym i uczciwym człowiekiem. Wiem, jak inni ojcowie traktują synów, i mam świadomość, że jestem szczęściarzem. A co do mnie i mojego pojawienia się w nieodpowiednim czasie, to przecież nie miałem wyboru. Może to, że jestem na tym świecie, to jeden wielki, cholerny pech, ale przecież nie zrobiłem nic złego. Takie były miejsce i czas.

Wbijam łopatę w ziemię i myślę, do jakiego życia urodziła się moja matka. Ile miała szczęścia i wszystkiego. Ją i mnie dzieli właściwie tylko różnica miejsca i czasu. Jak to możliwe, że to aż tyle znaczy? Nie mam pojęcia. A Eric Edgar Cooke? Pomyślmy o jego miejscu i czasie. Czy gdyby się urodził w Nedlands, jak matka, odwiedzałby to miejsce wiele lat później? Czy siałby grozę na tamtych ulicach?

Robię sobie przerwę i ocieram pot z czoła. Teraz mam mokrą rękę. Tak mi się chce pić, że chyba ją polizę. Do czego ma służyć ten

cholerny dół? Napełnimy go wodą i będziemy trzymać karpie? A może zrobimy tu schron? Gorąco mi. Jestem osłabiony i zniechęcony. Glina jest twarda, zbita i ciężka. Po mojej prawej stronie powstał nasyp i zwabił parę kukabar, których obecność przyjmuję z ulgą. Dziobią w ziemi i wyjadają robaki. Przystaję kopać i przyglądam się jednemu z przycupniętych ptaków.

– Dzięki – mówię.

Przekręca głowę i patrzy na mnie, jakby było mu mnie żal. Jego towarzysz nagle odlatuje na drzewo sąsiadów, żeby się pośmiać z mojego nieszczęścia.

– Twój koleś to niewdzięczny bubek – warczę.

Ptak patrzy na mnie bystro i wygląda, jakby mnie lekceważył.

Kręcę głową i dalej przerzucam glinę, do połowy obciążając łopatę. Uderza mnie cisza panująca na naszej ulicy. Zazwyczaj szumi tu jak w ulu, ale dzisiaj jest cicho jak w kościele.

Po kilku godzinach wykopałem dół takiej głębokości, że chowam się w nim po biodra. Pęknięty pęcherz boli mnie niewyobrażalnie. Tak dalej być nie może. To jak z Dickensa. Z pewnością konwencja genewska chroni mnie przed koniecznością dalszego kopania.

Kopię.

I wracam do przemyśleń dotyczących Cooke'a i jego prostego, gorzkiego wytłumaczenia, co go popchnęło do takich czynów. Po prostu chciał kogoś zranić. Ile w tym chęci odwetu. Ale czy naprawdę chodziło o zemstę? Czy on w jakimś sensie chciał uderzyć w swojego ojca? Chciał mu pośrednio oddać? Ale wobec tego dlaczego wybierał na ofiary kobiety? Dlaczego uderzał w niewinne osoby tak samo jak ojciec w niego? To się nie trzyma kupy. Może więc szukał potwierdzenia swojej siły? Po tym, jak przez całe życie był traktowany jak kupa gnoju, po biciu i poniżeniach, może pragnął

czegoś przeciwnego? Może chciał stać się swoim ojcem? Odwrócić role. W końcu być górą. Chciał, żeby ludzie jego błagali o litość. Chciał ich ranić. Tak jak jego raniono. Może chciał, żeby całe miasto poznało ten strach. Czy mogło chodzić właśnie o to? Czy to samo mogło powodować Szalonym Jackiem Lionelem?

Laura Wishart nie żyje. Ktoś ją zabił. To wszystko, co wiem na pewno.

Muszę się zobaczyć z Jasperem Jonesem. Muszę się spotkać z Elizą Wishart. Muszę się więcej dowiedzieć o Szalonym Jacku Lionelu. Muszę dowiedzieć się więcej o Laurze. O Corrigan. O tym, co sprawia, że ludzie robią to, co robią. Muszę się jakoś ukierunkować i dotrzeć w głąb. Inaczej będę się wiecznie miotał za każdym kolejnym tropem, będę myślał niejasno i będę się bał. Dręczony nagłymi ukłuciami niepokoju, ścigany przez harpie.

Zaczynam kopać, jakby to miało znaczenie. Staram się skoncentrować na zadaniu. Nie chcę już myśleć. Czuję się, jakbym miał na głowie uciskającą obręcz. To okropne uczucie.

Kiedy zaczyna się ściemniać, wykop sięga mi do żeber. Mam wrażenie, jakby w żyłach moich rąk i pleców płynął kwas. Kiedy odkładam łopatę, jestem zeszywniały i wyczerpany. Opieram się o ścianę mojego szybu i oglądam rękę. Okulary są brudne, ale nie mam niczego czystego, czym mógłbym je przetrzeć.

Słyszę, że matka wypada przez drzwi i pędzi do mnie, zupełnie jakby wyczuła mój bezruch. Nie odwracam się. Stoi naprzeciw mnie, na skraju wykopu, z rękami na biodrach, i wolno kiwa głową. Chciałbym sądzić, że w milczeniu podziwia moje dzieło.

Chciałbym usłyszeć, w jakim celu przez całe popołudnie przerzucałem ziemię. Patrząc w prawo na nasyp i nie mogę powstrzymać przyływu dumy. Jest w tym pewien element prawdziwego osiągnięcia. A we mnie coś czeka na akceptację matki. Chcę, żeby przyznała, że to cholernie piękny wykop. Chcę, żeby

zrozumiała, jaki to był dla mnie wysiłek. Żeby mi powiedziała, że wykonałem dobrą robotę. Że dla jej celu dół jest idealny.

Ale nie zapytam, po co to było.

Głowę trzymam spuszczoną. Pocieram dłoń. Pewnie wyglądam żałośnie, ale mam to gdzieś.

– Okej, Charlie, możesz przestać kopać – mówi matka, ciągle groźnym tonem.

Nadal milczę, ale podnoszę głowę, kiedy ona pokazuje na nasyp.

– A teraz to zakop.

Potrzebuję dobrej chwili. Matka idzie w kierunku domu. Z przerażeniem patrzę na górę ziemi. Potem się odwracam.

– Cooo?

– Zasyp dół – nakazuje matka odwrócona do mnie tyłem.

– Jak to zasyp?! – wrzeszczę, czując kluchę w gardle. Twarz mi płonie.

Matka zawraca. Widzę, że jest z siebie zadowolona. Nagle wygląda jak jej ojciec. Zupełnie jak arogancki świstak.

– Chcę, Charlie, żebyś zasypał ten dół. Tak tego nie zostawisz. Nie chcę mieć w ogrodzie wielkiej dziury. To ci nie zajmie dużo czasu. I opłucz się wodą z węża, zanim wejdiesz do domu. Dziękuję.

Jestem wściekły. Słyszę, że gdzieś na ulicy kukabary znowu się śmieją. Kręcę głową.

– Nie – mówię twardo.

– Słucham? – Jej oczy się rozszerzają. – Co powiedziałeś?

– Powiedziałem: nie. To śmieszne. Jestem wykończony. Nie zasypię dołu. Jeżeli nie chciałaś dziury, nie powinnaś prosić o jej wykopanie. Mowy nie ma.

– Co ty mówisz? – Matka rusza w moją stronę.

– Jesteś głucha? Powiedziałem, że tego nie zrobię. To kretyństwo, żeby pracować tak ciężko bez powodu.

– Nie jesteś w tym odosobniony, młody człowieku. Takie jest życie.

– Nie, nie jest! – wrzeszczę. Mam wszystko gdzieś. – Może twoje życie, ale nie moje.

– Uważaj, co mówisz! – Ona też krzyczy. Ze złości nabrzmiewa żyła na jej czole. – Charlie, albo skończysz pracę, albo spędzisz resztę lata w swoim pokoju. Mówię poważnie. I możesz zapomnieć o Bożym Narodzeniu! Chcesz wiedzieć, po co był ten dół, młody człowieku? Może powinieneś wrzucić do niego swoje złe zachowanie i w nim zakopać? Więc jak będzie? Wybór należy do ciebie, Charlesie Bucktin.

Nie mam wyboru. Jakby trzymała gówno w każdej ręce, a ja miałbym wybrać, czy wolę zjeść to z prawej czy z lewej. Odwracam się do niej plecami. Nie chcę dać jej satysfakcji, odpowiadając ani pokazując oczy napęlniające się łzami. Kiedy już czuję, że poszła, gramolę się wolno z dołu i pociągam nosem. Z ciężkim sercem i na ciężkich nogach zwalam, zsypuję ziemię do dołu, przeklinając w duszy matkę, mrużąc, że chciałbym w tym szybie niesprawiedliwości pochować jej brzydką głowę.

Oczywiście nie poszła sobie. I oczywiście usłyszała każde krytyczne słowo. Uświadamiam to sobie, kiedy zaciska rękę na moim karku, jakby chciała mi połamać kręgi szyjne. Pazury ma jak sztylety. Syczy mi do ucha:

– Jesteś bardzo nieokrzesany, chłopcze!

I rzuca mnie na nasyp, z którego byłem zbyt dumny. Ziemia jest miękka, chłodna i sypka. Uchylam się, żeby się obronić przed matką, ale ona mnie nie bije. Zamiast tego zabiera łopatę i maszeruje w kierunku domu.

– Teraz to zakop!

Kiedy ojciec pojawia się w ogrodzie, jest prawie ciemno. Jeszcze trochę i skończę. Jestem cały uwalany gliną i tak wykończony, że nie zawsze udaje mi się przepchnąć kolejną porcję ziemi, jeżeli nabiorę jej w dłonie za dużo.

– Okej, Charlie. Wystarczy. Chodź.

Nie podnoszę głowy. Pracuję, żeby stłumić gniew.

– Charlie, słyszysz mnie? Przecież powiedziałem, żebyś skończył. Uprzątniemy to później.

Chcę działać dalej, ale nie mam siły. Klęczę.

– Co się z tobą dzieje, chłopie? – pyta ojciec.

Od razu zaczynam się bronić.

– Nic. Nie wiem. A czemu?

– Bo jesteś byстрыm i mądrym dzieckiem – mówi ojciec nieskończenie cierpliwie.

– Nie takim znowu dzieckiem. Mam już prawie czternaście lat – przerywam mu, chociaż nie bardzo wiem dlaczego.

– W porządku. Oczywiście. Ale nawet biorąc to pod uwagę, nigdy nie słyszałem, żebyś przeklinał. A już na pewno nie przy matce. I nigdy nie okazałeś nieposłuszeństwa, jeśli wiedziałeś, czego się po tobie spodziewa. To trochę nietypowe, prawda?

Chcę, żeby dalej tak do mnie mówił. Tak zwyczajnie. Jak kolega. Jakbym był dość bystry, żeby zrozumieć.

– Posłuchaj, Charlie, jeżeli chciałeś dzisiaj wyjść do miasta, powinieneś był kóreś z nas poprosić o zgodę – mówi dalej tato. – To by nam oszczędziło dużo zmartwień. Szczególnie tobie, jak widzę. – Ojciec pokazuje na zasypany dół.

– Nie o to chodzi! – wybucham, ale zaraz się powstrzymuję. Tak bardzo chciałbym mu wszystko powiedzieć. Żeby się tym zajął. Ale szybko potrząsam głową: – Nie, już nic.

– Matka się martwi, Charlie. I nie możesz jej za to winić. Właściwie oboje się martwimy. Wydarzyło się coś bardzo niepokojącego. Słyszałeś o Laurze Wishart. Nikt nie jest jeszcze całkiem pewny, co się stało. Dlatego uważamy, że tymczasem powinniśmy dbać o twoje bezpieczeństwo. To pewnie nic takiego, Charlie. Taką mam przynajmniej nadzieję. Ale rozumiesz, dlaczego musimy być ostrożniejsi?

Dlaczego on musi być taki wrażliwy? Dlaczego musi się tak trafnie wyrażać? Powinien być prawnikiem, jak Atticus Finch. Ale wtedy musiałby o coś walczyć.

Patrzę w ziemię. To nie jest w porządku. Ale mam to gdzieś. Jestem zły i upaprany.

Tato klęka i wzdycha.

– Świat się zmienia, Charlie. Jest inny niż wtedy, kiedy ja dorastałem. Naprawdę zaczyna być inny. Nawet w Corrigan.

– I tu masz rację – stwierdzam gorzko.

– Wielu ludzi się boi. Szczególnie teraz, kiedy zaginęła Laura. Dużo się dzieje.

Rzadko tak mówi. Ostatni raz przemawiał w ten sposób, kiedy pozwalał mi na wstęp do swojej biblioteki. Czuję się dziwnie i trochę jakby radośniej. Nie bardzo wiem, co mam odpowiedzieć, więc kiwam głową.

– W każdym razie... – kontynuuje tato, podnosząc się z klęczek. W kolanach mu strzyknęło. – ...matka właśnie zarządziła, że masz dzisiaj iść spać bez kolacji, i obwieści ci to, jak tylko wejdiesz do domu. Sugeruję, żebyś zamiast natychmiast się o to kłócić, po prostu pokiwał głową i przyjął to na klatę. Okej? Ona ma dzisiaj wieczorek brydżowy, więc jak wyjdzie, będziesz mógł sobie coś zjeść. Uważam, że już wystarczająco zostałeś ukarany.

– Doprawdy? Wiesz, mógłbym jeszcze zbudować ci szopę, a potem ją rozebrać, jeśli chcesz.

Ku mojemu zdumieniu tato się śmieje.

– Jesteś zupełnie jak twoja matka.

– Bzdura – obruszam się. – Nawet tak nie mów.

Znowu chichocze.

– Wiesz, że ona dużo dla ciebie robi. Prostuję się i otrzepuję ziemię z szortów.

– Tyle mogłaby zrobić pokojówka – odpowiadam cicho.

Ojciec marszczy brwi.

– Co masz na myśli?

– Nic.

Ojciec mocno wciąga powietrze przez nos i patrzy na mnie uporczywie wielkimi, sarnimi oczami, co sprawia, że czuję się dziecinnie i nieswojo.

– Posłuchaj. Ona tylko chce mieć poczucie, że jest szanowana. Charlie, ja wiem, że ty dorastasz, ale to ciągle jest twoja matka. Chce dla ciebie jak najlepiej. Jeżeli jednak masz z tym problem, są inne, mądrzejsze sposoby, żeby to jakoś obejść. Musisz po prostu być trochę bardziej rozważny. I dyplomatyczny. Wierz mi, mój chłopcze, będzie lepiej dla ciebie, jeśli nie pójdziesz z nią na udry. Rozumiesz?

– Tak sędę – potwierdzam markotnie.

– Unik nie zawsze oznacza porażkę, Charlie.

– Kto to powiedział?

Tato się śmieje.

– Ja.

Ociągamy się przez chwilę nad zasypanym dołem w niknącej, fioletowej poświacie.

– A swoją drogą, gdzie dzisiaj byłeś całe popołudnie? – pytam.

Tato unosi brwi.

– Byłem w Domu Górnika, żeby pomóc w organizowaniu poszukiwań. Rozpoczęli je zaraz po lunchu.

Kulę się i po plecach przechodzą mi dreszcze. To pierwsza okazja, żebym uzyskał jakieś odpowiedzi.

– Naprawdę? A co ludzie myślą? Gdzie ona jest? Wiedzą? Gdzie szukają? Co chcą zrobić?

– Takie sprawy zawsze z początku mają niewielką skalę, Charlie, dopiero potem się rozrastają. Im dłużej jej nie ma, tym poważniejsze są poszukiwania. Na tym etapie jednak najlepsze, co można zrobić, to zachować spokój i przeszukać najbardziej prawdopodobne miejsca.

– A jakie miejsca są prawdopodobne? – pytam.

– Na przykład okolice wzdłuż rzeki. No i wyobrażam sobie, że należy przepytac jej rodzinę i przyjaciół. W ten sposób nabierzemy pojęcia, co się mogło zdarzyć. Ale mam wrażenie, że ona dzisiaj wieczorem wróci. Taką mam, cholera, nadzieję.

– A jeśli nie wróci? – Wydaje mi się, że zadawanie takich pytań jest niebezpieczne. Pod moimi żebrami jakby pukał dzięcioł. Ale tato rozważa moje pytania tak samo poważnie jak inne sprawy.

– Wtedy zakres poszukiwań się poszerzy. Na jutro mają przygotowane helikoptery. Zamówili także ekipę nurków z miasta, żeby przeszukali rzekę, ale, Chryste, mam nadzieję, że to nie będzie konieczne. Charlie, nie mam pewności, co się będzie działo po kolei. W razie potrzeby wolontariusze pójda głębiej w busz, a dla uzyskania wsparcia i dalszych informacji zostaną zwołane zebrania mieszkańców i takie tam. Każdy kolejny dzień nieobecności Laury będzie nasilał poszukiwania.

– A co będzie, jeśli nie będą mogli jej odszukać? Jak jej nie znajdą? Nie mogą przecież szukać bez końca, prawda?

Co będzie, jak znajdą polanę Jaspera? I to jeziorko? Na ile wyraźne okażą się ślady? Czy poślą tam ekipę nurków? Nad to muliste dno? Czy naprawdę potrafią ją znaleźć?

– Oczywiście, że nie mogą. Te wszystkie środki są do dyspozycji tylko tymczasowo.

– Jak długo?

– Naprawdę nie wiem, chłopie – odpowiada tato.

Moja ciekawość nie wzbudziła jego podejrzeń. Nie zmrużył oczu, nie zadaje mi pytań.

– Okej – mówię.

Tato klepie mnie po ramieniu, a potem głaszcze po wicherku na czole. Uśmiecha się pokrzepiająco.

– Posłuchaj, tak jak powiedziałem, prawdopodobnie do tego wszystkiego nie dojdzie. Ona niedługo wróci. Podejrzewam, że jest gdzieś z przyjacielem albo uciekła z domu. Coś w tym rodzaju. Nie przejmuj się tym za bardzo, Charlie. Wszędzie ludzie znikają i się odnajdują, tylko w Corrigan takie wydarzenie nabiera większego znaczenia po prostu dlatego, że tu wszyscy się znają i że na co dzień jest tak spokojnie.

Kiwam głową.

– A ty dobrze znasz Laureę? – pyta tato.

– Nie. Nie bardzo. Ale znam jej siostrę. Elizę.

– Aha. Ja nie znam Elizy. Ale już od kilku lat uczę Laureę. Jest spokojną dziewczynką. Bardzo inteligentną. Bardzo niezależną. Ale tak jak powiedziałem dzisiaj ludziom, jest w niej coś takiego... jakiś niepokój, zmienność. Trzyma ludzi na dystans i nie znam jej tak dobrze jak innych swoich uczniów. Możliwe, że chciałaby spróbować sama stąd gdzieś wyskoczyć.

– Naprawdę?

– Tak tylko podejrzewam, Charlie. Nie wiem na pewno, jak jest u niej w domu. Nie będę udawał, że wiem, co się tam dzieje. To znaczy... nie byłoby w porządku, gdybym zaczął spekulować, dlaczego Laura miałaby uciekać. Wiem tylko, że w jej charakterze jest coś takiego, że byłaby do tego zdolna. Mogłaby zniknąć, nikomu nic nie mówiąc. Pewnie natkną się na nią gdzieś niedaleko albo sama wróci, kiedy skończą się jej pieniądze.

– Tak sądzisz?

Tato drapie się po brodzie i gładzi włosy.

– Myślę, że to jest najbardziej prawdopodobne. Tak.

– A czy tylko ty tak myślisz?

– Wszystkim chodzi w końcu o to samo, Charlie. Każdy chce, żeby Laura bezpiecznie wróciła do domu. Ale muszą brać pod uwagę wszystkie ewentualności.

– Na przykład porwanie albo morderstwo? – wybucham. I zaraz tężeję, jakbym został przyłapany. Jakbym ją niósł, trzymając pod rękę, a ktoś skierowałby na mnie światło latarki. Jestem przerażony. Wstrzymuję oddech.

Ojciec wzdycha i pochyla głowę. Mówi miękko:

– Myślę, że istnieje taka możliwość, ale to bardzo mało prawdopodobne.

– Naprawdę? To dlaczego każecie mi siedzieć w domu? Czemu nikt się nie bawi na ulicy?

Tato otwiera i zamyka usta. Mam go.

– Powiedziałem, że to mało prawdopodobne, a nie że niemożliwe. Widzisz... – Tato milknie, szukając właściwych słów. – W takich sprawach, kiedy ludzie naprawdę nie rozumieją, co się właściwie stało, spodziewają się najgorszego wcześniej niż trzeba. To trochę tak jak wtedy, kiedy boisz się ciemności. To właściwie nie jest strach przed ciemnością, tylko przed tym, co się w niej kryje. Nie jesteś pewny, co to jest, i zaczynasz sobie wyobrażać rzeczy groźniejsze niż te, które zazwyczaj można napotkać. Rozumiesz, na czym to polega?

– Myślę, że tak.

– Chcę ci tylko uzmysłwić, jak szybko rozum idzie w odstawkę, kiedy pojawiają się panika i strach. Szczególnie w takim mieście jak to, gdzie ludzie plotkują, jakby byli stadem cholernych szpiegów. No więc tymczasem nie martw się za bardzo o Laurę. Ona się znajdzie, chłopie.

Patrzę na moje ubabrane stopy. Najbardziej martwię się właśnie tym, że ona się znajdzie.

Niechący wzruszam ramionami. Czuję gorąco bijące z prawdy o Laurze i lodowate zimno swoich kłamstw. Po całym moim ciele znowu przebiegają niewidzialne mrówki. Muszę do łazienki. Muszę się wypłukać we wściekle gorącej wodzie. Chcę wyszorować całą skórę. Zetrzeć z siebie piach.

Pewnie widać, że się niecierpliwię, bo tato klepie mnie w ramię i popycha w stronę domu.

– Pamiętaj – mówi. – Teraz żadnej kolacji. Po prostu to przyjmij, okej? I powiedz matce, że przepraszasz. Zobaczysz, o ile życie jest łatwiejsze, kiedy trochę odpuścisz.

Wchodzimy do środka. Jego dłoń spoczywa na moim karku.

Później, kiedy za matką i jej koleżanką Beverly, która przyjechała, żeby ją zabrać na brydża, zamknęły się frontowe drzwi, tato podziwia skonstruowaną przeze mnie kanapkę z wołowiną z konserwy.

– Uważaj, żebyś zostawił wszystko tak, jak było – ostrzega. – I nie zjedz za dużo chleba, bo matka może się zorientować i ja będę kopał dół przeznaczony na nasze zwłoki.

– Jesteśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie – mówię i wolno, scenicznym gestem kręcę głową. Mój nastrój jest wyraźnie mniej gówniany od chwili, kiedy się wykapałem, a matka wyszła.

– A ja jestem śmiertelnie poważny. – Uśmiecha się tato.

Czajnik gwiżdże na piecu, a tato grzeje nad parą kubek. Przygotowuje dla mnie kawę z dużą ilością skondensowanego mleka. Ściskam kanapkę tak mocno, że czerwona cebula wyłazi bokami. Dzisiejsza praca przyniosła mi przynajmniej błogosławieństwo głodu.

Kiedy rozchodzimy się do swoich pokoi, zatrzymuję tatę, zanim zniknie w środku.

– Tak się zastanawiam, co ty tam piszesz? Książkę?

Zaskoczony tato staje. Patrzy na mnie porozumiewawczo.

– A czemu pytasz?

– Nie wiem. Tylko pomyślałem, że może jak się tam zamykasz, to piszesz.

Odpowiadając, tato prostuje się, odwraca głowę i przygląda swojej bibliotece.

– Nie, nie. Głównie czytam, Charlie. I sprawdzam wypracowania. Tak spędzam czas. Myślę, że lepiej zostawić powieści pisarzom.

– Pewnie masz rację – mówię cicho, patrząc w bok.

Obaj wchodzimy do pokoi i zamykamy za sobą drzwi. Siadam ciężko i stawiam talerz na biurku. Myślę, jak tato się skrzywił i odwrócił wzrok, kiedy zadałem to pytanie. I zastanawiam się, czemu kłamał.

Jasper Jones nie przyszedł pod moje okno.

Czekam już wiele godzin. Powyciągałem nawet listewki z ramy, żeby ułatwić sobie wyjście. Jedyne, co dzięki temu osiągnąłem, to otwarcie drogi do mojego pokoju najprzeróżniejszym owadom, które teraz krążą wokół lampy. Staram się pozabijać je packą. Bezskutecznie. Więc próbuję je rozgniatać, używając dwóch książek, które zatrząskuję, jakby były talerzami w orkiestrze.

Nie ma Jaspiera Jonesa, a ja go potrzebuję. Ciekawe, gdzie teraz jest. Zastanawiam się, jak się czuje. Czy się przyczaił, czy prowadzi śledztwo. Ciekaw jestem, jak blisko jest uzyskania odpowiedzi. Mam nadzieję, że nie wrócił na polanę. A gdyby go śledzili? Gdyby go tam szukali?

Myślę jednak, że jest na to zbyt ostrożny. I sędzę, że ta ostrożność trzyma go także z daleka od mojego podwórka. Wszystko musi się uspokoić, zanim znowu się spotkamy i zanim zaczniemy dociekać prawdy.

Dzięki pokrzepiającej świadomości naszej wspólnoty jakoś daję radę i nie czuję się z tym wszystkim sam.

Jestem zmęczony, ale nie mogę się uspokoić. Noc jest bezwietrzna i kojąca. Wylażę przez okno, żeby sprawdzić, czy Jasper czasem nie leży gdzieś przyczajony, czekając, aż ostatecznie światła w naszym domu pogasną. Stoję na podwórku. Myślę o tych, którzy prowadzą poszukiwania. Zastanawiam się, czy zrobili nocną przerwę, czy może przeczesują busz, świecąc latarkami i wykrzykując imię Laury.

Odwracam się. Z boku domu lampa w bibliotece ojca rzuca mgliste, żółte światło w kształcie rombu. Czuję pewien niepokój. Boli mnie, że całkiem niedawno mi zaufał, a potem odgrodził się ode mnie, jakby opuścił kurtynę.

Bezwzględna częśćka mnie pragnie podkraść się do okna i zajrzeć. Uchylić kurtynę, jak magik, robiąc sztuczkę, zdejmując woal z cylindra. Chcę go przyłapać na gorącym uczynku, ujawnić kłamstwo.

A może ja powinienem zacząć pisać kolejną powieść? Nie taką zabawną. Udowodnić mu, że jestem dość bystry. Mógłbym napisać o Jasperze Jonesie. Mógłbym stanąć tak jak on: wyprostowany, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami. Mógłbym rzucić powieść na biurko ojca pewnego dnia, kiedy już zostanie wydana, a on nie będzie miał o tym pojęcia. Tak zwyczajnie, jakby to nie było nic ważnego. I mógłbym mu powiedzieć, że co prawda życie bywa łatwiejsze, jeśli się trochę odpuści, ale lepiej jest w coś się tak zaangażować, że nie potrafisz z tego zrezygnować.

Przed domem gwałtownie zatrzymuje się samochód. Przyciskam się do ściany. To nie jest auto Beverly. Może to policja. Może czekają na Jaspера. Jestem w potrzasku. Może przyszli po mnie. I odbędzie się Przesłuchanie.

Trwa to całą wieczność. W końcu matka roześmiana wchodzi na podwórko. To dziwny widok. Myślę, że jest pijana. Pochyla się, jakby czegoś szukała, a potem zatrząskuje furtkę i macha ręką, po czym wolno się odwraca. Kiedy samochód odjeżdża, matka jeszcze

się śmieje. Ale kiedy rusza do drzwi, jej twarz jest pusta jak wtedy, kiedy wychodziła z domu.

Jestem w swoim pokoju, mam ciężkie powieki i czuję się, jakby mnie zbito. Niezależnie od owadów, upału i potrzeby, żeby poczekać na Jaspera, zaczynam odpływać z Markiem Twainem rozłożonym na piersi. I już z tym nie walczę. Odpuszczam. Znowu jestem w cieniu drzewa z Elizą Wishart, a na końcu języka mam wszystkie właściwe słowa. I mówię to, co powinienem był powiedzieć. I robię wszystko, co powinienem był zrobić.

4

Opowiadam Jeffreyowi, że miałem koszmar o *Czarnoksiężniku z Oz*.

Nie mówię mu jednak, że we śnie byłem ubrany w czerwone buciki Dorotki i że czarownica wyglądała jak moja matka. W tle była polana Jaspera.

– *Czarnoksiężnik z Oz*? – pyta Jeffrey, krzywiąc się. – Naprawdę? Przecież jest tyle fajniejszych tematów na nocne koszmary. Na przykład rekiny. Komunistyczne rekiny, które mają zęby jak sztylety i potrafią poruszać się po lądzie.

Mamy właśnie przerwę na lunch w meczu testowym. Wyciągamy skrzynkę na środek ulicy, żeby nam służyła za palik. Jeffrey będzie odbijał.

– Wiesz co? – mówi w zamyśleniu – To by pasowało. Pomyśl tylko. Uruchom szare komórki.

– Ale o czym mam myśleć?

– O *Czarnoksiężniku z Oz*, debil. Okej, słuchaj. Młoda dziewczyna przybywa w dziwaczne miejsce, gdzie odkrywa, że kogoś zabiła. Po ograbieniu nieboszczyka i zebraniu trojga koleśków dziewczyna przenosi się do innego miasta, gdzie znowu zabija i kradnie. Po czym znów ucieka. Tak to opowiadasz, Charlie. Wszystko razem jest niewiarygodne.

– Ale to nie krasnoludki – odpowiadam.

– Charlie, chodzi o morderstwo. Mooorderstwo.

– Więc nic dziwnego, że nie śpię po nocach.

– Och! – wykrzykuje Jeffrey, prostując się i znowu pochylając. – A co z tą siostrą Elizy? Z jak-jej-tam, Laurą? Zniknęła. Słyszałeś, prawda? Myślisz, że co się z nią stało?

– A skąd mam to wiedzieć? – rzucam ze złością.

Jeffrey trochę się cofa.

– Nie unoś się tak, kretynie. Istnieje zjawisko zwane spekulacją. Oczywiście, że nic nie wiesz. Chyba że to ty ją uprowadziłeś. To ty, Chuck?

Mam zamknięte oczy i głęboko oddycham.

– Tak, to ja, idioto.

– Sam jesteś idiotą. Wcale ci nie wierzę. Pomijając wszystko, ty uprowadziłyś Elizę, nie Laurę. Zabrałyś ją na swój brudny barłóg na małe kizi-mizi. Bo ją kochasz.

– Kizi-mizi?

– Kizi-mizi, Chuck.

– A co to w ogóle znaczy?

– No przecież wiesz. – Jeffrey mruga do mnie z otwartymi ustami.

Muszę zmobilizować wszystkie moce ducha, żeby go w tej chwili nie zabić. Czas zmienić temat.

– Co się wczoraj działo w świecie krykieta?

– Nic. Niczego nie straciłem. Cały dzień padało, więc miałem szczęście.

– Szczęście masz, że już nie jesteś uziemiony. Jak z tego wyszedłeś?

– Och, myślę, że mama po prostu chce, żebym jej zniknął z oczu. – Jeffrey wzrusza ramionami i jakoś dziwnie pociera policzkiem o obojczyk.

– Nie dziwię się jej. Na jej miejscu zakwaterowałbym cię w namiocie przed domem.

Pfff! Jeffrey podnosi głowę i miarowo uderza kijem o stopę. Przez około pół godziny podaje mu piłkę. Szczerze mówiąc, robi ze mną, co chce, i to bez większego wysiłku.

Na ulicy jest gorąco i dziwnie cicho. I jakoś pusto. Zdaje się, że dalej obowiązuje ta niby-godzina policyjna i większość dzieciaków rodzice trzymają w domach. Ma się wrażenie, jakby nas od czegoś izolowano.

Posyłam piłkę na całkiem sporą odległość. Zaskoczony Jeffrey nie zdążył jej odbić. Piłka leci prosto do ogrodu Ana Lu. I niknie pod jakimś biało kwitnącym krzewem. To pewna śmierć.

– Buch! – wykrzykuje Jeffrey. – Wiesz, Chuck, niektórzy batmani powstrzymaliby za długą piłkę, ale nie Jeffrey Lu. Ten ma klasę. Jego agresja jest kontrolowana, a ciosy dobrze wymierzone. Ten gość trafia.

– Taaa. I idzie po piłkę.

– Mowy nie ma! Teraz twoja kolej.

– Jest mowa. Ty jesteś bliżej. Idź po nią. Nawet stąd widzę pszczoły. Czekają na mnie.

– Teraz twoja kolej, debil. Idź po piłkę. Nie zwalisz tego na Jeffrey Lu.

Znowu zaczyna swoją walkę z cieniem.

– Odwal się. Jak chcesz, żebym ci podawał, to idź.

– To oburzające! Dlaczego ja mam ponosić karę za twoje gapiostwo? – Jeffrey wyciąga rękę, jakby żądał odpowiedzi z nieba.

– Bo jesteś idiota.

– To dyskryminacja!

– Nic na to nie poradzę, Jeffrey. Jestem rasistą.

– Okej, pójde po piłkę. Stawię czoło owadom! – Jeffrey teatralnie kroczy w kierunku ogrodu i bawi się doskonale. – Czy nasz nieustraszony bohater powróci? Czy pokonają go hordy groźnych biedronek?

– Zamknij się, popaprańcu! Poleciała tam, na lewo.

– Co mówisz, Chackusiu? Pusi, Pusi, Pusi?

– Idziesz nie tam, gdzie trzeba. I wlałeś w różowe kwiatki. Twój tato się wścieknie.

W tym momencie zamieram, bo słyszę odległy warkot dwóch helikopterów. Podnoszę wzrok. Cegła w brzuchu. Lecz po mnie.

– Ale bosko! Patrz tylko! – krzyczy Jeffrey, podskakując w moim kierunku z piłką w rękę. – Pewnie biorą udział w poszukiwaniach. Szkoda, że nie możemy pójść zobaczyć, jak lądują.

Patrzę na helikoptery bez słowa. Dwie czarne ważki na niebie.

– Idę do domu – oznajmiam.

Jeffrey stuka w szkiełko swojego przeogromnego, czarnego zegarka.

– Właściwie wykazałeś idealne wyczucie czasu. Zaraz powinni wrócić do gry.

– No, wiesz. Ja raczej... pójde do siebie – mówię dziwnym tonem, cały czas patrząc w niebo. Jestem w pułapce. Czuję rozpaczliwą potrzebę schowania się pod czymś.

– Co?! Przecież jest mecz testowy!

– Taak, ale, no wiesz... zaraz wrócę. Muszę tylko... – rzucam przez ramię, odchodząc ze spuszczoną głową.

– Okej, biedaczku – szczebiocze Jeffrey.

Słyszę, że taszczy skrzynkę, żeby nie stała na środku ulicy. Spieszy się, żeby nie stracić choć jednego podania.

Chcę zapytać tatę o helikoptery. Chcę wiedzieć, na ile są przydatne. Jak dużo się z nich widzi. Ale taty nie ma w domu. Drzwi biblioteki są uchylone. Pewnie poszedł pomagać w poszukiwaniach. Szkoda, że nie poprosiłem, żeby mnie ze sobą zabrał. Jestem idiotą. Jutro spróbuję, chociaż marne szansę, że się zgodzi.

Matka pyta, czy chcę jeść. Grzecznie odmawiam.

– Widziałeś helikoptery? – woła do mnie.

– Tak – odpowiadam i delikatnie zamykam drzwi pokoju.

Kilka godzin później słyszę, jak ktoś gwałtownie stuka w okiennicę. Rozsadza mnie! Jasper Jones wreszcie przyszedł. Włazę na łóżko i odbezpieczam okiennicę. Czuję się jak kierowca w scenie pościgu.

Okno się otwiera i ukazuje się ożywiony Jeffrey Lu. Zamieram. Jeffrey jeszcze nigdy nie podszedł pod okno z tyłu domu.

– Chuck! Chuck! Chuck! Chuck! – szczerzy się jak wariat.

– Co? – Nie umiem ukryć rozczarowania.

– Doug Walters!

– O co chodzi?

– No, kurde! Doug Walters! Dzięki niemu wygrali, chociaż to jego absolutny debiut!

Milczę.

– Mówiłem ci! – Radość Jeffreya jest trochę zaraźliwa. –
Mówiłem ci, Chuck! To mistrz! Jest lepszy od Bradmana.

– Jeffrey, to dopiero początek rozgrywek.

– Ale on już ma lepszą średnią.

– Ale z ciebie kretyn.

– Mogę wejść? Mogę zostać trochę u ciebie? – prosi Jeffrey,
podskakując i podrygując.

Otwieram tylne drzwi.

– Kto to? – wykrzykuje głośno matka z drugiego końca domu.

– To tylko Jeffrey – wołam do niej.

– W tym domu wchodzimy frontowymi drzwiami. Dziękuję, że
następnym razem będziecie o tym pamiętać.

Kręcę głową i przewracam oczami. W moim pokoju Jeffrey
bierze z nocnego stolika książkę.

– *Zwrotnik Raka* – czyta tytuł. – Dobrze?

– Bardzo fajne – odpowiadam.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Jeffrey wydaje mi się niespokojny i wzburzony. Znowu po
swojemu pociera policzek o bark.

– Czemu macie tyle rozwalonej ziemi na podwórzu? – pyta,
wyglądając przez okno. – Czyżbyś pochował tam Laure Wishart?

Zamykam oczy. Wciągam powietrze. Wypuszczam powietrze.

– Tak. Idiota.

– Ale serio, czemu?

– Matka kazała mi wykopać ogromny dół, a kiedy był gotowy, musiałem go zasypać. Bez użycia narzędzi.

– Ale dlaczego? – Jeffrey marszczy czoło.

– No cóż, nie jesteś jedyną osobą, która dostała w tyłek za przeklinanie przy matce. Z tym że w moim przypadku przekleństwa były skierowane bezpośrednio do niej.

– Naprawdę? – Jeffrey uderza pięścią w otwartą dłoń. – Więc jak to się stało, że jeszcze żyjesz?

– To by było za łatwe. Chciała, żebym cierpiał. Chciała, żebym przeżył cały ból umierania bez końcowego wybawienia. Stąd ten dół.

– Chuck, to genialne. Ona jest wcieleniem zła.

Przez dłuższą chwilę milczymy. Siedzę na biurku, a Jeffrey umościł się na moim łóżku. Widzę, jak od czasu do czasu coś jakby cień przemykał mu przez twarz. Może jest chory.

Nagle mówi to. Po prostu. Jak każde inne zdanie.

– Zabili kilku moich krewnych.

Kopie miarowo skraj łóżka. Cisza się przeciąga. Nie wiem, co powiedzieć.

– Jeffrey, to straszne. Kiedy? Kto? Jak to się stało? Jeffrey, to straszne.

– Wczoraj. Zginęli brat mojej matki z żoną. Mój wujek i ciocia. Nie mówią mi za dużo, jak to się stało. To się zdarzyło w wiosce, gdzie mama dorastała. Myślę, że to była bomba.

– Bomba?

– Tak.

– Jeffrey, ja nie... To naprawdę straszne. Jak się czujesz?

Jeffrey wcale nie wydaje się rozbity. Nadal rytmicznie kopie łóżko.

– Nic mi nie jest, Chuck. Nawet ich nie znałem. Nigdy ich nie spotkałem. Ale to smutne. Oczywiście najgorsze to jest dla mojej mamy. Najbardziej mi przykro ze względu na nią. Ona jest w kiepskiej formie. Cały czas płacze i, wiesz, jęczy.

– Taaa. – Wolno kiwam głową i patrzę na swoje stopy.

W pokoju zalega cisza. Jest jak gęsta, dusząca mgła.

– Czy oni mieli dzieci? – pytam po chwili.

– Tak. Dwoje. Chłopca i dziewczynkę. Chłopiec jest w moim wieku, a dziewczynka ma cztery lata. Mniej więcej.

– Nic im się nie stało?

– Pytasz, czy ich zbombardowali?

– No.

– Nie. Żyją. Myślę, że nie są ranni ani nic takiego. Moi rodzice starają się ich do nas ściągnąć, ale to chyba nie takie proste.

– Naprawdę? Dlaczego? Przecież to sieroty! Powinno się natychmiast ich stamtąd zabrać.

Jeffrey wzrusza ramionami.

– Co z nimi będzie? – naciskam. Nawet oddycham jakoś szybciej.

– Myślę, że zostaną z innymi naszymi krewnymi w wiosce. Ale to będzie dla nich wielkie obciążenie, więc tato wyśle im sporo pieniędzy. – Jeffrey pociera nos palcem.

– A twoi rodzice tam pojedą? Na pogrzeb?

Jeffrey podnosi głowę.

– No. Słyszałem wczoraj wieczorem, jak mama o tym mówiła. Była naprawdę zdenerwowana. Chciała zaraz jechać. Zaczęła pakować torby i w ogóle. Ale tato ją powstrzymał.

– Dlaczego?

Nagle Jeffrey zaczyna sprawiać wrażenie przybitego.

– Z powodu tych bomb, Chuck. To jest wojna. To naprawdę niebezpieczne. Nawet dla mnie.

– Ale coś powinni przecież zrobić – mówię.

Znowu pograżamy się w milczeniu. Jeffrey przewraca się z jednego brzegu łóżka na drugi. Zastanawiam się, o czym myśli. Chciałbym wiedzieć, czy przyszedł specjalnie, żeby o tym porozmawiać czy żeby od tego uciec. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. I czy w ogóle powinno się coś mówić. Nie znajduję właściwych słów. Myślę, że należy złożyć kondolencje. Tak robią w filmach i w książkach.

– Naprawdę mi przykro, Jeffrey.

– Przecież to nie twoja wina.

– Wiesz, o co mi chodzi, głupku – mówię ze słabym uśmiechem. Pochyliam głowę. – Bardzo mi żal twojej mamy. Musi być załamana.

– Tak. – Jeffrey kiwa głową. – I wiesz, jest bardzo zła. Krzyczy. Wczoraj parę razy krzyknęła pierdolę. Pierdolę to, pierdolę tamto...

– Naprawdę?

– Tak. Naprawdę. – Jeffrey się uśmiecha.

– Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Wiem. To dziwne. Szkoda, że nie widziałeś mojego taty. Był w szoku. Od razu spojrzał na mnie, jakby to była moja wina.

Obaj chichoczemy z ulgą. A potem dostajemy głupawki. Śmiejemy się długo i głośno. Nie ma na to rady.

Potem znowu zaczynamy rozmawiać o Dougu Waltersie. Jeffrey zapewnia mnie, że Doug dopiero się rozkręca i jutro to dopiero pokaże. Nie mam serca się z nim spierać. Potem rozmawiamy o tym, po co mężczyźni mają sutki. Ustalamy, że są im zupełnie do niczego niepotrzebne. I jeszcze się zastanawiamy, jak się robi paski na paście do zębów.

Później pytam Jeffreyego, czy sądzi, że zwierzęta tak jak ludzie wiedzą, że pewnego dnia umrą, czy może śmierć przychodzi do nich nagle i niespodziewanie.

– Oczywiście, że nie wiedzą – odpowiada. – Przecież to imbecyle. Z wyjątkiem małp. I może słoni. One mogą wiedzieć. Wszystko zależy pewnie od sposobu porozumiewania się. Gdybyś na przykład był niechcianym dzieckiem pirata i zostawiliby cię na bezludnej wyspie, i nigdy nie miałbyś kontaktu z człowiekiem, to nie sądzę, żebyś wiedział, że istnieje śmierć.

– Rozsądny wywód. – Kiwam głową. – Jednak to zastanawiające. Nie możesz nie odczuwać smutku, skoro wiesz, że ty i wszyscy, których znasz, kiedyś umrzecie. Więc co byś wolał? Nic nie wiedzieć i umrzeć przez zaskoczenie czy wiedzieć i przez całe życie bać się widma śmierci?

Jeffrey zamyśla się.

– Większość ludzi pewnie wolałaby nie wiedzieć. Sądzę, że woleliby nie musieć tego rozważać. Ale ja chyba wolałbym wiedzieć. W przeciwnym razie człowiek robiłby się gruby, leniwy i wszystko odkładał na kolejne nadchodzące stulecie. Jakby ci ktoś powiedział, że umrzesz za tydzień, to prawdopodobnie starałbyś się zrobić w tym tygodniu wszystko, co się da. No nie wiem, na przykład spróbowałbyś sportowego spadochroniarstwa czy czegoś takiego.

– Masz rację. – Znowu kiwam głową.

– Rzecz w tym, że nie da się nie wiedzieć. I pewnie dlatego opowiadają te wszystkie bzdury o niebie. Żeby ludzie lepiej się czuli.

Kiedy Jezus zaczął opowiadać: „Och, nie martwcie się. Nie wszystko się kończy. Potem będziecie siedzieć na chmurkach i uczyć się grać na harfie. Albo bawić się piłeczką na golaska. Tylko bądźcie grzeczni”, to wszyscy się uśmiechnęli i zaczęli martwić tylko tym, żeby dobrze się sprawować.

– Myślę, że to, co mówisz, nie zachwyca Jezusa.

– Oczywiście, że nie, bo mówię prawdę. Powinienem założyć jakąś religię.

Niebo jest teraz jasnopomarańczowe. Słyszę, jak ptaki nawołują się w chłodnym powietrzu. I dzieci z sąsiedztwa bawiące się przy zraszaczu. Jeffrey skacze na równe nogi.

– No, dobra. Muszę wracać, Chuck.

– Taaa. Okej.

Jeffrey unosi głowę i uderza się ręką w czoło.

– Zapomniałem. Tato dzisiaj przygotowuje kolację, bo moja głupia matka nie wychodzi z sypialni. Jezu Chryste, to koszmar. Wszystko, co tato gotuje, wygląda jak flegma, a smakuje jak ropa wymieszana z solanką. Posolona ropa, Chuck. Gęba mi się od tego wywraca na drugą stronę. Tato uważa się za największego kucharza na świecie, ale jest żaloszny.

– Z moim tatą jest tak samo.

– Powinno się tego zakazać. Powinno być jakieś prawo, które by to ograniczało – mówi Jeffrey, odchodząc.

– Pański sprzeciw zostanie zaprotokołowany.

Odprowadzam Jeffreya do frontowych drzwi. Wiem, że powinienem powiedzieć coś właściwego i uspokajającego, ale nie bardzo wiem co. Słowa mi uciekły. Zawsze mi uciekają, kiedy ich potrzebuję. W takich przypadkach zaciskam usta i wyglądam beznadziejnie.

Jeffrey salutuje.

– Moje uszanowanie, Chuck.

– *Au revoir* – mówię do odchodzącego Jeffreya.

Oddała się z ramionami pochylonymi w sposób, jakiego nigdy dotychczas u niego nie widziałem.

Siedzę i oglądam z tatą wiadomości. Wentylator wiruje i warczy nam nad głowami. Obaj trzymamy w rękach szklanki lemoniady z lodem. Spodziewam się, że usłyszę coś w związku z krewnymi Jeffreya. Jakieś wyrazy oburzenia. Demonstracje na ulicach, takie, jakie widywałem już dawniej. Ale nie ma nic o Wietnamie. Żadnego programu. Żadnej wzmianki.

Zamiast tego, ku mojemu zdumieniu, na ekranie ukazuje się Dom Górnika i ludzie zgromadzeni w centrum Corrigan. Na ekranie telewizora. W pierwszej chwili nie rozpoznaję naszego miasta. Tato pochyła się, tak że prawie rozlewa lemoniadę. Woła matkę, która odrywa się od przygotowania kolacji i wpada, wycierając ręce w cienki, kraciasty ręcznik. Jej twarz wyraża niepokój. Matka stoi z rękami na biodrach.

Widzimy zdjęcie Laury. Czarno-białe. Laura uśmiecha się nienaturalnie, jakby ktoś ją do tego zmusił. Czegoś brakuje w jej oczach.

Dziennikarz mówi, że Laura najprawdopodobniej uciekła, i zachęca mieszkańców miasta, żeby jej szukali. Mówi, żeby zawiadomić policję, jeśli się ją widziało albo coś się wie. Cegła w brzuchu mi ciąży. Teraz pokazują państwa Wishart. Stoją obok siebie, przed domem. Pete Wishart stoi spokojnie. Zdecydowanie jest spokojny. To dziwne. Pani Wishart jest mniej opanowana. Wygląda mizernie. Ma zapuchnięte oczy. Nic nie mówi. Kiwa tylko głową z zaciśniętymi ustami, kiedy jej mąż serdecznie prosi ludzi, żeby

pomogli, jak tylko mogą. Koszmarnie się na to patrzy. Przynajmniej Elizy przy tym nie ma.

W wiadomościach przechodzą do następnego tematu. Tato odwraca się do mnie.

– Nie wiedziałem, że będą o tym mówić.

– A co to znaczy? – pytam.

– Cóż, z pewnością oznacza to, że Laura jeszcze się nie odezwała, chłopie. Może udało jej się dostać do dużego miasta. To niepokojące, muszę przyznać. Charlie, naprawdę sądziłem, że ona dzisiaj się odnajdzie. Może dotarła dalej, niż się spodziewaliśmy.

Oddycham szybko. Kręcę się ze szklanką w dłoni.

– Więc ciągle jeszcze nie myślisz, że to coś... poważniejszego?

Tato wzdycha i pochyla się ku mnie.

– Mówiliśmy już o tym.

– Wiem, ale... – Wskazuję na telewizor.

– Posłuchaj. Nadal nic na to nie wskazuje, Charlie. Okej? Laura Wishart była w domu w swoim łóżku w czwartek wieczorem. Jej rodzice to potwierdzili. A rano jej nie było. Sprawa jest prosta i trudna zarazem. Nie ma śladów włamania ani walki, niczego w tym rodzaju. Wszystko wskazuje na to, że po prostu wydostała się przez okno i odeszła.

– Sama? – pytam.

– Prawdopodobnie tak. Dzisiaj dowiedziałem się, że Laurze zdarzały się długie nocne spacery, z tym że rano zawsze była z powrotem.

– A wiedzą, dokąd chodziła? – Zaraz wpadnę w panikę. W lemoniadzie jest muszka.

– Nie. To dziwne, ale pozwalali jej na to. Nie rozmawiali z nią o tym. Ale chyba z tego wyniknął ten cały bałagan. Teraz myślą, że może spotykała się z kimś nad rzeką.

Przełykam z trudnością.

– Wiedzą z kim?

Matka nam przerywa:

– Wes, nie sędzę, że powinniśmy o tym rozmawiać. Nie przy Charliem. Już dosyć.

– Co? Dlaczego? – protestuję głośno.

Tato mnie uspokaja:

– Matka ma rację.

– Dlaczego? Dlaczego ma rację? To bez sensu! Oczywiście, że powinienem wiedzieć, co się dzieje.

– Charlie! – wykrzykuje matka.

– Charlie! – ostrzega tato.

Patrzę na nich groźnie. Matka potrząsa ręcznikiem.

– Widzisz, Wesley? – Trzęsie się z emocji. – On jest zupełnie jak ty. Nie słucha, do cholery.

Matka wypada z pokoju i trzaska drzwiami. Zglupiałem.

– O co tu chodzi? – szepczę, wskazując na drzwi.

Tato znowu wzdycha i pochyla się do przodu.

– Charlie, pamiętasz, co ci mówiłem o dyplomacji?

– Tak, ale...

– Posłuchaj, ty i ja zawsze możemy o tym porozmawiać... później. Okej? Bądź trochę sprytniejszy. Nie prowokuj jej. I uwierz

mi, mówię ci o tej sprawie tyle, ile trzeba. W innych rodzinach nie usłyszałbyś na ten temat ani słowa. Więc się ciesz.

Ma rację. Zawsze ma rację. Ale jakaś część mnie, uparta i niezaspokojona, każe mi naciskać:

– Dobrze. Rozumiem. Ale skoro już o tym mówimy, odpowiedz mi, proszę, czy wiedzą, z kim się spotykała?

Nie mogę się powstrzymać. Muszę wiedzieć. Wyraz twarzy taty wskazuje, że kończy mu się cierpliwość. Igram z ogniem.

– Nie. Nie mają pojęcia. Ja także nie mogłem im pomóc. Na pewno nie była zainteresowana nikim w szkole. Nie miała wielu przyjaciół. Możliwe też, że wcale z nikim się nie spotykała. Pewnie wychodziła sama.

– Czy jest prawdopodobne, że przestaną szukać na miejscu, w Corrigan?

– Charlie... – Tato patrzy na drzwi. Ciągłe szepczemy.

– Przecież nas nie słyszy. Muszę wiedzieć.

– Wiem, że się tym przejmujesz, chłopie. – Tato milknie i przez chwilę patrzy na mnie uważnie. – To nie znaczy, że zaprzestaną poszukiwań. Wokół jest busz. Jeszcze przez jakiś czas będą mieli helikoptery. Myślę, że przez kilka dni. A jutro przyjeżdża ekipa nurków. Zespoły poszukiwaczy będą działały tak długo, jak długo będą wolontariusze chętni do pomocy. Ale to jak szukanie igły w stogu siana. Laura naprawdę zniknęła bez śladu. Nie wiadomo, od czego zacząć. Mogła pójść wszędzie. Jest bystrą dziewczyną. I jeśli nie chce, żeby ją odnaleziono, to sprawa jest jeszcze trudniejsza. Ludzie robią, co mogą, ale mogą niewiele. Więc nie wiem. Strasznie mi żal jej rodziny. Muszą przeżywać piekło.

Tato milknie. Przez chwilę gapię się w podłogę. A potem pytam tak zwyczajnie, jak tylko potrafię:

– Mogę z tobą jutro pójść, żeby pomóc w poszukiwaniach?

Tato marszczy czoło.

– Oczywiście, że nie, Charlie. Absolutnie. Nie. Koniec dyskusji.

Tato uśmiecha się słabo, wstaje i głaszcze mnie po włosach.

– I pamiętaj, co powiedziałem. – Pokazuje na drzwi. – Masz głowę, więc jej używaj.

Uśmiecham się do niego półgębkiem.

Później, myśląc o Jeffreyu, żałuję, że nie porozmawiałem z tatą o Wietnamie. O wojnie, która tam trwa, o rodzinie Jeffreya i o tym, jak zginęli. To wszystko nie ma sensu. Chcę, żeby mi wytłumaczył, jak to się mogło stać.

To dziwne, ale ze wszystkich strasznych rzeczy, o jakich się ostatnio dowiedziałem, zrzućenie bomby wydaje mi się najmniej okrutne, chociaż w rzeczywistości stanowi akt największej przemocy. Nie ma jednak w tym ani zakrwawionej rękawiczki, ani strzałów z bliska. Trudno odgadnąć, kto jest winien. Z tej odległości bombardowanie wydaje się czymś... czystym. Może im dalej się przebywa od miejsca zdarzenia, tym mniej się jest odpowiedzialnym. Ale właśnie to wydaje mi się niewłaściwe. Powinni o tym mówić w wiadomościach. To źle, że tam zginęli ludzie.

Ale czy przejmowałbym się tak bardzo, gdyby to nie byli krewni Jeffreya? Ciężko to przyznać, ale chyba nie. No bo jeśli brałoby się do serca każde straszne wydarzenie na świecie, to człowiek by się załamał. Większość życia spędziłby, płacząc. Podążałby od jednej tragedii do drugiej. Byłby wrakiem. Pewnie dlatego ludzie tkwią w Corrigan. We własnym sosie. Im mniej się wie, im dalej się jest, tym łatwiej wzruszyć ramionami i żyć. Jeśli tak, to Corrigan jest miastem skorupiaków. Zbiorowiskiem ludzi ukrytych w twardych muszlach. Ludzi zamkniętych szczelnie, którzy wolą nie wiedzieć o śmierci. A ja czuję się teraz tak, że nie mogę ich za to winić.

Kiwam piórem trzymanym między palcami. Wygląda w tym ruchu, jakby było zrobione z galaretki. Wzdycham. Czuję się, jakby ktoś mi grzebał w bebeczach. Nie. Czuję się, jakby jakiś kundel wziął moje wnętrzności w zęby i na moich oczach nimi szarpał. I, szczerze mówiąc, mam ochotę się poddać. Niech ten pies robi ze mną, co chce. Niech mną szarpie jak starym, wełnianym swetrem, aż stanę się zupełnie bezwładny i pusty.

Co to za świat? Czy zawsze taki był, czy coś się w nim w ostatnich kilku dniach posypało? Czy wszystko zawsze było tak nie w porządku? Nie rozumiem. Co to za świat, w którym młoda, ładna dziewczyna zostaje pobita i powieszona? Co to za świat, który pozwala żyć takim Fishom i Cooke'om, pozwala im napełniać się jadem i trwać w nienawiści, torturować niewinnych i przerażać dobrych ludzi? Co to za świat, w którym można bić kogoś za to, że coś powiedział.

Słowa, słowa, słowa.

Świat, który morduje rodziców i osieroca dzieci, wykopuje daleko ukochaną piłkę do krykieta i kłamie przez zaciśnięte ostre zęby. Świat, w którym skromny człowiek czuje się jak śmieć tylko dlatego, że jest biedniejszy albo bardziej brązowy, albo pozbawiony matki. Świat, na którym żyją trzy miliardy ludzi, a każdy z nich jest równie samotny jak cała reszta. Świat w trzech czwartych złożony z wody, która nie ugasi niczyjego pragnienia.

Pieprzyć to. Nikt tą grą wariatów nie dowodzi. Nie ma mowy. W przeciwnym razie byłby okrutniejszym skurwielem, niż ktokolwiek potrafi sobie wyobrazić. Chodzi o właściwe miejsce i czas, prawda? Albo masz szczęście, albo pecha. Albo unikniesz kuli, albo cię trafi.

Laura Wishart dostała. Nie żyje. Naprawdę. Pochowaliśmy ją, Jasper Jones i ja. Dotykałem jej, kiedy była jeszcze ciepła. Niosłem ją. A teraz oni jej szukają. Są tam. Policjanci, dziennikarze, mieszkańcy Corrigan. I boję się, że jakimś cudem ją znajdą. I że znajdą nas.

Tylko jeszcze jeden człowiek poza nami wie, co się stało. A ja nie mam pojęcia, jak Jasper i ja kiedykolwiek zdołamy się dowiedzieć, kto to taki. To wydaje się absolutnie niemożliwe.

A co będzie, jeżeli się nam nie uda? Co się wtedy stanie? Jak już przerwą poszukiwania, a Jasper i ja się poddamy. Czy pozwolimy Wishartom trwać w nadziei, kiedy Laura będzie już tylko wiązką kostek przywiązanych do kamienia? Pozwolimy, żeby spędzili resztę życia, czekając i się modląc? Zastanawiam się, czy chronienie tej ich cząstki, która wierzy, że Laurze udało się dotrzeć do miasta, jest czymś dobrym. Tej cząstki, która wciąż wierzy, że ona gdzieś tam jest. Że nadal jest nadzieja, nieważne jak nikła, że ona gdzieś tam żyje. I daje sobie radę. Zastanawiam się, czy to, że nigdy do końca nie będą wiedzieli, stanie się dla nich źródłem ulgi czy tortura.

Myślę, że z początku człowiek chce chronić tę iskierkę jak świeczkę niesioną w głąb jaskini. Potem ta nadzieja, ta wiara staje się jakby prawdą. Ona wróci. Ona wróci. Z czasem te słowa przeobrażają się w zakłęcie.

Ale z drugiej strony, z czegoś takiego człowiek nigdy się nie wyzwoli, no nie? Nigdy nie poukłada sobie w sercu wszystkiego na właściwych miejscach. Spędzi resztę życia, bujając się między migoczącą iskierką a czarnym tunelem, w którym się znalazł. I będzie czerpał światło ze swojego żarzącego się ogarka, zamiast pójść w kierunku prawdziwego światła na końcu tunelu.

Myślę, że taka ulga jest słaba i zwodnicza. Najgorszy jest przecież brak pewności. Człowiek pada ofiarą własnej wyobraźni. To się nigdy nie skończy. Przypuszczenia, strzępy wydarzeń, fragmenty scenariusza. Coś pozostanie na zawsze poza zasięgiem. W końcu człowiek będzie pragnął już tylko prawdy. Wszystko jedno jakiej. Nawet takiej, że jego córka czy siostra spoczywa na dnie jeziora, przywiązana do kamienia. Że została napadnięta, pobita i powieszona. Że została mu odebrana, skradziona i pochowana, a najbliżsi nie mogli jej ukołysać ani wyszeptać pożegnania.

Odkładam pióro. Splatam ręce i opieram na nich głowę. Myślę o Elizie. O jej policzkach i zapachu. Muszę. To jedyny sposób na kundla, na owady, na zamieć w śnieżnej kuli.

– *Co za świat!* – powiedziała zielona czarownica w moim koszmarze opartym na *Czarnoksiężniku z Oz*. Założę się, że Laura odchodziła z radością. Założę się, że część niej z ulgą roztapiała się i rozwiewała. Myśl o umieraniu dla niektórych ludzi jest miła. Stanowi ulgę. Co za świat. Zasypiam tak, z otwartą walizką pod stopami i kartkami roztasowanymi wokół ramion.

A Jasper Jones nie przychodzi.

Nie przychodzi, nie przychodzi i wreszcie jest.

Jasper Jones przyszedł pod moje okno. Minał tydzień, odkąd zamordowano Laurę. Od tygodnia nie widziałem Jaspiera. Wydaje się, jakby to było całe życie.

Nic wielkiego się nie wydarzyło, odkąd tamto się stało. Turniej krykieta okazał się porażką. Nawet Doug Walters nie zdołał uratować sytuacji. Jeffrey nie został przyjęty do drużyny krykieta, co mnie nie zaskoczyło. Moja matka była irytująca, a ojciec zatroskany i łagodny. A ja coraz mniej sypiałem. Skończyłem *Wartogłowego Wilsona* i zacząłem *Prostaczków za granicą*. Nie musiałem kopać następnych dołów.

Odleciały czarne ważki, a grupy poszukiwaczy zaczęły znikać. W buszu zostało już tylko kilku miejscowych i parę osób z najbliższej okolicy. Ekipy nurków zeszły pod wodę i wypłynęły z pustymi rękami.

Doręczono ostatnią porcję wezwań do wojska. Słyszałem, że trzech młodych chłopców z Corrigan zostało powołanych do służby. Tato kręcił głową, kiedy mi o tym mówił.

Minał tydzień, odkąd utopiliśmy jej ciało. Laura Wishart ciągle była tam, gdzie ją zostawiliśmy. Corrigan z wolna rezygnowało z godziny policyjnej obejmującej dzieci, ale strach pozostał. Dzieciaki wypuszczono na dwór i na ulicach zrobiło się głośno i kolorowo, ale drzwi zatraskiwano i zamykano na klucz przed zmierzchem. Rodzice pozostawali spięci i czujni.

Dzisiaj wieczorem w Domu Górnika odbyło się spotkanie. Były tylko miejsca stojące. Wishartowie nie przyszli. Miałem nadzieję, że zobaczę Elizę. Jeffrey był z matką, ale dotarli później i stali z tyłu, więc nie mogłem z nim porozmawiać. Przemawiał miejscowy pastor i kilku radnych. Żaden z nich nie był w stanie odpowiedzieć na pytania z jakąś dozą pewności. Czerwienili się i poprawiali kołnierzyki. Powtarzali w kółko to samo. Mówili, że to nadal zagadka. Nie ma dowodu, że doszło do jakiegoś niecodziennego wydarzenia. Wydaje się, jakby Laura po prostu zniknęła. Najpewniej wyjechała z Corrigan autostopem. W tej sytuacji poszukiwania zostały rozszerzone na dalsze stany i na cały kraj rozesłano ulotki wzywające do udzielenia informacji o zaginionej. Wziąłem długi i głęboki wdech. Pastor, na którego wszyscy mówią Czcigodne Jajeczko, bo wiadomo, że ma tylko jedno jądro, mówił z teatralnym zadęciem. Zaintonował modlitwę, a potem zapewnił, że Bóg przyprowdzi nam Laurę bezpiecznie z powrotem. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że tato przymrużył oczy i zacisnął szczęki. Zanim ludzie zaczęli wychodzić, przypomniano im, żeby mieli oczy szeroko otwarte i nie tracili czujności. No i „jeśli ktoś ma jakąś nową informację, proszony jest o jej niezwłoczne ujawnienie”.

Mogłem wreszcie powoli wypuścić powietrze.

Nigdy jeszcze nie czułem się tak niezmiernie samotny jak wtedy. Jakbym był w potrzasku, uwięziony wśród tych ludzi. Czułem się, jakbym był uszyty z innego niż oni materiału. Jakbym pochodził z innego miejsca i mówił innym językiem. Mając wokół siebie lokalnych policjantów i milczących detektywów z miasta, wolontariuszy, historyczne matki i dzielnych ojców, czułem się jak w gnieździe szerszeni. Nagle dotarło do mnie, jaki czyn popełniłem razem z Jasperem Jonesem. I jakie ten czyn ma znaczenie. Gdyby ktokolwiek dowiedział się o nim, pluto by na mnie i wrzeszczano.

Ale ludzie nic nie wiedzieli. Nie mieli pojęcia. I prawdopodobnie nikt w Melbourne, Sydney czy w Adelajdzie w niczym nie pomoże. Nikt spoza naszego miasta nie wie, co ja widziałem.

Jasper i ja jak dotąd byliśmy bezpieczni. Laury nie znaleziono i nikt nie widział nas na ulicy tamtej nocy. Cieszyłem się z tego oczywiście, ale z drugiej strony mnie to niepokoiło. No bo skoro ludzie, którzy dysponowali brygadami poszukiwaczy, psami gończymi, helikopterami i ekipami nurków, niczego nie odkryli, to jaką my mamy szansę?

Po spotkaniu w otwartym hallu Domu Górnika czekały stoły z termosami i talerzami pełnymi wypieków. Rodzice przepływali obok nich i wysypywali się przed budynek. A dzieci dostawały przy tym po łapach. Teraz Corrigan miało okazję, żeby zbiorowo poplotkować. Wieści mogły popłynąć z ust pań, które paplały, unosząc brwi. Mężowie natomiast mieli okazję, żeby te pogłoski bagatelizować i obalać.

Przed budynkiem małe dzieci bawiły się w berka. Biegały po alejkach i między zaparkowanymi samochodami. A dzieci mniej więcej w moim wieku zbierały się w grupki i szwendały, zachęcając się nawzajem do podkradania smakołyków ze stołów. Wakacyjne pary korzystały z okazji, żeby spędzić razem trochę czasu. Chłopcy i dziewczęta rozglądali się konspiracyjnie i oglądali przez ramię, przebiegając na drugą stronę jezdni, zanim znikali na tyłach budynku, żeby się całować i obściskować.

Dosyć szybko znalazłem Jeffreya. Przeżuwał kawał pierunkowego ciasta, które złapał, wychodząc.

– Mam szybkie ręce, Chuck – powiedział. – Jak wytrawny kieszonkowiec. Mogłem buchnąć całą tackę i nawet by nie zauważyli.

– I miałbyś wytrawne trawienie.

Jeffrey zaśmiał się z pełną buzią.

– Oni naprawdę nic nie wiedzą, no nie?

– Ale w jakim sensie? – zapytałem.

– Chodzi mi o policjantów. To kretyństwo. Zwołali wielkie zgromadzenie tylko po to, żeby powiedzieć, że wiedzą tyle co my. Myślę, że po prostu chcieli zjeść coś dobrego. – Jeffrey wcisnął do ust resztę piernika.

– Pewnie masz rację – powiedziałem.

– Zawsze mam rację – odparł po chwili, którą zajęło mu przeżucie ciasta. – Jestem geniuszem. Ale nudzi mi się. Umysł tego kalibru, co mój, wymaga stymulacji. Idź i powiedz im, że ty to zrobiłeś, i będziemy mogli wszyscy pójść do domu.

Wtedy nagle zrobił się hałas. Donośne dźwięki przecięły powietrze, tak że wszystko zamarło. Z hallu dobiegł pojedynczy krzyk, potem brzęk tłuczonych naczyń, westchnienie tłumu, wreszcie piski i płacz. Brzmiało to głośno i dziwnie. Wszystkie głowy odwróciły się w tamtym kierunku.

A oto, co się stało:

Pewna kobieta, która nazywa się Sue Findlay i której nigdy wcześniej nie widziałem, wyszła z dalszego pomieszczenia i w hallu zobaczyła mamę Jeffrey'a, która nalewała sobie wodę z termosu do filiżanki. Sue Findlay to waleczna kobieta mocnej postury, a z tego, co mi potem powiedział tato, wynika, że wtedy po prostu wybuchła jak bomba. Oczy jej zapłonęły jak automat, do których się wrzuca monetę. Wrzeszczała, aż zrobiła się czerwona, a potem ruszyła na panią Lu i wytrąciła jej filiżankę, a wrzątek wylał się prosto na dekolt pani Lu. Filiżanka się roztrzaskała. Oszołomiona pani Lu cofnęła się i lekko pochyliła. Ale Sue Findlay wcale nie skończyła. Szturczała ją palcem i płaczącym głosem wykrzykiwała najokropniejsze wyrazy, najstraszniejsze rzeczy, jakie można powiedzieć. Jej oczy były przy tym zupełnie dzikie. To się stało tak szybko. Ludzie dookoła po prostu się gapili. Nie wiem, gdzie był jej mąż. Dopiero

kiedy sięgnęła, żeby pociągnąć panią Lu za włosy, Czcigodne Jajeczko przepchnął się do niej, objął za ramiona i wyprowadził.

Pani Lu wyciągnęła drżącą rękę po serwetkę. Nikt nie objął jej za ramiona.

Wtedy przez tłum przecisnął się Jeffrey. I zaraz za nim ja. Jeffrey podszedł prosto do matki i dotknął jej biodra. Pani Lu wycierała sobie dekolt.

– Mamo, chodźmy.

To wszystko, co powiedział. Jakby nic się nie stało. Pani Lu pokiwała głową. Musiało ją strasznie boleć. Jeffrey wyprowadził ją, trzymając głowę wysoko. Jakby to był tylko przykry wypadek. Pani Lu drżała i wyglądała na poruszoną. Ludzie z wolna się rozstapili. Poszedłem bez słowa za Jeffreyem i jego mamą.

Jeffrey otworzył przed mamą drzwi, a ludzie patrzyli, jakby to było przedstawienie. Kiedy silnik zapalił, Jeffrey odkręcił szybę i pomachał do mnie.

– Cześć, Chuck – powiedział.

Słowa mnie opuściły. Wolno podniosłem rękę.

Potem odnalazłem rodziców. Patrzyłem, jak mój ojciec rozmawia z innymi zatroskanymi rodzicami, którzy szli w tę samą stronę, co my. I patrzyłem na matkę, dziwnie ożywioną i serdeczną. Czułem gorycz. Nikt nie mówił o tym, co się właśnie stało. Nie padło na ten temat ani słowo.

Nagle ktoś wymienił nazwisko Jaspera Jonesa. Tak samo jak wtedy, kiedy budynek poczty spłonął aż po fundamenty. A mój ojciec słuchał i nie reagował. Widać było, że z trudem ich toleruje i że wie lepiej, ale nie powiedział nic w obronie Jaspera. Nic z tego, co ja chciałem powiedzieć. Więc westchnąłem, odwróciłem się i kopnąłem kamień najmocniej, jak mogłem. Poleciał, odbijając się, w poprzek drogi. Zostawiłem ich i usiadłem na tylnym siedzeniu w

samochodzie. Spocony, patrzyłem wilkiem na miasto przez zakurzone szyby. Byłem przepelniony smutkiem i nienawiścią. Zastanawiałem się, jak wielu z nich wymieniło nazwisko Jaspera w ostatnim tygodniu. Może wszyscy. Zastanawiałem się, ilu z nich w tej chwili mówi o Jasperze.

Zrozumiałem, że zrobiliśmy coś złego, ale w słusznej sprawie. Gdybyśmy zostawili Laurę Wishart tam, gdzie była, znaleźliby ją. Ktoś, jakoś, w którymś momencie by ją wypatrzył. I szybko skojarzyliby imię Jaspera z tą sprawą. On miał rację. To miasto szukało pretekstu. Ta zbieżność faktów by im wystarczyła.

Zostałby schwytyany i uwięziony jak Eric Cooke. Zostałby pobity i zlinczowany jak Laura Wishart.

Gapilem się na swoje kolana. Nagle wyobrażenie, że jestem w Nowym Jorku z Elizą, wydało mi się czymś najcudowniejszym na świecie. Oparłem głowę o szybę i myślałem o tym. Wyobraziłem sobie, że spotykamy się na Manhattanie, żeby pójść na herbatę. Zresztą szczegóły nie miały znaczenia. Najważniejsze było to, że to daleko stąd. Daleko od tych ludzi. Wyobraziłem sobie, że trzymam Elizę za rękę i coś dla niej kupuję. Całuję ją w policzek, kiedy się rozstajemy. Mógłbym mieszkać z Jasperem Jonesem. W Brooklynie. Bylibyśmy tam bezpieczni. Nikt by nas tam nie odnalazł, nikt by nas o nic nie podejrzewał. Mógłbym się przechadzać ze swoją dziewczyną na drugim krańcu miasta.

Moje zamyślenie nagle przerwały rozbłysłe reflektory skierowane na budynek Domu Górnika. Słońce już się chowało, więc ich silne, żółte światło rozjaśniło otoczenie. I jak na komendę matki zaczęły nawoływać dzieci do powrotu, a ojcowie ruszyli w kierunku pubu na swoją wieczorną kolejkę. Zobaczyłem, jak Sue Findlay schodzi po drewnianych schodach, trzymając przy twarzy białą chustkę do nosa. Prowadził ją mężczyzna, którego nie znam. Chciałem w nią plunąć jadem. Patrzyłem na nią z zaciśniętymi ustami.

Podszedł ojciec i pokazał mi palcem, żebym się przesiadł na przednie siedzenie. Matka zostawała, żeby pomóc w sprzątaniu.

Na krótkiej trasie do domu wyjaśnił mi, o co chodziło w tym wybuchu Sue Findlay.

Kilka miesięcy temu jej mąż, Ray, zginął na wojnie. Ich małżeństwo nie było usłane różami, ale ona bardzo źle to znosi. A nie dalej jak wczoraj najstarszy syn oznajmił jej, że jedzie do Wietnamu. I to zniosła jeszcze gorzej.

– To niczego nie usprawiedliwia – powiedziałem z oburzeniem. – To nie ma nic wspólnego z panią Lu! To nie w porządku!

– Charlie... – Ojciec przechylił głowę i westchnął.

– Nikt jej nie pomógł! – zawołałem głośno. – Nikt nawet nie pomyślał, żeby jej pomóc!

Ojciec milczał.

Jasper Jones jest pod moim oknem.

Kiedy włożę na łóżko, żeby uchylić okiennicę, mam sucho w ustach i serce mi wali, jakby chciało wyskoczyć.

– Charlie! – szepcze Jasper i znowu stuka.

Najpierw widzę jego twarz. Lewe oko ma spuchnięte, przypomina piłkę do krykieta. Wygląda jak lśniąca bulwa z cienkim rozcięciem. Usta przecina mu zaschnięta rana.

– Co ci się stało w twarz? – pytam cicho i czujnie.

– Zaraz ci powiem – mówi, zaglądając do mojego pokoju. – Możesz wyjść?

Jest późno. Ojciec siedzi w bibliotece. Matka jeszcze nie wróciła z Domu Górnik. Rozważam ryzyko. To jak gra w ciuciubabkę.

– Dokąd? – szepczę. Ale Jasper już się wycofał w ciemność. Wyglądam, lecz go nie widzę. Słyszę szelest i ciche chrząknięcie. W sąsiedztwie pies zaczął szczekać. Wstrzymuję oddech. Nie wiem czemu, ale chowam talerz pod prześcieradło. Natykam się na Jaspiera na podwórku.

– Kto wykopał taką wielką dziurę na środku waszego podwórka? – pyta, strzepując ziemię z koszuli.

– Ja. To długa historia.

– Kurde, Charlie, przynajmniej zakop to porządnie.

– Gdzie byłeś? – Chciałbym mu powiedzieć, jaka to dla mnie ulga, że znowu go widzę. Ale nie mówię tego.

– Tu i tam – mówi i drapie się po głowie. – Gotowy?

Znowu czuję przyływ strachu i podniecenia. Nie mam wyboru. Muszę iść za nim. Wolę ryzyko niż spędzenie kolejnego wieczoru w niepokoju i niepewności. Wolę raczej dać się zamknąć, niż być dalej pozostawionym samemu sobie.

Posuwamy się pochyleni wzdłuż naszego domu i dalej w kierunku ulicy.

Czuję się ważny.

– Dobrze, że to robimy? Nie ma patroli?

– Nie – odpowiada Jasper, nie odwracając się w moją stronę. – Przestali patrolować już dwie noce temu. Zresztą i tak dziś wszyscy piją w pubie.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Poruszamy się szybko, czujnie i ostrożnie. Trzymamy się z dala od latarni i gdy tylko się da, wybieramy drogę przez puste działki. Wiele razy muszę się zatrzymywać, żeby wysypać kamyki z

sandałów. Jasper czeka niecierpliwie. Na Clement Street słyszymy podjeżdżający samochód, a potem widzimy zbliżającą się smugę reflektorów. Jasper łapie mnie za koszulę i pociąga za sobą na czyjś podjazd, gdzie chowamy się za rozłożystym krzewem. Rozpoznaję lepki dotyk pajęczyny i czuję, że coś zaczyna po mnie iść. Chce mi się piszczeć. Kiedy czekamy, żeby samochód przejechał, Jasper cały czas trzyma mnie mocno. Poce się. Każdy miesiąc mam napięty. Chcę uciec, krzyczeć i zrzucić to z siebie.

Oczywiście samochód zwalnia i wjeżdża akurat na ten podjazd, na którym się ukrywamy. Chyba się zesram. Skicham się tu. Samochód toczy się i zatrzymuje. Słuchać skrzypienie otwieranych drzwiczek. Jak w horrorze.

Wychodzi mężczyzna. Jest stary. I pijany. Jeżeli nas złapie, to po nas. Patrzymy, jak chwiejnie idzie przez trawnik w kierunku domu. Doszedłszy do skraju werandy, zatrzymuje się i zaczyna rozpinać pasek. Nienawidzę go. Kurwa, coś po mnie łązi! Chcę zedrzeć z siebie ciuchy i kulać się po trawniku, jakbym się palił.

Po kilku bezowocnych próbach mężczyzna podnosi rękę i patrzy na nią, jakby próbował coś z niej przeczytać bez okularów.

Znowu próbuje, odpina pasek, rozsuwa zamek i zaczyna sikać na trawę. Trwa to bez końca. Wypił chyba zawartość całej dębowej beczki. Widziałem wąż strażacki. Jego strumień był mniejszy. Mam na karku gigantycznego pająka, który zaraz wbije mi trujące żądło, a ten facet wysikuje Ganges do ogródka! Życzę mu śmierci. Chcę, żeby strzelił go piorun. Nigdy nie pragnąłem tak mocno boskiej interwencji jak w tej chwili. Patrzę na niego i umieram. Buja się w biodrach i mocno przyciska brodę do piersi, a potem zaczyna śpiewać *Daleką drogę do Tipperary*.

W końcu wchodzi do domu. Kiedy tylko zatraskują się drzwi, wyskakujemy z ukrycia. Biegnę, jakby moje nogi należały do kogoś innego. Na końcu ulicy zatrzymuję się, drapię się spazmatycznie w

głowę i zrzucam koszulkę. Podskakuje, trę kark, uderzam się w piersi. Pewnie wyglądam jak debil.

– Charlie, co ty robisz? – szepcze Jasper.

Milczę i strzepuję koszulkę.

– Myślałem, że pająk po mnie chodzi. Wiesz, no, jadowity.

Jasper wolno kiwa głową. A potem nią kręci.

– Jezu, myślałem, że umierasz.

– Ja też – mówię i starannie wkładam koszulkę. – A swoją drogą facet sika jak wielbłąd.

Ku mojemu zdumieniu Jasper się śmieje. Jego śmiech jest szczery i donośny. Dopiero teraz widzę, że ma dołeczki. Ja także się śmieję. Jestem dumny z tego, że go rozśmieszyłem. Po chwili macha na mnie, żebyśmy szli dalej.

W drodze na polanę Jaspera nie rozmawiamy. Wydaje mi się, że powinienem trzymać się blisko niego i być cicho. Czuję się nieswojo, kiedy docieramy do zasłony z gałązek z pobłyskującymi listkami. Mam wrażenie, jakbym miał zaraz znowu zobaczyć Laureę, tak jak wtedy. To dziwne, niepokojące uczucie. Moje nogi stają się ciężkie i serce mi wali. Nade mną wznosi się wielki i ciemny eukaliptus. Nie chcę tam wchodzić.

– Gotowy? – pyta Jasper.

Patrzę na niego oszołomiony.

Nie czeka na moją odpowiedź. Rozsuwa gałązki i przytrzymuje, tworząc przejście. Pochylam się i przechodzę. Muszę.

Wchodząc na polanę, mam zamknięte oczy. Kiedy wreszcie je otwieram, miejsce wydaje mi się zaskakująco znajome. Choć byłam tu tylko raz, mam wrażenie, jakbym przychodził tu przez całe życie i wrócił właśnie po dłuższej nieobecności.

Jasper staje tuż obok mnie. Jest nachmurzony.

– Dziwnie się tu czuję – mówi.

– Taaa. Ja też. – Podnoszę głowę i rozglądam się. Nasz nieokreślony nastrój przeniknął rosnące wokół drzewa. Wyglądają jak chorobliwie zielona mgła.

– Nie. Chodzi o to, że jest jakoś... inaczej.

– W jakim sensie?

– Nie wiem. Trudno powiedzieć. Jakbym miał coś za plecami. Jakby ktoś jeszcze tu był. Tak. O to chodzi. Jakby ktoś tu przychodził.

– Czy to możliwe? – pytam.

– Oczywiście, że możliwe. Nie myślę, że rzeczywiście tak było, ale tak może się zdarzyć.

Jasper rozgląda się uważnie. Jakby coś podejrzewał. Skrada się do skraju polany, potem pod namiot z gałęzi eukaliptusa i wreszcie znika mi z pola widzenia.

Ja stoję w miejscu.

Jasper wraca i zatrzymuje się. Jedną rękę opiera na biodrze, drugą pociera brodę.

– Nie. Nikogo tu nie było.

Brzmi to, jakby sam siebie próbował przekonać.

– Ale kogo, policjantów? Przecież kręcili się w tej okolicy przez cały tydzień.

Jasper najwyraźniej nie chce o tym myśleć. Nagle wzrusza ramionami.

– Papierosa? – pyta, wyciągając do mnie pełną paczkę.

Po chwili zastanowienia odmawiam i ruszam za Jasperem w kierunku jeziora. Jasper siada i opiera się plecami o drzewo. Zapala zapalke i osłania dłonią. Jego poraniona twarz rozbłyska przez chwilę pomarańczowym światłem. Siadam po turecku blisko, ale nie za blisko wody.

– Masz whisky? – pytam.

Jasper unosi brwi. Potem uśmiecha się kącikiem rozciątych ust i sięga po cienką linkę zaczepioną o korzeń tuż przy jego nodze. Na drugim końcu linki jest butelka. Delikatne fale na wodzie działają kojąco. Odwracam oczy.

– Co my tu mamy, Charlie? Coś z najwyższej półki. Irlandzka whisky, chłopie. Coś pysznego.

Obracam się i widzę, jak odejmuje butelkę od ust i ociera wargi.

– Masz, gołnij sobie.

Robię, jak mówi. Nawet więcej. Nabieram w usta tyle, ile się zmieści. Efekt jest równie paskudny jak za pierwszym razem. Pali mnie jak trucizna. Usta mi drętwieją. Nie mam pojęcia, czemu o to prosiłem. Ale teraz trzymam flaszke i muszę jakoś zmniejszyć objętość płynu. Mocno ściskam szyjkę butelki. Wciągam powietrze i biorę potężny łyk. Oczy wychodzą mi z orbit. Muszę się bardzo postarać, żeby żołądek tego nie wyrzucił.

– Jeezu. To... niezłe – wyszeptuję i oddaję butelkę. Ledwie widzę Jaspera przez łzy. – Cholernie tego potrzebowałem.

Naprawdę. W pewnym sensie. W jakiś sposób podoba mi się to uczucie ciepła w brzuchu. Płyn rozpuszcza tę moją cegłę. Jest teraz trochę lżejsza. Piekielna mikstura działa. Pokazuję palcem na Jaspera.

– Twój tato to zrobił?

Jasper trochę się prostuje.

– O co pytasz?

Unoszę dłoń do twarzy.

– Och... – Jasper dotyka palcem zapuchniętego oka. – Nie. Właściwie go nie widziałem. W ubiegły piątek wybył z miasta. Nie było go, jak wróciłem.

W ubiegły piątek. Marszczę czoło i zamyślam się. Nie wiem. Może reaguję jak histeryk, ale nic na to nie poradzę. Coś podejrzewam. Czy to nie jest wymowne, że ktoś opuszcza miasto rankiem po morderstwie? Jasper szybko chwyta, o co chodzi.

– Ale Laury nie zabił, bo o tym myślisz, prawda? Nie ma mowy. Może jest nic niewartym bezrobotnym pijakiem i wraca do domu na chwiejnych nogach, ale tego nie mógłby zrobić. Mój stary nie potrafiłby zabić z zimną krwią. Poza tym to wymagało za dużo roboty. No i Laura nigdy nie dałaby mu się nabrać. – Jasper uśmiecha się żałośnie.

– Więc kto ci to zrobił?

Jasper zaciąga się głęboko, a potem delikatnie wypuszcza idealne, srebrne kółeczko dymu.

– Charlie, chłopie, a jak myślisz?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszam ramionami. Skąd mam wiedzieć?

– Policjant. Miejscowy, Charlie.

– Nie rozumiem.

– A co tu jest do rozumienia? Zaprosili mnie do siebie i przetrzymali przez weekend.

– Dlaczego? Wolno im coś takiego robić bez powodu?

– Oni nie potrzebują powodu, chłopie. A poza tym komu miałbym się poskarżyć?

– I oni to zrobili? – Pokazuje na jego twarz.

– Jasne. – Jasper s pluwa i dopala papierosa. Petuje. Zapala następnego. Z papierosem w ustach mówi niewyraźnie: – Najbardziej bolą mnie żebra. Od podkutych butów. Cholerne gnojki.

– Ale dlaczego? Dlaczego to zrobili?

– Kurde. – Jasper się niecierpliwi. Wyciąga do mnie rękę z butelką, a ja ją przyjmuję. – Przecież to jasne. Myślą, że mam coś wspólnego z zaginięciem Laury. Chcieli, żebym się przyznał.

– Chcieli, żebyś się przyznał?

– No tak.

– I co im powiedziałaś? – Przysysam się do butelki i pociągam łyk. Czuję, jak ciepło przepływa przeze mnie w dół, a potem w górę.

– Nic, Charlie. Ani słowa. Przez cały czas nie powiedziałem ani słowa. I dlatego jeszcze wczoraj nie mogłem oddychać.

– To straszne – mówię. I to wszystko, co mogę powiedzieć.

– Można to tak określić. – Jasper uśmiecha się gorzko. – Ale jest w tym jedna dobra rzecz: dzięki temu wiem, co oni wiedzą. Nic, Charlie. Kompletnie nic nie wiedzą. I to dla nas dobrze, chłopie. Przez jakiś czas mamy spokój. Ale to nam nie pomoże odkryć, kto naprawdę jej to zrobił.

Pociągam następny łyk z butelki i oddaję ją Jasperowi. Mikstura nadal smakuje jak kwas, ale to w jakiś sposób przyjemne. Zaczynam rozumieć, po co ludzie wlewają to sobie w gardła.

– Dzisiaj w mieście odbyło się zebranie. Mam wrażenie, że wszyscy myślą, że Laura uciekła. Mówią, że odjechała autostopem. Tak też mówili w wiadomościach. W telewizji. Prosilili ludzi o pomoc.

Jasper wolno kiwa głową.

– Albo specjalnie kłamią, albo są cholernie głupi. Pomyśl, Charlie. Po co to mówią? Wiedzą, że Laura nie spakowała żadnych rzeczy, nie wzięła pieniędzy, nie zostawiła listu czy czegoś. Wiesz, co myślę? Myślę, że mówią tak, bo niczego nie znaleźli. Chcą chronić własne dupy i zrzucić kłopot na kogoś innego. Robią tak, żeby odwrócić uwagę.

– Tak myślisz? Wiesz, ojciec Laury był nawet w wiadomościach. Prosił o pomoc. Prosił ludzi w mieście, żeby mieli oczy szeroko otwarte.

– Chłopie, ojciec Laury jest najgorszy z nich wszystkich.

Jestem zaskoczony.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Powiedzmy, że on też był na posterunku policji – mówi Jasper gorzko.

– I co, wiedział, że cię biją?

– Wiedział? Nie tylko wiedział. Kopał najmocniej ze wszystkich. Walił z całej siły i był dwa razy tak wściekły jak reszta. Darł się na mnie i pluł. Gdzie ona jest? Co jej zrobiłeś? Śmierdział samogonem gorzej niż mój stary.

Nie mogę uwierzyć w to, co usłyszałem. To się wydaje nieprawdopodobne. W głowie mi się kręci, ale nie wiem, czy to z powodu whisky.

– Przecież on jest przewodniczącym rady!

– I co z tego?

– Po prostu trudno mi w to uwierzyć.

Milkniemy. Co za upał. Słucham szmerów i szelestów w buszu. Ściana zieleni wygląda niezmiernie. Czuję się mały.

Patrzę na Jaspiera, który wypuścił kolejne kółko dymu. Duże. Dotyka kółka papierosem w samym środku i przez chwilę, zanim całkiem zniknie, kółko przybiera kształt serca.

– Fajna sztuczka – mówię.

Jasper kiwa głową.

– Laura też ją lubiła. Tysiąc razy próbowała, ale nigdy jej tak nie wyszło.

– Pewnie za nią tęsknisz – odzywam się po chwili.

Jasper gasi papierosa i kiwa głową w zamyśleniu. Przykłada butelkę do ust i pociąga solidny łyk.

– Wiesz, Charlie, dlaczego ona jeszcze by stąd nie odeszła? – Jasper przerywa i potrząsa głową. – Bo chcieliśmy uciec razem. Chcieliśmy się stąd wydostać. Laura nie odeszłaby beze mnie. Mieliśmy już wszystko zaplanowane. Pracowałem po sadach, żeby zarobić pieniądze. Tam właśnie przebywałem przez kilka poprzednich tygodni. A ona chciała przed naszym odejściem zwinąć trochę szmalu swojemu staruszkowi. Chcieliśmy uciec do miasta i tam zamieszkać. Laura chciała studiować. Najpierw zrobić kursy, a potem iść na uniwersytet.

– Kiedy chcieliście to zrobić?

– Nie wiem. Pewnie wtedy, kiedy tylko udałoby mi się znaleźć jakieś zajęcie. Cokolwiek. Nie wiem. Miałem kilka pomysłów. Boks. Piłka. Handel. Nawet się o to nie martwiłem. Kurde, wiesz, nawet jakbym miał tu wpadać w weekendy i rąbać worek kasztanów albo zaszlachtować świnię... To głupie, Charlie. Dostaje się wtedy forszę za nic. Jak znasz właściwych ludzi, którzy to potem opchną, możesz żyć z kradzieży. A ja znam tu miejsca, o których nikt nie wie.

Jasper wzdycha, jego pierś unosi się i opada, jakby dostał krótkiej czkawki.

– Myślałem też o pokerze.

– O pokerze?

– Taaa. Nigdy nie przegrałem. Ani razu. Chyba mam do tego smykałkę. Mógłbym w tygodniu pracować, a w weekendy grać. Tak robiłem w sadach. W ciągu dnia ciężko pracowałem, zarabiałem trochę drobnych, a potem wieczorami przyłączałem się do jakiejś gry i wygrywałem prawdziwe pieniądze.

– Naprawdę?

– Tak. To łatwe. Wiesz, w pokerze nie chodzi o szczęście, Charlie. Szczęście nie ma z tym nic wspólnego. Chodzi o udawanie. O to, jak się zachowujesz przy stole. Niczego nie możesz po sobie pokazać. Musisz tak się zachowywać, żeby ich oszukać. – Jasper przerywa, bierze zapalniczkę i zapala następnego papierosa. – A najbardziej chodzi o to, żeby odczytywać ludzi. I to mi idzie najlepiej. Chyba do tego naprawdę mam smykałkę. Taki szósty zmysł. Wiesz, jak idzie o forszę, to nieważne, kim jesteś, a w jakimś momencie dla każdego to jest ważne. I jak na stole jest dość forsy, to wszystko widać w ich oczach. Ze mną jest tak, że dosłownie czuję, kiedy oni kłamią.

– Ja też tak mam. Wiem, o co chodzi, jeszcze zanim ktoś otworzy usta. Szczególnie z rodzicami.

– No to byłąs dobrym pokerzystą.

– Nie. Nie sądzę. Sam nie umiem za dobrze kłamać. Od razu się czerwienię i wiercę.

– Nie musisz kłamać, Charlie. Musisz tylko wyglądać, jakbyś miał to w dupie.

– Tego też nie umiem. A szkoda.

Znowu biorę butelkę. A potem spuszczam głowę i drapię się w kark. Może tak właśnie Jasper Jones żegluję przez świat i utrzymuje się na powierzchni, chociaż brudne łapy ciągną go raz po raz w dół. Może ta twarz pokerzysty jest czymś w rodzaju maski super

bohatera? Jasper ukrywa, że coś podejrzewa, i niczego po sobie nie pokazuje. Ale to jednak kłamstwo. Jakiś rodzaj kłamstwa. Wzruszanie ramionami to taka gra. Sztuczka Jaspera. Taki jego sposób, żeby ukryć gówniane karty.

Laura to też dobry przykład. Tamtej nocy płakał odwrócony do mnie tyłem, a dzisiaj, jak go zapytałem, czy za nią tęskni, ledwie pokiwał głową. Jasper nosi maskę.

Stracił dziewczynę i pewnie także najbliższego przyjaciela. Jedyne przyjaciela. To mi się wydaje tak bezbrzeżnie smutne, że nawet nie mogę o tym myśleć. Jak to jest stracić kogoś bliskiego, kogoś, z kim miało się wspólne marzenia? Chciał z nią uciec i zacząć wszystko od nowa. I zobaczył ją w takim stanie. Tutaj, gdzie teraz siedzę. Jakie to musiało być dla niego okropne. Ale Jasper Jones musi zachować twarz pokerzysty. Musi stłumić to, co czuje w sercu. Zastanawiam się, ile życia Jaspera upływa na udawaniu, że ma wszystko w dupie.

Musi być bardzo samotny. Zastanawiam się, czy Jasper naprawdę oczekuje ode mnie pomocy, czy po prostu potrzebuje towarzystwa. Zastanawiam się, czy pomyślał, że mogę być jego przyjacielem. Mam nadzieję, że tak. Wyobrażam sobie, jak siedzieli tu z Laurą w chłodnym wietrze. Zastanawiam się, czy Jasper ma jeszcze kogoś, z kim mógłby pogadać. Myślę, że nie.

Chyba się upiłem. Upiłem się? Nie wiem. Czuję się trochę słabo. W skroniach mi pulsuje. Odstawiam whisky.

– Wciąż chcesz odejść? Uciec do miasta?

– Możliwe. – Jasper pociąga nosem. – Myślałem o tym. Jak ta cała historia się wyjaśni, zobaczę. Ale nie wiem dokładnie dokąd.

– Nie za wcześniej? – pytam. – Przecież jesteś tylko o rok starszy ode mnie. Jesteśmy jeszcze dziećmi. Nie chcesz poczekać?

– Na co mam czekać? A poza tym nigdy nie czułem się jak dziecko, Charlie. Ty tego nie rozumiesz. Odkąd pamiętam, sam się o siebie troszczyłem. O jedzenie, ubranie, miejsce do spania, o wszystko. Mówię ci, nie ma znaczenia, ile masz lat. Każdy kiedyś dorośnie. Każdy może się nauczyć handlu, płacić rachunki i założyć rodzinę. Dorosłość nie polega na tym, ile masz lat. Chodzi o to, czy umiesz posprzątać swoje gówna i się o siebie zatroszczyć. Wtedy jesteś mężczyzną. A skoro ja umiem to robić tutaj, to myślę, że tak samo mogę to robić gdzie indziej. Poza tym co mnie tu trzyma? Nie mam żadnego powodu, żeby zostać. Tu psy dupami szczekają.

– Ja też zaczynam tak się czuć – mówię. Rzucam gałązkę na wodę.

– Więc rozumiesz. I nie martw się o mnie, bracie. Potrafię o siebie zadbać.

– Jasne. Jasne jak słońce. Wiem.

Jasper zapala jeszcze jednego papierosa.

– Ale myślę, że jeszcze przez jakiś czas tu pobędę. Nie ruszę się, dopóki nie dowiemy się dosyć o Szalonym Jacku Lionelu.

– Jesteś pewien, że to był on?

– Cholera, tak. Tak myślę, Charlie.

– A skąd wiesz? – Pochyliam się ku niemu zaintrygowany.

– Właśnie to miałem ci powiedzieć. Widzisz, w tym tygodniu codziennie przechodziłem obok jego domu.

– Po drodze tutaj?

– Taaa.

– Czy to nie jest niebezpieczne, że tu przychodzisz, kiedy oni jeszcze szukają?

– Nie, nie bardzo. Przychodzę tylko późnym wieczorem. Bardzo łatwo jest ominąć patrole. To proste.

– Tak.

– Pamiętasz, mówiłem ci, że za każdym razem, kiedy przechodziłem obok jego domu, i to bez przesady, naprawdę za każdym razem, Lionel wyskakiwał ze środka i zaczynał na mnie krzyczeć. Machał rękami, wołał mnie po imieniu. To znaczy, wydaje mi się, że wrzeszczał moje imię, bo dokładnie nie wiem. Dom jest za daleko, żeby coś dokładnie usłyszeć.

– Okej. – Kiwam głową.

– A teraz jest tak samo jak w ubiegłym tygodniu, kiedy tam razem przechodziliśmy. Nic. Ani słowa. Ani razu nie wyszedł. Może zwiął, co? Nie daje znaku życia. A ja byłem tam każdej nocy i czekałem.

– Na co? Co chciałeś zrobić?

– Wejść tam. Pogadać z nim. To by nie było wtargnięcie na teren prywatny, skoro facet lata po całej działce i ciągle mnie nawołuje. – Jasper kiwa do mnie, żebym mu podał whisky.

– Oczywiście w życiu tam nie pójdziesz!

– Oczywiście, że pójde. Czemu nie? – Jasper się nachmurza.

– Odbiło ci? To Jack Lionel! Wiesz, co się może stać?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, Charlie. Co takiego może mi zrobić? – Jasper pociąga z butelki.

– Jak to co? Na przykład może cię zastrzelić!

– Może. Ale jakoś muszę się do niego dostać i z nim pogadać.

– To, że on się teraz nie pokazuje, może być zupełnym przypadkiem.

Jasper kiwa głową.

– Masz rację. Ale ja myślę inaczej. Mam jakieś przeczucie, Charlie. Trudno to wytłumaczyć. Czuję, że coś go z tym łączy. Po prostu to wiem. I muszę z nim pogadać. Pomyśl. Przez całe lata wyskakiwał z domu i wołał mnie po imieniu. Muszę się dowiedzieć, dlaczego to robił. Widywał też Laurę. Widział nas razem. A teraz, poczynając od tamtej nocy, nie widziałem go ani razu. Samo to warto sprawdzić. Nie mówiąc o tym, co już wcześniej wiedzieliśmy o Jacku Lionelu. Że już raz zabił.

Jasper wypuszcza dym kącikami ust. Grzebię w ziemi czubkiem sandała.

– Co my właściwie o tym wiemy? – pytam.

– Wiemy, że tak było.

– Naprawdę? A kogo zabił? I jak? Nie wiem. Czy on w ogóle kiedyś stanął przed sądem?

– W pewnym sensie.

– Nie rozumiem.

– Z tego, co mi mówił mój stary, wiem, że Jack ledwie uciekł przed linczem. Stary mówił o tym tylko raz. Ale nigdy nie widziałem, żeby na trzeźwo był czymś tak podniecony jak wtedy. Po prostu się wściekł. Mówił, że za to, co zrobił, Jack powinien siedzieć. Że lepiej, żeby zdechł, i że piekło jest dla niego za dobre.

– Chryste. Ciekaw jestem, co naprawdę się stało.

– Ja też, Charlie. I to między innymi chcę odkryć. Nie wiem. Myślę, że Laura mogła tamtej nocy przechodzić obok domu Lionela sama. Może chciała tu trafić. A on mógł to wykorzystać. Tak myślę.

– Czemu miałyby iść sama?

Jasper zakłopotany pociąga nosem. Zaciąga się mocno.

– Bo widzisz, chodzi o to, że Laura zawsze czekała, a ja po nią przychodziłem i ją tu przyprawdzałem. Przychodziłem pod jej okno,

a potem razem szliśmy tutaj. Albo wymykała się i czekała na mnie pod drzewem na ulicy. Ale niekiedy nudziło jej się czekanie i wtedy przychodziła po mnie do mojego domu. A ostatnio, przez kilka miesięcy, stale chciała się ze mną spotykać. Codziennie chciała tu przychodzić. Jakby wcale nie chciała przebywać w domu. – Jasper gasi kolejnego papierosa. Drapie się w szyję i pociąga nosem. Kręci się nerwowo.

Pochyliam się ku niemu.

– Prawda, Charlie jest taka, że przez jakiś czas nie widywałem się z Laurą. Tak jak ci powiedziałem, zbierałem owoce w sadach. Staralem się zaoszczędzić pieniądze, żeby mieć, jak już uciekniemy. Chodzi o to, że jej nie powiedziałem. Po prostu poszedłem. Wiedziałem, że nie będzie chciała, żeby mnie tak długo nie było, więc po prostu odszedłem. To było głupie, ale musiałem tak zrobić. Nie tylko dlatego, że nie chciałem uciekać bez grosza przy duszy, ale też dlatego, że chciałem znowu mieć trochę czasu tylko dla siebie. Brakowało mi tego. Chciałem tutaj pobyc sam, tak jak dawniej. Wiedziałem, że niedługo będziemy razem, i chciałem jeszcze trochę pobyc sam. – Jasper wzrusza ramionami.

– Okej – mówię. – Rozumiem. Też tak czasem mam.

Jasper potrząsa głową i spogląda na mnie. Oddycha ciężko.

– Dziwne jest to, że w zeszły czwartek wróciłem do domu zmęczony jak pies, z pieniędzmi, i zaraz poszedłem poszukać Laury. Prawdę mówiąc, martwiłem się o nią. I chciałem ją zobaczyć. Tęskniłem za nią. Jak mnie nie było, myślałem o niej cały czas. Więc przyszedłem pod jej okno, jak zawsze, ale jej nie było. Zobaczyłem jednak, że okno jest otwarte, więc przymknąłem je i poszedłem do siebie, żeby zobaczyć, czy na mnie nie czeka. Ale nie mogłem jej nigdzie znaleźć. Szukałem w mieście, nad rzeką, na trasie, którą zawsze chodziliśmy. I nic. Wtedy wróciłem tutaj.

– I ją znalazłeś.

Jasper kiwa głową.

– Wiesz, myślę, że ona postanowiła tu przyjść w tym samym czasie, kiedy ja poszedłem jej szukać w mieście. Pewnie znudziło jej się czekanie i chciała dotrzeć tutaj samodzielnie. Dlatego mogła sama przechodzić obok domu Lionela. Tak sobie myślę, Charlie. To od tego wszystko poszło źle. Nie wiem, chłopie. Może masz rację. Może ona naprawdę знаła drogę albo była na tyle bystra, żeby tu trafić bez pomocy. Może Lionel za nią poszedł. Albo może kiedyś Lionel poszedł za nami i znał już drogę?

Próbuję pomyśleć o tym chłodno, jak zrobiłby to Atticus Finch. Ale to niełatwe przy Jasperze, który najwyraźniej trzyma się swojego scenariusza i już uwierzył, że to wszystko jest prawdą. Kręcę głową. To za dużo, jak na mnie.

Jasper kaszle i splota.

– Spieprzyłem to, Charlie. Za długo mnie nie było. Przed wszystkim nie powinienem odejść bez słowa. Powinienem się najpierw z nią zobaczyć albo chociaż napisać. Wiesz, nieważne, kto to zrobił... – Jasper pokazuje gałąź nad nami – ...bo to moja wina. To moja wina, że to się stało.

– Jasper! – wołam, podnosząc ręce. – Nie wiemy, co się stało. Nie mamy pojęcia, jak to było. I tyle.

– Charlie, wiemy, co się stało. Nie wiemy tylko jak i dlaczego.

– Tak czy owak – znowu kręcę głową – nie ma żadnego powodu, żebyś się czuł winny. To absurd. To nie ma z tobą nic wspólnego. Nieważne, co odkryjemy. To nie twoja wina. Ty tego nie zrobiłeś. Jasper, my nic nie wiemy! Nie mamy pojęcia, czy to naprawdę był Szalony Jack Lionel. Nie wiemy nawet, czy Laura wyszła z domu sama. To wszystko tylko historyjka, którą sobie opowiadamy.

Jasper wzdycha.

– Nie słuchasz mnie, Charlie. Gdybym był przy niej, tak jak powinienem, to wszystko nigdy by się nie wydarzyło.

– Okej, ale tego też nie jesteśmy pewni. I tak się nie powinno myśleć. Nic nie wskazuje na to, że to twoja wina. Nie mogłeś tego wiedzieć. To fakt. Bo jak? Pomyśl tylko logicznie: każde straszne wydarzenie na świecie nie może być twoją winą tylko dlatego, że mu nie zapobiegłeś. Nie wiem. Bo co? Akurat ty powinienesz uprzedzić Kennedy’ego, żeby nie jechał odkrytym samochodem?

Jasper potrząsa głową.

– To co innego. To nie moja wina, bo tamci ludzie na mnie nie liczyli. Więc ich nie zawiodłem. A Laure zawiodłem. Powinienem wrócić wcześniej albo zostawić jej list. Powinienem się domyślić, że przyjdzie mnie tu szukać. I to moja wina, tak jak wszystko, co się zdarzyło później. To był... mój obowiązek. Miałem ją chronić. Pomagać jej.

– Chronić? Przed czym?

– No dobra. Nie ma co. – Jasper pociąga nosem i wzdycha w taki sposób, że wiem, że już nie ma ochoty rozmawiać. Wyciąga następnego papierosa i zapala ze zmarszczonymi brwiami.

To irytujące. Mam wrażenie, że coś przede mną ukrywa. Zawsze tak jest. Eliza, Jasper, tato. Idę w ciemnościach i widzę tylko tyle, na ile mi pozwoli świeczka.

Wiem tylko tyle, ile sam zobaczyłem. Znam jedynie końcówkę. A wszystko, co do niej doprowadziło, wszystko, co zdarzyło się przedtem, to jak wydarte kartki w książce. Beznadziejne. Jestem w tej groźnej ciemności mały i słaby. Zastanawiam się, czy kiedyś będziemy wiedzieli na pewno, jak to się stało. I na ile powinienem się opierać na przypuszczeniach Jaspera. Jakby tę historię opowiedzieć w mieście, uznano by ją za rozwiązanie zagadki. To kuszące. Ale jednak za dużo w niej zbiegów okoliczności i przypadków. To wszystko wydaje się za łatwe. Choć to prawda, że najprostsze wytłumaczenia

czasem okazują się właściwe. Zastanawiam się też, czy Jasper naprawdę potrzebuje mojej pomocy. I czy przyszedł pod moje okno w poszukiwaniu Atticusa Fincha czy może Tomka Sawyera. Czy jest mu potrzebny ktoś myślący czy po prostu sojusznik? A może i ten, i ten?

Nie wiem.

Przez jakiś czas milczymy. O nic więcej nie pytam. Za to popijam whisky.

Jasper spogląda w górę.

– Słyszałeś, że mówią, że wyślą człowieka na księżyc?

– Tak.

– To niemożliwe, prawda?

– Jasne, że nie. Nie udało się dotrzeć nawet do dna oceanu, a co dopiero na księżyc.

– A ja myślę, że może się uda – mówi Jasper. Uśmiecha się i lekko potrząsa głową. – Myślę, że mogliby to zrobić. Wyobrażam sobie, jak by to było.

– To by było coś – potakuję.

– Wiesz, Charlie? – mówi Jasper, drapiąc się w głowę. – Nie wiem, jak ludzie mogą patrzeć na księżyc i ciągle myśleć, że są w centrum wszystkiego. Jak tu czasem siedzę i o tym pomyślę, to wydaje mi się, że jestem malusim pyłkiem w kosmosie. Prawie niczym. I wtedy czuję się jakby samotny. Ale też szczęśliwy.

– O co ci chodzi z tym centrum wszystkiego?

– Laura mi kiedyś powiedziała, że na ziemi przed nami żyło i umarło sto miliardów ludzi. W całej historii sto miliardów ludzi przyszło i odeszło, zanim my się w ogóle pojawiliśmy. Nie można sobie tego nawet wyobrazić. Ale jak już o tym pomyślisz, to rozumiesz, że to głupota, że to ty odkryłeś to miejsce i że to jest twój

kawałek ziemi. Ludzie są głupi, kiedy ogłaszają, że to czy tamto należy tylko do nich. Albo jak rysują granice czy wyznaczają posesje. Oczywiście nie mówię o tych szczęśliwcach, którzy pierwsi staną na księżycu. I trzeba być kretyńcem, żeby myśleć, że jakiś wielki, brodaty facet zwraca uwagę na to, ile człowiek dał na tacę albo czy jadł mięso w piątek. To śmiechu warte.

– Masz na myśli katolików?

– Nie tylko ich, ale o to też mi trochę chodzi. Tak.

Namyślam się przez chwilę.

– Widzisz, większość ludzi nie lubi uczucia samotności. Ludzie nie lubią patrzeć w górę i czuć, że są mali i zagubieni. Sądzę, że dlatego jest im potrzebna modlitwa. Nieważne, w co wierzą, wszyscy robią mniej więcej to samo. Tworzą sobie takie jakby połączenie z górą. Wysyłają tam swoje niepokoje i wierzą, że coś im odpowiada. Coś mądrzejszego niż oni sami. To ich uspokaja. Czują wtedy, że są częścią większej całości, i mniej się boją.

– A ty to robisz? – pyta zniecierpliwiona Jasper.

– Ja? Nie. Oczywiście, że nie. Mówię tak ogólnie, jak ty.

– A ciębie to smuci?

– To, że wiem, jaka jest prawda? Czasami chyba tak. To smutne myśli.

– Takie puste.

– No. Myślę, że jak się wierzy w Jezusa, Boga i tak dalej, to jest jakoś łatwiej. Nie trzeba się już wtedy martwić. Ale to trochę tak, jakbyś zamykał drzwi przed zamiecią. Schowałeś się w środku i jest ci ciepło, ale zamieć i tak gdzieś tam jest. Nie ma się co oszukiwać.

– No właśnie – potakuje Jasper.

– Do mnie to i tak nigdy nie przemawiało. Słuchałem pastora, czytałem trochę Biblię i w ogóle. W tym jest za dużo białych plam,

niejasności, za dużo śliskich spraw, z którymi nie mogę się pogodzić, więc po prostu o nich rozmyślam. Mam tymczasem za dużo pytań, żeby to do mnie przemówiło. To jeszcze nigdy nie nabrało dla mnie sensu. Ale jednak czasami myślę, że coś w tym jest, i wtedy nie czuję się taki mały.

– To nie jest takie złe, Charlie. Weź na przykład mnie. Przez całe życie wszyscy dbają, żebym czuł się mały. Przywykłem do tego. I właściwie to mnie tylko wzmacnia, wiesz? Wiesz, po prostu chce mi się robić wielkie rzeczy. To jest dobra strona tego, że nie ma się nic do stracenia. Niczym nie trzeba się przejmować. I jeśli wszystko, w co wierzysz, jest tu i teraz, raczej tego nie stracisz, no nie?

– Brzmi sensownie.

Jasper wolno kiwa głową. Kaszle, strzepuje popiół na trawę i gasi papierosa.

– Ja nigdy nie rozumiałem innej rzeczy – mówi. – Jak ludzie wieki temu mogli patrzeć w księżyc i myśleć, że świat jest płaski. Charlie, płaski. To mam na myśli, kiedy mówię, że ludzie uważają, że są w centrum wszystkiego. Zaczyna się od tego, co widzą.

Nikt nigdy nie pomyślał, że człowiek to mały trybik w wielkiej maszynie i że świat jest tylko jedną z miliarda kuleczek krążących w kosmosie. Każdy był przekonany, że wszystko kręci się wokół niego, a nie inaczej. To głupie. To jakby żyć w środku szklanej śnieżnej kuli. Wiesz, takiej do potrząsania.

Kiwam głową.

– Wiem, o co chodzi.

– A rozumiesz, o czym mówię? – pyta Jasper.

– Taaa, rozumiem. Wiesz, że w Indiach wierzyli, że świat jest wielką płaską tablicą leżącą na grzbiecie żółwia?

Jasper śmieje się.

– Bzdura.

– Poważnie. Na żółwiu.

– Zmyślasz, Charlie, nie wierzę ci. Pieprzenie. Na wielkim, kosmicznym żółwiu? To mi chcesz wmówić?

Obaj się śmiejemy.

– No tak. Ziemia to wielka tablica na skorupie żółwia. Możemy patrzeć w księżyc.

– Wariactwo. – Jasper potrząsa głową.

– Masz rację. Ludzie zawsze patrzyli na to, co było dookoła nich, i na tej podstawie budowali tamto. Ale nie można mieć do nich pretensji, że w to wierzyli. Problem pojawia się wtedy, kiedy wiesz, o co chodzi, a jednak udajesz przed sobą, że w to wszystko wierzysz. Słyszałeś o Wyspie Wielkanocnej?

Jasper chciwie pociąga z butelki i kaszle. Trochę się opluł.

– To ta z wielkimi głowami z kamienia?

– Tak, ta.

– Ludzie zużyli tam całe drewno na budowę i nie mieli z czego robić łodzi. I potem mieli problem, bo nie mogli łowić ryb.

– Tak, mniej więcej. W każdym razie to była najbardziej odizolowana cywilizacja ze wszystkich. Kompletny koniec świata. W promieniu tysięcy mil nie było niczego, tylko woda i woda jak okiem sięgnąć. Więc możesz sobie wyobrazić, jak bardzo oni musieli być przekonani, że są pępkiem świata. A znali tylko ziemniaki, ryby i ptaki, które cenili najbardziej ze wszystkiego. Dookoła tej głównej wyspy leżało kilka małych skalistych wysepek, na których ptaki budowały gniazda. Wtedy ludzie uważali to za sygnał z nieba, że zaczął się nowy rok. A ptasie jaja uznawali za dar niebios.

– Aha.

– No i urządzali wyścig. Wszyscy wodzowie różnych klanów, które żyły na wyspie, wybierali swoich najdzielniejszych chłopaków. Musieli popłynąć przez wodę, w której kłębiło się od rekinów, do tych małych wysepek i ukraść pierwsze jajko w sezonie. Gdy już któryś z nich zdobył jajko, musiał z nim popłynąć z powrotem, wspiąć się na klif, który miał chyba z tysiąc stóp wysokości, z jajkiem przyczepionym do takiego czepka na głowie, i podać je wodzowi czekającemu w kamiennym domku. Wódz, który pierwszy dostał jajko, zostawał na dany rok Człowiekiem Ptakiem.

– Człowiekiem Ptakiem?

– Tak. Takim duchowym przywódcą, jakby przedstawicielem czy ambasadorem boga. Takim papieżem Wyspy Wielkanocnej. W tym roku jego klan miał całkowitą władzę nad innymi na wyspie. Ale wódz musiał się odizolować od wszystkich. Malował twarz na czerwono i czarno. Nie mógł obcinać włosów ani paznokci. I musiał sobie do pleców przymocować nieżywego ptaka.

– Miał nieżywego ptaka na plecach? – Jasper unosi brwi.

– Tak.

– Może dlatego musiał się trzymać z dala od innych.

– Słuszna uwaga.

– Najlepsze musiało być podcieranie tyłka z tymi pazurami długimi na stopę. – Uśmiecha się Jasper.

– Nigdy o tym nie pomyślałem. Ale sędzę, że od podcierania tyłka wódz miał specjalnego człowieka.

– To specjalny człowiek miał fajną robotę.

– To nie była praca, tylko służba honorowa.

– Możesz honorowo podcierać mi tyłek, jeśli tylko chcesz, chłopie.

– Dobra, jak sobie przyczepisz do pleców na dwanaście miesięcy zdechłego pelikana.

Jasper wybucha głośnym śmiechem. Wydaje mi się, że jak się śmieje, to go boli. Dotyka językiem kącika ust.

– Umowa stoi. Zawarliśmy układ, chłopcze. Uściskałbym ci grabę, jakbym tylko mógł dosięgnąć.

Jeszcze trochę się śmiejemy. I pijemy jeszcze trochę whisky. W butelce zostało już niedużo.

– A jednak to niesamowite, jak się pomyśli o ludziach, którzy starali się odpowiedzieć sobie na wszystkie pytania, wykorzystując tych parę rzeczy, jakie mieli do dyspozycji na malutkim skrawku ładu.

– No, o to chodzi, Charlie. Wszystko to jedna wielka Wyspa Wielkanocna albo szklana śnieżna kula. Nieważne, czy to w końcu będą ludzie ptaki, ludzie słońca, pieprzone kosmiczne żółwie czy sam Jezus. Chciałbym tylko wiedzieć, jak można teraz tak myśleć o świecie? Skoro już wiemy, że są inne planety, gwiazdy i galaktyki. Wiemy, że Ziemia jest okrągła, że się kręci i wiruje wokół Słońca. Znamy już nie tylko Ziemię. Czemu jesteśmy tacy nadęci? Czemu wszystko miałoby być tylko dla nas? Tacy jesteśmy wyjątkowi? Nie ma kogoś takiego jak Bóg, Charlie. W każdym razie nie ma takiego, jak ludzie mówią. Tak samo jak nie ma Zeusa, Apolla czy cholernych jednorożców. Jesteśmy zdani na siebie, Charlie. I możesz czuć się z tym albo samotny, albo potężny. Jak się rodzisz, to albo masz szczęście, albo nie. To loteria. Albo coś dobrego, albo gównianego. Jednak od tego momentu już wszystko zależy od ciebie. Nie ma w niebie kogoś, kto by się przejmował, czy rąbnałem paczkę ćmików albo puszkę z wołowiną. Żyję sam dla siebie i to ja określam, co jest dobre, a co nie. Nikt nigdy nie dał mi pracy w tym mieście, więc musiałem sobie radzić inaczej. Jak się nauczysz chodzić i mówić, zaczniesz budować własne życie. I nie potrzebuję nikogo w niebie, żeby mi w tym pomagał. Mogę to zrobić sam. Wiesz, Charlie, co

myślę o Bogu? Myślę, że to jest coś takiego we mnie, w środku, co jest silniejsze od wszystkiego. I modlitwa polega na tym, że w to coś wierzysz, ufasz temu, po prostu prosisz siebie, żebyś był twardy. Bo to wszystko, co możesz zrobić. Nie potrzebuję tych wszystkich gównianych historyjek o wieżach, arkach i potopach ani przykazań, żeby wiedzieć, co to jest grzech. To tylko bardziej skomplikowana droga, żeby dotrzeć do tego czegoś, co masz w sobie. I to niezbyt uczciwa droga. Ja nie muszę pilnować, żeby ktoś jeszcze oprócz mnie w to wierzył czy się tym przejmował. Bo to nie jest ważne. Ja jestem ważny. I wiem, że sobie poradzę. Bo mam dobre serce. Pieprzyć to, że całe miasto chce, żebym myślał inaczej. To wszystko, z czym przyszedłem, i wszystko, co stąd zabiorę. To wszystko, co mam.

Przez chwilę milczymy. Dziobię trawę stopami. Pijemy jeszcze trochę whisky. Płyn wydaje śmieszny plusk, kiedy podajemy sobie butelkę. Teraz już nie smakuje tak beznadziejnie. Mam wrażenie, że ciepło owładnęło już całym moim ciałem, chociaż najbardziej czuję je gdzieś z przodu czaszki. Czuję się trochę tak, jakby cały świat kręcił się wokół mnie. Drzewa wirują. Zielona siateczka, zielona mgła.

Nie myślę, po prostu pytam:

– Jesteś w połowie Aborygenem, prawda? Wiesz, w co oni wierzą?

– Nie. Nie za bardzo, Charlie. Nie znałem mojej mamy, więc nigdy się tego nie nauczyłem. Ona nie była stąd i nigdy nie poznałem nikogo z jej rodziny.

– W ogóle coś więcej o niej wiesz?

– Nie, chłopie. Tylko że umarła, gdy była jeszcze dość młoda. – Jasper chrząka. I zapala kolejnego papierosa.

– Co się jej stało? – pytam, a potem mówię: – Przepraszam, nie powinienem cię o to pytać.

– Nie, w porządku, bracie. Naprawdę niewiele wiem. To był wypadek samochodowy. Bardzo poważny. Wycisnąć coś na ten temat z mojego starego, to prawie jak zmusić go do znalezienia pieprzonej pracy.

– Może to go zasmuca.

– Z całą pewnością, Charlie. Ale to nie jest wytłumaczenie. On po prostu trwoni życie i pieniądze. Ten facet to pomyłka. Prawdę mówiąc, wstyd mi za niego. Wiesz, w klubie rozmawiają o nim, jakby był nie wiem kim. Kiedyś był piłkarskim mistrzem. Podobno był najlepszym graczem w okolicy. Ludzie myślą, że on nie powinien tu zostawać, powinien pojechać gdzieś dalej. A ja na nich patrzę jak na idiotów. Nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić. On wszystko spieprzył, Charlie. Nie miał do tego serca. Po prostu odszedł. Tak po prostu. To się dla niego stało za trudne. A potem wyniknęła ta sprawa z mamą i to już był jego koniec. Nigdy nie wrócił do klubu. Nie postawił tam stopy przez całe lata.

– Naprawdę szkoda – mówię, ale trochę trudno mi się skupić. Potrząsam głową. Świat ciągle się kręci i słyszę w głowie coś jakby dudnienie bębnow. I to coraz głośniejsze. Myślę, że chyba mam kłopot. Patrzę nieprzytomnie dookoła i próbuję się pozbierać. Ale przed oczami wszystko dziwnie mi się rusza, a w brzuchu się przewraca. Nie czuję rąk. Wstaję i zaczynam iść, jakby mnie prowadziła jakaś niewidzialna siła. A potem katharsis. Ten koszmary kwach wystrzela ze mnie jak gejzer. Kończę rzygać i opieram ręce na kolanach. To szczypie w usta. Whisky smakuje tak samo okropnie, kiedy płynie w przeciwnym kierunku. Potem już tylko czkam i oddycham z otwartymi ustami. Więcej whisky już we mnie nie ma. Czuję na ramieniu ciepłą, serdeczną rękę Jaspera.

– Wszystko w porządku, Charlie?

– Nie. Chyba umieram – charczę.

– Prawie. Ale nie do końca. Masz. Wlej to w siebie. – Jasper trzyma słoik z wodą.

Kręcę głową.

– Nie mogę. Już nic więcej nie wypiję.

– Musisz, chłopie. Poczujesz się lepiej. No, chociaż trochę. Wbrew wszystkim naturalnym oporom biorę słoik i piję.

Leje mi się po brodzie. Próbuję się wyprostować i ściągnąć łopatki, ale o utrzymaniu równowagi nie ma mowy. Znowu upadam na czworaka. Staram się głęboko oddychać.

I wtedy uświadamiam sobie, że wodę, którą właśnie wypilem, prawdopodobnie zaczerpnięto w miejscu, gdzie na dnie spoczywa blada i miękka Laura Wishart. Nie mogę o niej nie myśleć. Unosi się pewnie w wodzie jak anioł, a jej jedwabiste, wijące się włosy z wolna falują. Gdy tylko dociera do mnie, że pewnie wypilem drobinki jej skóry, małe fragmenty jej ciała, natychmiast wymiotuję, stękając jak zwierzę.

Kolana mi się uginają, ale Jasper mnie podtrzymuje. Prowadzi mnie z powrotem tam, gdzie siedzieliśmy, pomaga mi usiąść i sadowi się obok mnie. Kiwam się, brzuch mnie boli, ale już nie wymiotuję. Ulżyło mi. Ależ mi się kręci w głowie. Ciągłe mam wrażenie, jakby mnie ktoś boleśnie kopał od środka. Słabo mi. Wstydzę się.

Obejmuję kolana ramionami i przyciągam do piersi. Bujam się tak przez chwilę, do przodu, do tyłu, do przodu, aż wreszcie powoli staję się zdolny do tego, by znowu słuchać i wymrukiwać proste odpowiedzi. Jasper łamie w rękach gałązki, a ja koncentruję się na powstrzymaniu świata, żeby już więcej nie wirował jak koło fortuny. Coraz lepiej sobie z tym radzę, ale mój język ciągle przypomina martwego małża, a brzuch – wyciśniętą gąbkę.

Gdy tylko Jasper wstaje z miejsca, gdzie siedział przez całą noc, marszcząc czoło, przechylam głowę i widzę to. Tam. Nisko. Na pniu drzewa. Jasper był cały czas oparty o nie plecami i całkowicie to zasłaniał. Wstrzymuję oddech i zastanawiam się, czy dobrze widzę. Nie ufam oczom. Upewniam się, że to nie jest poalkoholowe złudzenie. Zastanawiam się, czy nie widziałem tu tego wcześniej.

Nie. Nie. Zapamiętałbym.

Oczywiście ktoś musiał to tu umieścić. W ostatnim czasie. Kulę się.

– Jasper? – mówię znacząco, a on się wynurza zza pnia.

– Co?

Pokazuję, on patrzy i od razu widzę, że wcześniej tego nie zauważył. I rozumiem, że Jasper ma czyste sumienie. Błyskawicznie doskakuje do tego miejsca. Klęka. Dotyka. Przesuwa po tym delikatnie palcami. Podchodzę do niego i obaj uważnie się przyglądamy.

Nic nie mówimy, tylko patrzymy. A na pniu drzewa wydrapane jest jedno słowo.

Przepraszam.

W drodze powrotnej prawie nic nie mówimy. Domyślam się, że w głowie Jaspiera myśli klębią się tak samo jak w mojej. Zastanawiam się, co on czuje.

Idę za nim na ciężkich, nieposłusznych nogach. Kiszki mam powykręcane i obolałe, jestem zmęczony i czuję się słabo, ale wciąż myślę o tym słowie.

Przepraszam.

Jasper miał rację. Ktoś tu był. Może dzisiaj wieczorem. Ktoś się tu dostał, ktoś odkrył polanę. Ktoś jeszcze wie o tym miejscu.

Ale nie tylko to. Poza tym ten ktoś jakby, mniej więcej, się przyznał. Przepraszam. Wyrzyte na drzewie przyznanie się do winy. Słowo jak tatuaż na korze. Słowo, które tak wiele znaczy. Słowo, którego już nie da się cofnąć. Wyobrażam sobie, w jaki sposób zostało wyrzyte. I co miało na celu? Przecież mogło zwiększyć ryzyko wykrycia, dodać odwagi poszukującym, dlatego musiało powstać pod wpływem silnych emocji. Jakich? Czy to była skrucha czy żal? A może złość? I do kogo były skierowane te przeprosiny? Do Laury Wishart? Jej rodziny? Jaspera Jonesa? Boga?

Jedno jest pewne. Ktoś tu był. Ktokolwiek to zrobił, nadal przebywa w Corrigan.

Oznacza to także, że ten, kto tu wrócił, odkrył, że Laury nie ma. Że zniknęła. Że zabrano ją z miejsca, gdzie ją pozostawiono, i zatarto ślady. Zastanawiam się, czy ten ktoś pomyślał, że to policja ją znalazła, a jeśli wie o Jasperze Jonesie, to czy uznał, że to jego sprawka. Rozważam, czy to oznacza, że Jasper ma kłopoty.

Dochodzimy do posesji Szalonego Jacka Lionela. Światła są pogaszone i jest dziwnie cicho. Czy to naprawdę mógł być on? Zrobił to czy tylko dokądś wybył? Jasper znowu zatrzymuje się przy bramie i długo gapi na dom. Poganiam go, żebyśmy już szli. Jest jeszcze ciemno, ale niedługo się rozjaśni. Musimy się pospieszyć.

Kiedy docieramy do centrum miasta, zaskakuje mnie niezwykle ruch. Jasper też to zauważył, bo odwraca się do mnie, kiedy kucamy za budynkiem, żeby się schować przed światłami przejeżdżających pojazdów.

– To dziwne, Charlie. Znowu patrolują. Nie było ich tu o tej porze od tamtej nocy. Może złapali jakiś trop. Może są tu, żeby kogoś aresztować.

Serce mi wali. Przyciskamy się plecami do ściany.

– Tak sądzisz? Może to po prostu faceci wracają z pubu. Może właśnie zamknęli – szepczę.

– Stary, jestem pewny. Pijani górnicy nie jeżdżą tak wolno. I widziałem już wcześniej te samochody. To patrol, Charlie. Na pewno. Musimy uważać.

Kiwam głową. Ruszamy. Idziemy tak ostrożnie i cicho, jak to tylko możliwe. Trzymamy się blisko zabudowań i zarośli. Przemykamy przez puste posesje i posuwamy się tyłami zabudowanych działek. Nogi ciągle mi się płaczą, ale myślę już jaśniej i wyraźniej też widzę. Mam gorycz w ustach. Jestem spocony. Bardzo chcę już być w domu. Żałuję, że w ogóle wychodziłem.

Blisko skrzyżowania ulic Simpson i Bourke patrol pojawia się zupełnie nieoczekiwanie. Nie słyszeliśmy ich wcześniej. Na widok świateł Jasper chwyta mnie wpół i przyciska do ziemi. Kulamy się do rowu melioracyjnego biegnącego wzdłuż ulicy. Wstrzymuję oddech. Światło nas omija. Nie ruszamy się. Potem Jasper się podnosi i odwraca do mnie.

– Nie wiem, o co chodzi, Charlie. To dziwne. Nie było tu samochodów. A już na pewno nie o tej porze. I zwykle tędy nie jeździli. Nie rozumiem, co się dzieje. Ale myślę, że koniecznie musimy jak najszybciej wrócić do domów.

– Już niedaleko. Tylko kilka ulic – mówię szybko, przerażony.

Powstrzymuję się, choć powinienem powiedzieć coś jeszcze. Powinienem powiedzieć, żebyśmy się rozdzielili. Chcę powiedzieć Jasperowi, że powinien mnie tu zostawić i jak najszybciej dostać się do domu. Wiem, że tak byłoby najlepiej. Wiem przecież, co będzie, jeśli schwytają Jaspiera. Ale nie jestem w stanie tego powiedzieć. Nie mogę. Przeraża mnie myśl, że miałbym zostać sam. Nienawidzę się za to. Czuję się jak kupa gówna. Jestem samolubem bez krzty charakteru.

Ale Jasper nie zamierza mnie zostawić. Mruga do mnie i uśmiecha się.

– Damy radę.

Gdy tylko się prostujemy, Jasper znowu podnosi rękę i przyciska mnie do ziemi, a kolejny samochód cicho przejeżdża obok nas. Tym razem leniwie wjeżdża na wzgórze, które wznosi się między nami a moją ulicą.

– Kurde. Był blisko – mówię.

– Szybko. Trzymajmy się tej strony – syczy Jasper.

Biegniemy pochyleni, tak cicho jak potrafimy. Odgłosy naszych kroków na żwirze i patykach w rozgrzanym powietrzu wydają mi się głośne jak wybuchające fajerwerki. Na szczęście w drodze na moją ulicę nie mija nas już żaden samochód. Docieramy do narożnika. Już czuję smak zwycięstwa. Wtedy obaj to widzimy. Zatrzymujemy się w miejscu. Jasper hamuje i natychmiast się cofa, a ja tuż za nim. Łapie mnie za ramię. Trzyma mocno. Zatrzymuje tam, gdzie jestem. Nie zobaczyli nas. Jeszcze.

– Charlie. Nic nie mów. Rozumiesz? Nic nie mów.

Szybko kiwam głową. Przetykam z trudnością.

– Ale co mam zrobić? Co? – syczę przerażony. Oczy mnie pieką.

– Idź. Wymyśl coś. Tylko nic nie mów o mnie. Nic ci się nie stanie, stary. Wszystko w porządku. Nic nie będą podejrzewać. Nie zrobiłeś nic złego.

Wypuszczam powietrze i spoglądam na ulicę. A potem się odwracam. Już nie ma wyjścia. Jasper nie może iść dalej ze mną.

– Jasper, musisz odejść. Szybko! Musisz się stąd wydostać!

Jasper już się pochyla.

– Niedługo wrócę. Pamiętaj, nic nie mów. Powodzenia, bracie. – I znika.

Jestem cholernie przerażony. Jakbym miał w sobie truciznę. Naprawdę mam kłopoty. Patrzę w dół ulicy, na scenę, którą mam przed sobą. Scenę, którą kiedyś sobie wyobraziłem. W

pomarańczowym, miękkim świetle werandy na naszym trawniku stoją zaparkowane dwa samochody policyjne. W poprzek ulicy stoją dwa następne. Ich światła też są włączone. Przed naszym domem stoi tłum ludzi. Rozpoznaję sąsiadów. I Ana Lu, który stoi trochę z boku, a ręce trzyma z tyłu. Nie wiem czemu, ale widok jego dystyngowanej pozy mnie zawstydza. Jest tam też moja matka. Ktoś trzyma ją za ramiona i przytula uspokajająco. Ojciec stoi na trawniku z grupą mężczyzn. Kiwa głową i pociera brodę.

Idę jak zombi. Zatrzymuję się. I tak przed tym nie ucieknę. Serce mi wali. Cegła w brzuchu powróciła i jest cięższa niż kiedykolwiek. I zimna jak żelazo. Chcę uciec. Mogłbym podejść od tyłu, wyjść przed dom i zapytać, o co to całe zamieszanie. Ale nie mogę. Już za późno. Muszę być dzielny. Muszę wyjść im naprzeciw. Muszę to przyjąć jak mężczyzna.

Chyba mnie żywcem obedną ze skóry. Pobiją mnie pałkami. Wypatroszą. Jeszcze nigdy nie byłem w takich tarapatach.

Gdy tylko ruszam, pada na mnie światło. Zamieram i drżę. Złapali mnie w smugę reflektorów. Z czerwoną gębą. To jest to. To ta chwila. Jak we śnie, a jednak niepodobne do czegokolwiek, co mogłem sobie wyobrazić. Strzygę uszami jak przerażone zwierzę. To samochód policyjny. I zanim zdążę coś pomyśleć, słyszę włączoną syrenę, której dźwięk przeszywa noc. Patrę, jak głowy ludzi natychmiast odwracają się w moją stronę. Słyszę, jak trzaskają za moimi plecami drzwi wozu. Pierwsze, o czym myślę, to czy Jasperowi udało się uciec i czy go nie zauważyli. Potem widzę matkę, która wyrывa się z czyichś objęć i biegnie niezgrabnie w moim kierunku. Wykrzykuje moje imię w taki sposób, że skóra mi cierpnie i cały się kulę. Szłocha. Ma potargane włosy i ubranie w nieładzie. Piersi jej podskakują, twarz czerwienieje. Dobiega do mnie. Nie zwracam uwagi na człowieka, który mnie chwycił za ramiona. Ale widzę, jak matka pada obok mnie na kolana i zaczyna okładać pięściami mój tors. A potem uderza mnie mocno w twarz.

– Charlie! Tak się baliśmy! Tak się baliśmy! Gdzie ty byłeś? –
Twarz matki jest mokra i lśniąca. Łzy i tusz do rzęs spływają jej
dwoma smugami po policzkach. Trzyma moją głowę w rękach i nią
potrząsa.

Dopiero teraz sobie uświadamiam znaczenie ucieczki. Odejścia.
Dopiero teraz czuję smak nagłej nieobecności. Myślę o Elizie
Wishart, która nie wie, gdzie jest jej siostra, i musi żyć z tym
przerażeniem w sercu. Kiedy pomyślę, że mógłbym przynieść jej
ulgę, ujawniając to, co wiem, jest mi tak strasznie jak nigdy dotąd.

Myślę też o Laurze. To ciężkie wspomnienie. Myśl o Laurze jest
najbardziej wyrazista ze wszystkich. Ale myślę też o tym
pojedynczym słowie wyrażającym żal, o kimś, kto przyznaje się do
winy, o tatuażu na korze eukaliptusa, na którego gałęzi Laura już
nie wisi. Przepraszam. Patrzę na twarz matki, ale jestem w stanie
myśleć tylko o Laurze i Jasperze. Mieli plany. Chcieli uciec z tego
miasta i zacząć gdzie indziej od nowa. Chcieli zamieszkać razem.
Tak mi ich żal! Nikt nie zasługuje na to, żeby w taki sposób
odebrano mu marzenia. I jeszcze przypominam sobie panią Lu i
Jeffreya, który zaledwie kilka godzin temu wyprowadzał ją z tłumu.
To dla mnie za dużo. O wiele za dużo.

Potworna fala smutku. Nagle coś we mnie wybucha. Najpierw
w środku, ale potem wydostaje się na zewnątrz. Podchodzi w górę.
Zaczynam drzeć i łkam. W najgorszym możliwym momencie, w
samym środku sceny, rzeźbiście oświetlony, kiedy całe Corrigan się
na mnie gapi, ryczę jak dziewczyna. I nie mogę przestać. Matka
potrząsa moją głową. Pachnie jakby winem zmieszonym z
perfumami, potem i jeszcze czymś cierpkim, czego nie potrafię
określić. Ramiona mi drżą. Cieszę się, że Jasper sobie poszedł.
Gdyby miał mnie teraz zobaczyć, tobym umarł.

Wspomnienie Jaspera sprawia, że trochę się prostuję. Po-
ciągam nosem i jakby biorę się w garść. Patrzę na łagodne światło

padające z naszej werandy. Muszę być dość silny, żeby poradzić sobie z pytaniami.

Matka chwyta mnie za włosy i jeszcze raz potrząsa. Mówi gwałtownie, przez zaciśnięte zęby:

– Jesteś głupi! Jesteś głupim chłopakiem. Wszyscy tak się bali! Tak się bali! Charlie, gdzie ty byłeś? Dokąd poszedłeś? Co się stało?

Przez ten czas tato wraz ze sporą grupą sąsiadów stanęli wokół nas. Jestem zażenowany. Wszyscy dookoła rozmawiają o mnie, jakby mnie tu w ogóle nie było. Jakbym był dzieckiem, które nic nie rozumie. Wygadują różne bzdury i strofują mnie, a mnie nagle zaczyna to wkurzać. Czuję się, jakby mnie otaczali gdaczący rodzice. Mam ochotę każdego kopnąć w dupę, powiedzieć, żeby się odpieprzyli, i uciec do swojego pokoju. Nie wiedzą tego co ja. W dodatku światła za moimi plecami zwabiły owady. Strącam ręką coś, co mi chodzi po policzku. Jakiś idiota klęka obok mnie, bierze mnie pod brodę i kładzie mi rękę na czole. To Keith Tostling. Ogląda moją twarz i ze szczególną uwagą patrzy mi w oczy. Zachowuje się jak lekarz, cholera. Lekarz, którym wcale nie jest. Nie wiem, kogo chce oszukać i na kim zrobić wrażenie. Wszyscy wiedzą, że żyje ze strzyżenia owiec. Odtrącam jego rękę i robię krok do tyłu. Wpadam przy tym na człowieka, który trzymał mnie za ramiona. Niechcący nadeptuję mu na stopę.

– Hola, uważaj, bracie.

Nareszcie tato przepycha się przez tłum i obejmuje mnie ramieniem. Zawsze tak robi, kiedy mnie głaszcz. Jeszcze nigdy nie kochałem go tak jak w tej chwili.

Do taty podchodzi policjant i mówi, że teraz chcieliby ze mną porozmawiać. Tato kiwa głową.

– Oczywiście.

Wchodzimy do domu. Tato patrzy na mnie jakoś dziwnie. Nie umiem dokładnie określić tego spojrzenia. Można powiedzieć, że jest zakłopotany i może nad czymś się zastanawia. Nic nie mówi.

Patrzę za Anem Lu, który idzie w kierunku swojego domu. Ręce nadal trzyma za plecami, brodę opiera na piersi. Zastanawiam się, co sobie myśli. Coś w jego postawie każe mi przypuszczać, że źle mnie ocenia. Tak mi wstyd. Mam wrażenie, jakby wszyscy w mieście byli mną rozczarowani.

Tato wciąż trzyma rękę na moim ramieniu, a ja właśnie wtedy podejmuję decyzję. Kiedy po tej całej historii Jasper Jones odejdzie z miasta, ja też to zrobię. Zostawię Corrigan za sobą. Na dobre.

6

Nie uśmiercili mnie. Nie wrzucili do dołu. Uwięzili natomiast w moim pokoju. Aż do dzisiejszego ranka. Miałem tam siedzieć aż do Nowego Roku, ale po pewnych negocjacjach zostałem nagrodzony za dobre sprawowanie.

Mamy drugi dzień po świętach i zaczynają się lokalne rozgrywki krykieta. Jeffrey został przyjęty do drużyny jako dwunasty, ale to nie oznacza, że nagle ktoś docenił jego umiejętności. Po prostu potrzebują kogoś, kto będzie gonił po piłkę bez marudzenia. Tak samo zespół seniorów dopuszcza Neville'a Schanka, tragiczną postać z zespołem Downa, który wykonuje podrzędne zadania z radością i entuzjazmem. Jeffrey jest podekscytowany i zaangażowany tak samo jak Neville. Tego ranka był już u mnie dwa razy, ubrany w swój białutki strój, i błagał mnie, żebym zrobił wszystko, żeby siedzieć na trybunie. Dwukrotnie musiałem mu przypomnieć, że mam szlaban. A jednak, ku mojemu zdumieniu, rodzice zmiękli i pozwolili mi wyjść. Moja kara się skończyła. Mogę wyjść na słońce. Mam za sobą parę długich tygodni.

Tamtej nocy, kiedy weszliśmy do domu, spodziewałem się, że mnie spiorą na śmierć. W naszej bawialni panowało napięcie, ale zamiast przewidywanego lania wszyscy okazali mi dużo uwagi. Dom pachniał baranim tłuszczem i zimnym sosem. Ciągle jeszcze miałem mdłości i czułem, że jestem pijany, ale zebrałem się w sobie i zachowywałem zwyczajnie. Zostało dwóch miejscowych policjantów i jeszcze jeden, z miasta, ubrany w szary garnitur i kapelusz. Matka usadowiła się w kącie pokoju.

Wcześniej, kiedy wróciła do domu, zauważyła, że w moim pokoju ciągle pali się światło. Zapukała do drzwi i nie otrzymawszy

odpowiedzi, weszła do środka. Odkryła, że mnie nie ma, i wpadła w panikę.

Kiedy zadawali mi pytania, tato stał w drzwiach kuchennych i patrzył. Zapytali, czy byłem z Jasperem Jonesem.

Byłem przerażony, ale nagle coś się we mnie zmieniło. Odkryłem w sobie zdolność do kłamstwa. Spojrzałem im prosto w oczy i opowiedziałem najlepszą historyjkę, jaką umiałem wykombinować. Coś we mnie jakby kliknęło, zupełnie jak zamek mojej walizki, z której wyciągam na biurko zapisane kartki. Żonglowałem na zmianę faktami i fikcją. Tworzyłem opowieść. I muszę przyznać, że Jeffrey miał rację. Wszystko jest kwestią tego, jak się to przedstawi. Panowałem nad nimi. Wkręciłem ich. Wszyscy kiwali głowami, jakbym mówił prawdę, i robili notatki w żółtych zeszytach.

Zacząłem opowieść od Elizy Wishart.

Czerwieniąc się, wyznałem, że bardzo ją lubię. Powiedziałem, że tego wieczoru nie mogłem zasnąć. Byłem sam, myślałem o niej i niepokoiłem się o nią. Powiedziałem, że cały czas myślałem, jak to Eliza pewnie też nie może zasnąć w swoim pokoju, jak myśli, gdzie może być jej siostra. Powiedziałem, że chciałem sprawdzić, jak sobie radzi. I że w końcu nie mogłem tego znieść. Powiedziałem, że chciałem ją tylko uspokoić, bo wiedziałem, że jest zdenerwowana. Więc wymknąłem się, chcąc pójść pod jej dom, tylko żeby z nią porozmawiać i sprawdzić, jak się czuje. Ku mojemu zdumieniu pokiwali głowami. Kupili to. Nabrałem pewności i posunąłem się dalej w kłamstwie. Wspomniałem, że już wcześniej tam byłem, kiedy mówiłem, że poszedłem do biblioteki, bo za bardzo się wstydziłem, żeby się przyznać, jak było naprawdę. Pomyślałem, że jak to powiem, uprawdopodobnię moją historyjkę. Mogą to sprawdzić u Elizy i jej matki, która też mnie widziała.

Potem powiedziałem, że nie zdołałem jednak dotrzeć do domu Elizy. Gdy zobaczyłem patrole w samochodach, zatrzymałem się i schowałem na jakimś podjeździe. Nie chciałem kłopotów, więc

wracałem do domu bardzo wolno, okreśną drogą, i miałem nadzieję, że niepostrzeżenie wślizgnę się z powrotem i że mnie nie złapią. Ani przez chwilę nie pomyślałem, że to mnie szukają. I to akurat było prawdą.

Spojrzałem na nich i z ulgą zobaczyłem, że to łyknęli. Jasper Jones został poza sprawą. Laura Wishart nadal była uważana za zaginioną. Policjanci zamknęli żółte zeszyty. Skinęli głowami.

Potem jeden z nich pochylił się i przemówił do mnie w taki sposób, jakby się zwracał do Neville'a Schanka. Wolno i dobitnie. Bardzo mnie to ucieszyło. Powiedział, że mam dużo szczęścia, bo Corrigan nie jest już takim bezpiecznym miejscem jak kiedyś. Chłopcy nie mogą po prostu włóczyć się po nocach bez opieki. Ulice są niebezpieczne. Powiedział, że chociaż miałem dobre intencje, to jednak źle i głupio postąpiłem, wychodząc sam. Powiedział, że przecież mogę tam pójść w dzień, za pozwoleniem rodziców, albo zadzwonić. Mrugnął do mnie i dodał, że *Romeo i Julia* nie kończy się szczęśliwie. Gdyby jednak Romeo albo Julia wykazali więcej rozsądku i poczucia rzeczywistości, wszystko mogłoby się potoczyć w dobrym kierunku.

Może i ten policjant jest prostakiem, a jego uwagi nie miały sensu, ale w jego pewnym tonie było coś uspokajającego. Spoglądając na matkę, która wyglądała jak jadowity wąż szykujący się do ataku, prawie żałowałem, że policjant zaraz wyjdzie.

Zbierając się do wyjścia, uśmiechnął się i zmierzwił mi włosy.

– To dobre dziecko – powiedział do rodziców i znowu do mnie mrugnął, jakby był tu tylko po to, żeby ocenić mój charakter. A potem skinął głową i wziął kapelusz.

Pamiętam, że pomyślałem wtedy, że gdybym na własne oczy nie widział rozcięć i otarć na twarzy Jaspiera, nawet przez sekundę nie pomyślałbym, że ten kordialny gość odpowiada za bezprawne zamknięcie w areszcie niewinnego chłopca i pobicie go. Gdyby

Jasper Jones nie pokazał mi śladów przypalania papierosem na swoich ramionach ledwie kilka godzin wcześniej, gdybym nie dotykał opuszkami palców brzydkich, różowych bąbli, nigdy bym nie podejrzewał, że ten człowiek jest takim potworem. Nie przygryzłbym warg, gdy tylko się odwrócił i wyszedł.

A on nigdy sobie nawet nie wyobrazi, że brałem udział w ukryciu ciała Laury Wishart w spokojnej wodzie. Nie przymruży oczu i nie pomyśli, że jestem lojalnym przyjacielem i sojusznikiem Jaspiera Jonesa, tego biednego mieszańca, który przez całe życie padał ofiarą różnych podejrzeń.

Kiedy policjanci wyszli, pokój stał się nagle pusty i gorący. Usiadłem ze spuszczoną głową. Splotłem dłonie i czekałem.

I zaczęło się.

Najpierw matka się poderwała, pokazała na mnie palcem i powiedziała, że jestem uziemiony na dobre do Nowego Roku. Przez cały ten czas będę w jej polu widzenia. Tym razem nic nie odpowiedziałem. Mówiła z napięciem, dziwnie spokojnym tonem.

Zaczęło się dość niewinnie, ale potem nastąpił wybuch. Dziwne było tylko to, że sam pozostałem poza polem rażenia. Matka była wściekła, ale nie na mnie. Zaczęła wrzeszczeć na ojca. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Wymachiwała rękami jak wariatka, płakała, rzucała przedmiotami. Siedziałem jak skamieniały. Nazwała tatę złym ojcem i bezużytecznym mężem. Oskarżyła go, że nie troszczy się ani o mnie, ani o nią, tylko o siebie. Powiedziała, że zamyka się nocami w pokoju i ma w dupie, co ona albo ja czujemy. Powiedziała, że tato jest taki nieobecny i skupiony na sobie, że jego syn może wyjść w środku nocy, a on nawet tego nie zauważy. Zapytała, co z niego za mężczyzna. Zapytała, jak sądzi, czym jest dla mnie dorastanie przy ojcu, który nie kocha swojej rodziny. Wyciągała ręce w moim kierunku, jakbym był jakimś eksponatem do oglądania. Powiedziała, że to nic dziwnego, że jestem krnąbrny i nieposłuszny i że może próbuję w ten sposób zwrócić na siebie uwagę.

Siedziałem jak przymurowany. Mogła go równie dobrze oskarżać o to, że nie usłyszał, jak się wymykam. Wyglądało jednak na to, że to wszystko jest tylko pretekstem, żeby mogła sobie trochę postrzelać. Byłem zaszokowany niesprawiedliwością tego, co mówiła, i kompletnie urzeczony tą sceną. Było mi okropnie żal taty i czułem się strasznie winny, bo to ja to na niego ściągnąłem. To naprawdę moja wina. Chciałem interweniować, krzyknąć, że matka nie ma racji, ale tchórz, który we mnie siedzi, jednocześnie oddychał z ulgą, że to nie moja dupę łożą.

Tato wydawał się zakłopotany. Stał nieporuszony w drzwiach kuchennych, oparty o futrynę. Nie odpowiadał i po prostu przyjmował to wszystko. Patrzył na matkę jakby z rozczarowaniem. Tak samo jak wcześniej, przed domem, patrzył na mnie. Chciałem, żeby sparował ciosy. Żeby się sprzeciwił. Żeby jasno i precyzyjnie opisał całą sprawę. Powiedział matce, że nie wie, co mówi. Żeby zakwestionował jej pytania na temat jego miłości i lojalności. Ale tato milczał. Przyjął wszystko. A matka wychodziła z siebie i ciągle wygadywała te okropności. A ja, jak zawsze, zastanawiałem się, czy tato kiedyś stanie w obronie tego, w co wierzy.

W końcu matka wpadła w histerię. Zaczęła o wszystko winić Corrigan. Miasto krzywdzi jej rodzinę. Nie jest tu bezpiecznie. Powiedziała, że musimy się stąd wydostać i zacząć gdzie indziej. Wtedy zrozumiałem. Wiedziałem, do czego zmierza.

Tato pewnie też zrozumiał. W końcu oderwał się od futryny i stanął prosto. Był taki spokojny.

– Ruth, myślisz, że o pewnych rzeczach nie wiem, ale ja wiem. A teraz myślę, że pora iść spać. Ty też do łóżka, Charlie.

– Nie mów mu, co ma robić! I mnie także!

Tato tylko westchnął i przymknął oczy. A potem spojrzał na mnie.

– Nie powinieneś być tego słyszeć, Charlie. Ale porozmawiamy później. Jestem na ciebie bardzo zły.

– Och, porozmawiacie później! – Matka się zachwiała. Ciekawe, czy jest równie pijana jak ja. – Rozmawiacie za moimi plecami i o wszystko mnie obwiniacie! Wiem, co mu opowiadasz!

I zaczęła krzyczeć ze złości. To już końcowy akcent. Wypadła z pokoju, a w głębi korytarza trzasnęły drzwi sypialni.

– Idź do łóżka – powiedział po prostu ojciec.

Skinąłem głową i wyszedłem. Jaki on jest smutny i zmęczony. Westchnąłem. Ale się porobiło.

Przez kilka dziwnych tygodni byłem pod strażą. Przeglądałem gazety. Szukałem wiadomości o Laurze, ale kolumny, które jej poświęcano, były coraz krótsze i cieńsze, aż wreszcie temat zniknął. Inne okropności zwróciły moją uwagę. Śledziłem szczegóły sprawy Baniszewski. Czytałem o paskudnej parze z Anglii, która została zatrzymana i osądzona za masakrowanie dzieci, które potem grzebali na wrzosowiskach Yorkshire. Nawet robili zdjęcia swoich ofiar. Czytam i czytam o tym, jak to wszystko przebiegało. Jak. Nie ma jednak mowy o tym dlaczego. Dlaczego takie rzeczy się wydarzyły. Dlaczego ludzie zrobili to, co zrobili. Dziennikarze nie liczyli się z moimi rozterkami i wydawali się zupełnie zadowoleni z wyjaśnienia, że niektórzy ludzie po prostu rodzą się zdeprawowani.

Chociaż wszystkie dzieciaki wypuszczono na dwór, ja rzadko mogłem opuszczać dom, no chyba że wyznaczono mi jakieś prace na podwórzu. Za to przeczytałem sporo książek. Nie umieli mnie odciąć od wycieczek w krainę słów. Moją ulubioną powieścią stał się *Lot nad kukułczym gniazdem*. Uważam, że to piękna książka. Przeczytałem ją dwa razy. Naprawdę polubiłem McMurphy'ego. Przypominał mi Jaspersa Jonesa. Tęskniłem przez to jeszcze bardziej.

Oczywiście najbardziej tęskniłem za Elizą. Często marzyłem, że czekam na nią przed księgarnią, gdzie możemy się niby przypadkowo spotkać i pogadać o książkach i sztuce. Gdzie mogę ją zobaczyć i poczuć jej zapach.

Kiedy w okolicach świąt pojechaliśmy do miasta, tato kupił masę nowych powieści. Przejrzałem je i zabrałem kilka do swojego pokoju. Tato nie protestował. Ale też nie zapytał mnie potem o wrażenia z lektury. Była wśród nich nowa książka Trumana Capote'a. Próbowałem ją czytać, ale nie mogłem. Po prostu nie byłem w stanie. Za każdym razem, kiedy ją otwierałem, czułem, jakby robale chodziły mi po głowie i szyi.

Najwięcej czasu spędzałem jednak, pisząc. Prawie obsesyjnie. W dzień i w nocy. Pisanie było moim towarzyszem w tym czasie. Czytanie i pisanie umożliwiało mi oddalenie się od domu w taki sposób, że nikt nie mógł mnie zatrzymać przy wyjściu.

Ale to działało tylko w czasie, kiedy to robiłem. Można to porównać z wyciskaniem gąbki pod strumieniem wody. Jak zwolnisz uścisk, znowu nasiąka.

Czasami, wyczerpany, odkładałem pióro. Zamykałem wtedy oczy i od razu przenosiłem się do lekko oświetlonej sali na Manhattanie. Pod rękę ze mną stała Eliza, na jej palcu migotał wielki pierścionek zaręczynowy. Szliśmy przez salę, kłanialiśmy się osobom, które życzyły nam szczęścia, i uprzejmie odrzucaliśmy prośby dziennikarzy pragnących zamieścić nasze zdjęcia w gazetach. Przystawialiśmy przy grupie mężczyzn w garniturach, żeby podsłuchać ich rozmowę. Eliza uśmiechała się promiennie, bo rozmawiali o mojej ostatniej książce. Postawny dżentelmen, odwrócony do nas tyłem, chwalił moje dzieło. Czerwieniłem się i próbowałem odejść, ale mężczyzna odwracał się i ukazywał brodate oblicze. To był Ernest Hemingway. Byliśmy tego samego wzrostu i mieliśmy ten sam kolor oczu, a on pochylał głowę z szacunkiem.

– Papo – zwracałem się do niego z uśmiechem. A on opierał mi ręce na ramionach, przesuwając kciukiem po wicherku na czole i mówił, jaki jest ze mnie dumny.

Moje nowe klapki ocierają mi palce, ale mam to gdzieś. Jestem taki szczęśliwy, że mogę je włożyć. I że mogłem się pozbyć tamtych pedalskich sandałów. Jak pies wystawiam głowę przez otwarte okno samochodu, żeby poczuć powiew gorącego powietrza i wolności. Mam na sobie nową koszulę w kratę. Czuję się czysto, świeżo i fajnie. Ożywia mnie radość z przebywania na powietrzu. Patrę w prawo. Ojciec prowadzi z łokciem wystawionym za okno i nuci. Właściwie on i ja nigdy nie rozmawialiśmy o tamtej nocy, kiedy mnie przyłapali, ale zachowanie ojca w stosunku do mnie się zmieniło. Nie wiem. Jakoś odpłynął. Jest może trochę twardszy, trochę oddalony, trochę mniej skłonny do wybaczenia. Coś odeszło. Zastanawiam się, czy jeszcze jest na mnie zły. Myślę też, czy może on uważa, że to ja odpłynąłem, i pozwala mi się oddalać, już mną nie kierując. Zastanawiam się, czy w taki sposób traktuje się dorosłych.

Tato zostawia mnie samemu sobie. Część mnie tęskni i czeka, żeby podszedł i przesunął kciukiem po moim wicherku, ale on tego nie robi. Zmywam się i tylko krótko do niego macham. Gra już się zaczęła. Dookoła owalnego boiska parkują samochody. Wyglądają jak naszyjnik z nieoszlifowanych kamieni. Mecz ogląda chyba więcej niż setka ludzi.

Wolno podchodzę do boiska, ale nagle się zatrzymuję. Nie wierzę własnym oczom. Mrugam. To Jeffrey. Na boisku. Nie czeka z boku. Gra. Naprawdę. Akurat biegnie w kierunku odległego ode mnie krańca. Przebiega całe pole gry. Biegnie z podniesioną brodą, z wyprostowanymi plecami. Kiedy mnie zauważa, podskakuje. Serce mi rośnie.

– Chuck, nie uwierzysz! – Jeffrey wykonuje w moją stronę gest, jakby trzymał w każdej ręce rewolwer.

A potem nagle się odwraca, skoncentrowany i uważny, bo gra się zaczęła. Później, kiedy przez chwilę nic się nie dzieje, jeszcze raz ożywiony odwraca się do mnie.

– Oto zagadka: kto oficjalnie gra w tym meczu?

– Co?

Jeffrey uśmiecha się, kciukami wskazuje swoją wątlą pierś i mówi:

– Ten facet!

– Nie!

– Tak! To niewiarygodne, Chuck, ale gram w drużynie!

– Jak to?

– Jim Quincy! Odpadł.

– Jak to odpadł? Jak to możliwe?

– Odpadł. Odpadł z meczu. Zaczęliśmy się rozgrzewać i on nagle upadł, jak kupa nieszczęścia. Podobno to wyrostek. Zawieźli go do szpitala. Muszą mu go wyciąć.

– Wyciąć?

– Tak, Chuck!

– Więc grasz oficjalnie? Oficjalnie?

– No, tak. Już zgłosili listę zawodników, więc nie mogli dobrać nikogo innego. Ludzie się wkurzyli jak cholera, Chuck. Szkoda, że tego nie widziałeś. Wszyscy rodzice rzucili się na sędziów i trenerów, żeby wcisnąć swoje dziecko. Ale sędzia to ukrócił. Jest protokół i tyle. Bang! Jeffrey Lu debiutuje!

Między podaniami Jeffrey prowadzi swoją zwykłą markowaną walkę z cieniem. Jego podniecenie jest zaraźliwe.

– Aż trudno uwierzyć! Myślisz, że pozwolą ci rzucać?

– Nie wiem. – Jeffrey się uśmiecha. – Byliby idiotami, gdyby mi nie pozwolili. Powinni ze mnie zrobić kapitana, Chuck. To, co się dzieje na tym boisku, to szczyt kretynizmu. Popatrz tylko! Są w rozsypce! Popatrz na odbijającego! Nie trafiłby gitarą w krowią dupę!

– Czym? W co?

Ale przerwa się kończy i Jeffrey się zmywa. Siadam na skraju boiska i patrzę za nim. Czuję niepokój.

Patrzę na drugą stronę. Jak na lokalne rozgrywki juniorów jest tu dzisiaj niesamowicie dużo ludzi. Tłoczą się nie tylko w środku, ale i wokół pawilonu. Widzę członków rady w garniturach, którzy przechadzają się i demonstrują swoje znaczenie i pozycję. Wyglądają dumnie. W okolicy pawilonu rozstawiono stoły z jedzeniem i piciem. Panie nalewają napoje. Za ich plecami, między dwoma palikami z zakończeniami w kształcie gwiazd, rozpięto materiał, na którym widnieją herb i kredo naszego miasta. Nad budynkiem klubu luźno zwisa flaga Australii.

Ciekaw jestem, po co to wszystko. Wiem, że gramy przeciwko Blackburn, a gra z sąsiadami zawsze wyzwala ambicję, ale nawet biorąc to pod uwagę, nie sędzę, żeby ten mecz wymagał takiej oprawy. Kiedy pytam o to Jeffrey, macha ręką.

– Taaa. Nie wiem. – Wzrusza ramionami. – To rzeczywiście dziwne, Charles. Jak ty.

– Kretyn.

– To ty jesteś kretyn.

Jeffrey wraca na boisko. Potem jeszcze raz do mnie podchodzi. Jest odprężony.

– Naprawdę dziwnie to było przed meczem – zaczyna. – Jeden z członków rady przemówił do drużyny niczym Winston Churchill. Mówił, jakim wspaniałym miastem jest Corrigan, jaką mamy bogatą historię i tradycje, jacy jesteśmy dumni i tego typu bzdury. Nie wiedziałem, co się dzieje. Na końcu ludzie klaskali. A niektóre panie chlipały i wycierały oczy chusteczkami. To było czyste wariactwo.

– To wszystko jest dziwne – mówię.

– Bo to ludzie, Chuck. Nie sposób przewidzieć, co zrobią. Co innego, kiedy się jest Batmanem. Patrz. Następna piłka pójdzie za wysoko, gwarantuję ci to. Ten koleś jest niecierpliwy i ma łapę z drewna.

Dzieje się dokładnie tak, jak przewidział Jeffrey.

– Mówilem ci – kontynuuje z rękami założonymi z tyłu. – Co teraz zrobi, też umiem przewidzieć, jakbym był jasnowidzem.

– Naprawdę? A wiesz, o czym teraz myślę?

– Hmm. Zastanówmy się. Tak, tak. Sądzę, że mam: zachwycasz się nie tylko moim wyczuciem krykieta, ale także moją boską powierzchownością i niewiarygodnym talentem.

– Taa. Nawet jesteś blisko. Myślałem coś dokładnie... przeciwnego.

– To znaczy, że myślałeś o sobie.

Nie znajduję odpowiedzi. Ten mały drań mnie ma. Jeffrey się śmieje.

Przez jakiś czas w meczu nic ważnego się nie zdarza. Jednego z graczy Jeffrey nazwał Małpką, bo nie może przestać się wiercić.

Nagle Jeffrey mówi:

– Już tylko chwilka, Chuck.

I ma rację. Teraz on biegnie po piłkę, która zawisała wysoko. Ruszył dokładnie w chwili, kiedy uświadomiłem sobie, że to jego szansa. Może mu się udać. Jeffrey jest szybki. Zbliży się do piłki. Jego drobne nogi pracują jak tłoki w silniku. Wszyscy na niego patrzą. Na tę jedną chwilę świat się zatrzymał. To będzie najlepsze przechwycenie wszech czasów. Serce mam w gardle. Piłka robi łuk i zaczyna opadać. Podnoszę głowę, a potem opuszczam. Spadnie w polu. Jeffrey wyskakuje i sięga. Wyciągnięty dosięga piłki. Ma ją? Podskakuję na równe nogi. Chyba ma, tak! Nie! Wyślizguje mu się z rąk i upada. Kula się na drugą stronę linii. Miał ją. Trzymał! Nawet stąd słyszę głosy rozczarowania wśród publiczności. Jeffrey nie dekoncentruje się na długo. Skacze za piłką i precyzyjnie rzuca z powrotem.

Warwick Trent jest wściekły. Zrywa czapkę, rzuca na ziemię i kopie. Zachowuje się jak wielki głąb, którym zresztą jest.

– Kurwa, Kong! – wrzeszczy do Jeffreya, który z trawą przyklejoną do kolana, wraca truchtem na miejsce, gdzie stoję. – Jesteś, kurwa, do niczego! Mówiłem ci, że masz tu być. A teraz sobie tam zostań! Pierdolić!

Warwick warczy i macha ręką, jakby Jeffrey był nieposłusznym owczarkiem. A potem się odwraca i odchodzi z założonymi rękami, kręcąc głową.

– Jednak była szansa – mówię ostrożnie.

– Jasne. Szlag by trafił. – Jeffrey biegnie truchcikiem w moim kierunku ze skrzywioną miną. Uderza pięścią w otwartą dłoń. – Miałem ją, Chuck. Wyślizgnęła mi się.

– To mogło być fajne przechwycenie. – Próbuję się uśmiechnąć, ale za bardzo jestem rozczarowany.

– Wiem. Byłem blisko. Miałem ją. – Jeffrey trzyma rękę w górze, jakby chciał podkreślić, że go zdradziła. – Trent jest opóźniony. Teraz mówi, że mi kazał tam stać, a tak naprawdę było odwrotnie.

Jakbym go słuchał, to nie zdążyłbym nawet się zbliżyć do piłki. – Jeffrey opiera ręce na biodrach.

– Nie powiedziałbym, że jest opóźniony. Raczej mózg mu obumarł. Albo może miał lobotomię. Wiesz, że koguty żyją jeszcze przez chwilę po ucięciu głowy? Myślę, że on ma ten sam objaw.

– Kurczaki też.

– Aha. Kurczaki.

– Kiedyś w wiosce mojej mamy był kurczak, który żył jeszcze przez rok po tym, jak mu obcięli głowę siekierą. Mówiłem ci już o tym.

– Bzdura.

– Zarzucasz mojej mamie kłamstwo?

– Tobie. Nie można ci ufać. – Milknę na chwilę, a potem pytam:
– A w ogóle jak ona się czuje?

– Dobrze. Wiesz, dobrze, że nie widziałeś bąbla, który jej się zrobił na szyi. Ohydny, Chuck. Był różowy i klejący. Ale mama już czuje się dobrze. Teraz to raczej tato przechodzi trudne chwile. Zrobił się cichy i zamknięty w sobie. Bardziej niż zwykle.

– Naprawdę? To z powodu wojny i tego wszystkiego?

– Nie, nie o to chodzi. Przed świętami paru ludzi zwolniono z kopalni i chociaż to nie ma absolutnie nic wspólnego z moim tatą, ludzie ciągle mu z tego powodu dokuczają. Tato może tu zostawać tylko dzięki pewnej pomocy i to ma jakiś związek z kopalnią i bla, bla, bla. Jakby był czarnym charakterem z Bonda i chciał zawładnąć światem.

Już mam odpowiedzieć, kiedy publiczność wybucha radością, a Jeffrey odbiega, żeby świętować zdobycie punktu razem z innymi. Siedzę i patrzę, jak wnoszą na boisko napoje. Obserwuję Jeffreya,

który stoi z dala od grupy i popija z plastikowego kubka, podczas gdy reszta drużyny tworzy krąg. Jeffrey jest z niego wyłączony.

Nie wracamy już do rozmowy o Anie Lu. Do końca meczu gadamy, wygłupiamy się i przekomarzamy jak zawsze. Jeffrey pyta mnie, czy wolałbym mieć na głowie kapelusz z żywych pajaków czy penisy zamiast palców u rąk. Po dłuższym zastanowieniu i rozważeniu faktu, że pająki są żywe i trujące, wybieram peniski. Potem ja się zastanawiam, skąd się wzięła nazwa „stonoga”. Jeffrey twierdzi, że dawniej stonogi miały więcej kończyn, których część potem zanikła w wyniku ewolucji.

Potem znowu odchodzi. Kiedy wraca, ma dla mnie pytanie:

– Uwaga, oto coś dla ciebie. Zastanów się dobrze. Czy to żuczek gnojarek wynalazł koło?

– Interesujący pomysł – przyznaję. – Ale z technicznego punktu widzenia kulka żuka jest bryłą, zatem nie jest kołem.

– Skoro tak, to pytanie brzmi: Czy kula jest pewną formą koła?

– Nie, pytanie brzmi: Pierwszy był żuk czy Jezus?

– Sugerujesz, że to Jezus wynalazł koło?

– Tylko to wielkie koło, na którym teraz stoisz. Koło, które nazywamy Ziemią. On także powołał do życia okrągły żółty ser. Oczywiście nie dosłownie, ale sam wiesz, jaki szacunek budzi ser. Na przykład zawieź go do Watykanu i popatrz, jak się będą uniżenie kłaniać i ślinić. Z tym że musi to być ser szwajcarski.

– Czemu?

– Bo jest świetny!

– Och, odpieprz się! – jęczy Jeffrey i znowu odchodzi, bo kończy się kolejny *over*.

Innings trwa, a upał się wzmacnia. Blackburn zdobywa powoli przewagę punktową, a ich kibice przy każdym kolejnym punkcie

podnoszą transparenty. To jasne, że Corrigan powinno powstrzymać tę tendencję dobrym rzutem, ale niezależnie od tego, ile już razy Jeffrey rozgrzewał ramię, dając do zrozumienia, że jest gotowy do rzutu, Warwick Trent cały czas go pomijał. Zostało już tylko sześć *overów* i nic się nie dzieje. To szansa dla Jeffreya. Mógłby pokazać klasę. Ale dostał się do drużyny fuksem i nie mają zamiaru go wykorzystać. Równie dobrze mógłby roznosić napoje.

Pierwszy *innings* powoli się kończy. Corrigan będzie miało dużo do odrobienia. A ja mam już całkiem spieczoną skórę. Grający z wolna odchodzą w stronę pawilonu. Czeka ich jeszcze spory wysiłek.

– Daj mi znać, kiedy będziesz grał – mówię do Jeffreya, chociaż doskonale wiem, kiedy przypada jego kolej.

– Jasne – odpowiada. Potem patrzy ponad moim ramieniem i dodaje: – A ty daj mi znać, kiedy ty będziesz grał.

– O co ci znowu chodzi? – pytam i podążam wzrokiem tam, gdzie on patrzy.

Na szczycie pagórka za moimi plecami w cieniu figowca wielkolistnego siedzi Eliza Wishart. Uśmiecha się i kiwa do mnie ręką. Robię to samo. Cholera. Mam nadzieję, że nie słyszała tych wszystkich bzdur. Nagle mam wrażenie, że jestem dwa razy cięższy od Warwicka Trenta. Odwracam wzrok i chwytam spojrzenie Jeffreya.

Jeffrey się szczyrzy.

– Czas na pieszczotki, Chuck! – woła i odbiega na swoich chudych nóżkach.

– Powodzenia – rzucam za nim, a potem powoli się odwracam.

Staram się jakoś pozbierać. Patrzę w dół. Nie mam pewności, czy nogi zanoszą mnie na szczyt pagórka. Nie jestem na to przygotowany. Ogarnia mnie panika. Muszę wymyślić jakieś dowcipne zagajenie.

W końcu szybko ruszam, bo zobaczyłem za sobą pszczołę. Idę pod górę w kierunku Elizy i ocieram pot z czoła. Czuję się, jakby całe ciało spłynęło mi do stóp, pozostawiając głowę zupełnie pustą.

– Cześć, Charlie – mówi Eliza.

Tyle razy myślałem o jej głosie w ciągu ostatnich kilku tygodni, że jestem jak ogłuszony, kiedy wreszcie go słyszę. Mój kręgosłup reaguje wibracją jak kamerton.

– Cześć – odpowiadam. Jak ja dziwnie stoję. Mam usiąść? Pewnie powinienem usiąść. Ale gdzie? I czy mogę? Nie mam pewności, czy nogi ugną mi się w kolanach...

– Chodź, usiądź – proponuje Eliza i lekko poklepuje trawę obok siebie, a potem troszkę się przesuwa.

– Jasne.

Pierwsze, co do mnie dociera, to jaka Eliza jest szczupła. Wydaje się taka krucha. I delikatna. Ma skórę jak porcelanowa laleczka. Jej włosy są dziwnie podobne do włosów Audrey Hepburn. I chyba jakoś inaczej mówi. Tak czysto, wyraźnie wypowiadając spółgłoski. Tak prawidłowo, prawie po brytyjsku, ale nie całkiem.

Siadam. Ona niesamowicie pachnie. Zachwycająco. Nie wiem, jak ktoś może mieć taki zapach. Na pewno codziennie rano zanurza się w kąpieli z płatkami lawendy, róż i innych dziewczynskich ziółek, a potem spryskuje się z flakonu najpiękniejszymi perfumami, jakie kiedykolwiek skomponował człowiek. Najpewniej jakiś Francuz. Nie wiem. Tak czy owak, nagle jestem speszony i zdenerwowany, a obraz Elizy w kąpieli powoduje, że się czerwienię i spoglądam w bok.

Cholera. Miało być dowcipne zagajenie. Wpada mi do głowy minutę po tym, jak było potrzebne. Powinienem był powiedzieć: „Mogę prosić o autograf, panno Hepburn?”, a potem po prostu bym usiadł, a ona by się śmiała. Nie, właściwie to by było głupie. Rada Marka Twaina na takie okoliczności brzmi: milcz. Lepiej zrobić

wrażenie idioty, nie odzywając się, niż otworzyć usta i upewnić słuchacza, że się jest kretyńcem.

Siedzimy w milczeniu. Luźne literki wirują swobodnie w moim mózgu jak płatki śniegu i nie wygląda na to, żeby miały się uformować w jakieś sensowne zdania. Eliza odchyłona do tyłu opiera się na rękach. Jest swobodna. Jest idealna. Miękką spódniczka układa się jak wachlarz na jej nogach.

– Co czytasz?

Podnosi ku mnie książkę.

– *Franny i Zooey* – odczytuję głośno tytuł.

– Dosyć mi się podoba, chociaż nie doszłam jeszcze zbyt daleko. Czytałeś to? – pyta Eliza.

Żałuję, że nie mogę powiedzieć, że tak. Kręcę głową.

– Nowy Jork, Charlie. Wyobraź sobie tylko. Czy to nie marzenie? Zupełnie jakby cały świat był zamknięty w jednym mieście.

– No cóż. Niedługo tam zamieszkamy, prawda? I będą herbatki w hotelu Plaza i takie tam.

Eliza spogląda na mnie, jakbym właśnie powiedział coś po ukraińsku. Wpadam w panikę. A może wyobraziłem sobie tamtą rozmowę?! Na szczęście w końcu Eliza sobie przypomina i wybucha śmiechem.

– Oczywiście! Jak mogłam zapomnieć?

– A już się miałem obrazić!

– To by było tragiczne – mówi Eliza, wciąż się uśmiechając. – Przypomniałabym sobie zbyt późno i kiedy bez tchu dobiegłabym do hotelu, nasz stolik byłby pusty, a kelner by powiedział, że byłeś, ale już poszedłeś. Więc biegłabym za tobą aż na Brooklyn, szukałabym

cię wszędzie, ale kiedy bym w końcu cię zobaczyła, trzymałbyś już za rękę inną piękność w futrze i kapeluszu.

– O nie. Tak by nie było – protestuję cicho, a potem się czerwienię i spuszczam oczy. Gdzie się podział mój dowcip? Jestem tępy. Czy mam jakąś infekcję mózgu przenoszona przez owady? Kiedy marzyłem o tej chwili, miała wyglądać inaczej. Powiniennem szybko powiedzieć coś o tym, jakie znaczenie ma punktualność w życiu człowieka i jak to dziewczęta z towarzystwa marzą o tym, by mnie poznać.

– Naprawdę, panie Bucktin? A czemuż to?

– Bo czekałbym. Cały dzień. Aż do zamknięcia.

I wtedy Eliza lekko się czerwieni. Dałem jej słowny odpowiednik nieporadnego pocałunku. Oboje odwracamy wzrok i spoglądamy na boisko akurat w chwili, kiedy gra się rozpoczyna. Zawodnicy Blackburn wybiegają w zwartym szyku, pewni siebie, w białych strojach. Ich pierwszy rzucający jest potężny. Wygląda tak dojrzałe, jakby co najmniej należał do naszej piechoty pod Gallipoli. Wydaje się bardzo agresywny. Albo jest jedynym na świecie nastolatkiem, który w tak młodym wieku wyłysiał, albo podprowadził metrykę któremuś ze swoich synów.

Innings zaczyna się fatalnie dla Corrigan, ale dobrze dla mnie. Warwick Trent odpada, nie zdobywając punktu. Ledwo się powstrzymuję, żeby się nie cieszyć głośno z jego porażki. Warwick schodzi z boiska wściekły, uderzając kijem o ochraniacze.

Formuje się nowy zespół grających. Patrę na Jeffrey'a, który siedzi po turecku kilka jardów od reszty drużyny. Nie wygląda na to, że szybko będzie grał.

Eliza mówi mi właśnie, że podoba jej się moja koszula. Dotyka podwiniętego rękawa, co wywołuje u mnie dreszcze.

– Dziękuję. A mnie podoba się twoja, no, sukienka.

Eliza się uśmiecha i dziękuje mi.

Pytam delikatnie:

– A jak twoja rodzina? I jak ty się czujesz z tym wszystkim?

Eliza patrzy na okładkę książki. Porusza się niespokojnie i mówi z naciskiem:

– Ciągle tak samo. Tak mi się wydaje. Ale to już nie dzieje się tak... szybko. To bardzo dziwne. I smutne. Nikt nie wie, co robić. Mama jest w rozsypce. Wiesz, Charlie, nie możemy usiąść do stołu, żeby nie spojrzała na puste krzesło Laury i nie zaczęła płakać.

– To okropne.

– Tak. Ale tato też jest dziwny. Najpierw nie przyjmował do wiadomości, że jej nie ma, a teraz zachowuje się tak, jakby nigdy nie miał drugiej córki. Odciał się. Całkiem. Ale to pewnie łatwe, kiedy się jest stale pijanym.

Eliza wypowiada ostatnie zdanie bardzo spokojnie. Może już nie chce więcej o tym mówić. Ale jednak znowu zaczyna:

– Oczywiście najtrudniejsze były święta. Wszyscy kuzyni, ciocie i wujkowie byli tacy ostrożni i uprzejmi. Ale widać było, że unikają tematu. Mama kupiła prezenty dla Laury, jeszcze zanim zaginęła, więc teraz po prostu je zapakowała i dała mnie. A potem powiedziała, że jak Laura się znajdzie, to będę musiała się z nią podzielić.

I Eliza zaczyna płakać. Zamieram. Twarz Elizy najpierw lekko się marszczy. W tej chwili widać, że walczy ze sobą, żeby jakoś się powstrzymać. Ale potem już nie może nad sobą zapanować. Na boisku znowu coś się dzieje. Wszędzie wokół panuje ożywienie. Chaos. Mam otwarte usta. Nie mam pojęcia, co robić. Czemu musiałem o to zapytać? Czemu wydobyłem na powierzchnię cały ten smutek? To moja wina. Nie mogę na to patrzeć. Twarz jej

czerwienieje. Policzki lśnią od łez. Nie mogę powstrzymać myśli, że dołeczki Elizy wyglądają teraz jeszcze piękniej.

Chciałbym cofnąć czas aż do tamtej nocy. Chciałbym wszystko zrobić dobrze. Niech mi ktoś powie, co powinienem zrobić teraz. Czy mam położyć rękę na jej ramieniu? Mam ją przyciągnąć do siebie, tak jak tego chcę, i trzymać w ramionach?

Przypomniałem sobie, że mam chusteczkę do nosa. Klepię się po kieszeniach. Tak. Mam nadzieję, że jest czysta. Jest. Przydam się na coś. Podaję chusteczkę Elizie.

– Dziękuję, Charlie – mówi Eliza i przez chwilę się uśmiecha. Wyciera oczy i wydmuchuje nos. Usta ma ciągle wygięte kącikami w dół. Ręce opadają jej ciężko na kolana.

– Wiesz, wszyscy się spodziewają, że Laura w każdej chwili może zadzwonić albo napisać, że wszystko jest okej. Albo czekają, że nagle wróci do domu, ale... – Eliza po prostu kręci głową i mocno zaciska powieki. Usta układają się w jeszcze wyraźniejszą podkówkę i znowu zaczyna cicho pochlipywać.

Przyznaję, że i ja jestem bliski łez. Czuję szczypanie w oczach.

Boli mnie, że nie wolno mi powiedzieć rzeczy, które byłyby właściwe, gdyby nie okazały się niewybaczalnym kłamstwem. Nie mogę jej podnieść na duchu i uspokoić, bo wiem, że Laura Wishart nie żyje. Dobrze wiem, gdzie ona jest. Dlatego że po jej śmierci utopiłem ją razem z Jasperem Jonesem. Zrobiłem to. Przywiązaliśmy kamień do jej stóp i patrzyliśmy, jak idzie na dno spokojnej wody.

Myślę, że jeżeli Eliza kiedyś się dowie, co zrobiłem, to będzie mnie nienawidziła do końca swoich dni. I nie winię jej za to. Ale czy mogłaby zrozumieć sprawę Jaspera Jonesa? Gdybym jej powiedział, że Laura go kochała, a on Laurę, i że planowali uciec razem do miasta? I że gdybyśmy zostawili Laurę tam, gdzie była, to Jasper nie miałby żadnych szans? I że próbowałem zrobić to, co trzeba.

– Przepraszam, Charlie – mówi Eliza, pociągając nosem. Jeszcze raz ociera twarz.

– Nie przepraszaj. – Z trudem przełykam ślinę.

Eliza wzdycha i zamyka oczy. Wykorzystuję okazję, żeby jej się przyjrzeć. Chciałbym dotknąć jej włosów za uchem, chciałbym musnąć ręką jej policzek. Wydaje się taka delikatna i maleńka.

– Charlie, wiem o pewnych sprawach – zaczyna Eliza po chwili.
– Nie jestem dobrym człowiekiem. Nawet nie wiem, czemu ze mną rozmawiasz.

Robię surową minę. Jestem gotów bronić jej cnót, ale Eliza macha ręką, zanim zdążyłem coś powiedzieć.

– Nieważne. Wszyscy jakoś dajemy sobie radę, Charlie. Naprawdę. Nie martw się. Pogadajmy o czymś innym. Wszystko jedno o czym. Powiedz coś śmiesznego. Rozśmiesz mnie.

Co? Mam ją rozśmieszyć zaraz potem, jak doprowadziłem ją do płaczu? Oczywiście jestem przerażony.

W moim mózgu rozciąga się bezkresne pustkowie, całkowicie odarte z wszelkiego dowcipu. Wilki w nim wyją do księżyca, a wiatry rozwiewają piach i wyschnięte gałązki. Zabawne słowa pochowały się głęboko w norach i jaskiniach. Nie zastanawiam się zbytnio, klękam i sięgam do najbliższego dołu, żeby coś z niego wydobyć. Nie myślę, tylko cytuję Jeffreya Lu.

– Dobra. Niech będzie to: wolałabyś włożyć kapelusz z pajaków czy mieć penisy zamiast palców?

Gdy tylko uświadamiam sobie, co powiedziałem, mam ochotę wyjść z siebie i skopać własny tyłek. Mark Twain miał rację: właśnie rozwiąłem wszelkie wątpliwości. Chciałbym co prędzej wrzucić te słowa do ich małej, czarnej norki i wydobyć na światło dzienne coś innego. Cokolwiek. Jestem kretynem.

Jednak ku memu zaskoczeniu Eliza się śmieje. Naprawdę. Chichocze i odchyła się do tyłu. Jej nozdrza rozszerzają się i zaciskają. Kiedy się uspokaja, z dziwną przyjemnością widzę, że naprawdę zabiłem jej ćwieka.

– To dobre pytanie. Hmmm. Możesz wierzyć albo nie, ale, Charlie, dla mnie wybór jest trudny. Potwornie boję się owadów.

– Naprawdę? – Mam ochotę ją uściskać.

– Oj, koszmar. W konfrontacji z nimi jestem nikim. Właściwie najczęściej nawet nie musi to być żadna konfrontacja. Czasami szukam wymówki, żeby nie wychodzić z domu, jeżeli wiem, że w okolicy jest pszczoła. I nienawidzę os. Wystarczy, że o nich pomyślę i mam mdłości. – Eliza się otrząsa.

– Wiesz, ja właściwie mógłbym powiedzieć... – zaczynam, ale zaraz się powstrzymuję. Strach przed owadami jest w porządku, jeśli chodzi o dziewczyny. Ale nie w moim przypadku. Więc poganiam Elizę, żeby wreszcie odpowiedziała na pytanie.

– Mogę zadać pytanie pomocnicze?

– Oczywiście.

– Czy te pająki są żywe?

– Obawiam się, że tak.

– A czy są...

– Jadowite? Oczywiście. Są napompowane trucizną. Taką zieloną. Jak kwas.

– O Boże, Charlie, to koszmar! – Eliza śmiesznie zadziera brodę i załamuje ręce. – Wiem, że będziesz miał o mnie gorsze zdanie, ale obawiam się, że moje palce przemienia się w penisy.

– Przykro mi to słyszeć – mówię z uśmiechem.

– Wiem. Tak mi wstyd. Będzie mi brakowało moich paluszków. Uwielbiam swoje palce. – Eliza wyciąga dłonie przed siebie.

– Prawdę mówiąc, ja też wybrałem tę opcję.

– Naprawdę? – Eliza się śmieje. – Cóż, uważam, że w twoim przypadku to jednak nieco lepiej. Przynajmniej jesteś chłopcem.

– Chłopcem z penisami zamiast palców.

– To prawda. Jesteś dziwolągiem, Charlie. Oboje jesteśmy dziwolągami. Odmieńcami. Ale przynajmniej mamy siebie. Możemy razem wynieść się w góry i mieszkać tam w odosobnieniu przez resztę życia.

– Albo przyłączyć się do cyrku objazdowego.

Eliza pstryka palcami i rozjaśnia się.

– Idealny pomysł, Charlie! Tak! Możemy się przyłączyć do cyrku! Od razu! Następny cyrk, który przybędzie do Corrigan, odjedzie stąd z nami ukrytymi w wozie. I będziemy przemierzać świat jako komedianci! Komedianci! Może uda mi się wyhodować brodę. A ty będziesz miał białą koszulę w granatowe paski, ja włożę brzoskwiniowe wdzianko i będę miała żółtą wstążkę we włosach. Och, i słodkie czarne buciki!

– No i może w zimie będziemy mieszkali w Nowym Jorku i wtedy będziemy nosili rękawiczki albo mitenki, żeby ukryć nasze penisowe paluszki – dopowiadam i unoszę brwi.

– Idealnie! – woła Eliza i wybucha głośnym śmiechem.

Ma słodki śmiech. Taki wibrujący. Jestem strasznie dumny. Udało mi się ją rozbawić, kiedy o to poprosiła. Eliza opiera czubek głowy o moje ramię. Czuję w całym ciele coś jak elektryczne szarpnięcie. Żołądek mi się skręca. Nigdy w życiu nie czułem się tak przyjemnie rozmiękczony.

Przez cały ten czas toczy się gra. Piłka jest już bardziej zużyta i po mocniejszych uderzeniach ziemia się pod nią rozpryskuje. W atmosferze wyczuwa się już rozprężenie i czuje się, że jesteśmy blisko końca. W późniejszych godzinach tłum jeszcze zgęstniał. Dookoła boiska zgromadziły się całe rzędy mężczyzn, którzy stoją z puszkami w dłoniach, obserwują grę i ze znanstwem się o niej wypowiadają.

Czuję zapach drewna rozpalanego na wieczorne barbecue. Niektóre dzieci kulają się ze wzgórką obok budynku klubu, inne pokazują sobie świąteczne prezenty. Jeffrey siedzi ciągle w tym samym miejscu.

Zasypuję Elizę kolejnymi zagadkami. Pytam, czy wolałaby przez resztę życia nosić ciągle tę samą bieliznę, czy raczej raz w tygodniu odgryzać głowę żabie. Ku mojemu zdumieniu wybiera żabę. Twierdzi, że nie rozumiem, bo jestem zwyczajnym, gruboskórnym chłopakiem. Pytam, czy wolałaby nie mieć rąk czy nóg. Mądrze wybiera życie bez rąk i dzięki temu nie musi już mieć penisów zamiast palców. Cieszy się z tego, ale przypominam jej, że w tej sytuacji nie będzie miała czym złapać małej żabki, którą zgodziła się już dekapitować zębami. Uświadamiam jej, że to będzie zupełnie jak gryzienie jabłka, z tym że jabłko będzie podskakiwać. Eliza pyta, czy zechcę jej potrzymać żabkę, żeby ją mogła odpowiednio ucałować. Odpowiadam, że w normalnych warunkach byłoby to możliwe, ale w tym przypadku reguły mi tego zabraniają. Eliza się śmieje i oświadcza, że mnie nienawidzi.

Zespół Corrigan przeżywa kompletną klęskę. Tracą cztery punkty w dwóch *operach*. Aż trudno mi w to uwierzyć. Kibice są w szoku. Zaczynam się okropnie denerwować, bo właśnie teraz Jeffrey szybko zakłada ochraniacze i z pośpiechem biegnie na boisko, żeby zagrać po raz pierwszy. To jego debiut. Jego szansa. Zajmuje pozycję. Wydaje się taki drobny. Jeffrey Lu jest ostatnim grającym.

Wygrana albo przegrana zależy teraz wyłącznie od niego. Nie mogę na to patrzeć.

Ostatnia bramka się przewraca. Teraz czekam, aż Jeffrey zajmie pozycję odbijającego. Blackburn wystawiło bardzo mocnego rzucającego, tego weterana pod Gallipoli, żeby szybko zdobyć ostatnią bramkę i po krzyku. Nie wygląda to dobrze. Obawiam się, że Jeffrey nie zdoła odbić piłki po takim rzucie.

Jeffrey zajmuje pozycję. Pochylam się do przodu. Widzę, jak się ustawia. Jest gotowy. Serce mi wali.

Kapitan Blackburn, myśląc, że to słabeusz, ustawił swoich zawodników z pola do ataku.

Weteran biegnie. Jeffrey wygląda spokojnie.

Serce mi pęka, bo pierwsza piłka wylatuje poza boisko. Eliza podnosi rękę do ust, tłumiąc jęk rozczarowania. Blackburn wybucha radością. Gracze drużyny Corrigan ruszają na boisko, żeby uścisnąć ręce przeciwnikom. Ale się zatrzymują. Wszyscy patrzą na sędziego, którego ramię jest wyprostowane i wskazuje prawą stronę. Sędzia wygląda, jakby sięgał po brzoskwinię. Piłka niezaliczona. Weteran stał za daleko! Jeffrey zostaje na pozycji! Wraca pewnym krokiem na miejsce, które sobie zaznaczył kijem. Gracze Corrigan wracają na miejsca. Drużyna Blackburn jest wściekła. Poirytowani zawodnicy zajmują pozycje. Jeszcze trochę gry przed nimi. Gracze obu drużyn stoją teraz w pogotowiu. Weteran znowu rusza. Jego kolejna piłka jest krótka i ostra. Uderza Jeffrey'ego w ramię. Oburzony, odruchowo podskakuje na równe nogi, jednak Jeffrey ani się nie zachwiał, ani nie przewrócił. Właściwie wygląda tak, jakby go nawet nie zabolalo. Słyszę, jak gracze Corrigan ustawieni blisko granicy pola gry śmieją się.

Weteran idzie przez boisko i głośno rzuca inwektywy pod adresem Jeffrey'ego. Sплюwa i odwraca się. Jeffrey wydaje się skoncentrowany.

Następna piłka znowu jest krótka i szybka. Jeffrey odbija ją sprytnie. Ma czas na cztery *runy*. Kibice są zaskoczeni. Nie klaszczą. Panuje cisza. Aż trudno mi uwierzyć. Kolejna krótka, silna piłka znowu zostaje odbita przez Jeffreya w taki sposób, że zyskuje kolejne cztery *runy*. Weteran jest wściekły. Jeffrey spokojny. Jeszcze jedna piłka i nagle uświadamiam sobie, że Jeffrey rozgrywa wszystko tak, żeby ostatnia piłka była jego. Postanowił wygrać mecz. I umie tego dokonać. Tymczasem kończy się *over*.

Eliza łapie mnie za ramię.

– Jeffrey jest niesamowity! Nie wiedziałam, że on tak dobrze gra!

– Och, Jeffrey naprawdę umie grać – mówię dumny i zazdrosny zarazem.

Kolejny *over* kończy się tym, że znawcy zaczynają kiwać głowami. Gracze Corrigan gromadzą się wokół trenera. Jeffrey po raz pierwszy w życiu odbiera oszczędne wyrazy szacunku.

W przerwie między *overami* przynoszą mu picie i otrzymuje wskazówki, jakby był pełnoprawnym członkiem drużyny.

Biegnie truchcikiem na swoją pozycję, a potem przemierza pole gry, pukając w murawę kijem. Poprawia sobie ochraniacze. Wygląda, jakby grał regularnie od dwudziestu lat.

Zawodnicy przeciwnej drużyny bardziej się teraz starają. To kolejny wyraz szacunku dla Jeffreya. Dzięki ich wysiłkom w tym *overze* Jeffrey nie wywalczył aż tylu *runów*. Ale i tak uderza na tyle precyzyjnie, że pozostaje na pozycji odbijającego na następny *over*. A weteran schodzi z boiska, bo już wykorzystał swój limit.

Nie jestem pewien, jaki jest wynik ani ile jeszcze piłek zostało, co sprawia, że jestem napięty do granic wytrzymałości. Natomiast Jeffrey nie okazuje żadnego niepokoju. Gra inteligentnie i pewnie. Uderza cierpliwie, czekając na dobry moment. Pod koniec

następnego *overa* nasza drużyna znowu ma trzy *runy*, a Jeffrey zostaje na pozycji odbijającego.

Rzucający, który zastąpił weterana, okazuje się równie agresywny jak tamten, ale nie tak konsekwentny. Sfrustrowany rzuca piłkę z zamachem, starając się uzyskać jak największą siłę. Jeffrey to wykorzystuje. Zawodnicy z pola bardzo się teraz spięli, ale Jeffrey i tak wywalczył następne dwu- i trzykrotne *runy*. W następnym *overze* odbija z niewiarygodną precyzją. Nawet trochę ryzykownie, ale zwycięsko. Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Eliza i ja uśmiechamy się do siebie i kręcimy głowami z niedowierzaniem. Po kręgosłupie przebiegają mi dreszcze. W tym załęczonym mieście Jeffrey Lu, jego najniższy i najdrobniejszy mieszkaniec, okazuje się człowiekiem nieznającym lęku.

To już chyba niedługo. Nawet zmęczone i znudzone dzieci zbliżyły się do pola gry. Nawet małżonki, które nie wiedzą zbyt wiele o krykiecie, wyczuły, że dzieje się coś ważnego i istotnego. To ostatnia piłka tego *overa*. Rzucający podrzuca piłkę, a kapitan drużyny Blackburn ustawia i instruuje swoich ludzi. Jeffrey z kijem opartym na ramieniu przechodzi całe pole gry, kiwając głową, jakby liczył zawodników.

Uświadamiam sobie, że następny *over* musi być ostatni. Nie mam pojęcia, ile nam brakuje *runów*. Patrzę na trenera, który chodzi wzdłuż pola gry z papierosem w grubych paluchach. Przenoszę wzrok na Jeffrey'a, który namawia się z graczem naszej drużyny, żywo gestykulując. Nie mogę usiedzieć spokojnie. Eliza znowu złapała mnie za ramię, ale tym razem ledwie to dostrzegam. Całą uwagę skupiam na grze.

Zostało sześć piłek.

Kapitan drużyny Blackburn dokonuje ostatnich ustawień. Rzucający zajmuje pozycję. Odchyła się do tyłu. Eliza Wishart bierze moją dłoń. To nieprawdopodobne. To dla mnie za dużo.

Jeffrey postanawia, że pobiegnie z całych sił już przy pierwszej piłce w tym *overze*. Rusza, jeszcze zanim tamten uderzył. Piłka trafia w nogę naszego zawodnika na drugim końcu pola gry. Jeffrey się orientuje i szybko wraca na swoje miejsce. Jest bezpieczny. Mało brakowało.

Kibice Corrigan szaleją. Tłumek zgromadzony wzdłuż pola gry zafalował. Uśmiecham się. Już nie po raz pierwszy tego lata świat staje na głowie. Mieszkańcy Corrigan krzyczą w obronie Jeffreya. Są po jego stronie.

Sędzia ostrzega rzucającego, który wzrusza ramionami i wraca na swoją pozycję. Kibice pokrzykują na niego i wymachują rękami.

Kapitan Blackburn wstrzymuje grę odrobinę dłużej, żeby poczynić ostateczne ustawienia. Są jakieś szanse na punkt, ale na długą piłkę nie zostawia miejsca. Jeffrey zajmuje pozycję.

Po kolejnej piłce Jeffrey ma dwa *runy*. Nie mogę uwierzyć własnym uszom, kiedy dochodzi mnie głośny doping, którym zagrzewają go członkowie naszej drużyny. Chór głosów. Ci cholerni gnoje wołają przez całe boisko: Idziesz, Kong! To, co dotychczas było obelgą, przeobraziło się w przydomek. Jeffrey się prostuje. Po raz pierwszy spogląda w stronę pawilonu.

Dobrze poradził sobie z kolejną piłką. Spadła precyzyjnie tam, gdzie chciał.

Po następnych dwóch *runach* Jeffreya nasz aplauz się wzmaga, a po stronie Blackburn widać napięcie i konsternację. Jeffrey ociera pot nadgarstkiem. Kibice zagrzewają go do walki. Pewnie już niedługo. Ludzie gromadzą się tłumnie blisko granic pola. Ściskam rękę Elizy nieznośnie mocno.

Przy następnej piłce Jeffrey wychyla się i robi mocny zamach, ale nie udaje mu się dobrze odbić. Bramkarz podnosi piłkę wysoko nad głową. Tłum wzdycha. Nie ma punktu. Ludzie z Blackburn wzniesli krótki okrzyk i tłoczą się przy linii jak stado wilków. Ich

kapitan biegnie do rzucającego i przekazuje mu jakieś bardzo precyzyjne instrukcje, a potem klepie się w tyłek i biegnie z powrotem na swoje miejsce.

Następna piłka jest tak wysoka, że właściwie niemożliwa do odebrania. To nie w porządku. Powinno się ją unieważnić. Ludzie zaczynają pokrzykiwać. Kibice Blackburn klaszczą i krzyczą głośniej. Czekaają na rychłe zwycięstwo. To była kolejna piłka bez punktu.

Do zakończenia *inningsa* pozostała ostatnia piłka. Nie jestem pewien, ile nam potrzeba *runów*, ale to, jak kibice krzyczą, klaszczą i podskakują, wskazuje na to, że ciągle jeszcze istnieje szansa na wygraną. Jeffrey stoi na swojej pozycji i obserwuje pole. Cała granica boiska jest szczelnie obstawiona, co wskazywałoby na to, że cztery *runy* wystarczą do wygranej. Warwick Trent stoi nieruchomo obok trenera. Ramiona ma skrzyżowane na piersi. Wszyscy pozostali kibicują na całego. Żadnych złośliwości ani przezwisk. Naprawdę kibicują.

Nie wiem czemu, ale przez to jeszcze trudniej mi patrzeć. To dużo istotniejsze niż po prostu piłka meczowa. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co będzie, jak mu się nie uda. Nie chcę myśleć, co ci ludzie zrobią, jak Jeffrey ich zawiedzie.

– Nie patrzę! – mówi Eliza i zasłania oczy ręką.

– Dasz radę, Jeffrey – mówię przez zęby. Wkładam w te słowa wszystko.

Zaczęli.

Wszyscy patrzą na rzucającego, na jego mocny zamach, rzut, potem na piłkę i wreszcie na Jeffrey'ego, który przeżywa właśnie najważniejszą sekundę swojego życia.

Piłka jest taka jak dwie poprzednie. Szybka, ostra i prosta. Jeffrey musiał się tego spodziewać. Przewidział taką taktykę. Jeszcze zanim rzucający wypuścił piłkę, Jeffrey nieznacznie przenosi ciężar

ciała na nogę zakroczną. Trzyma kij w gotowości. Wysoko. Zostawia sobie dużo miejsca. I kiedy piłka leci łukiem, nieco nad głową Jeffreya, on uderza tak, jak zaplanował.

To nawet trudno nazwać uderzeniem. On nawet się nie zamachnął. Po prostu nadstawił kij, a piłka poszybowała w górę, nie tracąc szybkości. Skierował piłkę w jedno jedyne miejsce na całym polu, które pozostało nieobstawione. Przeleciała nad głową bramkarza. Dwaj zawodnicy z pola wykonali jeszcze ruch, jednak mieli świadomość, że to już na nic się nie zda.

Jeffrey dał radę!

Corrigan wybucha. Jeffrey Lu jest bohaterem. Eliza i ja zbiegamy razem ze wzgórza, trzymając się za ręce. To niesamowite. Usta mi drżą, po kręgosłupie przebiegają dreszcze. Jeffrey Lu spokojnie patrzy za piłką, a potem odwraca się i wyrzuca w górę ręce, w których trzyma kij. Uśmiecha się, jakby był niespełna rozumu. Dokonał czegoś niewiarygodnego. Blackburn wydaje jęk niedowierzania. Widzowie po stronie Corrigan wicherzą sobie nawzajem włosy, śmieją się i wiercą. Kapitan drużyny przeciwnej podchodzi do Jeffreya, klepie go w plecy i obejmuje ramieniem. Jeffrey sięga mu ledwie do piersi, co gratulacje czyni jeszcze dziwniejszymi.

Myślę, że to, co czuję, to radość. Od bardzo dawna nie przeżywałem takiej erupcji czystego szczęścia. To może być jeden z tych rzadkich momentów, które pamięta się i wspomina całymi miesiącami i latami. To jedna z tych ważnych chwil, które zostawiają ślad w umyśle. Zdjęcie nigdy by tego nie oddało. To jest coś, co trzeba samemu przeżyć, żeby zrozumieć. Chwila wspaniałej konfiguracji ciał niebieskich i przelatujących meteorów, które się zderzyły, by we właściwym miejscu i czasie w moje życie wpadła piękna, czerwona piłka. Wybucha we mnie ogromny Fajerwerk, a piłka jest jego jądrem. To, co się dzieje, sprawia, że wszystko nabiera sensu. Mam teraz w sobie coś, co pozostanie wspaniałym

wspomnieniem i co jak perłę z mułu będę zawsze wydobywał w potrzebie. I to będzie jak lody. Boski smak. Będę hołubił tę perłę jak skarb podarowany mi przez Jeffreya Lu. By utrwalić tworzący się mit, patrzę, jak Jeffrey schodzi z boiska jako zwycięski bohater meczu i wznosi do mnie kij w geście tryumfu. Moje ramię wystrzela w górę: salutuję i uśmiecham się jak kretyn.

Gracze i widzowie mierzwią włosy Jeffreyowi i potrząsają jego ręką. Nawet Warwick Trent skinął głową i go klepnął. Uświadamiam sobie, że ciągle trzymam rękę Elizy. Drzę.

– To było niesamowite! – mówi Eliza. – Cała się trzęsę!

– Mogę sobie wyobrazić. – Patrzę na Jeffreya. – Ciągle nie mogę w to uwierzyć.

Tłum się rozchodzi. Drużyna zmierza do szatni w pawilonie. Ktoś niesie za Jeffreyem jego torbę. Gracze Blackburn szurają nogami i odchodzą z rękami na biodrach. Boisko z wolna pustoszeje. Dzień chyli się ku zachodowi.

Eliza i ja siadamy. Nie trzymamy się już za ręce, ale wyraźnie czuję, że nasze ramiona się dotykają. Przez jakiś czas siedzimy w milczeniu. Znowu zaczynam czuć skrępowanie.

Ale kiedy słońce się chowa, Eliza nachyla się do mnie lekko.

– Mogę powierzyć ci tajemnicę?

Staram się odgadnąć z jej twarzy, o czym myśli. Czy to ma związek z Laurą? Pewnie tak. Jasne, że tak. Co ona wie? Jakie kartki tej historii przyciska do piersi? Co wie o tamtej nocy? Nie wiem, czy jestem gotowy, żeby tego wysłuchać. Nie dzisiaj. Nie tak od razu.

– Okej – mówię ostrożnie i kiwam głową.

– Więc... – Eliza się czerwieni i dotyka dłonią włosów. – Wiem, że to głupie. Ale... czekałam przed księgarnią przez ostatnie dwa

tygodnie. Udawałam, że przeglądam tanie książki, ale tak naprawdę miałam nadzieję, że cię zobaczę.

Żołądek mi szaleje. W głowie szumi jak w ulu. W gardle mam jakieś kruszywo. Znowu nie wiem, co powiedzieć. Nigdy nie ma we mnie właściwych słów. Przełykam z trudnością. Mrugam.

– No, wiesz. Miałem szlaban. Nie mogłem wychodzić. Pewnie dlatego...

– Wiem – mówi Eliza. – Dlatego to było takie głupie. Wiedziałałam przecież, że jesteś uziemiony i że na pewno się nagle nie ukazesz, ale i tak tam chodziłam.

– Czekaj. Wiedziałaś? Skąd wiedziałaś, że nie mogę wychodzić?

– Oficer policji powiedział to któregoś dnia mojej mamie, a ona mnie. No, wiesz, że wyszedłeś, żeby się ze mną zobaczyć.

– Och... – wzdycham oszołomiony.

Siedzimy w mydlanej bańce wypełnionej milczeniem. To Eliza ją w końcu przekłuwa.

– Charlie, moim zdaniem jesteś słodki. Żałuję, że tamtego wieczoru do mnie nie dotarłeś.

Eliza się uśmiecha, unosi lekko i obraca się do mnie. Boję się. Nie mogę złapać tchu.

– Masz bardzo ładne dołeczki – odzywam się. – Tu, na policzkach. – Wskazuję niezgrabnie szczękę Elizy, jakby oczekiwała ode mnie, że dokładnie zlokalizuję dołeczki. Jestem kretynem. Mój dowcip, który kiedyś bujał wysoko, teraz całkiem opadł. Odnotowuję odpływ intelektu. Moje usta są kompletnie bezużyteczne.

Jednak.

W tym właśnie momencie.

Może Mark Twain miał gotową opinię na każdy temat. Może i dysponował dowcipem, o którym nawet mi się nie śniło, może spływały na niego z niebios zgrabne frazy, których ja w życiu nie sformułuję. Być może pisał z łatwością dzięki zdobytej wiedzy, potrafił słowami przywoływać śmiech i smutek albo złość. Umiał człowieka oczarować, zachwycić, zaniepokoić i zranić. Potrafił otworzyć oczy i poprowadzić przez światy, które stworzył. Ale nawet sam Mark Twain nie umiałby opisać, jak miękkie są usta dziewczyny, które dotknęły moich ust.

Eliza Wishart pocałowała mnie. Całuje mnie. Tu, pod drzewem. I to jest kochane i poruszające, i niepokojące. Nie ma niczego podobnego. Choćby trochę podobnego. Moja napięta skóra jakby swędzi. Czuję łaskotanie na rozpalonej szyi.

Odsuwamy się od siebie, oboje trochę z ulgą, a trochę z żalem. Eliza uśmiecha się nieśmiało. Ja chyba też.

– To było miłe – mówi Eliza.

– Tak – odpowiadam.

Patrzymy na siebie zakłopotani i niepewni. Usta Elizy są czerwone i wilgotne. Wydają się trochę spuchnięte. Nie umiem opisać, jak ona niesamowicie pachnie. Nawet Mark Twain by nie umiał.

– Zrobimy to jeszcze raz? – pyta Eliza, zagryzając wargę.

Wzruszam ramionami, bo jestem kretynek.

– No chyba, to znaczy, no, tak. Ale tylko, jeśli chcesz. To nie znaczy, że ja nie chcę. Chcę.

Eliza zamyka mi usta. Na szczęście. Pochyla się pierwsza, a ja zaraz potem. Za drugim razem to jest o wiele łatwiejsze, bo już się wie, że to nadchodzi. Nasze ciała się nie poruszyły. Wszystko koncentruje się w tym miękkim miejscu, w którym się dotykamy.

Oczywiście czuję się trochę zakłopotany. Jesteśmy na otwartej przestrzeni, a to, co robimy, wydaje się bardzo intymne.

Całujemy się, jakbyśmy byli do siebie przyklejeni. Jakbyśmy byli jedną rzeźbą. Martwię się, że Eliza pomyśli, że jestem do niczego i nie robię tego dobrze. Zatem, kiedy jestem już mniej oszołomiony i jest mi jakby wygodniej, próbuję wprowadzić coś, co widziałem w telewizji i o czym czytałem w książkach. Trochę rozchyłam usta, Eliza też to robi i od razu czuję, że warto było zaryzykować. Mam teraz więcej pewności, więc odważam się i kładę jej dłoń na policzku. Niestety, trawa i piasek przykleiły się do mojej spoconej skóry i w swojej głupocie przykładam jej to paskudztwo do twarzy.

– Pieszczotki!

Gwałtownie odrywamy się od siebie. Jeffrey Lu podąża w naszą stronę i krzyczy:

– Dostyc tego! Zachowajcie miłość dla mnie! Zasłużyłem!

– Cześć, Jeffrey – mówi Eliza spokojnie. – Gratulacje! Byłeś zadziwiający!

– Masz słuszość. – Jeffrey kiwa głową. Ręce trzyma na biodrach. – Naprawdę byłem zadziwiający! No, Chuck! Widziałeś mnie w akcji? Miałeś okazję zobaczyć mój pokaz sztuki wygrywania meczów? Podziwiałeś moje wyczyny godne młodego Douglasa Waltersa? Widziałeś moją ostatnią piłkę? No, jak ci się podobało?

– Właściwie trochę mi umknęło. Odwróciłem się po twoim pierwszym wyczynie.

Jeffrey się śmieje.

– On kłamie – zapewnia Eliza. – Wpatrywał się w każdą twoją piłkę jak urzeczony.

– To mnie nie dziwi – mówi Jeffrey i pociąga nosem. – On ma gust. Potrafi docenić grę na poziomie. Trudno nie zwrócić uwagi na ewidentną doskonałość, skoro się ją ma tuż przed nosem.

Wykrzywiam się w grymasie udawanego bólu.

– Jeffrey, to bolesne, ale muszę przyznać, że byłeś zadziwiający. Naprawdę dobry. Nie mogę uwierzyć. Nawet nie sądziłem, że dostaniesz kij. A ostatnie uderzenie było po prostu obłędne.

– Masz na myśli piłkę, którą posłałem nad głowę łapiącego i dzięki której w ostatniej chwili wygraliśmy mecz?

Wydymam policzki.

– Tak, głupku.

– Łaskawie przyjmuję wyrazy twego uznania, Charles. Wiesz, w pewnym sensie ci zazdroszczę.

– Czego?

– Otóż jako niekwestionowany bohater rozgrywki nie mogłem niestety oglądać siebie w akcji. Wielka szkoda. Stąd musiałem wyglądać olśniewająco.

– Kretyn.

– Debiut Jeffrey'a Lu. – Jeffrey uśmiecha się i zaczyna swoją zwykłą walkę z cieniem. Wyprowadza krótkie ciosy, którymi bezużytecznie młóci powietrze. Eliza się śmieje. Jeffrey wygląda, jakby był gotów wrócić na boisko i powtórzyć wszystko od początku.

– To bajeczne, Chuck. Jestem legendą! Powinni o tym napisać w almanachu krykieta lub czymś podobnym. Powinni to ogłosić w telewizji. A już na pewno opisać w gazecie.

– Powinieneś teraz przejść na emeryturę! Twój dorobek na to pozwala.

– Nie teraz. Co powiedzieliby moi fani? – Jeffrey wskazuje Elizę.

– Jestem pewny, że oboje jakoś by to znieśli.

– Oboje? Chuck! Ależ z ciebie kretyn. W tej chwili cały świat mnie kocha. Taka jest prawda. Jestem słynniejszy od Bradmana.

Eliza się śmieje i opiera głowę na moim ramieniu. Tężeję. Nie wiem, jak ona może traktować to tak lekko. Nie wiem. Może jednak nie jest tak nieśmiała, jak zawsze myślałem. Może zmieniła się tego lata. Jej sukienka, głos, włosy. A może nigdy jej tak dobrze nie znałem. Ale jednak wydaje się jakaś inna. Nie pamiętam jej tak rozbawionej, wesołej i ożywionej jak teraz. No, poza tym że płakała. I ten akcent. Dziwny, arystokratyczny ton. Nigdy wcześniej go nie zauważyłem.

Jeffrey, który z pewnością wyczuwa mój dyskomfort, odgrywa małe przedstawienie, wskazując palcem wyciągniętej ręki na mnie, a potem na Elizę.

– Pohamujcie się! Toż to grzech. Pomyślcie o Panu!

– Nas to nie dotyczy – mówi Eliza, podnosząc rękę. – Nas to nie obejmuje. My i tak jesteśmy wykluczeni ze społeczeństwa. Musisz wiedzieć, że mamy penisy zamiast palców.

Jeffrey zaszokowany cofa się.

– Nie. Ty też wybrałaś penisy?

– Obawiam się, że tak – mówi Eliza z chytrym uśmieszkiem.

– Ależ ty jesteś dziewczyną! I masz teraz penisy! I to dziesięć!

– W porządku. Charlie to akceptuje.

– Oczywiście. On uwielbia penisy!

– Jeffrey, zabiję cię! – wykrzykuje i naprawdę zamierzam to zrobić.

– Do cholery! Penisy! Jedno i drugie! Przecież to tylko kapelusz!

– Żadne tylko! – protestuje Eliza. – To kapelusz z pajaków!

– Prokurator musi odpocząć, panno Wishart. Tak czy owak. Chodź, Chuck. Możecie sobie pogruchać później. Może byś teraz podwiózł bohatera do domu?

– No jasne, ale mojego taty jeszcze nie ma.

– Ośle. – Jeffrey odwraca się i wskazuje palcem. – Tam jest. W samochodzie. Popatrz. Siedzi tam od niepamiętnych czasów.

Patrzę za ręką Jeffrey'a. Jest. Dokładnie po przeciwnej stronie boiska. Nie miałem pojęcia. Coś jak zimna ryba przepływa przez moje wnętrze. Odsuwam się od Elizy. Co on widział? Będę miał kłopoty? Nawet nie wiem, czy to występek.

– Od jak dawna on tam jest?

Jeffrey wzrusza ramionami.

– Skąd mam to wiedzieć? Nie jestem bogiem, choć łatwo mnie z nim pomylić. Byłem jednak za bardzo zajęty tworzeniem historii, żeby zwrócić uwagę na twojego tatę.

– On czeka. Lepiej chodźmy.

Eliza ściska mnie lekko za ramię. Sięga do niego dyskretnie, chowając rękę za plecami. Zastanawiam się, czy to znaczy, że ona nie chce, żebym odchodził. Odwracam się do niej.

– Podwieźć cię do domu?

– Nie, nie. Nie trzeba – odpowiada.

Znowu chcę ją pocałować.

Uczucie skrępowania powraca. Nie bardzo wiem, co robić. Mam wrażenie, że powinienem powiedzieć coś istotnego, przeprowadzić jakiś obrządek, w jakiś sposób nadać temu oficjalny charakter. Chcę rzucić zaklęcie, które pozwoli mi potem powiedzieć, że Eliza jest moją dziewczyną. Chcę zapłacić nową walutą za prawo powiedzenia innym, że Eliza mnie lubi. Chcę zrobić coś, co pozwoli mi potem myśleć o niej bezustannie, bez poczucia winy i bezsilności. Jestem taki podekscytowany. Chciałbym to uczucie zatrzymać jak czerwonego ptaszka w klatce. Żeby pozostało niezmiennie, zawsze czekało na mnie w gotowości, jak moneta w kieszeni. Jak pestka

brzoskwini Jacka Lionela. Jak słowa zapisane i zamknięte w walizce. Jak barwny balon przywiązany do wezglowia łóżka. Chce się go przytulić z całej siły, ale trzeba uważać, żeby go nie zgnieść. Żeby nie pękł.

Chciałbym, żeby Jeffrey się zmył. Ale on marudzi, szczerzy się, czeka.

Trochę się rozglądam.

– No, to dobra.

– Do zobaczenia, Charlie.

– Niedługo. Mam nadzieję. Tak.

Eliza pochyła się, żeby mnie pocałować w policzek. Oczywiście zupełnie opacznie to zrozumiałem i celując w jej usta, wsadziłem czubek nosa w jej oko. Mruczę coś i zrywam się na nogi.

– Cześć, Jeffrey! Dobra robota! – mówi Eliza i kiwa ręką. Kciukiem otwiera książkę.

Smutno mi tak ją zostawiać. Jeffrey kłania się Elizie i odchodzimy. Kiedy ruszamy, na chwilę pochwytuję spojrzenie Elizy. Wytrzymuję przez moment i to jest to zakłęcie, ta nowa waluta, pieniędzy w kieszeni. Odwracam się.

Kiedy odeszliśmy już tak daleko, że ona nas nie słyszy, Jeffrey wykonuje nagle dziwaczny taniec, jakby był modelką na wybiegu. Torba ze sprzętem obija mu się o plecy.

– Pieszczotki! Pieszczotki!

– Jeffrey. Zabiję cię! Własnoręcznie. Nie kłamię. Niebaczenie zbliżasz się do tragicznego zakończenia tego szczęśliwego dla ciebie dnia!

Jeffrey się śmieje.

– Kochasz ją. Chucktin Bucktin! Kooochasz ją! Czekaj! Kim teraz jestem? – Jeffrey unosi brew i układa usta w kółeczko, jak kiepski śpiewak przy mikrofonie. – Ummm, chcesz, żeby cię pooodwieźć do dooomu?

– Idiota!

– Sam jesteś idiotą! Widziałem! Całowaliście się! W usta! Obrzydliwość!

Muszę się uśmiechnąć.

– Zwyczajnie mi zazdrościsz.

– Ja zazdrozczę?! Chuck, jesteś mniej więcej dwanaście razy głupszy, niż sam sądzisz. Jestem bohaterem tego miasta! Właśnie stworzyłem ważne wydarzenie w jego historii. Zazdrosny? Phiii, nie ja. Niby czego miałbym zazdrościć? Superman nie leży i nie głaszcze Lois. Ma coś innego do roboty. Zupełnie jak ja. Muszę ratować wynik meczu!

– Mam przekonanie graniczące z pewnością, że Superman, gdyby miał wybór, na pewno wolałby trochę pieścizotek Lois od wyciągania dziecka z płonącego domu. – Uśmiecham się do siebie.

– Chuck! – jęczy oburzony Jeffrey. – Jeeezu Chryste! Ty już nawet nie jesteś w pełni człowiekiem. Nie wiem, od czego zacząć! Czuję się dotknięty! Dosłownie mnie obrażasz. Jeżeli mi ofiarujesz gówno w słoiku, to mnie bardziej nie obrazisz niż teraz. Takie coś uprawnia do ekskomuniki. Jezus cię znienawidził, Charles. Chcę, żebyś miał tego świadomość.

– A jednak to prawda, co powiedziałem.

– Co? Czy ja dobrze słyszę? Naprawdę jesteś komunistą? Towarzyszu, mózg ci wyssała przez usta. Nie myślisz normalnie. Wielki Człowiek nie dba o dziewczyny. To fakt. Chyba że są moralnie zagrożone. Ale nawet w takim przypadku przegrywają u niego z Luthorem, który przygotowuje zamach na wolny świat. Superman

nawet nie zauważa dziewczyn. Zawsze wybierze ratowanie świata, a nie Lois. I tak właśnie powinno być. Ja osobiście nawet bym po nią nie wrócił.

– Ty osobiście jesteś maniakiem.

– To prawda, ale maniakiem pragmatycznym. Słuchaj, Charles, może się czegoś nauczysz. Lois Lane jest nic niewarta, jeżeli się zważy wszystkie problemy, które powoduje. Pomyśl, ile razy stworzyła zagrożenie dla całego świata tylko przez to, że akurat musiała być ratowana? Gdyby usunąć jedno ogniwo z tego łańcucha, Luthor natychmiast by osłabł. Mówię ci, Superman powinien sam ją zabić. Powinien ją porządnie walnąć. Bang! I koniec z rozterkami moralnymi.

– Jesteś opóźniony. I dlatego nigdy nie będziesz superbohaterem.

– Być może, Chuck – zgadza się Jeffrey. – Jednak w oczach ludu jestem zwycięzcą.

Śmiejemy się i człapiemy dalej. Korzystam z okazji, żeby jeszcze raz spojrzeć na Elizę. Ciągle tam jest. Dziewczyna z książką pod drzewem. Czuję coś przedziwnego. Jestem pełen energii. Chcę biec do niej i jednocześnie od niej uciec.

W każdym momencie swojego życia wiedziałem, że jestem całkowitym przeciwieństwem Supermana. Ale teraz, w tej chwili, czuję się inaczej. Mam wszystko w nosie. Nie czuję się jak słabowity, omdlewający cykor. Bo teraz wiem, że mógłbym uratować dziewczynę. Wiem, że raczej zaryzykuję bezpieczeństwo planety, niż pozwolę, żeby Elizie Wishart stała się krzywda. Uratuję ją. Potrafię sobie wyobrazić, że ona i ja tulimy się, podczas gdy wokół wali się świat, ale nie mogę sobie wyobrazić świata bez Elizy.

Uśmiecham się do siebie. Mam w dupie, że nie jestem Supermanem. Pocałowałem Elizę Wishart.

*

Jeffrey wskakuje na tylne siedzenie i błyskawicznie zajmuje środkową część. Siadam z przodu.

– Cześć, Jeffrey, supergraczu – mówi mój tato i patrzy na niego w lusterku.

– Oglądał pan mecz?

Tato z żalem pochyła głowę.

– Fatalnie! – stwierdza Jeffrey. – Przeoczył pan najważniejsze wydarzenie w życiu. To było jak walka Dawida z Goliatem, z tym że tym razem Dawid był niewiarygodnie pięknym Azjata. I nie było żadnego oszustwa. Niech pan włączy radio! Pewnie o mnie mówią!

Wytaczamy się z parkingu, wzniesając za sobą szaroniebieski pył. Ostatni raz patrzę na Elizę, która ciągle siedzi pod drzewem. Wydaje mi się, że macha ręką, więc odwracam się i wyciągam rękę przez okno, najdyskretniej jak potrafię. Słyszę, jak na tylnym siedzeniu Jeffrey szepcze: „Pieszczotki!” Chcę go wykopać z samochodu. Ale odwracam głowę do taty.

– Zaczekaj, skąd wiedziałeś, że Jeffrey wygrał mecz, skoro go nie oglądałeś?

– Chuck, nie da się o tym nie słyszeć – odpowiada Jeffrey, pochylając się do przodu.

– Ja także powoli zaczynam żywić takie przekonanie – mówię.

Tato śmieje się do siebie.

– Natknąłem się na Pete'a Wisharta, który szedł do domu. Był pod wielkim wrażeniem, Jeffrey. Oglądał mecz z pawilonu, choć nie wiem, ile właściwie widział. Nie sądzę, żeby zanadto oddalał się od baru. Miał mocno w czubie, ale mówił o tobie w samych superlatywach.

Jestem przerażony.

– Czekaj, tato Elizy tu był? To znaczy widział? Jeffreya?

– Tak – przytakuje tato. – Spokojnie, Charlie, nie oglądał niczego innego.

Za moimi plecami Jeffrey zaczyna chichotać.

– Bohater ludu zawsze może zostać wypchnięty z jadącego pojazdu, wiesz? – rzucam przez ramię.

To go tylko bardziej rozśmiesza. Odwracam się do taty, a on mruga do mnie i uśmiecha się w sposób, w jaki od pewnego czasu się nie uśmiechał. Chłodny powiew wpada przez otwarte okna naszego holdena, zabawnie unosi włosy taty, a moje usta same się uśmiechają. Mówię sobie, że czas się trochę odprężyć. Uspokoić. Wzruszyć ramionami. Jest przecież lato. No i tata mnie kocha. I Jeffrey Lu nareszcie zyskał wdzięczność tego miasta. A Eliza Wishart pochyliła się i dała mi to, o czym zawsze marzyłem.

Nie mogę jeść. Wiercę się i gadam nieskładnie. Rozgrzebuję jedzenie na talerzu i opowiadam o heroicznym wyczynie Jeffreya bez oratorstwa, na które zasłużył. Matka i tak nie słucha.

– Mniej mówienia, więcej jedzenia, proszę. – Wskazuje palcem na spiętrzone na moim talerzu, zimne puree ziemniaczane. Wzdycham. Naprawdę nie jestem w stanie tego zjeść. Patrząc na tę pozbawioną wszelkiego smaku maż. To nie wygląda na jedzenie. Przypomina raczej wapienną breję, którą zalepia się pęknięcia w ścianach i takie coś do sklejanie rur. Niestety, wszystko, co było jadalne, już zjadłem.

Patrząc na tatę, który też spogląda na mnie z naciskiem. Podnosi brwi. Rozumiem. Biorę kęs masy tynkowej z jakimś dodatkiem i przelykam tak szybko, jak tylko się da. To naprawdę jest łatwiejsze. Nawet komplementuję mamę za posiłek. Czuję, że w pewnym sensie zwyciężyłem.

Później, w swoim pokoju, z kubkiem posłodzonej kawy w ręku, myślę o tacie. Wygląda na to, że znowu jesteśmy w dobrych stosunkach i wszystko wróciło do normy.

Wydaje mi się, że tato pewnie wiedział, że tamtej nocy kłamałem. Nie jest idiotą. Musiał wyczuć alkohol i zauważył, że jestem pijany. Widział, że mam brudne ubranie i czerwone oczy. I wcześniej widział, jak kłamię. Pamiętam, jak na mnie spojrzał. Sądzę, że ani przez sekundę mi nie wierzył.

Dlatego kiedy dzisiaj zobaczył mnie z Elizą, mógł uwierzyć w najważniejszą część tamtej opowieści i to sprawiło, że znowu zaczął mi ufać. To, co zobaczył, wystarczyło, żeby uznał, że nie kłamałem aż tak bezwstydnie, jak wówczas sądził. I pomyślał, że choć nie mówiłem wtedy całej prawdy, to jakieś jej ziarno jednak w mojej historii było.

Chciałbym, żeby Jasper Jones dzisiaj przyszedł. Nie wiem czemu, ale chciałbym mu powiedzieć o Elizie. Że ją pocałowałem. Że ona mnie pocałowała.

Kiedy przebywałem w domowym areszcie, Jasper był u mnie dwa razy. Pierwszy raz już kilka dni po tym, jak mnie przyłapano. Przyszedł późno i bardzo mnie przeproszał. Szeptem powiedziałem mu, że jestem uziemiony i nie mogę wyjść. Jasper powtarzał w kółko, że mu jest przykro i że to wszystko jego wina. Powiedział, że powinien mnie wtedy wcześniej odprowadzić. Robiłem wszystko, żeby go pocieszyć, ale wiem, że odszedł z jeszcze cięższym sercem, niż przyszedł. Odchodził z poczuciem winy.

Chciałem za nim pobiec, powiedzieć mu, że wpakowałem się w to na własne życzenie. Mogłem się wycofać, ale mu wierzyłem. Chciałem mu pomóc, chociaż wiem, że i tak nie byłem w tym zbyt dobry.

Chciałem mu też powiedzieć, że jestem zdecydowany z nim odejść, żeby uciec z tego miasta, jak to wszystko się skończy.

Dużo o tym myślałem. Szczególnie wtedy, kiedy tak gorzko odczuwałem swoje zamknięcie. Moja determinacja w tym względzie na zmianę umacniała się lub słabła, ale ciągle wracałem do myśli o ucieczce. Oczywiście bałem się jak cholera, ale wizja, że odchodzę z Corrigan u boku Jaspera Jonesa, działała tak kojąco na moje rozterki, że byłem w stanie uwierzyć, iż potrafię tego dokonać.

Drugi raz Jasper pokazał się w wigilię Bożego Narodzenia. Bardzo się wtedy spieszył i był niecierpliwy. Prawie tak samo jak wtedy, gdy po raz pierwszy zapukał w okiennicę. Oddychał ciężko i był spocony, jakby przez całą drogę biegł. Otworzyłem okno i zobaczyłem, że przestępuje z nogi na nogę.

– Charlie, wiem, że to był on. Mogę to udowodnić. – Oczy błyszczały mu z emocji. Pachniał ziemią i papierosami.

– Cicho! – powiedziałem, trzymając palec przy ustach. – Ściany są tu naprawdę cienkie. Moi rodzice mogą usłyszeć. Co się stało?

– Mam go, Charlie. Myślę, że go, kurwa, mam – wysyczał Jasper.

– Kogo? Jacka Lionela?

– Tak.

– Ale jak? Jak to „masz”?

Jasper opowiedział mi, jak tego wieczoru zakradł się na posesję Jacka Lionela, bo wiedział, że on śpi. Podszedł od tyłu, przez druczane ogrodzenie, i zaczął myszkować. Przeszedł obok brzoskwini pod werandą i zaczął otwierać zakurzone szafy, i przeglądać zagracone półki. Nie było tam nic poza pustymi puszkami po farbie i narzędziami. Byłem pod wrażeniem jego odwagi. Gdyby to nie był Jasper Jones, nigdy bym w to nie uwierzył. Zajrzał nawet przez okna do domu, ale to także niewiele dało. Kuchnia wyglądała, jakby

prawie jej nie używano. Na kuchence stał mały czajnik, a na suszarce przy zlewie cynowy kubek. I mały stół, a przy nim krzeselka z winylu.

Z boku, pod brzoskwinia, inne okno otworzyło widok na skromny, brązowy pokój dzienny. Jeden fotel z odchylanym oparciem. Na stoliczku małe radio i telewizor. Naciskałem Jaspera, żeby podał mi więcej szczegółów. Na pianinie pod ścianą stały fotografie, ale nie mógł ich dokładnie zobaczyć. Pejzaż na ścianie. Stos gazet. Kominek. Wszystkie pozostałe okna zasłonięte cienkimi, beżowymi zasłonami. To nie brzmiało jak opis domu psychopaty. Jasper wszedł na to, dopiero kiedy już zrezygnował i zawrócił. Przeszedł obok przybudówki i kurnika, przez zarośnięty warzywniak. Przy drewnutni, pod blaszanym dachem, w wysokich, suchych trawach leżał spalony wrak samochodu. Jasper podszedł do niego bez większego zainteresowania. Przód był kompletnie zmiażdżony. Jasper obszedł go i zajrzał do auta. Z dziur zwisały ciężkie od rosy pajęczyny. Śmierdziało kurzem i szczurzym gównem. Wszystko, co pozostało ze środka wozu, było przegniłe.

Jasper powiedział mi, że już miał odejść, kiedy spojrzał w dół i zobaczył to. Mówił, że go zmroziło i zrobiło mu się niedobrze. Myślał, że mu się śni. Tam. Tam. Na drzwiach od strony pasażera, głęboko wryte w kurz.

Jedno słowo.

Przepraszam.

Musiał go dotknąć, żeby się upewnić. Trudno mu było zapanować nad uginającymi się kolanami, żeby się pochylić bardziej i zobaczyć dokładniej. Tamto słowo. To słowo napisane takimi samymi dużymi literami. Znacznie starsze niż to na eukaliptusie. Trudno je było dostrzec, ale tam było.

– Musiałem usiąść – powiedział Jasper. – A potem się wściekłem. Chciałem go od razu dopaść, ale się powstrzymałem.

Wiedziałem. Wiedziałem, że to on zrobił. Siedziałem tam i gapiłem się na to słowo. W kółko je czytałem.

Jasper przerwał, żeby zapalić papierosa, a mój mózg z wolna zaczął przetwarzać informacje.

– Jesteś pewien, że wyglądało tak samo? Pismo było takie samo jak na drzewie? – zapytałem.

– Słowo było takie samo – potwierdził i odetchnął.

– Nie dmuchaj w stronę okna – szepnąłem i poczułem się jak dupek. – Bo dołożą mi jeszcze za palenie i wyjdę stąd dopiero, jak mi jaja zgniją ze starości.

– Cholera, przepraszam, chłopie. – Jasper wciągnął srebrny dymek i smarknął.

Na chwilę zapanowała cisza, a ja starałem się myśleć nad tym, co usłyszałem. To z pewnością było intrygujące. Czy to naprawdę tak wygląda? Czy to jednoznacznie wskazuje na Jacka Lionela? Może Jasper ma rację? Ale dla kogo były przeznaczone te przeprosiny? Jeżeli napis, jak twierdzi Jasper, był starszy, to musiały być dla kogoś innego, nie dla Laury. Więc dla kogo? Nie widziałem w tym sensu. Cała sprawa wydawała mi się tajemnicza i niejasna.

– Nie wiem, Jasper. To może być zbieg okoliczności. – Próbowałem racjonalizować.

– Co?! Charlie, nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności. Pomyśl. Pomyśl, co już wiemy. Jack Lionel zawsze wychodził na mój widok, wrzeszczał i wymachiwał rękami. Jest starym, porąbanym skurczybykiem. Kiedyś już zabił. A teraz jeszcze wiemy, że wypisuje o swojej winie. No, Charlie. To był on. On ją zabił. To ma sens. To się trzyma kupy. Ten napis łączy go z tą sprawą, ze mną i z Laurą. Od początku to wiemy, a teraz możemy udowodnić.

Skupiłem się na tych dwóch słowach przeprosin. Jednym wyszeptanym, drugim wykrzyczanym. Jednym wrytym w drewnie, drugim wskrobanym w metalu. Muszę przyznać, że to się trzyma kupy. Wydaje się, że to jest klucz. I Jasper z pewnością jest bardzo przekonujący. Miałem niesamowitą ochotę się z nim zgodzić, brać zabawki i zwiewać do domu, mieć sprawę z głowy.

Ale jeśli miałem się przydać Jasperowi, musiałem zachować trzeźwy umysł. Musiałem myśleć logicznie, jak Atticus i mój tato. Musiałem się krytycznie zmierzyć z wątpliwościami. Jeśli sprawa ma zostać poważnie przeanalizowana, ja muszę to zrobić.

– Skoro Jack Lionel jest takim niebezpiecznym kryminalistą, to dlaczego policja po niego nie poszła? – wyszeptałem. – Dlaczego go jeszcze nie przesłuchano i nie aresztowano? Wydaje mi się, że jeśli ta historia byłaby prawdziwa, musiałby być pierwszą osobą, z którą by rozmawiano po zaginięciu młodej dziewczyny. Wiesz, chodzi mi o to, czy on rzeczywiście jest taki, jak myślimy.

– Charlie, my już dobrze wiemy, jacy mądrzy są nasi policjanci. A poza tym nie mamy pewności, czy u Lionela ich nie było. Nie obserwuję jego domu przez cały czas. Kto wie? Może go zatrzymali. Może siedział w areszcie, kiedy nie wyskakiwał z domu, gdy przychodziłem w te wszystkie noce?

– Więc myślisz, że z nim rozmawiali?

– Mówię, że mogli z nim rozmawiać. Problem z policją jest taki, że oni tak naprawdę nie wiedzą, czego mają się dowiedzieć. Rozumiesz? Wiedzą tylko to, że Laury nie ma. Tylko tyle mają. Ciągłe myślą, że ona sama odeszła. Ciągłe myślą, że uciekła z miasta czy coś takiego. Nie szukasz mordercy, jeśli ktoś nie został zabity.

– Racja – przyznałem. Czuję, że Jasper się niecierpliwi, jakby już wcześniej to przemyślał.

– W każdym razie on mnie przyłapał – mówił dalej.

– Co?!

Jasper wolno pokiwał głową i zgasił papierosa na okiennicy.

– Taaa. No, po tym, jak tam przez chwilę siedziałem, postanowiłem wrócić i się rozejrzeć, zanim sobie pójdę. Bo już byłem pewny, że to on. Ale nie popatrzyłem na dom, a on tam stał. Na tylnych schodkach. Stał i się na mnie gapił.

– Chryste! I co zrobił?

– Właściwie nic. Za długo tam nie zostałem. Ale byłem wściekły. Pokazałem na niego palcem i wrzasnąłem: „Wiedziałem. Wiedziałem, że to ty!” i zwałem.

Pokręciłem głową i zakląłem.

– Wiem – powiedział cicho Jasper. – Tak blisko niego nigdy nie byłem. Nie jest taki stary, jak myślałem. Powinienem był zostać, ale byłem taki wściekły, że bym się na niego rzucił.

– Krzyczał na ciebie?

– Chodzi o to, że nie powiedział ani słowa. Tylko stał na schodkach.

Zamilkłem i spojrzałem na ziemię.

– Więc co to wszystko znaczy?

– To, że wiemy, że to on, Charlie. Wiemy na pewno.

– Tak uważasz? – Podrapałem się w głowę. – Jasper, ja nie wiem. Przyznaję, że to zastanawiające. Ale nie mamy pewności, prawda? Musimy mieć świadków i jakieś dowody, żeby przekonać innych. Musimy mieć coś, co go wiąże z tą sprawą tak, że się nie da tego obalić.

– Teraz się tym zajmiemy – powiedział po prostu Jasper.

– Taaa. Ale jak?!

– Zmusimy go, żeby się przyznał.

Zanim zdażyłem zadać kolejne pytanie, rozległo się trzykrotne pukanie do drzwi i ostry głos matki, która wołała mnie po imieniu.

Machnąłem dłonią, ponagłając Jaspera, żeby się cofnął. Zniknął. Matka wpadła, jakby robiła obławę.

– Spokojnie – powiedziałem. – Tylko otwieram okno. Okiennica się zacięła.

Matka rozgląda się jak drapieżny ptak.

– Palileś? Czuję dym. Dlatego otwierasz okno? – Przeglądała pokój w poszukiwaniu jakiegokolwiek dowodu występku, który pozwoliłyby jej zetrzeć mnie na krwawą miazgę. Robiła to regularnie od dwóch tygodni. Wpadała napięta, czujna i podejrzliwa, jakbym co najmniej kopał tunel, żeby uciec, albo przechowywał komunistycznych szpiegów. Stała się wobec mnie bardziej agresywna niż kiedykolwiek. Była dokładnym odwzorowaniem moich wyobrażeń o tym, jak powinien wyglądać strażnik więzienny, tyle że nie miała munduru, pałki ani chwilowych przyływów ludzkich uczuć.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziałem, przywołując na twarz wyraz obrażonej niewinności.

Matka się zgarbiła, zmrużyła oczy i wypadła z pokoju.

Wiedziałem tylko tyle, że tej nocy, kiedy mnie złapano, zawstydzilem ją. Zburzyłem fasadę. Naraziłem dobre imię i reputację rodziny. Języki poszły w ruch. W gorącym podmuchu plotki poleciały w świat jak lotki dmuchawca. Wszystkie te paniusie od badmintona i stowarzyszone obywatelki czaiły się teraz jak sępy. Już nie byłem wzorowym dzieckiem, a ona wzorową matką. A mnie to podniecało i sprawiało, że czułem się prawie dumny.

Kiedy matka zamknęła drzwi, wyjrzałem przez okno. Czekałem całą noc, ale Jasper nie przyszedł.

*

Minęły już trzy noce, odkąd ostatnio widziałem Jaspera Jonesa. Tonę w morzu faktów i pytań. Dzisiaj więc próbuję pisać, żeby nadać wszystkiemu jakiś sens. Po spędzeniu dnia z Elizą i uczestniczeniu w tryumfie Jeffreya jestem podekscytowany i niespokojny. Wszystko to jest jednak stłumione, bo w brzuchu mam cegłę, w piersiach trzepocze się osa, a w głowie mam dziewczynę ukrytą w wodzie.

Z jakiegoś powodu zaczynam bazgrolić u góry strony to słowo. Patrzę na nie. Przepraszam. Przepraszam. To słowo przyciąga, ale i boli. Wygląda, jakby samo siebie przepraszało, że się znalazło na kartce. Jest zrozumiałe i zarazem nieuchwytnie.

Piszę wokół niego. Coś przędę, bazgrzę. Dorabiam akcję i dialogi. Nazywam ludzi i miejsca. Piszę szybko i chaotycznie. Przygryzam wewnątrz policzka i ledwie dostrzegam, że poleciała mi krew i czuję jej smak.

Zaczyna być dla mnie jasne, że to jest dobre słowo używane przez dobrych ludzi. Nikt nie jest idealnie cnotliwy, nikt nie uniknie jakiegoś poślizgu. Wszyscy bohaterowie opowieści lawirują między złem a dobrem, tym, co właściwe, i tym, co błędne. Ale tylko dobrzy ludzie potrafią wskazać różnicę między jednym a drugim i wiedzą, kiedy przekraczają granicę. Przyznanie się do winy i przyjęcie na siebie odpowiedzialności za występki jest rzeczą trudną. Musisz mieć odwagę, żeby to pomyśleć i powiedzieć. Przepraszam.

Przepraszam.

Przepraszam oznacza, że czujesz pulsowanie czyjegoś bólu tak samo, jak odczuwasz własny. Kiedy wypowiadasz to słowo, to jakbyś część tego bólu brał na siebie. Przepraszam nas ze sobą nawzajem wiąże. Przepraszam wiele znaczy. Oznacza zasypanie dołu, oddanie długu. Przepraszam oznacza smutek, tak jak świadomość występków. Czasami przepraszam to użalanie się nad sobą. Ale w przepraszam nie chodzi o ciebie, tylko o innych. Oni je przyjmą albo pozostawią. Przepraszam oznacza, że się otwierasz. Że można cię przygarnąć

albo ośmieszyć, albo się na tobie odegrać. Przepraszam jest błaganiem o wybaczenie, bo metronom dobrego serca się nie uspokoi, dopóki sprawy nie ułożą się zgodnie z poczuciem prawdy i sprawiedliwości. Przepraszam nie odwróci biegu wydarzeń, ale popycha je we właściwym kierunku. Przepraszam jest mostem przerzuconym nad przepaścią. Jest sakramentem, podarunkiem. Jest darem.

Tak. Przepraszam pojawia się, kiedy dobrzy ludzie czują się źle. A ludzie, o których teraz myślę, z powodu jakiejś przerwy na łączach czy dziury w sercu nie umieją tego poczuć ani powiedzieć, ani wydrapać w drewnie, ani ze złożonymi rękami wyszeptać w niebo. Eric Edgar Cooke nigdy tego nie powiedział. Albert Fish nie przyznał, że jest to winny ludziom. Dusiciel z Bostonu nie wyszeptał. Gertrudę Baniszewski nie wypaliła tego słowa na skórze Sylvii Likens. I to jest powód, dla którego jakaś część mnie nie potrafi uwierzyć, że zabójca Laury Wishart wyrzył przeprosiny w drewnie. Przepraszam. To na pewno był ktoś inny. Słyszałem, że morderca wraca na miejsce zbrodni. Ale przecież nie z powodu skruchy. Nie po to, żeby się pozbyć dręczących rozterek. Jeśli ktoś potrafi wyrządzić takie zło, to czy stać go na przyznanie się do wyrzutów sumienia?

Ale kto inny mógł to zrobić? Kto jeszcze wiedział? Kto miał powód do przeprosin? Może jestem upartym tępakiem. Może nie mam racji. I to w żadnej sprawie. Może przepraszam nie jest takie proste, jak myślę. Ani takie honorowe, romantyczne i wzniosłe. Może jest tylko ujściem dla słabości. Albo łagodzącą maścią na jątrzące zło? Może tym, do których jest skierowane, niesie niewielką albo wręcz żadną ulgę. A może jest tylko pustą obietnicą, pudełkiem, w którym miał być prezent? Może jest skupione na sobie i pozbawione miłości. Może bierze to, co mu potrzebne, i nie daje niczego w zamian. Może jest głupie i bez znaczenia, jak te wszystkie żółte kartki pełne banalnych, niczego niewnoszących bazgrołów, zamknięte w walizce.

Myślę o Elizie i w brzuchu mi się przewraca. Dokopuję się do czystej strony i pochylam nad nią. Rozpaczliwie chcę uchwycić Elizę w słowa.

Drzewo

nie wie, że jest drzewem.

Nie wie, jak cudne są jego kwiaty

ani jak pięknie pachną.

Nie wie, jak miękkie i słodkie są jego owoce.

Nie czuje, jaki jestem ciepły, kiedy oplatom je ramionami.

Nie słyszy mnie mówiącego te słowa.

Nic nie wie.

Jak dobrze, że nie jesteś drzewem.

Czytam to i wzdycham. Wyrwam tę kartkę z notesu. Zgniatam w kulkę wielkości orzecha. Ale nie wyrzucam. Wkładam ją do najwyższej szuflady, chociaż to najgorszy wiersz, jaki kiedykolwiek wymyśliłem.

Dość tego. Tej nocy świat mnie przerasta. Zamiast mózgu mam wielkiego, różowego mięczaka. Sfrustrowany odrzucam pióro. Opieram głowę na skrzyżowanych ramionach i zamykam oczy. Na pociechę przenoszę się do mojej sali balowej na Manhattanie.

Stoję na scenie, oparty o mównicę, a złoty puchar stoi przede mną. Oklaski nagle ucichły i nastąpiła dziwna, krępująca cisza. Nikt nawet nie zakaszle. Spuszczam wzrok i widzę napis wygrawerowany na podstawie mojej nagrody. Ona nie należy do mnie. Nigdy nie była moja. Zza kulis wychodzą dwaj mężczyźni w granatowych ubraniach i okularach przeciwsłonecznych i łapią mnie pod rękę. Spoglądam

na tłum i widzę, jak Papa Hemingway kręci głową w kierunku zde gustowanej Harper Lee, jakby chciał powiedzieć, że on też nie wie, kim jestem i co robię na scenie. Norman Mailer uśmiecha się gorzko. Ludzie chichoczą. Kerouac i Kesey śmieją się do siebie, stojąc pod żyrandolem. Nagle ci wszyscy okrutni ludzie krzyczą, pewni siebie i szalenie błyskotliwi. Jestem straszliwie zakłopotany. Patrę w lewo i dostrzegam Trumana Capotea, jak się kuli i przewraca oczami, trzymając w ręku tomik moich wierszy. Błogosławione granatowe garnitury wloką mnie daleko od tego okrutnego śmiechu, do jakiegoś miejsca, które jest ciemne i ciche.

Nagły hałas przywraca mnie znowu Corrigan.

Podnoszę głowę i marszczę brwi. Najpierw gdzieś z daleka słyszę łomot. Potem jakby strzały. Wyraźnie słyszę trzaskanie samochodowych drzwi. Potem ujadanie psa. Zastanawiam się, do kogo ten pies należy. Ujadanie narasta, więc się podnoszę, żeby sprawdzić, o co chodzi. Cicho wymykam się z pokoju na korytarz. Uchylam zasłonę i patrzę na ulicę. Coś się dzieje przed domem Jefreya. Czuję cegłę w brzuchu. Gwałtownie wciągam powietrze. Widzę czterech mężczyzn, którzy dewastują ogród Ana Lu. Oświetlają ich reflektory samochodu, którym przyjechali. Wyrrywają z ziemi kwiaty Ana, jego małe sadzonki, wyszarpują z korzeniami wszystko, a cięższymi roślinami rzucają w dom. Jestem przestraszony. Boję się jeszcze bardziej, kiedy światło na werandzie się zapala i wychodzi An Lu. Nie słyszę go, ale wiem, że mówi do mężczyzn. Wyciąga otwarte dłonie, jakby spokojnie prosił o wyjaśnienie. Potem wskazuje na ogród. Oni nie przestają jednak wyrwać wszystkiego wokół, aż zrównują ogród z ziemią. An powoli schodzi ze schodów. Wygląda na zaskoczonego. Trzęsę się.

An Lu nie upada od razu, kiedy biją go w twarz. Wykrzywia się, ale stoi. Nie unosi pięści, oni łapią go, popychają i ciągle biją. W twarz i całe ciało.

Kiedy dostrzegam w otwartych drzwiach Jeffreya z mamą, ujawniam się i wołam tatę. Tato wybiega z gabinetu. Nic nie mówi, tylko patrzy tam, gdzie ja. Z sypialni wychodzi mama w cieniutkiej koszuli nocnej. Ma niezadowoloną minę i pyta, o co chodzi. Tato z napięciem patrzy przez okno.

Zaraz potem jest już za drzwiami i biegnie do tamtych. Ja też biegnę. Ulica pod moimi bosymi stopami jest jeszcze ciepła. Noc jest gorąca i nieruchoma. Pani Lu krzyczy. Odciąga Jeffreya. On się wrywa, ale ona trzyma mocno. Ana Lu leży już na ziemi. Rozciągnięty na podjeździe. A oni dalej to robią. Biją go i plują na niego. Biją rękami i kopią. Słyszę, jak wrzeszczą: „Czerwony szczur. Pierdolony czerwony szczur!” Mój tato biegnie i też krzyczy. Domaga się, żeby przestali. Ale oni nie przestają. Nagle orientuję się, że ja też krzyczę. Zapalają się światła na innych werandach. Mój tato dobiega. Jest taki wysoki. Taki cholernie duży. Widzę, jak odciąga jednego mężczyznę i mocno popycha drugiego. Słyszę stęknienie i odgłos upadającego ciała. Ktoś się zamachnął na tatę, ale on jest zbyt szybki, żeby go trafić. Odchyła się jak bokser i pięść przelatuje przed nim. Tato wchodzi między tamtych a Ana Lu, który na czworakach posuwa się w kierunku schodków. Słyszę, jak rzezi. Tato trzyma jednego z tamtych za kołnierz. Mężczyzna jest krępy, młodszy od niego, ale o głowę niższy. Tato trzyma go na odległość wyprostowanego ramienia. Zaciska mu koszulę wokół szyi. Tato przez zaciśnięte zęby mówi do niego, żeby się zmywał. Poza wszystkim innym jestem zaszokowany odkryciem, że z nich dwóch to on jest silniejszy. Mężczyźni mają psa przywiązanego łańcuchem do ich półciężarówki. Pies jest biały i ma czarną łatę wokół oka. Pokazuje kły, warczy i ujada.

Jeden z pozostałych mężczyzn rusza w kierunku taty. Zaczynam krzyczeć, ale zza moich pleców wybiega Harry Rawlings, który mieszka w sąsiednim domu, błyskawicznie przemierza ostatnie jardy i łapie atakującego. Harry jest przysadzistym, rudowłosym kierowcą ciężarówki, a także czterokrotnym mistrzem lokalnych

zawodów w rąbaniu drewna. Kiedy przytrzymuje wierzgającego przy ziemi, on już tam zostaje.

– Leż tu, baranie! – rozkazuje Harry.

Dwaj pozostali mężczyźni zaczynają się wycofywać do półcięzarówki, ale nasz sąsiad z drugiej strony ulicy, Roy Sparkman, ubrany tylko w szorty khaki, wyjął kluczyki ze stacyjki i zbliża się do nas. Po zatrzymaniu silnika następuje dziwna cisza. Pies cicho skomli. Dociera do mnie, że prawie cała ulica jest teraz oświetlona. Małżeństwa patrzą na nas ze swoich schodków i pilnują, żeby zaciekawione dzieci nie wyszły na zewnątrz.

Po krótkiej chwili najmłodszy z mężczyzn wyrywa się i zaczyna uciekać ulicą. Słyszę, jak Maggie Sparkman krzyczy za nim:

– Nie myśl sobie, że nie wiemy, kim jesteś, Jamesie Trent! Ty zakało! Znam twoją matkę! Wszyscy powinniście się za siebie wstydzić!

Przysadzisty mężczyzna, którego trzyma mój tato, nagle odchyła się do tyłu i próbuje uciec, ale zaraz pojawia się na jego drodze Harry Rawlings, a za nim Roy Sparkman. Tato puszcza koszulę mężczyzny i idzie w kierunku Ana Lu, który siedzi na stopniu. Pani Lu poczuła, że już jest bezpieczniej, puściła Jeffreya i pochyliła się nad mężem. Tak wściekłego Jeffreya jeszcze nie widziałem. Rusza biegiem w kierunku mężczyzny leżącego na ziemi i chce go kopnąć w twarz. Pani Lu krzyczy i wyciąga rękę, żeby go powstrzymać. Harry Rawlings jest szybki. Łapie Jeffreya, zanim ten zdołał wymierzyć kopniaka. Podnosi go szybko i pewnie trzyma w silnych ramionach. Jeffrey wyrywa się i wije, żeby się oswobodzić, jak wściekły kot, ale Harry nie puszcza. Znosi Jeffreya z powrotem na werandę i trzyma za ręce tak długo, aż ten się uspokaja.

– Charlie, weź go do środka, dobrze? – prosi tato, odrywając wzrok od twarzy Ana Lu.

Ostrożnie podchodzę do Jeffreya, ale świetnie wiem, że nie dam rady go ruszyć. Staję obok niego. Jestem gotowy go złapać, jeśli znowu ruszy. Ale Jeffrey Lu, który zaledwie parę godzin temu był bohaterem miasta, teraz stoi cicho. Oddycha głęboko i szybko. Wpatruje się w mężczyznę.

Najstarszy z nich wraca od półciężarówki. Niezbyt pewnie trzyma się na nogach. Skopuje krzaczek jaśminu, który przyczepił mu się do buta. Podejrzewam, że jest pijany.

– Oddaj te cholerne kluczyki, Roy. To nie twoja sprawa.

– Skoro jesteś na mojej ulicy, to moja sprawa.

– Najlepiej mnie pobijcie. Wszystkim wam się marzy czerwona gwiazda – mówi drwiąco mężczyzna.

– Odpierdol się – odpowiada Harry Rawlings. – Nie jego wina, że wyleciałeś z pracy. Wiadomo, jaki jesteś. I on nie ma z tym nic wspólnego.

– Teraz to nie ma. Wszyscy jesteście kupą gówna. Posłuchajcie sami, co mówicie. Jezu Chryste, sami na siebie kręcicie bicz. Jasne, że jest w to zamieszany. Jest czerwony! To cholerny czerwony szczur. – Mężczyzna pochyła się i wypluwa te słowa w kierunku Ana Lu. – On ma tę pierdoloną kartę. Wiem to. Pewnie zabił tamtą dziewczynę. Wracać do Hanoi, szczury!

Harry robi dwa kroki i wymierza mężczyźnie cios w szczękę. Pies szarpie się na łańcuchu i wściekle ujada. Ten mężczyzna, Mick, kręci głową. Wypluwa krew.

– Chcesz jeszcze? – Harry znowu postępuje krok do przodu.

– Zostaw nas w spokoju – ostrzega Roy Sparkman i rzuca kluczyki, które odbijają się od piersi Micka. – Masz. Spadaj do domu. Rano zajmiemy się tym całym gównem.

Mick podnosi kluczyki z trawy. Już się nie boję. Jego dwaj towarzysze wloką się do półciężarówki. Mick spogląda na Harry'ego Rawlingsa.

– Uważaj, synu. Gówno wiesz. Wszyscy gówno wiecie. Przez takich jak wy ten kraj tak wygląda. Otwórzcie oczy! Czerwone szczury tu są! Czerwone szczury na nas żerują! Żerują, kurwa!

– Do domu! – wybucha mój tato. Prostuje się, wysoki i groźny. Emanuje prawdziwym gniewem. Nie mogę powstrzymać uczucia dumy. Myliłem się co do niego.

Półciężarówka zapala. Silnik rzezi. Jadąc w dół ulicy, ciągną za sobą darrń. Zostaje za nimi bardzo dziwna cisza. Ludzie cofają się do swoich domów i zaganiają dzieci do łóżek. Tato pomaga Anowi Lu się podnieść.

– Przykro mi, An – mówi.

An Lu potrząsa głową, kiwa tacie dłonią i słabo się uśmiecha. Podtrzymywany przez żonę, sztywno wchodzi po schodach. Pani Lu płacze. An jest wstrząśnięty i poraniony, ale wciąż widać w nim spokój i dystynkcję. Boli mnie, kiedy patrzę, jak się z tym wszystkim zмага. Oczy zaczynają mnie piec. Muszę spojrzeć w bok. Tato idzie za nimi tylko do drzwi. Opiera się o futrynę i coś mówi. Nie słyszę słów, ale chyba ich pociesza. Czuję, że powinienem zachować się tak samo wobec Jeffreya, ale nie wiem, co mu powiedzieć. Otwieram usta i na tym koniec. Nie ma we mnie właściwych słów.

Roy Sparkman i Harry Rawlings stoją razem na trawniku. Roy woła do Jeffreya:

– Dobrze dzisiaj grałeś. Podobno dzięki tobie zwyciężyliśmy w samej końcówce. Nie widziałem tego, ale ludzie mi mówili. Jesteś naszym bohaterem. Ile tam nastukałeś? Czterdzieści?

Jeffrey kiwa głową z nieobecnym wyrazem twarzy.

– Czterdzieści trzy – odpowiadam. Nie wiem dlaczego, ale czuję, że muszę to doprecyzować. Może chcę zwrócić uwagę Jeffreya na jego sukces.

– Czterdzieści trzy! – wykrzykuje Roy i gwizdże. Szuka wzroku Jeffreya i kiedy już patrzą sobie w oczy, mówi: – Powinieneś być z siebie dumny. Głowa do góry, dobra? Słyszysz? Zrobiłeś dzisiaj wielką rzecz. I nikt ci tego nie odbierze. Rozumiesz?

Jeffrey kiwa głową i szura nogami. Nadal nic nie mówi, a jego twarz niczego nie wyraża. Przypomina mi Ana. Coś w sobie zamknął na kluczyk.

Czuję na ramieniu rękę taty. Nic nie mówi, ale wiem, że mamy już iść. Kieruje mnie w stronę trawnika. Zanim ruszamy, kładę rękę na ramieniu Jeffreya. Próbuję mu jakoś przekazać te wszystkie pocieszające słowa, które chciałbym powiedzieć. Jeffrey kiwa głową i zaciska usta. Wchodzi do domu.

Ulica pozamykała drzwi. Schodzę po schodkach, mocno tupiąc, i napotykam tatę rozmawiającego z Royem i Harrym. Tato mówi sąsiadom dobranoc i znowu kładzie mi rękę na ramieniu. Czuję się bezpieczny i pod dobrą opieką. Już się tak nie martwię. Naprawdę. Idziemy razem do domu. Zaskakujące. Szczerze mówiąc, zbiera mi się na płacz i właśnie coś związanego z bliskością taty wywołuje to uczucie. Ale mrugam i wciągam powietrze.

Przed naszymi drzwiami tato się zatrzymuje i przyciąga mnie do siebie.

Odsuwa się pierwszy i patrzy mi w oczy.

– Przykro mi, że musiałeś na to patrzeć, Charlie. Jak się czujesz?

– Nie wiem. Nie najlepiej. – Wzruszam ramionami i patrzę w bok.

– Ja też, jeśli to cię pociesza. Nędznie się czuję – mówi tato.

Przez chwilę tak stoimy.

– Czemu to się stało? Jak ktoś w ogóle mógł to zrobić Anowi?

Tato mocno wciąga powietrze i widzę, jak z rozwagą formułuje odpowiedź, ale przerywa mu matka, która staje w drzwiach i woła nas.

Siedzimy przy kuchennym stole. Dziwne. Żadne z nas nie jest śpiące, żadne nie wie, co powiedzieć.

Po jakimś czasie tato wstaje i zaczyna myszkujeć po szufladach i półkach. Siada z powrotem z talią kart, butelką porto i trzema kieliszkami. Matka marszczy brwi na widok trzeciego kieliszka, ale odpuszcza.

Kręcę się, kiedy tato nalewa do kieliszków trzy miarki płynu w kolorze śliwkowym. Mama wyciąga żółty notes i pióro. Przekładam karty, a tato rozdaje. Nie odpowiedział mi na pytanie, więc pytam ponownie.

Tato wzdycha.

– Mick Thompson to tchórz i głupiec. Sam się wpakował w ten bajzel. Wiesz, Charlie, niektórym ludziom łatwiej jest zwalić winę na innych, niż znaleźć w sobie siłę, żeby się przyznać do własnych błędów. Dostanie kiedyś za swoje, bo każdy taki facet jak on spotka na swojej drodze tuzin takich jak Harry Rawlings. I oni go powstrzymają.

Kiwam głową, chociaż kompletnie nic nie rozumiem. To za mało, żeby wytłumaczyć to, co przed chwilą widziałem. Ale nie chcę naciskać taty.

Mama pochyla się i dotyka mojego ramienia.

– Nie martw się o Ana, Charlie. On da sobie radę. An jest silny jak byk. Jeffrey też. – Mama wyciąga lewą ze swoich kart. – Co za upiorne tygodnie. Nie wiem, co się dzieje z tym miastem.

Patrzę przez palce i czekam, że powie coś w stylu: „W tym mieście wszystko jest nie tak, jak trzeba”, ale mama milczy. Patrzy na karty i cmoka.

– No i znowu dałeś mi najgorsze, jakie można sobie wyobrazić, Wes.

– Nic nie szkodzi, moja droga. I tak w końcu nas ograsz – mówi tato.

– Nie sędzę, mój drogi. Nie siedzisz na moim miejscu, więc nie wiesz. Te karty do niczego się nie nadają. Nie mogę nic zrobić. Więcej nie rozdajesz. Masz zakaz.

Siedzimy tak i do późna gramy w kanastę. Tato zawsze za wcześnie się odsłania, a ja nigdy nie mam kart, które akurat są mi potrzebne. Matka jest nie do pobicia. Trzyma wszystkie karty, kompletuje i niczego nie wyklada, aż wreszcie z uśmiechem pozbywa się wszystkich naraz.

Tato i ja jęczymy, kiedy matka porządnie układa ostatnią kartę. Matka sięga po pióro i po karty.

– Podliczcie, chłopcy – mówi.

– Czemu ona zawsze nam to robi, Charlie?

– Udaje mi się, bo jestem bystra. I mam intuicję.

– A ja myślę, że oszukuje – mówi do mnie tato. Zasłania przy tym usta ręką i mruga.

– Gdybyście stanowili dla mnie najmniejsze zagrożenie, może odwołałabym się do sztuczek. Ale nie dajecie mi powodów, żebym przekraczała reguły. To jak strzelanie do ryby pływającej w beczce.

– Wiecie – odzywam się i podnoszę kieliszek porto – zawsze się zastanawiałem, po co właściwie strzelać do ryby pływającej w beczce. Skoro jest w beczce, to i tak już się ją ma. Praca wykonana,

ryba nie ucieknie. Jak się chce mieć martwą rybę, wystarczy spuścić wodę z beczki. Po co jeszcze strzelba?

Tato się śmieje.

– Widzisz, Ruth? Jednak chłopcy do czegoś dochodzą. Ładna pointa. Warta zapamiętania, na wypadek gdybyś kiedyś spotkała faceta celującego do beczki z pstrągami.

– Wypuść wodę, a oszczędzisz kule – dopowiadam i wzruszam ramionami.

– To tylko takie wyrażenie – mówi matka. – Jesteście niespełna rozumu. Tak czy owak, podajcie mi swoje punkty.

Liczymy. Wiem, że tato już wszystko dodał, i uśmiecham się do niego ukradkiem. Kiedy mama pisze, trzyma język w kąciku ust. Wygląda przy tym dziewczęco. Patrzy na zapisane w notesie wyniki i gwizdże.

– Panowie, jedziecie pociągiem bez hamulców.

– Chodź, Charlie – mówi tato. – Musimy powstrzymać te rozpędzone wagony. To jeszcze nie koniec. Pospieszny Szczęściara zaraz się wykolei.

– Szczęściara? – woła mama. – To nie żadne szczęście, tylko umiejętności. Nie wymądrzaj mi się.

– Misiem?

– Mi się!

Śmiejemy się wszyscy troje. Chyba jest miło. Widać, że każdy się stara, żeby pozostali poczuli się lepiej. Zastanawiam się, czy u Jeffrey'a też grają w kanastę. Pewnie nie. Mam nadzieję, że Jeffrey daje sobie radę. Chciałbym zapukać do jego okna, jak Jasper Jones.

Matka spuszcza głowę i zaciska wargi.

– Panowie, mam dla was porażające wieści. – Zaczyna wykladać wszystkie swoje karty w równych rzędach.

Jęczymy i odchylamy się do tyłu.

– Już? Jesteś okrutna jak kanibale.

– Podlicz – zarządza mama i sięga po notes.

– Nie uważam, żeby to było konieczne. – Tato rzuca karty na stół. – Dla nas to już koniec, Charlie. Czas się poddać. Do łóżka.

Wstaję. W tym momencie coś zaczyna bębnić o nasz dach. Czujnie patrzymy w górę. Deszcz. Najpierw kilka kropli, potem ulewa. Potężna, srebrna kurtyna. Widzę ją przez okno w kuchni. Deszcz ucisza nas na jakiś czas.

– Oberwanie chmury – mówi tato. – Naprawdę leje.

Matka otwiera okno na oścież, żeby wpuścić chłodne powietrze. Teraz głośniejszy słychać pomruk deszczu i lepiej widać jasne smugi wody.

Po krótkiej chwili słyszę grzmot, którego przełękła się matka. Chowa się teraz za oparcie krzesła taty.

– Chryste, chroń nas – mówi. – No, dosyć. Idę się położyć. Dobranoc, Charlie.

Tato sprząta ze stołu, a ja dosuwam moje krzesło.

– Jak się czujesz? – pyta tato, zatrzymując się.

Kiwam głową, że dobrze, ale nie jest dobrze. Wcale.

Kompletnie nie rozumiem, jak rodzice umieją się tak łatwo zdystansować do tego, co się przed chwilą zdarzyło. Zupełnie jakby nałożyli pokrywkę i ciach, zamknęli. Ja wciąż myślę o Anie Lu podtrzymywanym przez żonę, dokładającym starań, żeby zachować klasę. I o Jeffreyu. Po raz pierwszy w życiu Jeffrey wyglądał na pokonanego. I to akurat w dniu, w którym, cholera, zwyciężył. Nie

wiem. Może to ze mną coś jest nie w porządku. Pewnie tak. Czuje, jakby coś mi ścisnęło serce i nie mogę normalnie oddychać. Chcę się położyć i myśleć, jaka miękka i ciepła była dzisiaj Eliza Wishart. Jednak nawet ten obraz przysłania jej smutna, zapłakana twarz, wilgotne dołeczki, łzy w oczach. Powiedziała mi, że nie jest dobrym człowiekiem, a ja nic sensownego jej na to nie odpowiedziałem. Bo jestem idiotą. Nie wypowiedziałem żadnej z tych rzeczy, które zawsze chciałem jej powiedzieć, ani jednego z setek przeciwczonych słów. No, a tato dzisiaj udowodnił mi, że się myliłem. On się za kimś wstawił. Naprawdę. Zrobił na mnie wielkie wrażenie, bo przeciwstawił się agresji. Ale nawet to mnie nie uspokaja. Jest tu paskudny pies, który warczy, ujada, szczyrzy zęby i ciągnie mnie za koszulę, żeby przypomnieć, że to nie wystarczy. Tego się nigdy nie powstrzyma.

Jeffrey Lu był dzisiaj bohaterem, a kiedy osiągnął szczyt, oni ściągnęli go na dno. Obrzucili gównem. Zrobili wszystko, żeby czuł się jak śmieć, chociaż akurat teraz powinien fruwać po niebie jak latawiec.

Tamci mężczyźni pobili jego ojca i zniszczyli coś pięknego. I nic nigdy ich za to nie spotka. Tak już jest, że kiedy w mieście ginie dziewczyna, to Jasper Jones zostaje zatrzymany, jest straszony i bity przez kilka dni, a tych potworów się nie ściga.

Jasper Jones musi opuścić Corrigan, zanim to miasto go złamie. A ja muszę odejść razem z nim, wiedząc to, co wiem, czując to, co czuję, i mając na sumieniu to, co zrobiłem.

Laura Wishart nie żyje. Została pobita i powieszona. Może przez Jacka Lionela, może przez tych mężczyzn. A my zdjęliśmy linę z jej szyi i obwiązaliśmy jej kostki u nóg. Przymocowaliśmy do niej kamień, wrzuciliśmy ją do wody i utopiliśmy.

Eliza Wishart będzie mnie nienawidziła, jeśli się kiedyś dowie, co zrobiłem jej siostrze, gdy umarła. Nigdy już nie przytuli się do mojego ramienia i nie oprze o nie głowy. To był nasz ostatni

pocałunek. Jednak ciągle czuję potrzebę opowiedzenia jej o wszystkim. Żeby zdjąć z nas obojga ciężar. Żeby móc jej pokazać, że starałem się zrobić to, co należy. Żeby móc wyryć to słowo.

Och, wpakowałem się w kłopoty. Wiem, że po mnie przyjdą. Granatowe garnitury, ważki na niebie. Najgorsze jest czekanie. Czuję, jak powoli zaciska się pętla. To zasadzka bez wyjścia. Nie chcę z tym być sam.

Deszcz leje, obmywa nasz dom. Jest mi ciężko. Zawieja w śnieżnej kuli trwa. Może nigdy nie ustanie.

– Dobranoc – mówię.

7

Późnym rankiem w ostatnim dniu roku Jeffrey Lu ogłasza, że posiada umiejętność wirującej pięści.

– Czego?

– Wirującej pięści, idioto. Chodzi o kung-fu. O Bruce'a Lee. On pokazał ten cios społeczności związanej ze sztukami walki. Jeffrey Lu sprawi, że wirująca pięść stanie się sławna.

Wyciągnęliśmy naszą skrzynkę na środek ulicy. Jeffrey opiera kij o ramię i mrużąc oczy, patrzy w słońce.

– Widzisz, Chuck, podczas gdy ty zastanawiasz się nad doborem słów, jakich użyjesz w rozmowie z dziewczynami, ktoś spośród nas trenuje dla osiągnięcia najwyższej perfekcji po to, by bronić twojego bezpieczeństwa. Chyba ci miło, że masz w swojej stajni takiego konia jak ja. Jesteś obywatelem. Stać cię na to, żeby spocząć na laurach. Wiesz przecież, że Jeffrey Lu stanie do walki z tyranią.

– Panie, twoje poświęcenie tak wiele dla mnie znaczy.

– To nie poświęcenie. Wolę doskonalić swoje najwyższej próby umiejętności, niż się obściskować z dziewczynami.

– Czyżby to z powodu twojego pedalstwa?

– Sam jesteś pedałem. – Jeffrey wzdycha.

Czuje, że się niecierpliwi, więc proszę, żeby wyjaśnił, o co chodzi z tą wirującą pięścią. Jeffrey znowu wzdycha i odkłada kij.

– Dla niewprowadzonego w zagadnienie ignoranta: z takim ciosem mamy do czynienia wtedy, kiedy niesamowita ilość energii

zgrupowana w jednym punkcie ciała zostaje w jednej chwili uwolniona. To jakby wybuch. Wygląda to tak. – Jeffrey zamiera. Przyczają się z pięścią lekko wysuniętą przed korpus, a potem nagle wydaje okrzyk i szybko uderza mnie w ramię.

– Jeffrey, to najgłupsza rzecz, z jaką się spotkałem.

– A ty jesteś najgłupszą rzeczą, z jaką ja się spotkałem.

– Na co to się może przydać? To bezużyteczne, chyba że walczysz z kimś w budce telefonicznej, bo chyba tylko do tego to się nadaje. Już lepiej się wyprostuj i wyprowadź cios jak normalny człowiek.

Jeffrey jęczy.

– Charles, ty nic nie wiesz o świecie. Nie ma sensu, żebym ci wyjaśniał najgłębsze tajniki mistrzów sztuk walki. Twój wewnętrzny gej dosłownie rozwała każdy bardziej wyrafinowany przekaz. Zupełnie jakbym mówił obcym językiem. Oczywiście nie zamierzałem cię mocno uderzyć. Gdybym uruchomił rezerwy energetyczne, moja pięść przeszłaby przez ciebie na wylot. A ja nie chcę mieć krwi na rękach.

– Krwi? Jeffrey, z całym szacunkiem, ale takie uderzenie nie spowodowałoby nawet dyskomfortu zauważalnego dla nowo narodzonego króliczka cierpiącego na osteoporozę.

Jeffrey kręci głową.

– Widzisz? O tym właśnie mówię. Jesteś niezdolny do pojęcia najprostszych nawet kwestii z dziedziny sztuk walki. Wiedza nie przenika przez twoją przydużą bluzę. Jesteś idiotą. Jesteś skazany na puszczanie kaczek na wodzie, wicie wianków ze stokrotek, podziwianie tęczy czy pisanie kretyńskich sonetów. – Jeffrey podnosi kij i kręci głową.

– Jasne – śmieję się. – A ty jesteś skazany na delikatne puknięcie wroga w klatkę piersiową.

– To uderzenie ma siłę eksplozji, kretynie!

– Chcesz zobaczyć, co to jest siła eksplozji, maluszku? To popatrz.

Podchodzę do zaznaczonego punktu. Jeffrey lustruje nasze niby-boisko. Biorę zamach.

Oczywiście Jeffrey spuszcza mi manto. Ma za dobre oko. I autorskie uderzenia, którymi robi z piłką, co chce. To frustrujące, zważywszy na to, że ja dzisiaj też nie jestem najgorszy. Mam wrażenie, że Jeffrey w pewien sposób odgrywa się za moje nieposzanowanie superciosu.

Po raz pierwszy nie obawiam się pójść po piłkę na ich podwórko. Ogród Ana Lu jest ponury i zakurzony. Teraz to po prostu nieporządny kawałek jałowej ziemi. Owady są w odwrocie.

Jednak pod werandą jaśniej kolorowa wyspa. Kilka osób, które usłyszały, co się stało, przyniosło Anowi sadzonki, małe krzaczki i kwiaty ze swoich ogrodów. Oczywiście te roślinki nie są nawet w części tak piękne jak egzotyczna kolekcja Ana, ale to miłe, że ludzie je podarowali. W ten sposób okazali, że jest im przykro z powodu tego, co się wydarzyło. A jednak ciekaw jestem, czy przynieśliby coś, gdyby ogród Ana nie został zrównany z ziemią. Nikt niczego nie przyniósł pani Lu po tym, jak Sue Findlay zwymyślała ją i poparzyła. Może to dlatego, że ten piękny ogród wszyscy mogli oglądać i teraz poczuli się, jakby coś utracili.

Burczy mi w brzuchu. Nie jadłem dzisiaj śniadania. Ostatnio w ogóle niewiele jadam. Mam w sobie chmarę motyli. Jeffrey mówi, że cierpię na kochatomię, która jest efektem ubocznym zbyt intensywnych pieszczotek. Sporadycznie zjadam kromkę chleba z masłem i piję kawę z mlekiem. Matka zaprzestała prób karmienia mnie siłą. Teraz już tylko wzrusza ramionami i zwraca mi uwagę, żebym jej nie winił, gdy już umrę z głodu.

Odpowiedzialność za ten stan ponosi Eliza Wishart. Za każdym razem, kiedy o niej myślę, ciało mi tężeje, żołądek się skręca, a we krwi zaczyna mi krążyć dziwne uczucie lęku i euforii. Nocami myślę o tym, jak się z nią spotkać. Wyobrażam sobie, że mógłbym przybiec przez ogród za domem i zastukać w jej okno, jak Jasper Jones. Mógłbym, siedząc na parapecie, patrzeć na słoneczniki albo obserwować, jak Eliza czyta na łóżku. Szeptałbym słodkie słowa, kiedy by do mnie podeszła, uważając, żeby nas nie przyłapano. Pytałbym, jak się czuje. Dotknąłbym jej policzka i znowu ją pocałował. I teraz umiałbym wykazać inicjatywę. Mógłbym ująć jej dłoń.

Ale nie mogę. Oczywiście. Wiem. I czuję się przez to okropnie samotny. To boli.

Jaspera też nie widuję od tamtego razu, kiedy przyszedł pod moje okno. I niepokoję się. Był taki zdeterminowany i spięty. Boję się, że mógł coś zrobić. Mogli go złapać. Policjanci, ojciec, Szalony Jack Lionel.

Muszę się z nim szybko zobaczyć. To dziwne, ale przebywanie z Jasperem uspokaja mnie i wzmacnia. On w jakiś sposób wszystko ustawia na właściwych miejscach. Nieważne, że to przede wszystkim właśnie Jasper sprowadza nad moją głowę gradowe chmury. Jest w nim jakaś zaraźliwa siła, a ja potrzebuję porcji tej siły. Naprawdę.

Jeffrey jest gotowy. Rzucam ponownie. Tym razem wygrywam. Po raz pierwszy tego lata zwyciężyłem Jeffrey'a.

– Koniec twego panowania! Objawił się talent czystej wody!

– Phiii... Trafiło się ślepej kurze ziarno. Idealny przykład, że wyjątek potwierdza regułę. Słyszałeś o teorii o nieskończonej ilości małp? Bo to też pasuje. Jeśli z mistrzem będzie grała nieskończona liczba szympanów, po jakimś czasie popełni on rzadką w jego przypadku omyłkę.

– To musi być męczące.

– Co? Gra?

– Nie, ustawiczne całowanie własnej dupy.

Jeffrey się śmieje. Zmieniamy pozycje. Jeffrey przerzuca piłkę z ręki do ręki. Stają naprzeciw.

– Gotowy?

Kiwam głową.

Jeffrey rzuca. Pierwsza piłka. Leci podkrecona, gdzieś przy moich nogach. Zamierzam się, ale bez rezultatu. Jeffrey oczywiście pęka ze śmiechu. Rzucam kij na ziemię w przypływie złości i odchodzę. Śmiech Jeffreya staje się głośniejszy. Zabiera skrzynkę z jezdni. Koniec gry. Mam dosyć.

Robimy konkurs, kto dalej splunie pestką. Akurat ja prowadzę wspaniałą przewagą około dwóch stóp.

– Twoje umiejętności ninja są nieprzydatne wobec mojej wyższej szkoły płucia.

– Bzdura. Po prostu nie miałem odpowiednich pestek. Moje były do niczego.

– Ten, kto słabo pluje, obwinia nawet arbuza.

Jeffrey osadza na czubku języka czarną pestkę. Wstaje i odchyła się do tyłu jak oszczepnik. Mocno wciąga powietrze, czym powoduje przemieszczenie pestki z czubka języka do gardła. Dławi się, kaszle i pochyla mocno do przodu. Wreszcie wypluwa tuż pod schodki różową pulpę przeżutego arbuza i zatopioną w niej pestkę. Śmieję się, a on siada.

– Ten konkurs jest idiotyczny – chrypi.

– W każdym razie od czasu, kiedy zostałeś wydymany.

– Charles, przecież ci mówiłem, żebyś nie używał tak wieloznacznych określeń. – Jeffrey chrząka i rzuca skórkę arbuza pod podłogę domu.

Ja robię to samo dokładnie w chwili, kiedy pani Lu wychodzi z pustym koszem, żeby zebrać suche pranie ze sznurka. Pani Lu zwraca ku mnie wykrzywioną twarz. Jeffrey, wiedząc, że wpadłem, pograża mnie jeszcze bardziej.

– Jezu, Charles, mówiłem ci przecież, żebyś nie rzucał niczego pod dom. To dowodzi braku szacunku. I w dodatku na oczach mojej mamy! Co ty, komunistą jesteś czy co? Idź i przynieś to.

Mruczę pod nosem i kręcę głową w jego kierunku. Jeffrey unosi brwi i otwiera usta. Podpuszcza mnie, żebym coś powiedział. Włazę na czworaka pod werandę i podnoszę brudne skórki po arbuzie. Kiedy wychodzę z powrotem, Jeffrey śmieje się, cicho oczywiście, żeby się nie zdemaskować. Siedzimy, nie odzywając się, podczas, gdy pani Lu składa bieliznę i nuci pod nosem. Chcę jakoś zwrócić jej uwagę na to, że mam dwie skórki, i w ten sposób włączyć do kręgu zbrodniarzy także Jeffrey'a, ale obawiam się, że pani Lu pomyśli, że zjadłem oba kawałki, i uzna mnie za niepoprawnego żarłoka.

Wreszcie pani Lu odchodzi. Pozdrawia mnie przy tym skinieniem głowy. Wyraz jej twarzy wskazuje, iż wierzy, że odebrałem właśnie ważną lekcję dobrych manier. Kiedy jest już poza zasięgiem, Jeffrey śmieje się na całego.

– Pewnego dnia własnymi rękami zadam ci śmierć – mówię.

Jeffrey wzrusza ramionami. Rozciągamy się i oparci wygodnie o schody siedzimy spokojnie w cieniu.

– Wiesz, czego nie pojmuję? – pytam w końcu.

– No, nie wiem. Prawdopodobnie niczego w całej długiej historii świata.

– Nie pojmuję syren.

– Syren? A dokładnie czego?

– No, dlaczego są uważane za tak uwodzicielskie.

– Przecież to proste! Są gołe!

– To żaden powód.

– No co ty? Kompletny ignorant z ciebie! Oczywiście, że chodzi o ich cycki.

– Jasne, jasne. Przecież to są w połowie ryby! Dziwolągi! Mają rybie ogony pokryte łuską, płetwy i w ogóle. Może cycki kogoś podniecają, ale cała reszta działa wręcz odwrotnie.

– Co? No coś ty! Chuck, nawet nie wiesz, jak ciężko być piratem. Na otwartym oceanie bierzesz wszystko, co podleci.

– Rozumiem. Jasne. Uważam jednak, że tak rozumując, tracimy z oczu fundamentalną prawdę: syrena jest w połowie rybą. Prawdopodobnie gdybyś jej dolną połowę usmażył na głębokim tłuszczu i podał z frytkami, byłaby przepyszna. A gdybyś naprawdę ją zobaczył i nie koncentrował się na cyckach, byłbyś poruszony odkryciem i może nawet upolował ją za pomocą harpuna dla celów naukowych.

Jeffrey potrząsa głową.

– Mylisz się, Chuck. To, co w nich fascynuje, to przecież nie ta rybia połowa. Piraci codziennie oglądają mnóstwo ryb. Cała sztuka polega na tym, żeby się skupić na cyckach i nie zwracać uwagi na resztę. A to przy wystarczającej ilości rumu jest łatwe. Gdy jesteś piratem, bierzesz cycki, cieszysz się nimi i nie narzekasz. Piraci nie są wybredni. Mają takie podejście jak z tą szklanką, co to jest w połowie pełna.

Podnoszę rękę.

– Pozwól, że wrócę do meritum. Z całym szacunkiem dla twojej znajomości tajników duszy pirata: bez względu na to, jakim jesteś

optymistą, jak strasznie jesteś napalony i nieuważny, to jednak na pewnym etapie zaangażowania emocjonalnego kwestia dolnej połowy stanie się paląca. Rozumiesz?

– Ależ, Chuck! Cycusie!

– Daj spokój.

– Nie kłóć się z piratem.

– Chyba z idiotą.

– E...

Potrząsam głową. Jeffrey kładzie się, ziewa i drapie się w pierś.

– Napiłbym się zimnego piwa – mówi.

– Co? Jak to?

– Nie wiem. Piwo zawsze wygląda tak orzeźwiająco. Strrrrasznie chciałbym się orzeźwić zimnym piwem.

– Ależ ty nigdy nie piłeś piwa!

– I co z tego?

– Jak możesz mieć ochotę na coś, czego nigdy nie próbowałeś?

– A ty nigdy wcześniej nie całowałaś Elizy Wishart, a zawsze miałaś na to ochotę.

Przewracam oczami.

– To coś innego niż piwo.

– Nic mi nie mów. Piwo jest o niebo lepsze. Nie musisz z nim siedzieć, trzymać go za rękę i prawić komplementów na temat jego włosów.

– Jeffrey, to była wulkaniczna erupcja głupoty.

– Wulkaniczna erupcja prawdy!

Szczerzę się i wstaję. Wycieram spocone ręce o szorty.

– Idziesz dzisiaj do Domu Górnika na fajerwerki?

Jeffrey wolno wzrusza ramionami i spuszcza głowę.

– Nie wiem. Chyba nie. Myślę, że raczej zostaniemy tutaj. Słyszałem, że robią to wszystko wcześniej. Nawet nie w samego sylwestra.

– Też o tym słyszałem. Myślę, że rodzice nie chcą, żeby dzieci tak późno przebywały poza domem. Ja i tak nie idę. Mama będzie pomagała w przygotowaniu poczęstunku, a ja raczej zostanę z tatą.

– Naprawdę? Przecież tam może być Elizia.

– Nie wiem. Być może. – Wzruszam ramionami.

– Nie chcesz jej spotkać? Moglibyście trzymać się za ręce, dopowiadać sobie nawzajem niedokończone zdania, dzielić się jedzeniem, pieścić się pod sztucznymi ogniami i wygrywać serenady na flecikach.

– Na czym?

– Na flecikach, jełopie. Chuck, to dowiedzione naukowo przez paryskich uczonych. A przecież w Paryżu pełno takich wymiękłych chłopczyków jak ty. Otóż wiadomo, że dziewczyny nie mogą się oprzeć, kiedy się im gra na bambusowym fleciku. Tak już jest. To sprawa fizjologii.

– Jesteś bardzo dziwnym maluszkiem.

– I tu się mylisz. Właściwie jestem jasnowidzem. A może i wodzem. Wodzem Indian. I czarownikiem. A ty idź do domu, weź zdjęcie Elizy i głaszcz się nim po całym ciele, jak mydełkiem.

– Poważnie, zaczynasz mnie na serio niepokoić. Myślałeś już o możliwości skorzystania z elektrostymulacji?

– Charles, szokujesz mnie.

– Ciebie szokuje gra słów?

– W twoim wydaniu to żadna gra słów. Z nas dwóch tylko ja potrafię tworzyć zabawne i dowcipne kalambury.

– Kretyn.

– Skoro dzisiaj nie idziesz, możesz przyjść do mnie na pyszne, orzeźwiające piwo.

– Nie masz piwa – mówię stanowczo.

– Nie mam? – Jeffrey unosi jedną brew.

– Nie masz.

– Racja. Nie mam. Ale to nic nie szkodzi. Przecież i tak muszę utrzymywać ciało w najwyższej formie. Muszę opierać się pokusom. Wszak nie widuje się Bruce'a Lee z orzeźwiającym piwem w ręku. Pewnie dlatego zawsze jest taki czujny. Moje ciało to świątynia, Chuck. Świątynia wypełniona przepotężną mocą. Katedra wszelkich cnót. Moje pięści są jak... młoty. Kamienne młoty. Kieruje nimi lodowata sprawiedliwość. To właśnie moje przeznaczenie. – Jeffrey jednym skokiem staje na równe nogi i rozpoczyna swoją zwyczajową walkę na pięści z cieniem. Podśpiewuje pod nosem *Taki jestem śliczny, taki jestem śliczny*. Klepię go w plecy i zostawiam.

W drodze do domu myślę, jak to będzie, tak po prostu zostawić Jeffreya, kiedy będę odchodził z Corrigan. Z Jeffreyem zawsze wszystko było takie proste. Przy nim nigdy nie czułem potrzeby udawania, że jestem silniejszy albo inteligentniejszy niż w rzeczywistości. Nigdy nie musiałem udawać, że jestem kimś innym. Zastanawiam się, czy w ogóle bym umiał. Z jakiegoś powodu wydaje mi się, że będzie mi trudniej zostawić Jeffreya niż rodziców.

Jedną z najtrudniejszych spraw w całej tej historii jest to, że nie mogę się nią podzielić z Jeffreyem Lu. Nie po to, żeby to obgadać czy przemyśleć, ale po prostu żeby on o tym wiedział i żeby część przypadła na niego. To, że zachowuję wszystko dla siebie, wydaje mi się strasznie dziwne.

Powinno być coraz łatwiej. Zainteresowanie sprawą powinno słabnąć. Jednak chociaż gorączka spowodowana zniknięciem Laury rzeczywiście opadła, słupek rtęci we mnie wciąż się wznosi. Mam coraz krótszy oddech i coraz mocniej zaciśnięty węzeł w brzuchu. Eliza Wishart odebrała mi apetyt, a Laura Wishart skazała mnie na bezsenność. Przehandlowałem swoje pedalskie sandały na kamienne buciory. Przecież wiem, że któregoś dnia po mnie przyjdą. Myszołowy krążą nad moją głową.

Co będzie, jeśli Laura wypłynie, jeśli lina się rozluźni, a ona się wynurzy? Co się stanie, jeżeli ktoś będzie tam przypadkowo przechodził i ją znajdzie? Czy mogą mnie pojmać i pobić, jak to zrobili z Jasperem?

A jeżeli mnie złapią, to czy wszystko im powiem?

Jeżeli spotkam Elizę, to być może powiem. Chociaż tak bardzo za nią tęsknię, chociaż chcę się dowiedzieć, jak się czuje, to boję się, że może to we mnie wybuchnąć na jej widok. Teraz to bulgocze coraz bliżej powierzchni. Obawiam się, że eksploduję. Niewiarygodna jest pokusa, żeby skończyć z tą tajemnicą, z tym zmartwieniem, wreszcie spróbować to naprawić, wyjaśnić, żeby wyrzeźbić to słowo... Jeśli jednak tak postąpię, pošlę Jaspera do więzienia. I siebie może też.

Ona będzie dzisiaj na fajerwerkach, więc muszę zostać w domu. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby ją zobaczyć, chociaż tak bardzo tego chcę. Nie mogę ryzykować, że złamię słowo, które dałem Jasperowi Jonesowi.

No i wiem, że jeżeli wszystko jej opowiem, to mnie znienawidzi. Nie zrozumie. Nieważne, jak bardzo będę się starał wyjaśnić, że chciałem po prostu zrobić to, co należy.

Dlatego właśnie muszę odejść z Jasperem. Zanim nas odkryją albo zanim sam nas wydam. Muszę wszystko zostawić za sobą. Włożyć naszą tajemnicę do tobołka i mocno zawiązać. Wiem, że nigdy tego nie rozwikłamy. Chyba zawsze to wiedziałem. Muszę po

prostu rozbić szklaną kulę i się wydostać. Muszę być dzielny. I wiem, że póki będę z Jasperem, wszystko będzie w porządku. Może ruszymy na północ. Powędrujemy do miejsc, gdzie zawsze jest lato. Może zostaniemy współnikami. Ramię w ramię. Przechytrzymy wszystkich. Dwaj przyjaciele. Możemy wejść w handel kasztanami, możemy pracować w sadach, możemy zbierać za dnia brzoskwinie, a wieczorami grać w pokera. Możemy się zająć hodowlą ostryg, perłami, złotem. Mogę się dostać na uniwersytet i studiować za darmo. Damy sobie radę. Mogę pisać w żółtych notatnikach. O wszystkim. Mogę pisać listy do Elizy. Wreszcie wydobędę z siebie te wszystkie słowa, które miałem jej powiedzieć. Będę pisarzem, jak Wilde. Zmiękcze jej serce, chociaż będę tysiące mil od niej.

Będziemy jak Kerouac i Cassady. Będziemy kraść i przemierzać kraj wzdłuż i wszerz. Dotrzemy do Melbourne, Sydney i wszystkich miast po drodze. Mogę dokumentować nasze przygody. Być może któregoś dnia opublikuję to pod pseudonimem. Będę się musiał przeprowadzić do Nowego Jorku. Ja, unikający rozgłosu słynny pisarz, który odplynął z rodzinnego miasta. I wkrótce nastąpią popołudnia, kiedy to będę czekał na spotkania z Elizą Wishart w hotelu Plaza. I pewnego dnia ona przyjdzie. Zatrzyma się, żeby sprawdzić, czy to na pewno ja. Będzie otulona w futro, a włosy będzie miała upięte. Zawoła mnie po imieniu, upuści torby i podbiegnie do mnie. Znowu się pocałujemy i przytulimy. Eliza kciukiem zetrze ślad szminki z moich ust. Wejdziemy do środka na podwieczorek, a ja opowiem jej wszystko o Laurze i Jasperze. Ujawnię tajemnicę, a ona zrozumie, bo będzie starsza i mądrzejsza, a rana w jej sercu będzie już zablizniona. Może tak będzie.

Nie wiem. Kompletne wariactwo.

Jest wczesny wieczór, kiedy po wyjściu mamy tato puka do moich drzwi.

– Idziesz do miasta na fajerwerki?

Wzruszam ramionami.

– Czemu nie?

– Nie wiem. Po prostu wolę zostać. Może później wpadnę do Jeffreya.

Tato wolno kiwa głową. Wysunął dolną wargę i podniósł brwi. Chyba mnie nie słucha. Ociąga się. To do niego niepodobne.

– Posłuchaj, Charlie. Muszę ci coś powiedzieć. Miałeś wtedy rację.

– O co chodzi?

– O mnie – mówi miękko. – Ja rzeczywiście piszę. No, w gabinecie.

Robię poważną minę i siadam prosto, a tato mówi dalej:

– Pracowałem nad powieścią. Od dawna. I wreszcie skończyłem. Dzisiaj. Chciałem tobie pierwszemu ją pokazać. Właściwie chcę, żebyś był moim pierwszym czytelnikiem.

Tato otwiera szerzej drzwi i wtedy widzę, że trzyma w ręku maszynopis. Zastanawiam się, jak to się stało, że nigdy nie słyszałem stukotu maszyny do pisania. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Powinienem się poczuć zaszczycony i dumny. Powinienem mu serdecznie pogratulować i okazać, jakie to na mnie zrobiło wstrząsające wrażenie, powinienem go wesprzeć. Ale kiedy tato kładzie egzemplarz na biurku, czuję się zmęczony i oszukany. Patrę na maszynopis, jakbym patrzył na miseczkę ostyglych jarzyn.

– Jesteś pewnie trochę zaskoczony – mówi tato pochyłony nade mną.

Odwracam pierwszą kartkę i czytam tytuł. Nazywa się to *Klątwa Pattersona*.

– No cóż – mówi tato. Prostuje się i wkłada ręce do kieszeni. Jest jakiś onieśmielony i podniecony. – Charlie, po prostu ci to

zostawię. Nie spiesz się i dobrze nad tym pomyśl. Kto wie, może spróbujemy to opublikować. Wyobraź sobie: moja książka na półkach!

Kiedy wychodzi z pokoju, kiwam głową i uśmiecham się zaciśniętymi ustami. Tato zamyka za sobą drzwi. Kładę przed sobą plik kartek. Jest gruby jak Biblia. Przesuwam kciukiem po krawędziach. Czuję na twarzy lekki powiew gorącego powietrza. Pod tytułem widnieje nazwisko ojca. *Kłątwa Pattersona*. Moje usta wykrzywia gorzki uśmiech. *Zazdrość Bucktina*. Nic na to nie mogę poradzić. Mam ochotę to podrzeć i porozrzucić po pokoju. Chciałbym mu to rzucić w tę uprzejmą twarz geniusza. Zawsze myślałem, że moglibyśmy się dzielić tą wspaniałą tajemnicą. Ale prawda jest taka, że teraz czuję się po prostu zdradzony. Nie mogę się wyzbyć wrażenia, że coś ze mnie wyrwano. Może jestem skrzywionym, małym skurczybykiem, ale nic na to nie poradzę. Nie chodzi o to, że doskonale wiem, że to, co ojciec napisał, będzie na pewno świetne. Problem w tym, że zawsze wyobrażałem sobie, że to będą moje słowa, maleńkie czcionki wystukane moją ręką. Moja chwila chwały. Moje nazwisko pod tytułem.

Podpieram się na łokciu i drapię w głowę. Gapię się na stronę tytułową. Walczą we mnie ciekawość i niechęć. Jak nóż i ostrzałka. Nie wiem, czego się spodziewam. Serce mi wali.

Przerzucam kartkę. Pierwszy wers.

Jasper Jones przyszedł pod moje okno.

– Charlie!

Odwracam się. Nie wiadomo czemu, czuję potrzebę, żeby zasłonić maszynopis rękami.

– Charlie! – szepcze znowu Jasper.

– Co ty wyrabiasz? Jeszcze jest jasno! – Wskakuję na łóżko i uchylam okiennice.

Jasper jest niespokojny. Dziwnie jest zobaczyć go w świetle dnia. Chociaż już się ściemnia.

– Dzisiaj to zrobimy, Charlie. Gotowy?

– Co dzisiaj zrobimy? O co chodzi? Na co mam być gotowy?

– Na Szalonego Jacka. Dzisiaj tam idziemy. Ty i ja. Teraz. Gotowy?

– Czekaj. Do niego do domu? Czemu teraz? I po co ja? Nie mogę tam iść. Przecież to Szalony Jack Lionel! Zastrzeli nas, zanim przejdziemy przez tę cholerną bramę. To nie ma sensu.

– Mówiłem ci, Charlie. Idziemy i wyciągniemy z niego wszystko. Zmusimy go, żeby się przyznał.

– Jak? I jak w ogóle mamy go zmusić, żeby z nami rozmawiał?

– Charlie, ten facet wołał mnie po imieniu za każdym razem, jak tam przechodziłem. Dzisiaj ja jego zawołam.

Zamykam oczy i wciągam powietrze.

– Okej. Słuchaj. Nawet jeżeli uda się nam tam dostać i on nas nie postrzeli, to przecież się nie podda i nie przyzna do wszystkiego ot, tak sobie. Tak się dzieje tylko w książkach i filmach. Takie rzeczy nie zdarzają się w rzeczywistości. Sami, bez pomocy, nie pošlemy go do więzienia.

Jasper szybko kręci głową.

– Charlie. Ty nie musisz nic mówić. Wystarczy, że tam będziesz. Ja będę mówił. Ja go przycisnę. Powiem mu, że wiemy, że on to zrobił. Gdzie i kiedy. I że byliśmy tam, kiedy to zrobił. I że widzieliśmy. Nawet mu powiem, że widzieliśmy, jak wydrapał to słowo w korze; dokładnie takie samo jak w spalonym samochodzie u niego na podwórzu. I powiem mu, że jeżeli sam się nie przyzna, to pójdziemy na policję. Postawimy go pod ścianą, Charlie. Będzie musiał mówić.

– Nie uwierzy ci – opieram się.

– Tylko w ten sposób możemy to sprawdzić.

– Na co ja ci jestem potrzebny? Skoro i tak ty wszystko mówisz.

– Bo myślę, że łatwiej uwierzy, jak mu powiem, że obaj go widzieliśmy. No i też potrzebuję cię jako świadka, Charlie. Musisz potwierdzić. Jeżeli on zacznie mówić, a ja pójdę z tym na policję, to będzie moje słowo przeciwko jego słowu. Wtedy jestem bez szans. Ale jeżeli obaj do nich z tym pójdziemy, muszą uwierzyć. Teraz musimy już iść.

– Czemu teraz? – denerwuję się i mówię jakoś piskliwie. Nie jestem w stanie jasno myśleć.

Jasper rozgniała komara na ramieniu i wyciera rękę w szorty.

– Bo całe miasto jest w Domu Górnika i świętuje Nowy Rok. Dzisiaj nie ma godziny policyjnej i nikt nas nie będzie pytał, dokąd idziemy. Mimo to, dopóki jest jasno, pójdziemy osobno. Powiedz swoim, że idziesz do miasta na fajerwerki, a potem rusz główną ulicą. Spotkamy się przy dworcu. Nikt nie będzie nic podejrzewał. Stamtąd pójdziemy do Lionela. Dobra?

Pociągam nosem.

– Jasper, to się nie uda. To śmieszne. Przecież nawet nie wiemy, że to on.

Jasper potrząsa głową i zagryza dolną wargę.

– Chryste, Charlie! Słuchaj. Możesz mi pomóc albo nie. Twoja sprawa. Nic ci do tego. Nic mi nie jesteś winien, naprawdę. Ale powiedziałaś, Charlie, że w to wchodzisz, i ja to wziąłem na serio. A teraz myślę, że po prostu cholernie się boisz. I tyle. Całe to pieprzenie bierze się z tego, że się boisz. A co ci powiedziałem zaraz na początku? Obiecałem, że nic ci się nie stanie. Mówiłem, że zadbam, żebyś był bezpieczny i żebyś nigdy nie musiał się bać. Dzisiaj jest tak samo. Od ciebie zależy, czy mi zaufasz czy nie. Będę

na ciebie czekał na stacji, aż się zrobi ciemno. Jak cię nie będzie, to nie. Bez urazy. W porządku. Ale mam nadzieję, że przyjdiesz, Charlie, bo potrzebuję twojej pomocy. Muszę to dobrze rozegrać. I pamiętaj, że tu nie chodzi tylko o mnie. Muszę zrobić, co trzeba. Muszę gnoja uziemić.

Jasper zniknął, zanim zdążyłem coś powiedzieć.

Jestem zbity z tropu. Muszę przez chwilę pochodzić po pokoju. Patrę przez okno na zachodzące słońce, które wszystkiemu nadało kolor brzoskwini.

Potem klękam i wkładam buty. Idę do pokoju taty i pukam do drzwi. Wydaje się trochę zdziwiony, że mnie widzi. Tłumaczę mu, że zmieniłem plany i idę z Jeffreyem zobaczyć fajerwerki. Kiedy odpowiada z większym entuzjazmem niż zazwyczaj, uświadamiam sobie, że musiałem go bardzo rozczarować tym, że nie siedzę i nie czytam jego powieści. Coś brzydkiego we mnie ma radochę z tego, że mu przykro.

Muszę szybko przemknąć przez ulicę, żeby Jeffrey mnie nie zobaczył i nie postanowił iść ze mną. Zbiegam ze wzgórza, kopiąc po drodze grudki żwiru. Wiele rodzin idzie w tym samym kierunku. Są ładnie ubrani. Idąc, wzbijają kurz. Chciałbym być na ich miejscu.

Świat jest pięknie oświetlony. Słońce wygląda jak wielka, czerwona kula. Kiedy docieram do ogrodów przy budynku rady, niebo staje się lekko fioletowe. Jest oszałamiająco czyste. Główna ulica została zablokowana dla ruchu i ludzie kręcą się wszędzie. Trzymam się skraju jezdni, chowam za rodzinnymi grupkami, bo obawiam się, że w którejś może być Eliza. Szybko się teraz ściemnia i nie jestem pewien, czy będę miał dość czasu, żeby obejść całe boisko do krykieta. Nie wiem, jak długo Jasper będzie czekał. Duża część mnie, ta, która spowalnia mi teraz nogi, ma nadzieję, że kiedy już dotrę, schody przed budynkiem stacji będą puste.

Słyszę wesołe rozmowy i okrzyki zgromadzonych ludzi, i odległe, pedalskie melodyjki, które gra zespół w pubie. Postanawiam, że będę się trzymał jak najbliżej rodziny, która idzie przede mną, bo ich grupa rozciąga się jak parawan i mam nadzieję, że dzięki temu Eliza mnie nie dostrzeże.

Słyszę śmiechy i gwar. Dzieci urządziły sobie zabawę w berka i obiegają stojących ludzi, jak rybki w strumieniu. Podskakują i wyginają plecy, żeby goniący ich nie dotknął. Przygotowano stoły z jedzeniem i różne atrakcje. Przed kuźnią mężczyźni rzucają monety, robiąc przy tym dużo hałasu. Przed Domem Górnika pali się ogromne ognisko, w którym płoną stare podkłady kolejowe. Pod ścianą budynku czekają stojaki z fajerwerkami, które z całą pewnością pourywają kilka palców tym idiotom, którzy będą je odpalać. Z drugiej strony widzę żarzące się w płytkim zagłębieniu węgle i ruszt, na którym obraca się i piecze sześć baranów. Roznosi się mocny, smakowity zapach. Ludzie wyłaniają się z budynku, jak osy z gniazda, z napojami w rękach. Chowam głowę w ramionach w miejscu, gdzie tłum gęstnieje. Obok zespołu uformowała się grupa tańczących. Pary przytupują w rytm polki. Wesołe audytorium klaszcze do taktu, śmieje się i pokrzykuje. Na ulicy otworzono ogródek piwny. Żeby nastarczyć zamówieniom, wytoczono beczki na zewnątrz.

Ktoś klepie mnie w ramię. Zamieram i odwracam się. To oczywiście Eliza Wishart. Promienna, z cudownymi dołeczkami, z cerą jak śmietanka. Muszę wyglądać na przerażonego, bo wyraz jej twarzy natychmiast się zmienia.

– Charlie, co się stało?

– Ależ nic. Zupełnie – rzucam i potrząsam głową. Próbuję się uśmiechnąć, ale czuję się okropnie. Słowa mi uciekły. Eliza cudownie pachnie.

– Wszędzie cię szukałam. Cieszę się, że przyszedłeś. Dawno cię nie widziałam.

Otwieram i zamykam usta. Robię mały krok w tył. Eliza patrzy mi przez ramię.

– Jesteś sam? A gdzie Jeffrey?

– Nie przyszedł. Właściwie... – zaczynam niepewnym tonem... – nie mogę zostać. To znaczy muszę iść. Właśnie idę... w jedno miejsce. Nie mogę ci powiedzieć, ale to nic takiego, naprawdę. Po prostu nie mogę.

Ręce mi latają. Wszystko spieprzyłem.

– Wrócisz? Wiesz, myślałam, że moglibyśmy się dzisiaj spotkać. Muszę z tobą porozmawiać, Charlie. O czymś ważnym. – Eliza wygląda na zdenerwowaną. W jej oczach wzbierają łzy. Na ten widok robi mi się słabo. Więc kładę jej rękę na ramieniu i głaszczę. Wciąga mnie to. Obiecuję, że wrócę. Mówię, że niedługo. Eliza patrzy w ziemię i kiwa głową. Myślę, że wie, że kłamię. W każdym razie to oczywiste, że ją rozczarowałem. Tak bardzo chciałbym jej wszystko powiedzieć. Ale nie mogę. Muszę iść. Muszę przezwyciężyć pokusę, zostawić ją i iść z Jasperem Jonesem do Jacka Lionela. Potworne.

Dookoła jest głośno i niespokojnie. Grzmoty przeszywają mi mózg. Światło mnie oślepia. Ale już dość długo przygotowywałem się do tego aktu męstwa. W środku miasta, na oczach wszystkich, pochylam się i całuję Elizę szybko w usta. Jej wargi są tak miękkie, jak zapamiętałem. Mam nadzieję, że nie zraniłem jej w oko narożnikiem oprawki okularów. Jednak kiedy Eliza podnosi głowę, wygląda trochę inaczej. Wydaje się mniej smutna. Chcę ją jakoś pocieszyć.

– Bardzo. Cię lubię. Przepraszam – mówię.

Eliza się uśmiecha. Zapewniam, że niedługo się zobaczymy.

– Ale kiedy? – Eliza jest niecierpliwa. Wyraźnie stara się pozbierać i to mnie rozmiękcza. Zastanawiam się, co się wydarzyło.

– Niedługo – powtarzam i odsuwam się. Czuje się jak świnia. Eliza ściska mi leciutko palce. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że trzymamy się za ręce. Zostawiam ją i idę na egzekucję. Wkładam całą siłę w to, żeby się nie odwrócić, bo jeśli to zrobię, na pewno zostawię Jaspera Jonesa samego.

Docieram na czas. Jasper opiera się o filar pod tablicą z rozkładem jazdy. Rzuca długi cień. Uśmiecha się, a jego zęby błyszczą w mroku.

– Wiedziałem, że przyjdiesz, Charlie. Wiedziałem, że zrobisz, co trzeba.

Nic nie mówię. Wchodzę po schodach. Nie mogę wyrzucić z myśli Elizy.

– Gotowy? – pyta Jasper, wyciągając papierosa z pogniecionej paczki. Częstuje mnie. Odmawiam. Nie umiem nawet udawać, że mam ochotę. Jasper zaczyna klepać się po kieszeniach. – Cholera, masz ogień?

Patrzę na niego niewidzącym wzrokiem, a potem kręcę głową.

– Kurwa – mruczy Jasper. – Idziemy, Charlie.

Ruszamy i wtedy nagle wszystko staje się dziwnie realne. Idziemy ramię w ramię i nie rozmawiamy. Wzeszły gwiazdy. W oddali nikną dźwięki miasta. Zaczynamy słyszeć odgłos naszych kroków na żwirze. Wszystko jest inne niż pierwszej nocy, kiedy Jasper Jones przyszedł pod moje okno. Nie ma dreszczu oczekiwania. Jest mroczna pewność. Wiem, że popełniamy błąd. Mimo upału zimny dreszcz przebiega mi po plecach.

Idziemy do Szalonego Jacka Lionela. Naprawdę. Niedługo wkroczymy na posesję mordercy. I odludka. Dziwaka. A nie idziemy tam po pestki brzoskwini. Nie chcemy zdobyć dowodów swojego męstwa. Zapukamy do jego drzwi i oskarżymy go o niewypowiedzianie straszną rzecz.

A jeśli on to zrobił? Jeżeli to naprawdę był on? Czy te wszystkie plotki opierają się na prawdzie? Tacy ludzie istnieją. Albert Fish. Gertrudę Baniszewski. Eric Edgar Cooke. To prawdziwi ludzie, nie jakaś legenda. Czytałem o nich. Jesteśmy coraz bliżej. Nie dam rady. Nie ma mowy. Nie jestem w stanie podejść do drzwi i go oskarżyć. Muszę się z tego wypłatać. Narażam życie. Nawet Jasper Jones nie zatrzyma kuli. Muszę stąd zmykać. Chcę wracać do Elizy Wishart.

Denerwuję się, więc mówię do Jaspiera:

– Jak myślisz, co on zrobi?

Jasper drapie się w tył głowy.

– Szczerze? Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

– No więc czemu mamy to zrobić?

– Bo jak nie wiesz, jak się coś potoczy, to nie powód, żeby nie próbować. Jakby na świecie wszystko działało się według planu, to teraz nie byłoby powodu, żeby coś robić. Poza tym po prostu musimy to zrobić. Po prostu musimy.

Macham ręką i rozganiem stado muszek, które mam na wysokości wzroku. Jasper wkłada do ust papierosa i klepie się po kieszeniach. Wydaje się zbity z tropu.

– Jasper, nie masz zapalek. Nie pamiętasz?

– Co? O kurde. Rzeczywiście. A ty masz?

– Nie mam. Mówiłem ci.

Jasper chowa papierosy do kieszeni. Wpada mi do głowy myśl, że być może Jasper Jones się boi, i to wzmaga mój niepokój. W dodatku przyznał, że nie wie, czego się spodziewać. Nie wie, co ta noc przyniesie. Oczywiście, że nie wie. Skąd miałby wiedzieć? Rozumiem to przecież. Ale zwykle Jasper jest taki pewny siebie, że dziwnie jest zobaczyć, że się waha. Może zdołałbym go namówić,

żeby zmienił zamiar? Może jeszcze by to przemyślał i wykombinowalibyśmy coś mniej beznadziejnego i niebezpiecznego?

Ale już za późno. Jesteśmy.

Zatrzymujemy się. Panuje niesamowity spokój. Brama Szalonego Jacka Lionela jest zamknięta, a pod nią pobłyskuje solidna kratka dla bydła. Nie patrzę pod nogi.

Wszystko wokół jest zaniedbane i w nieładzie. Wzdłuż rzeki, gdzie busz graniczy z posesją, rosną gęste krzaki jeżyn. Ich gałęzie przechodzą przez druciane ogrodzenie. Po drugiej stronie, bliżej domu, dostrzegam kozę leżącą na boku. Gdyby nie krąg krótszej trawy wokół niej, pomyślałbym, że nie żyje. Wrony kraczą na bezlistnych gałęziach. Widać tylko ich sylwetki, które odcinają się od tła, jakby były wyciętymi w nim otworami.

Jasper odbezpiecza bramę, która otwiera się z hałasem. Przeklinam pod nosem.

– Czekaj! Wchodzimy od frontu?

– Jak najbardziej – mówi Jasper tak głośno, żeby Szalony Jack usłyszał. Śmiałość Jaspера powróciła. Rusza pierwszy i rzuca przez ramię: – Prosto, Charlie. Po prostu idziemy. Myślę, że tędy.

Patrzę, jak idzie. Wyprostował plecy. Nabrał powietrza w płuca. Teraz dostrzegam, jak udawana jest jego pewność siebie. To po prostu przykrywka, zmyłka. Coś jak pelerynka Batmana czy włosy zaczesane na łysinę u mojego taty. Coś we mnie pęka. Jednak idę za nim. Stawiam kroki jak zmęczony piechur, przerażony i zrezygnowany.

Koza podnosi głowę i meczy, a potem znowu się kładzie. Uważam, że to zły omen. Gdzieś dalej stado kangurów leniwie przeskakuje przez wybieg dla zwierząt. Dostrzegam nieruchomy młyn, którego wcześniej nie widziałem. Ten krótki marsz jest jakby ze snu. Serce mi wali. Tu jest tak cicho, że słyszę odległy huk

fajerwerków. Wydaje mi się nawet, że widzę kolorową poświatę. Tak bardzo chciałbym tam być.

W domu pali się światło. On jest w środku. Zbliżamy się. Jasper maszeruje szybko i agresywnie. Widzę brzoskwinie, która zwiesza gałęzie nad domkiem. Czuję zapach przejrziałych owoców, słodki i intensywny.

Weranda skrzypi nieznośnie głośno, kiedy Jasper stąpa po deskach. Trzymam się z tyłu, a on trzy razy mocno wali pięścią w drzwi.

– Lionel!

Nogi mam jak z waty. Czuję się, jakby przysypała mnie lawina. Słyszę jakiś ruch. Widzę cień. Wstrzymuję oddech.

Jest.

Szalony Jack Lionel.

Nie jest wcale tak wysoki, jak się spodziewałem. Ani tak potężny. Przede wszystkim wydaje mi się strasznie stary. Jest mizerny, zabiedzony i zgarbiony. Zupełnie nie przypomina Alberta Fisha. Ma na sobie szare, niechlujne spodnie robocze i wypłowiałą niebieską bluzę, w której z boku dostrzegam dziurki wygryzione przez mole. Ma białe stopy. Porządnie uczesane, siwe włosy. Ramiona też ma porośnięte siwymi włoskami. Powoli otwiera ramię z moskitierą. Widać, że nieczęsto miewa gości. Jednak to, co robi na mnie największe wrażenie, to wyraz jego twarzy na widok Jaspera Jonesa. Na jego bladej twarzy wyraźnie widać radość. Uśmiecha się, ukazując rząd równych, żółtych zębów. Zielone oczy Jacka napędniają się łzami. Przez chwilę po prostu patrzy na Jaspera.

– Dobry Boże, Jasper! To ty! Co za niespodzianka! Wejdz, wejdz.

Jasper nie kłamał. On zna jego imię. Jack wychyla się, żeby zagarnąć plecy Jaspera i popchnąć go do środka. Jasper się uchyla i mówi:

– Nie dotykaj mnie, chłopie. Nigdy. Rozumiesz?

Lionel patrzy na niego. Potem kiwa głową.

– Rozumiem. Dobrze. Ale wejdź. Proszę. Wejdź.

Lionel niezgrabnie się odwraca i macha na Jaspera, żeby wszedł. Potem idzie korytarzem przed nami. Trochę powłóczy nogą.

Jasper patrzy na mnie ze zmarszczonym czołem. Jest spocony. Ma na czole kropelki i półksiężyc wilgoci pod pachami. Powstrzymuję chęć wzruszenia ramionami. Widzę, że Jasper ciężko oddycha. Wchodzimy za Jackiem Lionelem do jego domu.

Wnętrze jest ciemnawe. Światło ma dziwny kolor. Jak żółtko jajka. Tapeta jest wypłowiała i porozdzierana. Wszystko pachnie kurzem i terpentyną. Po lewej stronie widać kolekcję motyli ponabijanych na szpilki. Nie wyglądają zbyt kolorowo. Półka w korytarzu jest pełna zdjęć, bibelotów i serwetek, ale nie mam czasu, żeby im się dokładnie przyjrzeć. Szurając nogami, wchodzimy do salonu Szalonego Jacka Lionela. Na ścianie wisi strzelba. Cofam się. On mnie jeszcze nie widział. Jeżeli pozostanę niezauważony, może ujdę z życiem.

Lionel wyciąga rękę.

– Usiądź, Jasper. Siadaj, proszę.

– Nie usiądę – odpowiada twardo Jasper.

Lionel znowu wolno kiwa głową. Ręce trzyma za plecami. Zauważa mnie.

– O, a to kto? Nie widziałem cię wcześniej. To twój kolega? Witaj, synu.

Jasper stoi z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– To Charlie. Niczego więcej nie musisz wiedzieć. Poza tym przyszliśmy tu porozmawiać o tym, co wiemy. O tobie.

Szalony Jack Lionel szura stopą. Twarz mu posmutniała. Jest skrepowany.

– Dobrze.

– Wiemy, że to byłeś ty. Wiemy, że ty to zrobiłeś.

Jack Lionel patrzy na Jaspiera uważnie. Ma wilgotne, zaczerwienione, smutne oczy. Wzdycha.

– Usiądźcie, chłopcy. Siadajcie, a ja zagotuję wodę. Nie mam dużo, ale herbaty jest dosyć.

Lionel pokazuje dwa ratanowe fotele pod oknem.

– Nic od ciebie nie chcemy. I powiedziałem już, że nie będziemy siadać. Nie zostaniemy tu. Chcę porozmawiać o tym, co zrobiłeś. Tylko o to nam chodzi.

Lionel ponownie wolno kiwa głową.

– Dobrze, Jasper. Więc pozwól, że ja usiądę.

Lionel podchodzi do fotela i ostrożnie siada.

Jasper mruży oczy i pochyla się. Zapanował nad oddechem.

– Więc się przyznajesz? Przyznajesz, że to byłeś ty? Że to ty ją zabiłeś?

Zapada ciężka, pełna napięcia cisza. Przenoszę wzrok z Jacka Lionela na Jaspiera Jonesa, który patrzy groźnie i na przemian zaciska i rozluźnia pięści. Ręce trzyma teraz opuszczone. Znowu spoglądam na Jacka, który siedzi z łokciami opartymi o kolana i zaciska wysuszone dłonie. Myślę, że szuka słów. Jack pociera nos, a potem sięga do stolika po pudełko z tytoniem i bibułkami. Marszczy brwi i koncentruje się na przygotowaniu skręta. Toczy cienki waleczek tytoniu, zawija w bibułkę.

– Posłuchaj mnie, Jasper. Wiem, że jesteś zdenerwowany. Wiem. Ale ja zawsze myślałem, że dawno ci powiedzieli. Myślałem, że dlatego nigdy do mnie nie przychodzisz. I w końcu kto ci powiedział? Twój tato? A może zawsze wiedziałeś?

Prostuję się i przelykam z trudnością. Pukam w bok pianina. Czy to się naprawdę dzieje? Czy możliwe, że Jasper miał rację? Jestem napięty. Moje płuca sobie z tym nie radzą. Spoglądam na strzelbę. Potem patrzę na zaciśnięte szczęki Jaspiera i zaczynam się bać, co on zrobi. Znowu patrzę na drżącego Lionela. To nie ma sensu. On jest taki powolny, wątpy i słaby. Zachowuje się w taki sposób i mieszka w takim otoczeniu, że po prostu nie umiem sobie tego wyobrazić. Nie ma mowy, żeby dał sobie radę z Laurą Wishart, nie mówiąc już o wejściu na drzewo i wciągnięciu liny. Nie z taką nogą. Chcę to powiedzieć Jasperowi, zanim posunie się dalej. Chcę go szarpnąć za koszulę. Chcę krzyknąć, że jest w błędzie. Chcę stąd uciec, pobiec z powrotem do Elizy, do taty, do policjantów. Chcę powiedzieć wszystkim, że to potworna pomyłka.

Ale dlaczego Lionel się przyznaje? Ma pomieszane w głowie. Jest świrnięty. To jedyne wytłumaczenie.

Jasper stara się trzymać planu.

– Nikt mi niczego nie powiedział.

Lionel spogląda z niedowierzaniem. Niespiesznie liże skraj bibułki.

– Nikt ci nie powiedział? Jednak jakoś się dowiedziałeś.

– Widzieliśmy cię! – mówi z naciskiem Jasper. Słysząc, że kłamie. – Widzieliśmy, jak to zrobiłeś. Ja i Charlie. Obaj widzieliśmy.

W tym momencie Lionel zamiera. Prostuję się, przestaje ruszać palcami. Wydaje się naprawdę zaskoczony.

– Jak to widzieliście? Co widzieliście?

– Wszystko. Widzieliśmy nawet, jak wydrapujesz to słowo w korze parę dni później. Nie możesz zaprzeczyć, że to zrobiłeś. Widzieliśmy cię. Bo to mój kawałek buszu. Ja tam przychodzę. Wiesz doskonale. Całymi latami widziałeś, jak tam chodzę. I byłem tam wtedy w nocy. Obaj byliśmy. I widzieliśmy, że to ty.

– Jasper, o czym ty, do licha, mówisz? – Lionel kręci głową, ale mówi spokojnie. – To niemożliwe. Miałeś ledwie dwa lata, kiedy to się stało. Rozumiesz? Nie mogłeś niczego widzieć. Nikt niczego nie widział.

Czuję, jakby ściany się ku mnie pochylały. Jasper robi obrażoną minę.

– O czym ty gadasz? Przecież to się dopiero co stało. Trzy tygodnie temu. Nie okłamuj mnie. Widziałem cię. Znam prawdę. Czy ty masz, kurwa, pojęcie, co zrobiłeś? Czy ty w ogóle myślisz? – Jasper postępuje do przodu.

Zastanawiam się, czy powinienem wkroczyć. Czuję się jak widz na spektaklu. Serce mi wali o żebra. Jeżeli Szalony Jack jest w jakiś sposób w to zamieszany, świetnie się maskuje. Żałuję, że nie mam jego opanowania. Chcę wyjść z tego domu, ale nogi odmawiają mi posłuszeństwa. To jest jak zły sen.

Lionel kończy przygotowywanie skręta i klepie się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek. Zapala papierosa i spogląda Jasperowi w oczy.

– Posłuchaj, Jasper. Słuchaj. Ja to rozumiem. Rozumiem, że jesteś mi nieprzyjazny. Naprawdę rozumiem. Od bardzo dawna chciałem o tym z tobą porozmawiać.

– Więc teraz masz okazję.

– Ale o co chodzi z tym, że wy dwaj mnie widzieliście? I to trzy tygodnie temu. Przepraszam, chłopcze, ale cię nie rozumiem. To jest niemożliwe i wiesz o tym. Co mi chcesz powiedzieć? Co widziałeś?

– Widzieliśmy, jak zabiłeś Laurę.

– Laurę? Jaką Laurę? Ona nie miała tak na imię.

– Kto?

– Twoja matka.

– Moja matka? Jak jeszcze raz powiesz coś o mojej matce, to cię wykończę. Naprawdę.

Teraz Jack Lionel jest kompletnie zagubiony. Ja zresztą też. Siada prosto, przechyla głowę i widzę, że trochę drżą mu ręce.

– Jasper, ciągle nie rozumiem. Kto to jest Laura? Charlie, możesz mi pomóc?

Patrzy na mnie wyczekująco, a ja się czerwienię i zawstydzam. Patrzę na zakurzone klawisze pianina. Nie powinno mnie tu być. To pomyłka.

– Kto? – znowu pyta Lionel. – Kto to jest Laura?

– Dziewczyna, którą zabiłeś, ty stara cipo! Nawet nie wiesz, jak miała na imię? Dziewczyna, którą pobiłeś, powiesiłeś i jeszcze zrobiłeś to wszystko inne. Wiem, że to ty. Wiem!

– Pobiłem, powiesiłem? Jasper, na Boga, co ty wygadujesz? O kim ty mówisz?

Obaj podnieśli głos. Jestem śmiertelnie przerażony. Muszę się wysikać.

– O kim? O Laurze Wishart. I nie kręć, że nic nie wiesz, bo wiem, że ją widywałeś. Chodziła ze mną, jak wyskakiwałeś i nawoływałeś mnie jak wariat. Nie jestem głupi, chłopie. Nie podpuszczam cię. Wiem, co zrobiłeś! Koniec. Przyznaj się.

Jasper pochyła się i wskazuje Jacka palcem. Wygląda to groźnie. Ale Lionel ciągle nie okazuje strachu i nie sprawia wrażenia osoby, którą właśnie zdemaskowano. Mruczy do siebie, kręci głową i

pali papierosa. Wydaje się zwyczajnym, zaskoczonym, starym człowiekiem. Obawiam się, że Jasper nie ma już więcej asów w rękawie.

– Wishart? Wishart, Wishart, Wishart... – Nagle Lionel podnosi wzrok. – Mówisz o tej zaginionej dziewczynie? Tak się nazywa, prawda? Laura Wishart.

– Tak – odpowiada niecierpliwie Jasper. – Wiesz przecież.

Lionel pochyła się ze ściągniętymi brwiami. Kaszle. Jedno kolano miarowo mu się porusza.

– To znaczy, że ją znaleźli?

– My ją znaleźliśmy! Charlie i ja. Tamtej nocy. To właśnie mówię. Przyłapaliśmy cię.

– Przyłapaliście? Jasper, ja...

– Słuchaj, przyszedliśmy prosto do ciebie. Damy ci szansę, żebyś sam do nich poszedł i powiedział, co zrobiłeś. Po to przyszedliśmy. Myślę, że to pojmujesz. Tak czy tak, koniec. Widzieliśmy cię, kapujesz?

– Zaczekaj, synu. Poczekaj. Co się stało? Chcesz mi powiedzieć, że ją znaleźliście i że ona nie żyje? – Lionel mówi teraz głośniej i bardziej stanowczo. Czuję narastające napięcie.

– Nie udawaj głupka. Doskonale wiesz, co się stało. Widzieliśmy cię. Ile razy mam to powtarzać?

– Jasper, wytłumacz mi. – Lionel kładzie rękę na sercu. – Myślisz, że to byłem ja? Myślisz, że to ja zabiłem tę biedną dziewczynę?

– Wiemy, że to ty.

Jasper jest mniej stanowczy. I mniej pewny siebie. W jego głosie już nie słychać jadu. Wygląda jak ktoś postawiony pod ścianą. Niepokoję się.

– Jasper, to cholerne kłamstwo. Cholerne... kłamstwo. Głupstwa pleciesz. Jezu Chryste, ale... ona nie żyje? Jesteś pewien? Czy to tylko jakaś gra albo coś takiego? Co się stało? Zaczynj wreszcie mówić prawdę! – rzuca Lionel z naciskiem.

– A właśnie, że to, kurwa, zrobiłeś! – Jasper Jones mówi jak dziecko. Przerażone, piszczące, zranione dziecko. Po raz drugi tego wieczoru czuję się oszukany. Nie powinno nas tu być. Nie wiem, kim jest ten człowiek, ale nikogo nie zabił. Wszystko zrobiłem nie tak. Szalony Jack Lionel nie jest zbrodniarzem. Prawdopodobnie nawet nie jest szalony. To zwyczajny, stary człowiek. Biedny i samotny.

– Dlaczego, Jasper? Dlaczego tak mówisz? – Lionel podnosi głos, a jego czerwone oczy napełniają się łzami. Chyba zacznie płakać. – Czy to przez to, co się wtedy stało z twoją mamą? O to chodzi?

Jasper się podrywa.

– Powiedziałem ci, jeszcze raz o niej wspominasz, to po tobie. Nieważne, że jesteś stary. Po co ciągle o niej gadasz? Ona nie żyje, ty stary draniu. Wiesz? I nie masz prawa mówić o mojej rodzinie.

W tym momencie Jack Lionel aż podskakuje na krześle. Przez chwilę nic nie mówi i kręci głową. Patrzę, jak jego stukająca o podłogę stopa wzbija chmurkę kurzu.

– O Boże! Dobry Boże! – powtarza, ciągle kręcąc głową. Patrzy Jasperowi w oczy. Wygląda, jakby czemuś nie dowierzał. – Ty nie wiesz. Nic nie wiesz. Nie wiesz, kim jestem, prawda? Nie wiesz, kim jestem dla ciebie? Nie masz pojęcia. Cholera, nic nie wiesz.

– Co? Jasne, że wiem, kim jesteś. Jack Lionel.

– Ale poza tym. Kim ty i ja jesteśmy?

– O co chodzi? O czym ty mówisz?

Lionel znowu kaszle, chrząka i gasi papierosa w popielniczce na stoliku. Przełyka z trudnością. Jest taki zmęczony i wynędzniały.

– Jasper, jak myślisz, skąd wiem, jak masz na imię? Czemu tak z tobą rozmawiam?

– Sam się nad tym zastanawiałem. I czemu mnie wołałeś za każdym razem, gdy tu przechodziłem. Dosłownie co wieczór.

– Nie wiesz? Mów prawdę.

Jasper kręci głową.

Lionel mruczy coś pod nosem, a potem powoli wstaje. Natychmiast się naprężam od stóp do głów. Przygotowany na wszystko, patrzę na niego przez pokój. Ale on macha tylko ręką, jakby odganiał Jaspера Jonesa.

– Odwróć się – nakazuje.

– Nie – protestuje Jasper i robi krok do tyłu. – Po co?

– No, odwróć się tylko. – Lionel stoi teraz obok niego i pokazuje palcem w górę na coś na zakurzonej półce. Jasper bezwiednie robi to, co mu polecił Lionel. Spoglądam w tę samą stronę. Lionel wskazuje trzy fotografie w ramkach. Jasper patrzy nieuważnie i wzrusza ramionami. Lionel pyta, czy kogoś na nich rozpoznaje. I teraz, patrząc na nich dwóch stojących obok siebie i na te trzy zdjęcia, pojmuję. Chyba wcześniej niż Jasper. Wszystko układa mi się w głowie. Naprawdę nie wiem, co robi Jasper. Tymczasem on nawet jeszcze nie spojrzał na zdjęcia. Wzrusza ramionami, żeby okazać brak zainteresowania. Nie widzi. Lionel wyciąga zgrubiały palec i mówi: – O tam. To twój tato. I twoja mama. – A potem wskazuje dziecko między nimi. – To ty.

Jasper wykrzywia się drwiąco, ale widzę, że jest niespokojny. Spogląda na Lionela i rzuca, żeby się odpierdolił. Że kłamie. Ale Jack, wciąż cierpliwy, mówi Jasperowi, żeby spojrzał uważnie na zdjęcie i sprawdził, czy to rzeczywiście nie jest jego tato. Jasper zamyka oczy. Przez chwilę milczy. Potem szybko potrząsa głową, jak pies, który chce się pozbyć obroży. Robi krok do tyłu. Mówi, że to

bdura. Pyta, skąd Lionel ma te zdjęcia. A staruszek spokojnie pokazuje ostatnią fotografię. Najmniejszą. Na niej starszy człowiek trzyma to samo dziecko. Lionel odkrywa przed Jasperem prawdę, którą ja już znam. Ten człowiek to on. Jack Lionel jest ojcem ojca Jaspera. Jest dziadkiem Jaspera. Jasper marszczy brwi i zaciska szczęki, a Jack Lionel jeszcze raz prosi go, żeby z nim usiadł. Tego chciał przez te wszystkie lata. Bo musi z nim porozmawiać o jego mamie. Jasper jest rozdygotany. To bolesne widzieć go w takim stanie. Jest mi go żal. Teraz Jasper mówi cicho i niepewnie. Że nie ma o czym gadać. Że ona nie żyje. Miała wypadek samochodowy.

I wtedy Lionel mówi miękko:

– Wiem. To ja prowadziłem.

Kiedy jestem już z powrotem w swoim pokoju, mam wrażenie, jakbym go widział po raz pierwszy. Nic nie wydaje się takie jak zawsze. Nawet moja własna skóra, moje ciuchy, mój zapach.

Powrót od Jacka Lionela był bardzo dziwny. Szliśmy szybko. Przez boisko do krykieta, trzymając się z dala od centrum miasta. Ciągłe jeszcze słyhać było pulsowanie muzyki i głosy. Na szczęście nie spotkaliśmy Elizy Wishart. W jej ramionach rozpląnąłbym się i wyznał wszystko. Jasper i ja w ogóle się do siebie nie odzywaliśmy. Miałem kompletną pustkę w głowie. A Jasper chyba intensywnie nad czymś rozmyślał. Pewnie kłębiły się w nim pytania. Miał powód. Cały jego świat przewrócił się do góry nogami, jak torba śmieci.

Kiedy się żegnaliśmy pod moim domem, jedyne, co powiedział, to że idzie do siebie porozmawiać z ojcem. Powiedział, że ojciec wrócił tego ranka, ale dopiero jak wydał co do grosza wszystko, co zarobił. Tego wolałbym nie wiedzieć.

Patrzę na plik kartek, które zostawił na biurku mój ojciec. Wygląda to jak wielka kupa. To dla mnie za dużo. Czuję się jak tej pierwszej nocy, kiedy mnie to wszystko wciągnęło. Od tego czasu

jest coraz gorzej. To się uczepiło jak rzep psiego ogona. Muszę się jakoś uwolnić. Muszę odejść z Jasperem Jonesem.

Poszliśmy tam, żeby oskarżyć Szalonego Jacka Lionela o zamordowanie Laury Wishart, a dowiedzieliśmy się, że to on prowadził samochód, który zabił matkę Jaspera.

Ten świat nie jest w porządku. Jest mały, zły i przepelniony smutkiem. Schowane pod każdym kamieniem, ukryte w każdej szopie, zwisające z każdego drzewa czyha coś strasznego, czego wolałbym nie oglądać. Nie wiem. Może dlatego to miasto jest takie zadowolone z siebie, bo potrafi spowodować, że wszystko wydaje się takie na swoim miejscu, gładkie i łagodne. A ja, tu i teraz, nie mam tym ludziom tego za złe.

Jasper nie usiadł. Nie spojrzął też w oczy Lionelowi, nawet po tym jak starszy pan pokazał mu podniszczone albumy pełne innych fotografii i metryk urodzenia ani wtedy, kiedy pokazał mu dawną sypialnię jego ojca, nietkniętą przez lata i nienaruszoną. Rzeczy zwisały z szuflad, a gitara i kij do krykieta stały obok siebie w kącie. W witrynce wystawiono puchary za osiągnięcia piłkarskie. Czytam napis na tabliczce: David Lionel.

Jack Lionel powiedział Jasperowi, że nie chciał, żeby on się urodził. Rosie Jones pochodziła z sąsiedniego hrabstwa. Ona i David spotkali się na tańcach poza naszym miastem. Widywali się w sekrecie, zwykle nad rzeką Corrigan, gdzie mogli być sami. Kiedy Rosie zaszła w ciążę, Jack Lionel ostro się sprzeciwił. Żądał, żeby się pozbyli dziecka. Ale David przeciwstawił mu się jeszcze bardziej stanowczo. Powiedział mu, że się kochają i zatrzymają dziecko. Rozwścieczony Jack wyrzucił syna z domu. David zebrał najpotrzebniejsze rzeczy i z ochotą się wyprowadził. Szuflady w jego pokoju pozostały przez te wszystkie lata otwarte, tak jak je zostawił. David i Rosie wynajęli stancję w mieście. Chłopak zapisał się na praktyki do kopalni. Byli jednak poza nawiasem społeczności. Nawet

kumple Davida powiedzieli, co wiedzieli, i odwrócili się do nich plecami. Wszyscy w końcu go opuścili. Jedyne miejsce, w którym jeszcze go tolerowano, był klub piłkarski.

David i Rosie pobrali się trzy miesiące przed narodzinami Jaspera. W małym kościółku w mieście byli tylko oni dwoje i ksiądz. I wtedy właśnie David skorzystał z możliwości zmiany nazwiska na Jones. Jack powiedział, że to zabolalo go najmocniej.

Po urodzeniu Jaspera Rosie skontaktowała się z Jackiem. Zaczęła go zapraszać na niedzielne obiady. Robiła to co tydzień, a on co tydzień odmawiał. Upłynął rok, aż wreszcie przyjął zaproszenie. Przyszedł, cichy i napięty, z kapeluszem w ręku. David minął go i wyszedł do pubu. Ale Jack został. On i Rosie usiedli razem i zjedli obiad.

Jack Lionel zrozumiał, że bardzo się co do niej mylił. Była uprzejma, dobrze wychowana i piękna, a w dodatku gotowała tak świetnie jak jego żona. Jack zaczął przychodzić w każdą niedzielę i spędzać w ich domu coraz więcej czasu z Rosie i Jasperem. David wpadał do baru Pod Koroną i zostawał tam aż do zamknięcia.

Lionel tak lubił spotkania z Rosie, że stały się one najważniejszym punktem tygodnia. Ubierał się porządnie, golił i starannie czesał. Rosie także zaczęła na niedziele przygotowywać bardziej wyszukane potrawy i ubierała się najlepiej, jak mogła. Lionel powiedział Jasperowi, że kochał jego matkę, jakby była jego własną córką, i że stali się najlepszymi przyjaciółmi. Już nie tylko w niedziele. Rosie często wpadała popołudniami do domu Lionela z własnymi wypiekami, a on wyjmował z ukrycia najlepsze porcelanowe filiżanki i spodeczki. David oczywiście trzymał się z daleka. Rosie uważała, że obaj są tak samo winni tej sytuacji. David, bo jest zbyt uparty, żeby pierwszy wyciągnął rękę na zgodę, a Jack, bo jest zbyt dumny, żeby przeprosić.

To się wydarzyło w okropnie zimną kwietniową niedzielę. Rosie Jones nagle złapała się za bok i zaczęła ciężko dyszeć. Uparcie

powtarzała, że nic jej nie jest, ale kiedy nie mogła już ustać i oddychała z coraz większym trudem, Lionel wsadził ją do samochodu i pojechał w stronę wybrzeża. Kiedy Rosie w czasie jazdy zaczęła głośno krzyczeć, pomyślał o najgorszym. Miała nieprzytomne oczy i łapała spazmatycznie powietrze, jakby nie mogła go wtłoczyć w płuca. Lionel zjeżdżał jak najszybciej ze wzgórza, a zachodzące słońce świeciło mu prosto w oczy. Rosie była naprężona i na przemian kulila się i prostowała, jak na bujanym fotelu. Wczepiła się ręką w jego dłoń tak mocno, że nie miał serca jej odsunąć.

Gdyby to zrobił, gdyby miał odrobinę zwykłego rozsądku i trzymał kierownicę obiema rękami, pewnie lepiej by sobie poradził z nagłym podskokiem samochodu na wyboju, którego nie było widać pod słońce. Ale Jack Lionel zahamował mocno, zjechał bokiem na zwirowe pobocze i dalej, w kierunku ściany drzew. I tyle. Krótkie zetknięcie nierówności na drodze i opony. Moment. Chwila, a w niej pech, oślepiające światło i nagła ciemność.

Kiedy Lionel doszedł do siebie, był cały we krwi i szkłe. Tkwił uwięziony we wraku samochodu. Siedzenie pasażera było puste. Dokoła panowała gęsta cisza, w której słyhać było jedynie brzęczenie owadów. Przednia szyba była rozbita. Zanim Jack znowu zemdlął, zobaczył kilka jardów przed maską samochodu skrawek sukienki Rosie i uświadomił sobie, co zrobił, z tak okrutną pewnością, że z wdzięcznością przyjął kolejną falę czerni wdzierającej się pod powieki.

To był atak wyrostka. W każdej chwili mogła przyjść śmierć. Więc instynkt Lionela dobrze mu podpowiedział, żeby jak najszybciej wieźć Rosie do lekarza. Ale mimo to nigdy sobie nie wybaczył. Żałował, że to nie on zginął zamiast Rosie Jones. Tak samo myślał David, który oskarżał go okrutnie i wytrwale o dużo więcej niż tylko o zbyt pośpieszną jazdę do szpitala. Ostatnie słowa, które David wypowiedział do swego ojca, padły nad łóżkiem w izbie przyjęć.

Powiedział mu wtedy, że jeżeli pokaże się na pogrzebie Rosie, to on go, klnie się na Boga, zabije na miejscu. Jack Lionel wierzył synowi.

Wypadek pogruchotał nogę Jacka i uczynił ją bezużyteczną, wiotką i lekko skrzywoną do środka. Ale to śmierć Rosie go złamała. Wszystko się w nim posypało, jak klocki domina. Pokochał ją w ciągu tego krótkiego czasu i nie dość, że czuł się winny, to jeszcze tęsknił za bliską osobą. Tęsknił za jej obiadami i jej śmiechem, za tym, jak pachniała, jak wyprostowana elegancko siadała w fotelu i jak zawsze była ciekawa tego, co on miał do powiedzenia. Jack Lionel spakował porcelanę, odwiesił garnitur i nigdy więcej go już nie włożył. Nigdy też nie wyzdrowiał.

Urządził Rosie Jones pogrzeb. Kiedy odwieziono na jego posesję wrak samochodu, wygłosił mowę pogrzebową do drzwi od strony pasażera. Płakał i modlił się, a potem, w deszczu, na klęczkach, wydrapał krawędzią monety to słowo. Chciał, żeby pozostało tam dłużej, niż on będzie chodził po ziemi.

Corrigan oczywiście było okrutne. Powstały najróżniejsze plotki o tym, dlaczego Jack Lionel tak szybko uwoził z miasta Rosie Jones. Niektórzy mówili, że ją porwał. Że oczarowała go żona własnego syna, postanowił mu ją wykraść i kiedy walczyła z nim w samochodzie, wpadli w poślizg i się rozbili. Inni utrzymywali, że Jack i Rosie razem zaplanowali ucieczkę, a on nie zapanował nad samochodem z powodu różnych zdołań, których się w trakcie jazdy dopuścili. Byli też tacy, którzy twierdzili, że włożył Rosie do samochodu już martwą i upozorował wypadek, żeby zatrzeć ślady. Tyle krążyło różnych sprzecznych wersji, niepotwierdzonych informacji i różnych przypuszczeń, tyle opowieści wśród sąsiadów. Różne historie nakładały się na siebie, splatały i całkowicie wyparły prawdę. Nikt nigdy nie wspominał, że Rosie miała atak wyrostka. Wydawało się, że to należy do jakiejś innej historii. Wreszcie tyle kłamstw dorzucono do tego wielkiego kopca, że przeobraził się w monolit. Stał się prawdą. Portret Szalonego Jacka Lionela

nasmarowano atramentem i gównem, a on sam nie zrobił nic, żeby go oczyścić. Stał się potworem i mordercą, bo wszyscy tak mówili. Został podczłowiekiem, wariatem, pariasem. Miasto się od niego odwróciło. Kościół nie interesował się już jego duszą. I Jack Lionel, który zawsze lubił swoją odosobnioną posesję, wycofał się jeszcze bardziej. Odciał się od Corrigan. Po jedzenie i potrzebne rzeczy jeździł do innych miast. Żył bardzo skromnie za swoją rentę wojenną, uprawiał warzywa, hodował owce i bydło, dopóki mu noga pozwalała. Przez ostatnie lata żywił się jedzeniem z puszek, jajkami i herbata. Jedyni ludzie z Corrigan, jakich widuje, to dzieciaki, które ośmielają się tutaj zapuścić, żeby ukraść brzoskwinie, i jego wnuk, który całymi latami omija jego posesję, raniąc mu serce.

Jack Lionel zawsze uważał, że Jasper naumyślnie go ignoruje i unika. Sądził, że to taka demonstracja złości i odrzucenia. Nawet przez chwilę nie myślał, że Jasper Jones może nie znać prawdy.

Jack uznał, że Jasper Jones został zatruty kłamstwem, które zaszczerpił w nim ojciec, a kultywowało miasto. Dlatego tak bardzo pragnął zaprosić go do środka. Chciał mu powiedzieć prawdę. Chciał wykrzyknąć to słowo. Ale Jasper nigdy się nie zatrzymał. Ani razu nie przystanął, żeby posłuchać. A Lionel, za mało sprawny, żeby za nim biec i prosić o wysłuchanie, był skazany na wołanie z werandy za każdym razem, kiedy go widział.

Jasper Jones nie miał pojęcia, dlaczego Jack wykrzykuje jego imię. Ale był przyzwyczajony do tego, że ludzie go wyzywają, więc po prostu nie zwracał na to uwagi. Dla Jaspera Jack był po prostu starym wariatem, którym nie należy się przejmować. Zastanawiam się jednak, jak to się stało, że Jasper nigdy się nie dowiedział. Dostyc prawdopodobne jest dla mnie to, że ojciec nigdy mu nie wspomniał o dziadku, ale czy to możliwe, że Jasper był tak wyobcowany, że nikt, nawet najpaskudniejszy dzieciak, nigdy nie wykrzyczał, co wie?

Może oni też nie wiedzieli. Ja naprawdę nie wiedziałem. Może byli tacy jak ja. Może bali się historii Szalonego Jacka Lionela,

choć nie wiedzieli, w jakim stopniu zbudowana była na kłamstwach. Ale w jego pokoju, kiedy patrzyłem, jak pali i snuje swoją straszną opowieść, wprost nie byłem w stanie uwierzyć, że w ogóle mogłem się go bać. Siedział i miarowo zwijał papierosy. Wydawał się taki mały, zmęczony i wynędzniały. Wyglądał na człowieka złamanego.

Trudno mi było określić wyraz twarzy Jaspera. Obserwowałem go ukradkiem, jak stał i słuchał. Drapał się w głowę, bujał się na stopach, pociągał nosem. Patrzył w podłogę, zaciskał i rozluźniał pięści, ale to nie znaczyło, że chce się bić. Zauważyłem, że ostrożnie spogląda w stronę fotografii stojących na pianinie. Odwróciłem się i dalej słuchałem.

Nie jestem pewien dlaczego, ale kiedy zobaczyłem, jak Jasper Jones przyjmuje papierosa, którym poczęstował go Jack Lionel, i wkłada go do ust, pomyślałem, że właśnie wtedy pogodził się z faktem, że nigdy nie odkryjemy, kto zabił Laurę Wishart. Pomyślałem, że to koniec. On się poddał.

Wtedy Jack Lionel powiedział nam, co widział tamtej nocy.

Łatwo przypomniał sobie tamten wieczór, bo było to niedługo przedtem, jak złapał jakiegoś wirusa, który na pewien czas przykuł go do łóżka. Zwrócił uwagę na tę postać, bo był to rzadki widok. Jack wiedział, kto regularnie przechodzi obok jego posesji. Widząc dziewczynę – teraz wiedział, że to była Laura Wishart – która zawsze przechodziła tędy w towarzystwie Jaspera, pomyślał, że to niezwykle, że tym razem idzie zupełnie sama. Dlatego czekał, bo spodziewał się, że za nią zobaczy wnuka. Może się posprzeczały i idą osobno? Albo on gdzieś tu na nią czeka? Ale Jasper się nie pokazał. Jasper zapytał, czy Jack jest pewien, że Laura szła zupełnie sama. Jack był pewien. Wtedy twarz mu posmutniała i zwiesił głowę. Powiedział, że widział, że Jaspera nie ma. Ale ktoś za nią szedł.

Siedzę na łóżku z łokciami opartymi o kolana. Słyszę delikatne postukiwanie w okiennicę. Zamykam oczy i wzdycham. Nawet się nie odwracam. To musiała być krótka konfrontacja. Albo może jego ojciec pił. Nie jestem pewien, czy chcę się dzisiaj spotkać z Jasperem Jonesem. Jestem taki zmęczony i smutny.

– Charlie!

Odwracam się na dźwięk tego głosu. Uchylam okno.

Eliza Wishart przyszła pod mój dom.

Jest tutaj. Jest tu w nocy. To naprawdę ona. Nie mówię ani słowa. Otwieram usta i je zamykam na powrót.

– Co robiłeś z Jasperem Jonesem? – pyta. Milczę. Nie mam odpowiedzi. Musiała iść za mną do dworca. Powinienem był się obejrzeć. Zastanawiam się, jak długo nas śledziła.

– Och, nic takiego. Jest moim kumplem. Tak sędzę. Nie wiem.

Eliza przechyliła głowę. Widzę, że mi nie wierzy.

– Charlie, dlaczego nie wróciłeś? Powiedziałeś, że wrócisz. Obiecałeś. Czekałam na ciebie. Powiedziałeś, że wrócisz!

Nie mam nic do powiedzenia. Nie mogę jej wyznać prawdy, a nie chcę już kłamać.

– Przepraszam. Naprawdę przepraszam.

– Charlie, muszę z tobą porozmawiać.

– Wiem.

– Teraz. Możesz wyjść? To ważne.

Mogę. Mam prawo przypuszczać, że tato nie słyszał, jak wracałem. Ale waham się, bo obawiam się, co może mi się wyrwać. I o co ona może zapytać.

Wtedy Eliza mówi coś, co wstrząsa mną bardziej niż cokolwiek, co usłyszałem od tamtej pamiętnej nocy. Przeciska palce przez uchylone okno, kładzie mi je na rękę i mówi:

– Charlie, ja wiem, gdzie jest Laura.

Wymykam się z domu z zamętem w głowie. Powłóczę nogami, idąc obok Elizy. W moim umyśle galopują myśli. Wstępuję do ciemnej otchłani. Nie powiedziałem ani słowa o tym, co wiem, na wypadek gdyby Eliza prowadziła mnie gdzie indziej. A jeśli idziemy na polanę Jaspera? Na pewno. Jaka część tej układanki zna Eliza?

Jeśli wie o jeziorze, o drzewie i linie, musiała tam być wtedy w nocy. Musi wiedzieć coś o tym, co się wówczas stało. I czy była na polanie od tamtej pory? Co zrobi, kiedy zobaczy, że Laury już nie ma? Czy powinienem jej wszystko teraz powiedzieć?

Czy to Eliza Wishart była osobą, której nie rozpoznał Jack Lionel? Czy to ona szła tamtej nocy za Laurą?

Miasto pustoszeje. Goście z ogródka piwnego weszli do pubu. Zespół ciągle przygrywa. W palenisku za Domem Górników żarzą się czerwone węgle. Bezpańskie psy krążą dookoła, czekając, aż ogień się dopali i będą mogły się dorwać do resztek. Większość rodzin już poszła, ale niektórzy czekają, żeby przywitać Nowy Rok. Idziemy szybko środkiem głównej ulicy. Mam nadzieję, że nie spotkam matki. Dom Górników jest jeszcze otwarty, ale w środku już niewiele się dzieje. Oczywiście na schodach ktoś pokazuje pielęgniarce poparzone ręce.

Kilka par całuje się namiętnie za kuźnią. Chyba są tak pijani, że myślą, że nikt ich nie widzi. Wielki mężczyzna wymiotuje z narożnika sklepowej werandy. To nasz policjant.

Eliza prowadzi mnie przy stacji. Nie rozmawiamy, ale wiem, że jest zdenerwowana. Mam nadzieję, że nie płacze. Im dłużej idziemy, tym bardziej jestem pewien dokąd.

Jesteśmy na przedmieściach, gdzie jest spokojnie i cicho. Idziemy szybko, noga w nogę. Nie wiem, jak to się stało, ale nasze dłonie znowu się spotkały. Dochodzimy do szerokich brzegów rzeki Corrigan, do łąk przy moście. Ciągłe staram się wymyślić, co powiedzieć, ale Eliza sprawia wrażenie tak zdeterminowanej, że nie chcę jej przeszkadzać.

Idziemy pod eukaliptusami. Płaty zeschniętej kory zwisają z pni i gałęzi. Trawa nad rzeką jest miękka. Po ostatnim deszczu wyszły młode pędy. Eliza schyla się, żeby urwać pęk kwiatków. Pieści je palcami.

Wtedy dostrzegam nasz samochód.

Jest zaparkowany nad brzegiem rzeki, pod drzewem. Stoi w bardzo ciemnym miejscu, ale rozpoznaję go bez trudu. Staję i patrzę. Eliza pociąga mnie za rękę, żeby mnie ponaglić, ale potem spogląda w tę samą stronę. Zamieram.

Mówię:

– To nasz samochód.

– Naprawdę? – szepcze Eliza.

Kiwam głową i wstrzymuję oddech. Nie jestem pewien, co powinienem zrobić. Po chwili wolno podchodzimy do auta. Mam straszne przeczucie. Chwilę trwa, zanim poskładam wszystkie elementy, ale w końcu wiem. Przełykam z trudnością. Cegła w moim brzuchu jest cięższa niż kiedykolwiek. Czuję się jak ten człowiek z Francji, który miał nawyk połykania monet. Gdy umarł i otworzyli mu brzuch, odkryli, że jego żołądek jest dosłownie przepelniony monetami i tak ciężki, że zwisa aż do miednicy.

Doskonale wiem, co zobaczę, ale i tak podchodzę bliżej. Gałązki trzeszczą pod moimi stopami. Jestem teraz dosyć blisko, żeby widzieć ich oboje. Na tylnym siedzeniu. Kawalek bladej skóry wynurzającej się i zagłębiającej w cieniu. Jestem tak blisko, że mogę dotknąć okna. Tak blisko, żeby zobaczyć matkę, jak ściska i obejmuje nieznanego mi faceta. Widzę, jak wzdragają się i zamierają na mój widok. Patrzę, jak matka gapi się w okno, a jej twarz wyraża najpierw złość, a potem przerażenie. Puzzle pasują. Drętwieję. Patrzę na tę scenę, ale jakby z daleka.

Robię krok w tył. Matka naciągnęła suknię. Facet odchyła się na siedzeniu. Drzwi otwierają się ze skrzypieniem. Ściskam rękę Elizy.

– Charlie! Co ty tu robisz? W co ty się zabawiasz? Śledzisz mnie? Nie powinno cię tu być! Dlaczego nie jesteś w domu?

Matka zachowuje się histerycznie i agresywnie. Wyrzuca słowa jak karabin maszynowy i wymachuje rękami. Zastanawiam się, skąd w niej tyle wściekłości. Z samochodu czuję kwaśny zapach potu i alkoholu. To mnie napełnia obrzydzeniem. Pierś matki faluje. Matka jest przestraszona, zdenerwowana i pijana. Ciągłe wyrzuca z siebie serię pytań po prostu po to, żeby przerwać ciszę.

Może wszystko się wali, ale czuję się spokojny. Naprawdę. Nawet wtedy, kiedy matka zatrzaskuje drzwi samochodu, łapie mnie za rękę i wyrywa z ucisku Elizy Wishart. Zauważam, że jej bawełniana suknia jest nałożona na lewą stronę. Dostrzegam, jak matka brzydko i staro wygląda, kiedy ma rozmazany makijaż.

Ciągle krzyczy i zaczyna mnie ciągnąć do samochodu.

– Wracasz do domu! Nie możesz tu być! Już! Do samochodu!

Wyrywam rękę z siłą, która zaskakuje mnie samego. Prostuję ramiona. Robię krok do tyłu i chwytam równowagę. Nie patrzę na matkę. Tak mi wstyd. Nie tylko dlatego, że jest pijana i bez butów, nie dlatego, że przyłapałem ją, jak się zabawia z tym starym, grubym

facetem, podczas gdy tato siedzi spokojnie w domu, ale dlatego, że to się wydarzyło na oczach Elizy Wishart. Ona to wszystko widziała. Chciałbym to ukryć pod kocem, spuścić zasłonę. Chciałbym wepchnąć samochód do wody.

– Nie – protestuję stanowczo.

– Co powiedziałaś?

– Powiedziałem nie.

– Jak śmiesz! Nie mów do mnie w ten sposób, Charlesie Bucktin! Do samochodu! Zabieram cię do domu. Nie powinno cię tu być.

– Ani ciebie. To – wskazuję na tylne siedzenie – oznacza, że już nie muszę cię słuchać.

Robię krok do przodu. Już się jej nie boję.

– Co takiego? Ależ musisz, młody człowieku! Do samochodu! Dłużej prosić nie będę!

– Nie. Ty wykopałaś tę dziurę i ty ją zasypiesz. Nie jadę z tobą.

Jest zdezorientowana. Tym razem nie da rady wygrać. Już nigdy nie zdoła wygrać. Wygląda odrażająco i brzydko. Jak gruboziarniste zdjęcie w kiepskiej książce. Nienawidzę jej. W tej chwili nie cierpię jej trucizny, ale jest mi też jej żal. Wygląda jak dziecko. Przestraszone, zagubione i nieszczęśliwe. Teraz jeszcze bardziej, bo kąciki ust wygięły się w dół i wygląda, jakby się miała rozpłakać. Tak nagle jak wybuchła, tak teraz oklapnęła.

– Nie rozumiesz – pochlipuje. – Twój ojciec mnie nie kocha. Nigdy mnie nie kochał. Nic nie wiesz. Kompletnie nic.

I tu ma rację. Niczego na tym świecie nie rozumiem. Nic nie wiem o ludziach ani o tym, czemu robią to, co robią. Im więcej odkrywam, im więcej się dowiaduję, im więcej wiem, tym mniej rozumiem. Matka kręci głową i pociąga nosem. Ręce zwisają jej

bezwładnie. Mężczyzna w samochodzie się nie rusza. Po prostu tam siedzi. To wszystko jest takie pogmatwane i okropne.

Muszę stąd odejść.

– Jedź do domu – mówię. Czuję się silny. Mówię jak Jasper Jones. To elektryzujące. – Jedź już.

Odwracam się i biorę Elizę za rękę. Splatam palce z jej palcami i ściskam mocno. Tej jednej nocy zostałem oszukany przez oboje rodziców. Mierzę matkę wzrokiem od stóp do głów i zostawiam za sobą, zgarbioną i drżącą. Woła mnie, ale nie ma w tym mocy. To już nic nie znaczy. Zostawiamy ją za sobą.

Idziemy, a ja nic nie mówię. Z daleka słyszę, jak samochód krztusi się, opuszczając scenę. Matka i jej kochanek. Ciekawi mnie, czy teraz pojedzie do domu i przyzna się tacie. Może tak, może nie.

Pewnie bardzo mocno ściskam rękę Elizy, bo czuję, że troszeczkę ją przekreca.

– Jak się czujesz, Charlie?

Wzdycham i drapię się w głowę wolną ręką.

– Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem. Myślę, że nie czuję nic specjalnego. To wszystko jest dla mnie za bardzo porąbane, żeby coś czuć.

Eliza kiwa głową.

– Chyba wiem, o co ci chodzi. To było naprawdę... dziwne. Twoja matka. To po prostu... nigdy bym nie pomyślała, że ona... Przykro mi, Charlie – mówi cicho.

Wiem, że mówi prawdę, chociaż nie ma z tym nic wspólnego. Jej współczucie jest złotem.

Kopię grudkę żwiru.

Dochodzimy do posesji Jacka Lionela. Wydaje się inna niż dawniej, kiedy emanowała groźną aurą. Teraz to po prostu zaniedbany kawał ziemi. Ciekaw jestem, czy on patrzy, jak idziemy.

Jasper i ja opuściliśmy ten dom równie gwałtownie, jak do niego weszliśmy. Gdy tylko Jasper wycisnął z Lionela wszystko, co ten widział tamtej nocy, oderwał się od ściany, o którą się opierał. Wiedział dosyć. Poruszał szczękami. Spojrzał jeszcze raz na fotografie na pianinie i wyszedł. A ja za nim. Żaden z nas nie powiedział do widzenia ani się nie odwrócił. Było mi nawet żal Jacka Lionela, że tak go zostawiamy samego w jego smutnym, małym muzeum.

Wiem, że zbliżamy się do polany, ale na tym kończy się moja pewność. Nie wiem, czego się spodziewać. Nie wiem, co ma do powiedzenia Eliza. Jakie światło rzuci na tę ciemną płataninę.

Busz nie spowalnia jej marszu. Idziemy wąskimi ścieżkami wydeptanymi przez kangury. Rozpoznaję znajome elementy krajobrazu. W nogi drapią mnie gałązki i kawałki kory. Idę blisko Elizy. Nasze ręce wciąż są lekko splecione. Dzięki temu ciągle czuję jej zapach. Ciągle mogę go wdychać i to mnie odurza. Mógłbym całe życie iść za tym zapachem.

Jednak to całe bzyczenie, cykanie i furkotanie dookoła mnie jeży mi włos na głowie. Nie chcę tu być. Mam wrażenie, jakbym cały był wielkim łądowiskiem dla owadów, które spacerują po mnie we wszystkich kierunkach. Włazą mi pod skórę i nie dają się strząsnąć.

Eliza Wishart zabiera mnie w miejsce, gdzie została zamordowana jej siostra. Cegła w moim brzuchu jest coraz cięższa. Nie wiem, ile jeszcze jestem w stanie znieść tej nocy.

Jest.

Jest. Ogromny eukaliptus rozpościera szeroko gałęzie. Wciąga mnie jego orbita. Tu się zatrzymujemy. Eliza opiera się plecami o płataninę gałązek zagrządzających drogę do polany Jaspera.

Obserwuję ją uważnie, z lekko pochyloną głową. Eliza rozkłada szczupłe ramiona i rozgarnia gałązki jak kurtynę. Nogi mam jak z waty. Jeszcze nigdy nie było mi tak ciężko.

– Byłeś tutaj już wcześniej – mówi po prostu. To nie jest pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

Kiwam głową, ale nie umiem spojrzeć jej w oczy.

Teraz Eliza Wishart przechodzi na drugą stronę kurtyny i znika mi z oczu jak duch. Powoli idę za nią.

Dziwnie się czuję, kiedy tutaj przychodzę. Powietrze tu jest inne. Wszystko jest takie nieruchome i jakby poza czasem.

Ale tej nocy, kiedy jestem z Elizą, czuję się jeszcze dziwniej. Jakbym naruszał czyjąś prywatność. Jest tak niesamowicie gorąco i cicho. Jakoś bardziej pusto, kiedy jego tu nie ma. Nagle odnoszę wrażenie, jakbyśmy byli obserwowani.

Idę za Elizą przez gęstą trawę ku wodzie. Siadamy pod drzewem. Trochę się trzęsę. Dokładnie nade mną jest obszar, w którym umarła Laura. Dziura w świecie, przez którą wypadła. Zastanawiam się, czy Eliza o tym wie.

Długo siedzimy w milczeniu. Nie wiem, gdzie patrzeć: na Elizę, na wodę czy na polanę. Wszędzie jest pełno kłamstw.

– Musimy sobie powiedzieć wiele rzeczy – zaczyna Eliza.

Kiwam głową.

– Chcesz mówić pierwszy?

– Nie. Nie bardzo. Jeżeli się zgadzasz.

Eliza się nie porusza, ale wydaje się, jakby skinęła głową. Potem wyjmuję coś z kieszeni spódniczki. Zgnieciony kawałek papieru. Obraca go w palcach.

– Co to jest? – pytam cicho.

– List.

– Do kogo?

– Do Jaspera Jonesa.

Ściągam brwi.

– Od ciebie?

– Nie.

Znów zapada cisza. Eliza rozkłada papier i składa znowu.

– Od Laury.

– Prosiła, żebyś mu go dała?

Eliza kręci głową i odwraca oczy.

– Znalazłaś go?

Eliza wzrusza ramionami i ciągle patrzy gdzieś nad wodą. Znowu milczymy. Wreszcie pytam z naciskiem:

– Co jest w tym liście?

– Masz takie dni, kiedy jesteś w ciemnej dolinie?

– Gdzie?

Eliza patrzy na mnie z lekką przyganą, jakbym czegoś nie chwycił.

– To jak chandra.

– Och, pytasz mnie, czy miewam takie nastroje?

Eliza trochę się prostuje.

– Nie. Chandrę masz wtedy, kiedy uważasz, że jesteś za gruby, albo kiedy za długo pada i jest ci po prostu smutno. A ciemna dolina jest potworna. Nagle czujesz przerażenie i nie wiesz dlaczego. Miałeś kiedyś takie uczucie?

– Właściwie to brzmi zupełnie jak opis tego, co czuję przez ostatnich kilka tygodni. Ciemna dolina.

– Naprawdę?

– Tak. A ty?

Eliza znowu patrzy przez wodę. Siedzimy i słuchamy owadów.

Potem ona się odwraca i spogląda mi prosto w oczy. W świetle gwiazd wygląda poważniej. Ma taką mizerną i napiętą twarz. Wpatruje się we mnie przez bardzo długi czas. Zastanawiam się, czy powinienem coś powiedzieć. Ale wtedy ona przerywa ciszę.

– Ja to zrobiłam, Charlie.

– Co zrobiłaś? – Muszę złapać się za ramiona, żeby opanować drżenie.

– Zabiłam ją. To moja wina. Zabiłam Laurę.

I Eliza opowiada.

Tak to było. A ja muszę to z siebie szybko wydobyć, strząsnąć, zetrzeć, bo to jest za trudne, za ciężkie do zniesienia. To dla mnie za dużo. Jeśli to we mnie zostanie, po prostu spłonę. Rozumiecie? Najgorzej jest wtedy, gdy się wie. To jest najgorsze. Żałuję, że musiałem się dowiedzieć. Chcę, żeby wrócił do mnie spokój. Chcę go mieć z powrotem. Ale wiem, że nie mogę. Więc: taktobyło. Eliza wiedziała o Jasperze Jonesie. Wiedziała, że jest z jej siostrą. Wiedziała, że się kochają. Wiedziała, że nocami dokądś chodzą. Ze swojego okna, które jest zaraz obok okna Laury, Eliza widziała, jak Jasper się zbliżał. Na początku, kiedy zaczął przychodzić, był ostrożny. Krył się w cieniu, poruszał wolno, czekał. Pod koniec stał się bardziej zuchwały. Szedł wyprostowany. Pukał w okno. Eliza widziała, jak Laura wyskakuje i odchodzi z nim przez trawnik. To się działo przez cały rok. Nawet w najzimniejsze noce. Przemykali przez zmrożony trawnik i zostawiali za sobą Elizę pogrążoną w domysłach. A kiedy się ociepliło, zdarzało się to coraz częściej. Ostatnio prawie

co noc. Eliza zawsze chciała wiedzieć, dokąd oni chodzą. Wyobrażała sobie, że nad rzekę, może gdzieś pod stary most. Była ciekawa i zazdrosna. Chciała iść za nimi, chociaż wiedziała, że nie powinna. To wszystko wydawało jej się takie romantyczne. Trochę jak z książki. Jak z bajki. Zawsze wymykali się ciemną nocą, a Laura wracała przed świtem. Córka miejskiego notabla i wyrzutek, niebezpieczny chłopak, z którym chciały się umawiać wszystkie dziewczyny. Czasami Laura i Jasper obejmowali się lekko przed rozstaniem. Potem on do niej mrugał i odchodził. Ci dwoje zdawali się tak bardzo do siebie pasować. A potem, pod koniec listopada, kiedy lato stało się nieznośnie upalne, Jasper nagle przestał przychodzić. Eliza się zastanawiała, czy oni już się nie lubią. To się wydawało takie smutne, ale Eliza czuła też pewną satysfakcję, że Laurze nie jest już dane to coś, czego ona sama nigdy nie zaznała. Słuchajcie. Taktobyło. Nie mogę tego dłużej utrzymać w sobie. To jest jak gejzer. Jak wybuch. Eliza nie wiedziała, nigdy nie wiedziała, że jej ojciec, przewodniczący rady, nigdy nie wiedziała, że on też przychodzi w sekrecie do Laury. On nie pukał cichutko. On się wdzierał. Pijany. Zawsze pijany i zawsze w tajemnicy. Nie było zamków w drzwiach. To wszystko było, uważacie, w tym liście. Dużo wcześniej niż Jasper Jones zaczął przychodzić pod jej okno. Odkąd była dziewczynką w wieku Elizy. Taktobyło. Strzela korek z butelki, pędzi pociąg bez hamulców. Tamtej nocy, kiedy ja czytałem, coś się działo. Coś wzbierało i ogromniało. W domu Wishartów od wielu dni było jakoś dziwnie. Panowało ponure napięcie. Coś jak rozprzestrzeniająca się choroba. Pojawił się kłopot. Eliza starała się trzymać z daleka, jak zawsze kiedy coś niedobrego wisiało w powietrzu. Matka wydawała się taka sama jak zwykle, choć jakby trochę nieobecna. Ojciec był głośniejszy i bardziej agresywny niż zwykle, a jego opanowanie wydawało się kruche. Teraz ciągle śmierdział alkoholem i tytoniem. A Laura, która tego roku jakoś się im wymknęła, nic nie jadła, nie rozmawiała i nie śmiała się już jak dawniej ze swoją młodszą siostrzyczką, była bardziej eteryczna niż kiedykolwiek. Wydawało się, jakby w ogóle nie było jej w domu.

Jakby była duchem. Wychodziła ze swojej sypialni tylko wtedy, kiedy miała do zrobienia jakieś prace domowe. Eliza myślała, że Laura musi być przygnębiona z powodu Jaspera Jonesa, ale chociaż chciała ją o to zapytać, jakoś nie mogła. Taktobyło. Tamtej nocy doszło do kłótni. W kuchni padały słowa, których Elizie nie wolno było słuchać. Odesłali ją do jej pokoju. I tak nie chciała przy nich zostać. Siedziała u siebie i czytała, z kotem na kolanach. Słuchała Elli Fitzgerald i cicho nuciła. Próbowwała wykroić trochę przestrzeni dla siebie. Taki mały bąbelek na ziemi – tylko dla niej. I w nim trwała. Ale nie był dość gruby. I zanadto kruchy. Bo później tego wieczoru w pokoju Laury, który przylegał do sypialni, rozgrywała się jakaś przepychanka i Eliza zaczęła się bać. Z głową tuż przy ścianie słyszała ich głosy, chociaż nie rozpoznawała słów. Wiedziała, że to Laura i ojciec. Kłótnia znowu rozgorzała. Wyczuła jakiś ruch. Słyszała dziwne piski i szurania. Dźwięki, które mózg Elizy uznał za odgłosy wydawane przez dwie mocujące się osoby. A potem Laura zaczęła krzyczeć, wrzeszczeć, potem jej głos stłumiły dźwięki, które sprawiły, że Eliza poczuła mdłości. Takjeszczenigdyniebyło. Usłyszała uderzenia i skowyt. Poczula, że coś walnęło o deski podłogi. I odbiło się od ściany dzielącej pokoje, a potem osunęło na ziemię. A potem trzasnęły drzwi. Zabrzmiało to głośno jak wystrzał. Eliza się poderwała. Cały dom się zatrzęsł, rozumiecie? Płatki farby odpadły z miejsca, gdzie na suficie zamocowana jest lampa, i sfruwały jak konfetti. Jak śnieg. Potem usłyszała kroki. I nagle nastąpiła cisza. Zagarnęła wszystko jak fala odpływu. Eliza się zastanawiała, czy wolno jej wyjść z pokoju. Ale uzmysłowiła sobie, że nie chce wychodzić. Bała się. A poza tym, gdzie jest matka? Gdzie ona była, kiedy to wszystko się działo? Eliza usłyszała, jak ich samochód warczy przy zapalaniu, i odsunęła zasłonę. Zobaczyła, jak ojciec niebezpiecznymi zakosami wyjeżdża na drogę. Potem przez ścianę, która oddzielała je od siebie, usłyszała płacz Laury. Ale nie opuściła swojego bąbelka. Pozostała w nim. Była w nim bezpieczna. Nie wyszła, chociaż czuła zmieszanie i niepokój. Sądziła, że Laura może ją przepędzić ze złością. Przez jakiś czas potem dom pozostawał

cichy. Kiedy już pogasły światła w sąsiedztwie i ludzie poszli spać, Eliza usłyszała znajome skrzypnięcie okna Laury. Skrzyp, skrzyp, cisza. Poderwała się z łóżka i przycisnęła twarz do szyby. Laura odchodziła, ale Jaspera nie było. Laura miała na sobie koszulę nocną. Spieszyła się. Była sama. Miała bose stopy, więc na pewno nie wybierała się daleko. Może tylko na koniec ulicy. A jednak coś było nie tak. Eliza pomyślała, że może Laura jest lunaticzką i podąża za czymś, czego Eliza nie może dostrzec. Zaniepokoiła się. To niepokój wyciągnął ją z pokoju w tę gorącą noc i sprawił, że ruszyła za siostrą. Trzymała się w bezpiecznej odległości. To było niewłaściwe i podniecające. Nigdy wcześniej nie przebywała sama poza domem o takiej porze. Ciało jej pulsowało, serce waliło. Wszystko inaczej pachniało, inaczej wyglądało, drzewa miały dziwne kształty. Eliza była przekonana, że Laura idzie na spotkanie z Jasperem. Ale co się stało w pokoju? Co to była za kłótnia? Dlaczego Laura krzyczała? O co chodziło w tym sporze? Czy ojciec przewrócił Laurę? Czy to usłyszała przez ścianę? I czemu odjechał tak szybko i w takiej złości? Ostatnio wszystko stało się takie przerażające. Eliza starała się to ignorować, ale to wzbierało i ogarniało ją ze wszystkich stron. Narastało, aż wreszcie na nią runęło. Teraz musi wiedzieć. Jeżeli to nocne wyjście niczego nie wyjaśni, przepytta siostrę jutro rano. Musi się w końcu dowiedzieć. Taktobyło. Eliza stąpała cicho, ciągle jeszcze pod wrażeniem tego, że po raz pierwszy tak późno znajduje się poza domem. Laura szła szybko, pochylona do przodu i ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Maszerowały długo. Elizie zdawało się, że całą wieczność. Laura ani razu się nie odwróciła. Minęły stację, rozlewisko rzeki Corrigan, most, tereny piknikowe. Przeszły obok starych gospodarstw, od których rozpoczął się rozwój Corrigan. Minęły zaniedbaną posesję Szalonego Jacka Lionela. W jego domu jeszcze paliło się światło. Eliza się zatrzęsała, kiedy sobie uzmysłowiła, gdzie jest. Rozważała powrót. Ale już ją wciągnęło. Potem już nie mogła się wycofać, szczególnie kiedy dotarły do buszu i weszły w zarośla. Bała się, że straci Laurę z oczu. Kilka razy już jej nie widziała. Wtedy się zatrzymywała i nasłuchiwała czujnie, po

czym ruszała dalej ze spuszczoną głową, wypatrując ścieżki. Była przestraszona i oszołomiona. Podrapały ją gałązki i kolce. Żałowała, że uległa temu impulsowi. Dokąd idą? Dokąd chodziła Laura przez cały rok? Gdzie jest Jasper Jones? Czy czeka na końcu drogi? Nic nie wiedziała. Czuła się mała, zbyt mała, jak dziecko. Kiedy Laura zatrzymała się pod wielkim eukaliptusem, miękko przeszła przez zasłone gałązek i zniknęła jej z oczu, Eliza poczuła nagły dreszcz. Strasznie chciała zawrócić. Pokręciła się jednak trochę i ukryła za krzakiem. Rozchyliła gałązki i zobaczyła tę dziwną, małą polankę. Przykucnęła i uważnie obserwowała Laure. Była oszołomiona tym miejscem. Zrozumiała, że to zapewne zakątek, do którego oni chodzili przez cały ten czas. Miejsce było idealne. Takie piękne i odosobnione. Mały, bąbelek na ziemi. Tajemniczy ogród. Jej siostra podeszła do eukaliptusa wznoszącego się nad taflą wody i zagłębiła się w wielkiej dziupli u stóp pnia. Kiedy się wynurzyła, sprawiała wrażenie, jakby czegoś wypatrywała. Eliza wstrzymała oddech. Ale Laura się odwróciła i usiadła nad wodą. Głowę oparła na kolanach. Eliza bardzo chciała do niej pójść, wiedziała jednak, że jeśli się ujawni, to się jej dostanie. Zresztą i tak się wydawało, że Laura na kogoś czeka. Eliza domyślała się, że na Jaspera. Sądziła, że jeżeli teraz wynurzy się z zarośli, to ją rozczaruje. Taktobyło. Laura podniosła się i zaczęła krążyć wokół drzewa. Wydawała się niespokojna. Szarpała włosy. Kilka razy zaglądała do dziupli. Raz wyszła, trzymając coś w rękach. Usiadła. I zaczęła płakać. Trzymała się za brzuch i bujała się nad wodą. Elizie trudno było na to patrzeć. Chciała do niej podbiec i ją objąć. Sama też cichutko płakała, patrząc na tę scenę z ukrycia. Musiała się ugryźć w zaciśniętą pięść. Musiała patrzeć w inną stronę. Bardzo chciała wiedzieć, co się stało, ale utknęła w pułapce własnej niedyskrecji. Strasznie trudno było patrzeć na to wszystko, jakby to był zamazany film. Taktobyło. Laura pochyliła się i skupiła na czymś, co trzymała na kolanach. Wydawało się, że coś pisze. Potem wstała. Założyła ręce na piersiach i zwiesiła głowę. Eliza widziała, że ramiona jej się trzęsą. Potem obserwowała, jak Laura zbliża się do eukaliptusa. A potem, nagle, z

siłą, która zaskoczyła jej siostrę, Laura wspięła się po pniu. W niektórych miejscach były zagłębienia, gdzie mogła postawić stopę, gdzie indziej po prostu się podciągała na niższych gałęziach. Bosymi stopami wyrywała płaty kory. Nocna koszula zwisała luźno. Chwilami Laura odpoczywała, ale wydawało się, że wchodzi coraz wyżej bez większego trudu. I bardzo pewnie. Eliza była pod wrażeniem. Mimo wszystko wydawało się, że Laura jest niebezpiecznie wysoko. Eliza chciała, żeby siostra już zeszła. W innych okolicznościach krzyczałaby z całych sił. Żądałaby, żeby Laura schodziła. Laura siedziała na grubym konarze, który sięgał aż nad wodę. Eliza bała się, że Laura skoczy. To wyglądało groźnie. Bała się. Ale Laura tam w górze sprawiała wrażenie odprężonej. Rękami trzymała się gałęzi i machała nogami. Długo siedziała na konarze. Eliza rozmyślała. Usadowiła się wygodnie. Usiadła ze skrzyżowanymi nogami, oparła brodę na dłoni. I czekała. Może Jasper nadejdzie. Może Laura potrzebowała po prostu jakiegoś ładnego, spokojnego miejsca, żeby posiedzieć i zebrać myśli. Miała ostatnio okropne przejścia. Może po prostu potrzebowała takiego miłego zakątka. Takiej fortecy, takiego zamku. Taktobyło. Szybko. Zbyt szybko. Eliza nie miała dość czasu, żeby pomyśleć czy zadziałać. Jej myśli płynęły daleko, były zupełnie oderwane od tego miejsca. Chyba nawet trochę drzemała. Nie zauważyła liny okręconej wokół konara. Widziała ją, ale myślała, że to naturalne zgrubienie gałęzi albo skłębiona kora. Była więc tylko lekko zaskoczona, kiedy odwinęta lina zawisała luźno. Nie zaniepokoiło jej to. Nie przeraziło. Szybko, szybko. Kiedy ukazała się pętla, Eliza była jeszcze trochę nieprzytomna, rozumiecie? Taktobyło. Laura była odwrócona plecami do siostry i do miasta, trzymała ręce blisko szyi, jak ojciec, kiedy rozluźnia krawat. A potem odchyliła się do tyłu i opadła. Eliza pamięta, jak ją zaskoczyło, że Laura nie dotknęła ziemi. To się stało tak szybko. Laura szarpnęła się, zaczęła się bujać i kręcić, a między nią a ziemią pozostawała luka. I cisza. Biały szum. Eliza nie podbiegła, nie krzyknęła. Zmroziło ją. Wszystko stanęło. Wszystek ruch ustał. Rozumiecie? To była pomyłka. Na pewno. To się nie

zdarzyło. Przyśniło jej się. Zasnęła. To był urywek snu. Ale nie. Ona tam jest. Tam jest. Nie walczy. Wisi jak worek. Leciutko się buja. Wolno się okręca. I wreszcie zamiera, a wtedy nagle wszystko do Elizy dociera. Rzuca się w tamtą stronę ze swojego ukrycia i ciągnie siostrę, aż sobie uświadamia, że to już nie pomoże. Laura odeszła. Jest jak zdmuchnięta świeca. Spadła. Znikła. Wciągnęło ją i połknęło coś niewidzialnego. Eliza wpada w panikę. Coś zaszeleściło pod jej stopami. Zapisany kawałek papieru. Podniosła go. Włożyła do kieszeni. Nie wiedziała, co robić. Trzęsa się. Czują, jakby wszystkie jej kończyny należały do kogoś innego. Chciało jej się płakać i krzyczeć, ale usłyszała, że ktoś się zbliża. Nabrała powietrza. Pobiegła do miejsca, gdzie wcześniej się ukrywała. W ostatniej chwili. Musiała mocno zagryźć zęby, żeby przestały szczełkać. Nigdy w życiu tak się nie bała. To wszystko było jakąś potworną pomyłką. Oplotła się ramionami, wbiła paznokcie w żebra i czekała. Oddychała tak płytko jak to tylko możliwe. Była bliska załamania. Wtedy pojawił się Jasper Jones. Przeszedł przez kurtynę gałązek. Kilka żółtych drobinek zostało mu we włosach. Zatrzymał się. Eliza obserwowała go uważnie i rozpoznała moment, kiedy zrozumiał. Wydał jakiś zwierzęcy odgłos podobny do jęku. I natychmiast podbiegł do Laury, próbował ją podnieść, unieść jej ciało, żeby umożliwić jej oddychanie. Ale ona odeszła. Nie miało już znaczenia, jak wysoko starał się ją unieść, jak rozpaczliwie do niej krzyczał głosem, który Elizie jeżył włosy na głowie. Eliza patrzyła na te nieporadne zmagania i oddychała w tempie miliona razy na minutę. To był jakiś makabryczny taniec. Jakież gotyckie przedstawienie. Eliza się trzęsała. Zapłakałaby wtedy, zaczęła krzyczeć i lamentować, gdyby Jasper nagle nie uskoczył i nie wybiegł z polany. Znowu była sama. Zaczęła się skradać. Nie miała wyjścia. Musiała iść za nim. Inaczej nie trafiłaby z powrotem. Nie wiedziała, gdzie jest. Nie chciała jednak zostawiać siostry. Eliza Wishart ostatni raz spojrzała na Laurę i przeszła przez zasłonę z gałązek. A Jasper oczywiście szedł za szybko, za szybko. Za dobrze znał drogę. Eliza prawie natychmiast się zgubiła. Przedzierała się i

szła dalej zmęczona i samotna. Szła drózkami, które wydawały się najbardziej wydeptane. Czuła, że się beznadziejnie gubi. Ale to nie miało znaczenia w obliczu tego, czego właśnie była świadkiem. Taktobyło. Wydawało jej się, że zagłębia się w busz. Czuła się już zupełnie skonana, kiedy dotarła do rzeki, która wydała się swojska. Upadła na kolana i łkała tak długo, aż wymiotowała do wody. Płakała, bo czuła strach. Było jeszcze za wcześnie na żal. To było za świeże. Coś w niej wybuchło i pozostawiło wewnątrz czarną dziurę, która zassała i wciągnęła wszystko. Eliza chciała zanurkować. Pragnęła zanurzyć się, popłynąć, być porwana przez prąd, nieważne, co by się z nią stało. Ale została w miejscu i kołysała się, aż lekkie światło świtu zaczęło przenikać przez gałęzie. Wtedy się podniosła. Zaczęła iść wzdłuż rzeki z nadzieją, że doprowadzi ją do miasta. I tak się stało. Kiedy Eliza doszła do starego mostu, jej koszula nocna była porozdzierana przez jeżyny, a nogi pełne czerwonych zadrapań. Stopy miała zdarte. Ale zdołała wrócić do domu, zanim Corrigan się obudziło. Bez siostry. Eliza przemierzyła trawnik. Samochodu nadal nie było. Światła były pogaszone. Ptaki śpiewały na powitanie słońca. Eliza niezdarnie wpełzła przez okno, które zostawiła otwarte, do swojej sypialni. Zaczęła czytać z kotem na kolanach. Czytała list, który nie był dla niej przeznaczony. Został napisany do Jaspера Jonesa. Był nieuporządkowany, pisany nieregularnym pismem, bardzo wprost. Nagryzmołony. To ukłuło ją w samo serce, bo Laura miała piękny, staranny charakter pisma. Ten list dobił Elizę. To był najsmutniejszy i najbardziej nasycony złością tekst, jaki widziały jej oczy. Taktobyło. Chcieli razem uciec. Laura i Jasper. Chcieli odejść do innego miasta. Zacząć nowe życie. Mieli nikomu nic nie mówić. I mieli nigdy tu nie wrócić. Mimo wszystko Eliza poczuła zimne ukłucie zdrady. Istniało jakieś drugie życie Laury, do którego ona nie miała dostępu. Cały świat, bąbelek, w który jej nie wpuszczono. A potem Jasper Jones znikł. Laura była zdezorientowana i zmartwiona. Myślała, że Jasper ją zostawił. Ja wiedziałem, że Jasper przez całe dwa tygodnie pracował w sadach, ale Laura spodziewała się najgorszego. Myślała, że ją porzucił i odszedł do miasta sam. Że

wcale jej nie kochał. Że złamał obietnicę. A jej przypuszczenia potwierdziło to, że na polanie nie znalazła świeżych śladów jego obecności. Palenisko było spopieliałe. Miejsce, gdzie sypiali w dziupli, nienaruszone. Laura tamtej nocy czekała, żeby się z nim spotkać. Gdyby Jasper się pojawił, powiedziała mu o pewnych rzeczach. Wszystko chciała mu opowiedzieć. I chciała go błagać, żeby razem uciekli jeszcze przed świtem. Bo miała Kłopot. Musiała odejść. Teraz. Natychmiast. I potrzebowała go. Bo on był najsilniejszy w mieście. Bo ona nie miała siły odejść sama. Bo mieli uciec razem. Bo coś w niej rosło. Rozumiecie? Coś było bardzo nie w porządku. Miarka mlecznej trucizny zainfekowała ją i Laura miała kłopot. Była zepsuta w środku. To było coś gorszego niż choroba. Laura musiała odejść. Nie wiedziała, co innego mogłaby zrobić. Bała się. Była skalana. I wtedy zdecydowała się to powiedzieć. Wskazać palcem. W końcu. Tego wieczoru sprzeciwiła się. To wszystko było w tym liście. Przełknęła wstyd i powiedziała matce o wszystkim, co działo się pod jej dachem przez cały ten czas, i o tym, co w niej po tym zostało, i o Kłopocie. Powiedziała jej, dlaczego musiała tak często wykradać się z Jasperem Jonesem, mimo że ją przed nim ostrzegano. Powiedziała matce, dlaczego nie może dłużej zostać w tym domu. Wyznała, jakie zło ją spotykało nocami. Jakie ponure i groźne zdarzenia rozgrywały się w jej pokoju. Dlaczego musiała się wymykać w miejsce, gdzie była bezpieczna, coraz częściej, kiedy tylko mogła. A matka jej nie uwierzyła. Możecie to sobie wyobrazić? Nie uwierzyła ani jednemu słowu. Broniła go. Wstała i nazwała Laurę kłamczuchą. Zrobiła to własnej córce. A on? Siedział spokojnie przy stole, bez słowa. A kiedy potem wpadł do jej pokoju, syczał, uśmiechał się pożądliwie i groził jej. Nawet nie było mu przykro. Nie było w nim miłości. A ona stawiała opór, krzyczała i wysilała chude ramiona z całą odwagą, która w niej została, a on podniósł rękę i uderzył ją mocno w twarz, czego nigdy wcześniej nie robił. Przewrócił ją i zasłonił jej usta ręką. I uderzył ją jeszcze dwa razy, z całej siły w sam środek ciała. Dokładnie tam, gdzie był Kłopot. A kiedy walczyła, żeby zaczerpnąć tchu, wykręcił jej głowę i z czerwoną, brzydką twarzą, wydechając

kwaśny, alkoholowy zapach, ostrzegł ją, żeby już nigdy nie powiedziała ani słowa. Nikomu. I wyszedł. Ostatnim aktem oporu Laury było rzucenie za nim szklanym przyciskiem do papieru. Nie trafiła. Przycisk rozbił się o drzwi. Itaktobyło. Laura uległa. Nigdy więcej nie powiedziała ani słowa. Opuściła ją odwaga. Jej miejsce zajęło przerażenie. Ale jednak napisała. Wiele napisała. Przeląła to na Jaspera Jonesa. Czuła się opuszczona, miała złamane serce, była przepelniona goryczą i rozbita. Było tak, jakby teraz chciała, żeby on ranił tak, jak ona raniła. Nic już więcej na tym świecie jej nie zostało. A potem poleciała do tyłu z konara, jak nurek z burty łodzi, trzymając list w ręce. Jednym kamieniem trafiła i zabiła dwa ptaki. Kiedy wychodziła ze swojego pokoju, wiedziała, że robi to po raz ostatni. Itaktobyło. Koniec. Koniec.

Eliza czyta mi list, dziwnie akcentując. Jakby ta historia jej nie dotyczyła, a słowa nie miały treści. Jakby opowieść mówiła o ludziach, którzy nic dla niej nie znaczą, o fikcyjnych postaciach, których nigdy nie spotkała. Jakby to był sen, z którego właśnie się obudziła.

Kartki, których brakowało, są teraz na swoim miejscu. Eliza Wishart uporządkowała bałagan, ale nie wniosła tym radości, tylko smutek. Smutek płynący z wiedzy. To okropne. Ta historia brzmi jak dramatyczna mistyfikacja, ale jednak ma więcej sensu niż oskarżanie Jacka Lionela czy jakiegoś innego podejrzanego osobnika. Czuje się, że to prawda. Laura rzeczywiście mogła przyjść tu sama i wspiać się na drzewo. To ojciec zostawił zadrapania na jej twarzy, a w brzuchu strach i truciznę. Rozpacz wygnała ją z domu w nocnej koszuli, bez butów. I wszystkie inne sprawy też złożyły się na to, że upadła.

Rozpoczął to jej ojciec. Zakończyła Laura. A Eliza czuje się winna, bo na to wszystko patrzyła. Tak mi jej żal. Nie wyobrażam sobie, jak ciężko jest ukrywać w sobie coś takiego przez cały czas.

Laury Wishart nie porwał Szalony Jack Lionel. Wydaje się jednak, że wyciągnęło po nią ręce coś znacznie bardziej ponurego i przerażającego. Ta sama siła, która spowodowała, że podejrzewaliśmy Jacka Lionela. Ta sama, która odebrała mi apetyt i sen i sprawiała, że trząsałem się na widok ważki. Siła, na której skutek to miasto tak łatwo zamyka się w sobie, wytyka palcem i zwołuje dzieci do środka. Laura już nie mogła wytrzymać. Nie miała nikogo, kto by ją przed tym osłonił.

Siedzę i patrzę na konar, na którym siedziała Laura. Moja ciemna strona wścieka się teraz na Elizę, że wzięła ten list. Myślę, jak inaczej potoczyłoby się wszystko, gdyby Jasper Jones znalazł go tamtej nocy. Ja pozostałbym poza tym wszystkim. Siedziałbym bezpieczny w swoim pokoju. Być może poczytałbym chwilkę dłużej. A potem zasnął, jak zawsze. Obudziłbym się jak zwykle. Nigdy nie poznałbym Jaspera Jonesa, nie wkroczył w jego historię, nie zaznał tej ohydnej cegły w brzuchu. Niestety, melancholia i trwoga pozostałyby zaledwie słowami, które znam, i byłyby dla mnie tak jak słowne perełki, które gromadziłem i przechowywałem w walizce. Nie zawładnęłaby mną Laura Wishart. Nigdy nie pomagałbym przywiązać jej ciała do kamienia. Nie nosiłbym w sobie ciężkiego głazu smutku. Nigdy nie musiałbym strzec takiej tajemnicy. Nie miałbym tego głupiego poczucia winy. Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Nie oskarżylibyśmy starego, samotnego człowieka o morderstwo. Nie przeczytałbym o tych strasznych rzeczach, które ludzie wyrządzali sobie nawzajem. Nie przyłapałbym matki. Nie wiedziałbym. Mógłbym trzymać Elizę Wishart za rękę i nie bać się, że może robię to ostatni raz.

Może jednak dobrze się stało, że ten list nie dotarł do Jaspera Jonesa. Nie wiem, co by zrobił, ale wątpię, że przyszedłby wtedy pod moje okno. Przypuszczam, że ruszyłby prosto do jej starego. I lepiej nie myśleć, co by zrobił, gdyby już tam dotarł. Może właśnie tego chciała Laura. Zgodnie z tym, co myślała, obaj strasznie ją skrzywdzili.

Nie ma co tego roztrząsać. Nie mogę winić Elizy, że schowała w kieszeni wszystkie odpowiedzi, tak samo jak nie mogę obwinić Jaspера Jonesa o to, że nadszedł kilka minut za późno. Gdyby Jasper przyszedł wtedy na czas, Laura ciągle by tu była. Nadal by żyła.

Boję się reakcji Jaspера, kiedy się o tym wszystkim dowie. Kiedy zrozumie, że rzeczywiście mógł powstrzymać Laurę. Już nigdy sobie nie wybaczy. Dlatego chciałbym ukryć przed nim prawdę. Schować ją, zatopić i pozwolić, żeby wierzył w jakąś inną historię.

Eliza się pochyla.

– Teraz twoja kolej. Musisz mi powiedzieć, Charlie.

– Co?

– Skąd znasz Jaspера Jonesa. Jak to się stało, że byłeś tu z nim.

– Skąd wiesz, że tu byłem?

– Bo odchodząc stąd pewnej nocy, usłyszałam, że ktoś idzie. I to byliście wy. Szedłeś z nim.

– Wróciłaś tu?

– Tak.

– Jak udało ci się tutaj znowu trafić?

– Jakoś zapamiętałam drogę. Nie umiałam zapomnieć. Poza tym to nie takie trudne, kiedy się trzymasz kierunku i nie panikujesz.

Milczę przez chwilę, a potem patrzę nad jej ramieniem na drzewo.

– To ty wyryłaś to słowo.

Eliza spogląda za siebie i kiwa głową.

– Zrobiłam to starym kluczem, który znalazłam w dziupli. Przyszłam tu, żeby zobaczyć Laurę. Kiedy trochę ustały te wszystkie patrole i poszukiwania i kiedy matka przestała zaglądać do mojego pokoju co pół godziny, wymknęłam się. Musiałam ją znowu zobaczyć. Musiałam jej coś powiedzieć. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale, Charlie, nie pomyślałam, że jej nie będzie.

Czuję, że Eliza na mnie patrzy. Nie potrafię spojrzeć jej w oczy.

– Co Jasper z nią zrobił? – pyta. – Wiesz? Gdzie ona jest?

Patrzę na swoje stopy i przygryzam wargę. Śliska ścieżka. Kusi mnie, żeby kompletnie wyłączyć z historii siebie. Mógłbym zwalić to na Jaspера i uciec. Zrobić z niego kozła ofiarnego. Mógłbym się uwolnić od całej tej sprawy. Umyć ręce. Eliza nie musi wiedzieć. Wtedy nie będzie miała powodu, żeby mnie nienawidzić.

Ale nie mogę. Nie umiem tak postąpić. Nie zatrzymam tego w sobie. Wiem, że mówiąc o tym, złamię dane słowo, ale to tak długo we mnie wzbierało. Koniec. Koniec. Wskazuję palcem wodę.

– Jest tam. Na dnie.

– Tam?

– Tak.

– Wrzucił ją do wody?

Niemal przegryzam wargę.

– Obaj to zrobiliśmy. Obaj. Ja też tu byłem. Przyprowadził mnie tutaj jeszcze tej samej nocy. Tamtej nocy, kiedy Laura... Przepraszam. Tak mi przykro.

– Przyszedłeś tutaj tamtej nocy? Charlie, ty wiedziałeś? I ty to zrobiłeś? – Eliza pokazuje wodę.

Kiwam głową.

– Jasper przyszedł pod moje okno zaraz po tym, jak stąd zniknął. Nigdy wcześniej z nim nie rozmawiałem. Powiedział, że potrzebuje pomocy. Nic nie wiedziałem, naprawdę. Po prostu poszedłem za nim. I zobaczyłem ją. Zobaczyłem Laurę. Tak samo jak ty.

– Wiedziałaś? Cały czas wiedziałaś?

Znowu kiwam głową. Czuję się okropnie, ale jakoś inaczej.

– Zobaczyłem ją tam, w górze, i to było potworne. To była najstraszniejsza rzecz, jaką widziałem w życiu. A Jasper nie wiedział, co robić. Ani przez chwilę nie sądził, że ona mogła to zrobić sama. Był przekonany, że ktoś za tym stoi, ze względu na twarz Laury, na podartą koszulę, na zadrapania i na to, że była bez butów. Nie przypuszczał, że mogła wejść tak wysoko, a nawet że umiałaby sama tutaj trafić. Nie wiem. Teraz to się wydaje głupie. Ale naprawdę tak myśleliśmy. No wiesz, że ktoś ją tutaj przyprowadził i jej to zrobił. Jasper był przerażony, bo to jest jego miejsce i gdyby ją tu znaleźli, to by powiedzieli, że to on. Zamknęliby go bez zadawania dalszych pytań. Dlatego powiedział, że musi ją ukryć. Żebyśmy mieli dość czasu, by odkryć, co się stało. Więc wszedł na drzewo i odciął Laurę. I przywiązaliśmy ją do kamienia. I...

Potrząsam głową. Eliza nic nie mówi.

– Proszę, nie znienawidź mnie – dodaje cicho. Wykręcam rękę, jakbym chciał je sobie ukreć w nadgarstkach.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, Charlie? To naprawdę boli.

Wykręcam rękę.

– Nie mogłem. Chciałem. Naprawdę chciałem, ale obiecałem Jasperowi. I nie wiedziałem, co ty wiesz. Nie wiedziałem, co zrobisz, jak ci powiem. Gdybyś opowiedziała mi o tym wszystkim wcześniej...

– Milknę.

Znowu zapada cisza. Wyrywam źdźbła trawy. Mam spuszczoną głowę. Eliza się nie rusza. Jest spokojna. Czuję się taki zmęczony.

– Dlaczego Japser przestał spotykać się z moją siostrą? Już jej nie kochał?

– Nie. Nie, to nie było tak. Ciągłe ją kochał. Bardzo. Był w sadach na południu. Zbierał owoce. Gromadził pieniądze, żeby mogli jakoś wystartować, kiedy razem odejdą. Tak mi powiedział. Wrócił tamtej nocy ze wszystkimi oszczędnościami. Poszedł prosto do waszego domu, ale Laury nie było w pokoju.

– A potem przyszedł tutaj. Za późno.

Kiwam głową.

Cholerny pech. To takie niesprawiedliwe. Laura Wishart nie zrobiła nic złego. Nic, czym by zasłużyła na coś takiego. A dwoje ludzi, którzy najbardziej ją kochali, cierpi. Oboje czują się winni czemuś, o czym nie mieli pojęcia. A potwór, który podpalił ten lont, żyje sobie, otoczony współczuciem całego miasta. To nie w porządku.

– Dlaczego wydrapałaś to słowo na drzewie? – pytam Elizę.

– Bo to moja wina, Charlie.

– Nie.

– Tak. Mogłam ją powstrzymać. Mogłam coś powiedzieć. Mogłam wyskoczyć i powiedzieć, że ma zejść na dół. Ale nic nie zrobiłam. Siedziałam i patrzyłam, bo się bałam. Zabiłam ją, Charlie. To tak jakbym patrzyła z brzegu na tonącego i nie popłynęła na ratunek. To moja wina.

– Nie, to nie twoja wina.

– Moja. Nie było cię tu, Charlie. Miałam bardzo dużo czasu, ale nic nie zrobiłam. Po prostu tutaj siedziałam. A ona odeszła... Po prostu. A ja nic nie zrobiłam.

– Przecież nie wiedziałaś, co się stanie. Nie wiedziałaś, że ktoś tonie. Nie mogłaś wiedzieć.

– Może. Ale tak mi przykro. Po prostu. Czuję się okropnie i tęsknię za nią. Chciałabym z nią porozmawiać. Tak mi źle. Jakby mi coś wyrwano ze środka. Już nawet nie umiem normalnie oddychać. Chcę... przeprosić. – Eliza potrząsa głową i przykłada rękę do piersi.

– Ja też chcę przeprosić – mówię. – Za wszystko. Za to, co zrobiliśmy. Nie wiem. Rozumiem, że to było złe, ale Jasper potrafi człowieka przekonać. Nie chciałem, żeby wpadł w kłopoty. A miałyby prawdziwe kłopoty. Na pewno.

– Jasne, Charlie. Rozumiem. To nie ma znaczenia. Laura i tak już nie żyła. Odeszła. I wcale cię nienawidzę. Dziwne, ale nawet w pewien sposób lepiej się czuję, kiedy już wiem, że to widziałaś. Bo dzięki temu wiesz, co ja czuję, lepiej niż ktokolwiek inny.

– Myślę, że tak.

– Charlie, zależy ci na mnie?

– Tak – odpowiadam zdecydowanie. – Bardzo.

Eliza uśmiecha, się słabo. Robią jej się dołeczki. Trochę się czerwieni. Ona klepie trawę obok siebie: zaprasza mnie, żebym usiadł bliżej. Przysuwam się. Nasze nogi się dotykają. Eliza się pochyla. Ja odchylam się do tyłu i patrzę na nią.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – wybucham nagle. – Czemu tego nie ujawniłaś? Przez te poszukiwania i reporterów z gazet? Miałaś list Laury. Wiedziałaś, gdzie jest. Wiedziałaś, co się stało. Mogłaś to zakończyć. Za jednym zamachem.

– Bałam się – mówi Eliza cicho.

– Czego?

Eliza wzrusza ramionami i jeszcze bardziej się pochyla. Pociera dłonie.

– Ojca?

Eliza nic nie mówi. To chyba potwierdzenie. Ociągam się z następnym pytaniem. Wzdycham i drapię się w ucho.

– Czy on... no, czy on kiedykolwiek...

– Nie – przerywa mi ostro. – I nigdy tego nie zrobi. Nigdy. Cholerny oblech. Ten...

Eliza wzdryga się nagle i szybko potrząsa głową, jakby chciała zrzucić z włosów ziarenka, które na nie opadły. Wstaje i strzepuje trawę z sukienki. Odwraca się i podaje mi rękę. Chwytam ją, a ona mnie winduje. Wstaję. Stoimy bardzo blisko siebie. Eliza jakoś tak jaśnieje. Jakby stała się inną osobą.

– Umiesz tańczyć walca, Charlie?

Znowu powrócił ten dziwny akcent. Eliza trzyma mnie za rękę i kładzie moją dłoń na swoim biodrze.

– Nie – odpowiadam i patrzę na stopy. – Pojęcia nie mam, jak się tańczy walca. W ogóle tańczę jak pingwin. Bujam się na boki i tyle.

Ku mojemu zdumieniu Eliza odrzuca głowę i śmieje się teatralnie. Muszę podtrzymać jej plecy, żeby nie upadła. Nadal się uśmiecha, a ja na chwilę o wszystkim zapominam. Eliza zdejmuje moją rękę z biodra i zabawnie przesuwam mi palcem po nosie.

– Wiesz, co ci się teraz przytrafi? Zaprowadzę cię do zoo i rzucę jakom na pożarcie.

– Jakom?

– Tak.

– Nigdy nie sądziłem, że jaki są drapieżne.

Przestępujemy z nogi na nogę.

– Och, jakże się myliłeś.

Uśmiecham się do siebie i opieram brodę na czubku jej głowy. Cieszę się, że tańczymy, bo – dziwne – ale chyba to właśnie robimy. Miło jest móc przytulać Elizę i wdychać jej zapach. Poruszać się w jednym rytmie.

Spowiła nas jakaś ciepła aura. W tym kręgu wszystko wydaje się w porządku. Zamykam oczy, a ciepło pozostaje we mnie i przenoszę się do sali balowej na Manhattanie. Cały czas wiernie był gdzieś we mnie ten obraz. Wystąpienia już się zakończyły. Nagroda powędrowała do mojego ojca. Ich nagrody nigdy nie były dla mnie. Ale mam swoją zdobycz. Mam dziewczynę. Tu jest jej miejsce. Jest tak, jakby podskakująca kulka ruletki wpadła do tej jedynej przegródki, podczas gdy cały świat jeszcze się kręci. Ludzie zatrzymali się i patrzą. Utworzyli krąg dookoła nas. Podziwiają, jak doskonale się poruszamy, z jaką gracją stawiamy stopy. Nieważne są dla mnie nagrody i uznanie, bo mam dziewczynę. I to się liczy.

Bańka pęka, kiedy uświadamiam sobie, że Eliza nuci. Otwieram oczy i znowu jestem na polanie. Poruszamy się nieznacznie, kołyszymy trochę i lekko przestawiamy stopy w trawie.

– Myślałaś kiedyś, żeby stąd odejść? Chciałabyś opuścić Corrigan? – mruczę.

Eliza powoli kiwa głową i wzdycha.

– Stale. Nie chcę tu być. Nienawidzę tego miasta.

– Wiesz, może odeszlibyśmy razem. Z Jasperem, kiedy on wyruszy. A to może nastąpić już niedługo. Może pójdziemy razem, we trójkę.

Eliza się zatrzymuje. Stoi spokojnie i nie odsuwa się.

– Naprawdę chcesz to zrobić? Zrobiłbyś to? Odszedłbyś z Corrigan?

– Może. Jeżeli ty byś chciała. Odszedłbym z tobą.

Eliza odsuwa się i łapie mnie za ramiona.

– Naprawdę byś to zrobił? – pyta natarczywie.

– Tak. Naprawdę.

– Jeśli będę chciała odejść, obiecujesz, że pójdziesz ze mną?

Kiwam głową i uśmiecham się lekko.

Eliza patrzy mi w oczy dłużej, a potem opiera twarz na moim ramieniu i przyciąga mnie mocno do siebie. Trzyma mnie tak długo. Nie jestem pewien, gdzie powinienem położyć ręce. Więc głaszczę ją po włosach. Całuję kokardkę. Wydaje mi się, że zaczęła płakać. Drży leciutko. Nie po raz pierwszy zabrakło mi słów. Ale może teraz nie są potrzebne. Już pewnie taki mój los, że nigdy nie znajduję w sobie właściwych słów. A może wcale nie muszę. Może to jest to. Może lepiej, że milczę. Może takie delikatne głaskanie pleców Elizy jest tysiąc razy właściwsze niż powiedzenie czegoś superbłyskotliwego czy wyrecytowanie jakiegoś głupiego wiersza. Może wreszcie robię to, co powinienem.

Stoimy tak przez długi czas. Eliza znowu zaczyna równomiernie oddychać. Docierają do mnie wszystkie szelesty i cykania w buszu, jak maleńkie detonacje w ciszy, ale mnie nie niepokoją. Wszystko w świecie dziwnie się poprzemieszczało, wszystko jest teraz gdzie indziej, niż było, ale nie chcę myśleć o niczym innym jak tylko o tym, jak słodko pachną włosy Elizy Wishart i jak ciepłe jest jej ciało. Nie chcę do siebie dopuszczać niczego poza tym. Na tym małym skrawku ziemi nie jest to wcale takie trudne. Ta przestrzeń jest oderwana od reszty świata, odosobniona, istnieje poza czasem, tak ukryta, że łatwo tutaj zapomnieć o lodowatym, bezlitosnym świecie, z którego się uciekło.

Najtrudniej będzie stąd odejść. Znowu powrócić do tamtego. Laura nie była już w stanie. Nie potrafiła wrócić, więc zrobiła tak, żeby już na zawsze tu zostać.

Eliza odrywa się ode mnie. Bierze mnie za rękę i prowadzi do drzewa. Przykuca i kłeka obok dziupli. To dziwne, ale nigdy nie

byłem w środku. Jasper wszystko zrobił tu sam. Do pnia przytwierdził półki, na których umieścił najprzeróżniejsze rzeczy: puszki, zapalki, garnki, emaliowane kubki i talerze, karty, ołówki, tytoń, herbatę i cukier. Jest tu nawet mała hiszpańska gitara zawieszona na fragmencie szyny kolejowej nad naszymi głowami.

Eliza wsuwa się do środka, ciągle trzymając mnie za rękę. Robię to, co ona, ale czuję się, jakbym się wdzierał na cudze terytorium. Jakbym kradł miejsce, które do mnie nie należy.

Eliza się kładzie. Ja także. Przytulamy się do siebie. Jestem zdenerwowany i sztywny, ale Eliza szybko znajduje wygodną pozycję. Kładzie rękę na mojej piersi, opiera mi głowę na ramieniu i szepcze:

– Nie mówmy już nic więcej. Śpijmy.

Spanie to ostatnia rzecz, o której teraz myślę. Właściwie nie chcę, żeby pęd myśli w mojej głowie się uspokoił. Muszę przecież rozważyć to, co się stało, i to, co dopiero nadejdzie. Nie chcę myśleć o tym, co teraz robimy. List Laury, opowieść Elizy. Naturalnie to oczyszcza Jaspера Jonesa z podejrzeń. Jeżeli jednak to wszystko ujawnimy, co się stanie ze mną? I z Elizą? Czy Jasper postąpi zgodnie z obietnicą i będzie mnie trzymał w bezpiecznej odległości od tego wszystkiego? Czy Eliza w ogóle przemówi? A jeśli tak, co to oznacza dla jej ojca?

A jeśli zachowamy milczenie? Tajemnica zostanie na zawsze pogrzebana na dnie jeziora. Co będzie, jeśli po prostu odejdziemy i nie piśniemy ani słowa? Czy to cokolwiek zmieni? Tajemnica przeobrazi się w pakiet kłamstw, a te z czasem staną się dla ludzi prawdą. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby czegoś jeszcze dociekać. Nikogo nie zabolę wiedza o tym, co się stało.

Co w tej sytuacji zrobiłby mój ojciec? A Mark Twain? Atticus Finch? Pewnie nigdy nie wpakowaliby się w to gówno. Ale ja nie

jestem nimi. Jestem idiotą. Jestem dzieckiem. I wszystko zrobiłem źle. Bardzo źle.

Chyba przysnąłem, bo podskakuję na odgłos kroków. Eliza spoczywa ciężko na moim ramieniu. Nie porusza się. Zamieram, kiedy pada na nas cień.

– Jasper? – szepczę.

– Charlie? Co ona tu robi? Coś ty zrobił? Co jej powiedziałaś?

Eliza się budzi. Zsuwa się z mojego ramienia, obraca się i macha nogą. Coś z łomotem spada spada z półki. Metalowa lampa. Jasper unosi otwartą dłoń w stronę Elizy. Pokazuje jej, żeby była cicho. Czuję się, jakby mnie na czymś przyłapano. Jasper wygląda groźnie.

Wychodzę z dziupli.

Jasper staje naprzeciw mnie i rzuca po prostu:

– Złamałeś słowo.

Już mam odpowiedzieć, kiedy wkracza Eliza.

– Nie złamał słowa. Ja go tutaj przyprowadziłam.

– Ty? Bzdura. Niby jak?

– Jasper, ona wie o różnych sprawach.

– O jakich sprawach, Charlie? Co jej powiedziałaś? – Dolna szczeka Jaspera wysuwa się do przodu.

– Nie ode mnie – mówię i kładę rękę na sercu. – Jasper, ona wie, co się stało. Eliza wie.

– I nie ty jej powiedziałaś? – Jasper patrzy groźnie na Elizę.

– Nie musiałem jej nic mówić.

Jasper robi krok do tyłu. Ciągle patrzy na Elizę, ale nie jest już tak pewny siebie.

– Co to wszystko znaczy? Charlie, co ty gadasz? Dlaczego ona tu jest? Nie powinieneś jej tu przyprowadzać.

– Jasper, nie słuchasz – odzywa się Eliza. – On mnie tu nie przyprowadził. Znam drogę. Byłam już tutaj. Śledziłam cię.

– Śledziłaś mnie? Kiedy? – Jasper nie dowierza. Patrzy na zmianę to na mnie, to na nią.

Serce mi wali. Boję się, co Jasper może zrobić. Eliza sięga do kieszeni. Potem wyciąga rękę. Mówi Jasperowi po prostu, że przeprasza. Wzięła coś, co nie było jej. Było przeznaczone dla niego.

Jasper przestępuje z nogi na nogę, jak bokser. Patrzy na kartki, ale ich nie bierze.

– Co to jest?

– List. Od Laury.

Jasper unosi brodę i krzyżuje ramiona na piersi.

– Co w nim jest? Nie mogę przeczytać. Jest za ciemno.

Stoję bez słowa. Patrę na Elizę. Wygląda na dużo silniejszą od nas obu. Wytrzymuje spojrzenie Jaspera. Nabiera powietrza. Trzyma złożony list. I opowiada Jasperowi to samo co mnie. Teraz to jeszcze gorsze, bo wiem, do czego zmierza. Wiem, jak to się skończy.

Eliza wylewa całą gorycz. Niczego nie pomija. Staje się dla mnie jasne, że jest zła na Jaspera Jonesa, mimo tego, co powiedziałem w jego obronie. Wyrzuca z siebie wszystko, mówi o tym, jak Laura czuła się zraniona i oszukana, a Jasper stoi prosto, spokojnie, i przyjmuje ciosy.

Nie reaguje w żaden sposób aż do chwili, kiedy Eliza dochodzi do potwornego momentu, kiedy to Laura przechyliła się i spadła. Jasper zgina się wóół i cofa. Jego ramiona, które przez tak długi czas pozostawały wyprostowane, teraz się kula i garbią. Jasper zasłania usta i nos, jakby miał kichnąć. Cofa się, krztusi i chrząka.

Cały czas patrzy na Elizę. Wygląda jak zwierzę zapędzone w pułapkę.

Kucam bezwiednie. Wtedy Jasper rusza. Jakby się wyrwał z potrzasku. Rzuca się nagle, a ja stoję i patrzę, jak pędem mija nas oboje, biegnie w kierunku wody i jednym skokiem znika pod jej powierzchnią. Zostają tylko kręgi na wodzie.

Eliza i ja się nie ruszamy. Patrzymy, jak powierzchnia wody się uspokaja. Jasper nie wypłynął. Co on robi? Jak tam jest głęboko? Jasper nie wypływa. Jasper nie wypływa. Przez chwilę wyobrażam sobie, że przywiązuję własną nogę do tamtego kamienia, i wpadam w przerażenie. Co on zrobił? Patrzę na Elizę, potem znowu na wodę. Boję się. Ściągam koszulę, zsuwam buty i upuszczam okulary. Ziemia, po której biegnę ku wodzie, jest zimna. Nurkuję w ciemność. Za Jasperem Jonesem. Pracuję nogami i ramionami. Zagłębiam się w wodzie, ale na nic nie natrafiam. Nic nie widzę. Kończy mi się powietrze. Właśnie mam zawrócić, kiedy coś niewidocznego chwytam mnie za ramiona. Wyrywam się, cały w strachu. Ale to coś trzyma mnie mocno i ciągnie w górę. Kiedy już jesteśmy nad powierzchnią, Jasper Jones kaszle i spazmatycznie łapie powietrze. Mocno trzyma mnie przy sobie. Jesteśmy ze sobą szczepieni. Obaj pracujemy nogami, żeby utrzymać się na wodzie. Ja okropnie kaszlę i się krztuszę. Jasper trzyma mnie mocno za włosy z tyłu głowy i ciągnie tak silnie, że przez chwilę myślę, że chce mnie utopić. Jasper mnie trzyma, a ja wbijam się paznokciami w jego śliskie plecy. Znam go. Oj, znam go i to jest najsmutniejsze ze wszystkiego. Jasper to zagubiony chłopak, który stracił wszystko. Teraz wiem, że mnie potrzebuje. I to nie dlatego, że jestem bystry, że można na mnie polegać, że jestem lojalny i mam dobre serce, ale dlatego, że Jasper potrzebuje człowieka, żeby nie musiał już być sam z tym wszystkim. Odnalazł mnie i przyszedł pod moje okno tamtej nocy, bo był kurewsko przerażony i nie miał pojęcia, co robić. I tyle. Myślę, że zobaczył światło w moim pokoju i ono przyciągnęło go tak, jak żarówka przyciąga owady. Jasper musiał się tym podzielić. Musiał

zrzucić część tego na kogoś, komu mógł zaufać. Nie był w stanie sam tego unieść ani sam przez to przejść. Nie umiał sam zatopić Laury ani sam stawić czoło Jackowi Lionelowi. Jeżeli jednak Jasper Jones jest równie przerażony jak my wszyscy, to zastanawiam się, czy ja kiedykolwiek będę umiał żyć bez strachu. Ale potem przypominam sobie Jeffrey'ego Lu, naszą dyskusję o Batmanie i światło, które rzucił na tę sprawę Mark Twain. Może wcale nie chodzi o to, żeby żyć bez strachu. Może wszystko polega na tym, żeby iść dalej, chociaż dźwiga się ciężar. Teraz widzę w tym sens. To właśnie jest odwaga. Bruce Wayne boi się, ale robi, co trzeba, bo jest cholernym Batmanem.

Ale jak? Jak rozpoznać różnicę między zwykłym przynębieniem a ciemną doliną? Widzę to tak: są dwie drogi – można albo dowiedzieć się prawdy i żyć w ciągłym niepokoju i smutku, albo można schować głowę w piasek i się bać.

Tutaj właśnie wkracza Eliza Wishart i wnosi miłość. Patrzcie. Jest. Stoi na brzegu.

Moje zmęczone nogi pracują w wodzie. Zbliżam się do drzewa. Mam uczucie, jakbym nałykał się tyle wody, ile ważę. Jasper bez słowa wychodzi na brzeg i wciąga mnie za sobą. Trzymam go za rękę i stoimy tak, ociekając i dysząc. Ja, którego ciało wygląda jak zbudowane z patyczków i gałązek, i on – wyrzeźbiony w pniu. Schylam się i szukam okularów. Potem się podnoszę i wszyscy troje idziemy dalej na trawę.

– Ona zostanie tam na zawsze – mówi Eliza.

Potem leżymy na plecach i gapimy się na gwiazdy. Jasper opiera głowę na wystającym korzeniu i zaciąga się papierosem. Znalazł w dziupli zapalki. Jego pierś podnosi się i opada. Eliza opiera głowę na moim brzuchu.

Dziwne, że jesteśmy tutaj razem, my troje. Jest wiele do powiedzenia, ale wydaje się, że to niezbyt dobry moment na rozmowę. Chcę zapytać Jaspera, jak mu poszło z ojcem, czy to, co mówił Jack Lionel, okazało się prawdą, i co rzeczywiście stało się z jego mamą. Ale mam wrażenie, że nie powinienem o tym mówić przy Elizie Wishart. Chciałbym też odgarnąć delikatnie palcem z policzka Elizy włosy, które uwolniły się ze spinki i zasłoniły oko, ale ten gest wydaje mi się zbyt intymny.

A jednak, skoro mamy odejść z tego miasta, nasza trójka powinna trzymać się razem. To się musi udać. Odwracam się do Jaspera.

– Słuchaj, Jasper. Kiedy będziesz odchodził z Corrigan, my pójdziemy z tobą. My też odchodzimy.

Najpierw wydaje mi się, że Jasper nie słyszał, ale kiedy zbieram się, żeby to powtórzyć, siada. Mówi wolno. Wydaje się zmęczony.

– Co chcecie zrobić?

– Chcemy stąd odejść, tak jak ty. Ja i Eliza. Z tobą. Nie wiem. Może do miasta albo gdziekolwiek. Coś wymyślę. Uda nam się. Wiem, że nam się uda.

– Chcecie odejść? Cholera, chyba jesteście niespełna rozumu. Nie ma mowy, żeby się udało. Nawet nie wiem, od czego zacząć. W ogóle nie myślicie.

– Dlaczego? Czemu my też nie możemy odejść? – Zaniepokojony podnoszę się na łokciu i poruszam Elizę.

Jasper gasi papierosa o ziemię i bez pośpiechu wyciąga następnego.

– Człowieku, pomyśl. Jeżeli wy dwoje nagle odejdziecie, nic nikomu nie mówiąc, to jak myślisz, co się stanie? Widziałeś, co się działo po zniknięciu Laury: policja, patrole, informacje w telewizji i tak dalej. Wiesz, jaki w mieście byłby cyrk? Nawet gorszy, bo

chodziloby o dwie osoby. Przywlekliby was z powrotem, zanim dotarlibyście do granicy hrabstwa. A gdybyście byli ze mną? Kurde. Pewnie by mnie oskarżyli o porwanie.

– Tak, ale...

Jasper podnosi palec.

– I to oczywiście tylko w przypadku, gdy nikomu nie powiecie, że odchodzicie. Inaczej, to macie jak w banku, nie wypuszczą was z domu na krok. Szczególnie ciebie. – Jasper kiwa głową w kierunku Elizy.

– No a ty? – pytam.

– Ja? Co ja? – Jasper przybiera kpiący ton.

– Co będzie, jak ty po prostu odejdziesz?

Jasper uśmiecha się i głęboko zaciąga papierosem.

– Charlie, zobaczysz, co się stanie, kiedy ja odejdę. Poczekaj, a sam zobaczysz. Wierz mi.

– Co? Co się stanie?

– Zaufaj mi. Zobaczysz, co miałem na myśli, Charlie, i zrozumiesz, dlaczego to ja musiałem odejść. Ja, nie ty. I nie bierz tego do siebie. Tak po prostu jest, chłopie. Ty powinienesz zostać. Przykro mi.

W ten sposób zostałem odesłany do domu. Czuję się głupio. Jasper mnie upokorzył i wydaje mi się, że nawet jakby oszukał. Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. Partnerami. Eliza dotyka mojego ramienia.

– Charlie, on ma rację.

Patrzę na nią nachmurzony.

– Ty i ja nie możemy odejść.

– Myślałem, że ci na tym zależy – mówię.

Eliza wzdycha.

– Ja tylko chciałam wiedzieć, czy byś ze mną poszedł. I tyle. To mi wystarczy. Nie możemy tego zrobić. Przynajmniej nie teraz.

Powoli kiwam głową i odwracam wzrok. Znów zapada cisza. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo liczyłem na ucieczkę z Corrigan. Wydawało mi się, że to rozwiąże tyle problemów, że teraz brak tej możliwości bardzo mnie niepokoi. Mam wrażenie, że wszystko spadnie na mnie, a tak nie powinno być. Nie można pozwolić Jasperowi, żeby odszedł i zostawił to na mojej głowie.

– Więc co zrobimy? Wszystko już wiemy. Co teraz?

Jasper ciągnie się za ucho.

– Nie wiem, Charlie. Naprawdę. Zostaw to mnie. Zastanawiam się nad tym. Coś wymyślę.

Eliza siada i wrywa źdźbło trawy.

– Ja im powiem – ogłasza.

Jasper siada.

– Komu?

– Wszystkim. Policjantom, ludziom z miasta, wszystkim. Tak się powinno zrobić. Ludzie ciągle szukają Laury. A ona cały czas jest tutaj, na dnie. Przecież znamy prawdę.

– I co chcesz im powiedzieć? – Głos Jaspera brzmi niepewnie.

– Prawdę. Powiem im prawdę.

Jasper zamyka oczy. Wydaje się zrezygnowany.

– Nie możesz tego zrobić – mówi.

– Muszę. Zresztą, dlaczego nie?

– Bo wtedy wszystko, co zrobiliśmy, będzie na nic. Oni go zamkną. Jeżeli powiesz prawdę, zamkną go, zobaczysz.

– I co z tego? – broni się Eliza.

Gapię się na nią.

– Co ty mówisz?

– Że muszę zrobić to, co należy, Charlie.

– Ale czy to w porządku? To nie jego wina, a ty chcesz, żeby go za to ukarano. I mnie także. Rozumiesz, prawda? Jeżeli wszystko im powiesz, będę miał poważne kłopoty. Byłem tutaj. Zrobiłem to samo, co Jasper. Zresztą ty też będziesz w to zamieszana.

– Nie powiem im o tobie – mówi cicho Eliza.

Wzdycham.

– Więc to już nie będzie cała prawda, no nie? A skoro możesz to zrobić dla mnie, to równie dobrze możesz to zrobić dla Jaspera.

Oczywiście proszę ją, żeby skłamała. Proszę, żeby spuściła zasłonę na niektóre fragmenty tej historii. Chcę, żeby ją podmalowała, zmieniła trochę kolory, dodała sztuczny rumieniec. Żebym pozostał czysty. I żeby Jasper Jones był poza podejrzeniem. Proszę ją, żeby Laura została w swojej kryjówce. I czuję się z tym okropnie. Ale co tu jest prawdą, co jest właściwe i takie jak trzeba?

Nie wiem.

Podejrzewam jednak, że Elizie nie tyle chodzi o prawdę, ile o to, żeby Jasper Jones, ona sama i jej ojciec otrzymali należną im karę. Myślę, że Eliza chce coś zrobić z tym bólem, za który nikt nie zapłacił. Że chce przywiązać kamień do nóg każdego z nich.

Eliza nie odpowiada. Ciągłe wyrywa trawę.

– Uważasz, że Jasper jest winny, prawda? – pytam cicho.

Eliza wzrusza ramionami. Potrząsam głową.

– To nie jest jego wina. Ani twoja. No bo jak? Słuchaj, nie znasz Jaspera tak jak ja. Ani tak, jak go znała Laura. Przecież powiedziałem ci, gdzie był wtedy, kiedy się nie pokazywał. I wiesz, co się stało. Widziałaś to. Jasper zawsze próbował robić tylko to, co należy. Myślę, że chcesz go wpędzić w kłopoty i zranić, bo tak chciała Laura. Sądzę, że tego samego chcesz dla siebie. Ale przecież ty wiesz więcej niż Laura.

Eliza odwraca wzrok.

Jasper wstaje. Widać, że ma dosyć. Odwraca się do Elizy, ale nie patrzy jej w oczy.

– Słuchaj, skoro myślisz, że to w porządku, zrób tak. I tyle.

Jasper lekko wzrusza ramionami, patrząc na mnie, a potem wchodzi do dziupli i kładzie się. Nie mówi już nic więcej.

Jestem strasznie senny. Widzę, że lekkie, niebieskawe światło pada na drzewa. Powinniśmy wracać. Ale jestem taki zmęczony, tak mi ciężko na sercu. W dodatku to, do czego mamy wrócić, to mnóstwo kłopotów. Prawie bezwiednie kładę głowę na ziemi. Eliza podsuwa się i mości w moich ramionach. Ciągle jestem mokry, ale ona nie zwraca na to uwagi. Tak ładnie pachnie. Łagodnie przyciągam ją do siebie. A ona kiwa głową. Słabiutko, ale jednak. Nos Elizy delikatnie przesuwają się po mojej szyi w dół i w górę. I wtedy nadchodzi sen. Mocny i wolny od koszmarów. Takiego snu nie zaznałem od tygodni.

Jasper Jones potrząsa nami, żeby nas obudzić.

– Hej, musicie iść.

Dużo czasu zabiera mi zrozumienie, gdzie jestem i dlaczego. Na nogach mam ślady po ukąszeniach owadów, a ramię odciśnięte w miejscu, gdzie leżała głowa Elizy. Wydarzenia ostatniej nocy

spływają na mnie jak kapiący z wolna, gęsty syrop. Trudno mi w to wszystko uwierzyć.

Wstaję niepewnie. Jest już gorąco. Musi być późny ranek. Polana wydaje się taka inna w świetle dnia. Spokojna i jakaś opuszczona. Wrażenie, że jej ciepłe ściany otulają mnie, zniknęło.

Podchodzę do brzegu i łykam trochę wody. Wypełnia mi brzuch, ale nie gasi pragnienia. Eliza i Jasper stoją trochę dalej w milczeniu. Słyszę, jak kwilą ptaki. Nikt się nie odzywa. Ruszamy gęsiego. Jasper, za nim Eliza i na końcu ja. Zastanawiam się, o czym oni myślą. Chciałbym się wkraść w ich umysły i odgadnąć, czym się niepokoją. Dzięki temu łatwiej mi odsunąć od siebie własne zmartwienia i nie myśleć o tym, co mnie czeka w domu.

Zupełnie się nie obawiam, że znowu zostanę przyłapany na tym, że się wymknąłem. Matka zostawiła cały swój autorytet na tylnym siedzeniu samochodu. Myślę też, że tato będzie zaprzątnięty poważniejszymi problemami niż moje nieposłuszeństwo. Oj, będzie paskudna kłótnia. To na pewno.

I akurat na to muszę wrócić. Drapię się w rękę. Mam czerwoną, ostrą wysypkę. Z buszu wracam do gniazda szerszeni. Znam smutną prawdę. O wszystkim. O Jasperze, o Laurze, o matce. Wszystko wyszło na jaw, zostało odsłonięte i spoczęło na moich barkach. Jestem zbyt zmęczony, żeby się bać.

Chciałbym znowu położyć się obok Elizy. Chciałbym pociągać małe łyczki whisky z Jasperem Jonesem albo chociaż przytknąć butelkę do zaciśniętych ust i udawać, że z nim popijam. Chcę, żeby mnie poczęstował papierosem i żebyśmy pogadali o tym, jaki świat jest wielki, a my mali, i jak łatwo jest wyruszyć w podróż. Chciałbym, żeby to było łatwe. Chciałbym, żeby Jasper napelniał mnie siłą, jakby to był pocałunek życia. Chcę użyć tej siły, żeby mówić Elizie Wishart słowa, które ją uspokoją i pocieszą, tak długo, jak mi na to pozwoli.

Idziemy w tym samym szyku, nawet kiedy już docieramy do drogi. Myślę, że każde z nas jest samo z własnymi myślami. Idziemy jak żołnierze z plecakami na plecach.

Dziwne, że zatrzymujemy się przy bramie Jacka Lionela. Eliza marszczy czoło i odgania muchę. Jasper drapie się w tył głowy. Patrzy na gospodarstwo.

– No, to jestem. Wstąpię do niego. Muszę jeszcze raz pogadać ze staruszką. Muszę na własne oczy zobaczyć, co tu jest prawdą, a co nie.

Kiwam głową.

– Wy idźcie dalej. Ale trzymajcie się dłuższej drogi, jeżeli nie chcecie, żeby was złapali. Pewnie już was szukają.

Eliza przechyla głowę.

– Czekaj, chcesz tam wejść? Dlaczego? Wiesz, czyj to dom?

– Wiem.

Zaskoczona Eliza kręci głową.

– Słuchaj, rozmawiałeś ze swoim... – zaczynam pytanie.

– Nie – przerywa mi Jasper. – Nawet go nie było. Wygląda na to, że znowu odszedł z miasta. Wcale się nie rozpakował. Nie mam pojęcia, dokąd poszedł. Ani śladu.

– Więc dlaczego w ogóle wrócił?

– Za diabła nie wiem.

Jasper wzrusza ramionami. Ociągamy się. Jasper popycha bramę, a ona wydaje przeciągły dźwięk, jak syrena. Patrzymy, jak brama buja się, a w końcu uspokaja. Wtedy Jasper podchodzi do mnie, kładzie mi rękę na ramieniu i patrzy prosto w oczy. Nie mogę odwrócić wzroku. Jasper pachnie potem i tytoniem.

– Dziękuję ci, Charlie.

– W porządku. – Czerwienie się.

Jasper sięga po paczkę papierosów. Zapala jednego i ze zmrużonymi oczami przygląda się Elizie. Jeszcze raz ją przeprosza, niezbyt głośno, ale widać, że bardzo poważnie. Potem Jasper Jones ściska mi rękę. Mocno. I mruga do mnie.

– Trzymaj się – mruczy z papierosem w ustach. Nie mówi nic więcej. Odwraca się.

Wycieram okulary z kurzu. Ponad plecami Jaspera dostrzegam Jacka Lionela, który czeka na werandzie. Ma na sobie granatowe szorty i białą koszulkę. Wyprostował plecy.

– Czy to jest Szalony Jack Lionel? – pyta Eliza.

– We własnej osobie – odpowiadam.

Patrzę na Jaspera, który idzie żwirowanym podjazdem i otwartą dłonią przesuwając się po wybujałych roślinach. Uwolnione nasionka fruują w powietrzu. Nie mogę wyzbyć się wrażenia, że widzę go po raz ostatni.

Za wilgotnymi pastwiskami, tam, gdzie rzeka płynie w kierunku miasta i gdzie moja matka odwróciła się plecami do ojca i do mnie, widzimy między drzewami sznur samochodów. Promienie słońca odbijają się w oknach. Uderza mnie, że ruch jest zbyt intensywny jak na noworoczny poranek.

Kiedy zatrzymujemy się przy moście, niebieski samochód, kołysząc się, wolno do nas podjeżdża i staje. Kierowca przechyla się, żeby odkręcić szybę po stronie pasażera. Kiwa głową w kierunku Elizy.

– Ty jesteś dziewczynką Pete’a Wisharta?

Eliza kręci głową i zaprzecza. Mężczyzna i pies patrzą na nią podejrzliwie.

– Dobra – mówi i włącza silnik. – Rozglądajcie się. Ona musi się pokazać.

Potem mężczyzna mruga i odjeżdża, pozostawiając za sobą chmurę spalin.

Kładę rękę na ramieniu Elizy.

– Musimy schylić głowy. Będziemy się trzymać cienia i pójdziemy dookoła boiska – mówię, ale Eliza sprawia wrażenie, jakby nie słuchała i jakby to nie miało dla niej znaczenia. Jest nieobecna.

Nie reaguje nawet wtedy, kiedy kilka minut później słyszymy klakson i ostry głos:

– Hej, wy tam! Do mnie. Ale już!

Odwracam się. Serce mi zamiera. To nasz policjant. Nie wygląda na zadowolonego. Biegnie do nas od samochodu. Widać, że jest wymęczony i wściekły. Pokazuje na mnie palcem, a potem opuszcza rękę.

– Wsiadać. Natychmiast.

Dotykam ramienia Elizy. To koniec. Posłusznie robimy, co nam kazał. Siadamy na tylnym siedzeniu, a policjant nas opieprza. Jego oczy są zaczerwienione i wściekłe, a wąsy mu lśnią. Eliza pustym wzrokiem patrzy przez okno.

– Chryste Panie. Macie chociaż pojęcie, w jaki burdel mnie dzisiaj od rana wpędziliście? Patrole są w drodze, wolontariusze musieli zrezygnować z urlopu, jadą tu już chłopcy z sąsiednich hrabstw. I po co to wszystko, panienko? Twoja matka, cholera, wychodzi z siebie! Rozumiesz, co mówię?

Policjant coraz bardziej podnosi głos. Tył samochodu śmierdzi tłuszczem, alkoholem i brudem. Siedzę w milczeniu i trzymam dłonie między kolanami.

- Już nie było dosyć cyrku? Co ty sobie myślałaś, kiedy wychodziłaś z domu, nic nie mówiąc rodzicom? Po tym wszystkim, co się stało. Wyobrażasz sobie, co przeżywała matka, kiedy rano odkryła, że twój pokój jest pusty? Ja tak, bo byłem tam w ciągu godziny i próbowałem ją uspokoić, co nie było takie proste, skoro jeszcze nie odnaleźliśmy jej starszej córki. Wiesz to lepiej ode mnie. Oboje wiecie, co tu się działo. Czy wy w ogóle mnie słuchacie? - Policjant spluwa przez okno i potrząsa głową.

Dojeżdżamy na posterunek. Żwirowany parking jest wypełniony. Wychodzimy z samochodu. Policjant prowadzi Elizę do wejścia. Trzyma rękę na jej plecach. Eliza jak dotąd nie wypowiedziała ani słowa. Idę trochę z tyłu. Kiedy docieramy do drzwi, policjant wpycha Elizę do środka. Eliza znika. Słyszę chór głosów. Nie chcę, żeby ją zabrali. Ruszam za nią, ale powstrzymuje mnie potężna łapa. Teraz policjant zwraca się do mnie. Jest groźny.

- Spieprzaj do domu. To ostatnie ostrzeżenie. Jeszcze raz wytniesz mi taki numer, a pożałujesz. Wyrażam się jasno? Masz szczęście, że jesteś w jednym kawałku. Zrobisz taki kawał jeszcze raz, a będziesz się tak bał, że dupy sobie bez pytania nie podetrzesz, jak już z tobą skończę. Zrozumiano?

Kiwam głową. Rozumiem. Czuję, do czego jest zdolny.

Ale nie odchodzę. Nie jestem jeszcze gotowy, żeby wracać do domu, chcę też zostać ze względu na Elizę. Siadam w blasku słońca i próbuję zebrać myśli.

Przez jakiś czas zajmuję się zbieraniem niedopałków. Porządkuję teren. Nawet nie zauważyłem pszczoły krążącej nad kwiatami. Szkoda, że nie ma tu Jeffreya.

Robi się popołudnie, a ja jestem zmęczony, brudny i chce mi się pić. Mam wrażenie, jakbym językiem wylizal futro pod włos. Denerwuję się. Niepokoję się, co Eliza mówi, ile im już wyjawiała i jak ciężkie jest przesłuchanie. Może to dla mnie niebezpieczne, że

jeszcze tutaj jestem? Może właśnie wypisują nakaz aresztowania mnie? Może już szukają Jaspera Jonesa? Ukryłem ciało. Tak było. Zrobiłem to. Może sam się powinienem zgłosić, zanim po mnie wyjdą? Powiem im wszystko i będę błagał o niski wymiar kary.

W tym momencie Eliza Wishart wychodzi. Bez obstawy policyjnej. Prowadzą ją rodzice. Idą po obu jej stronach. Matka Elizy ma zdenerwowaną, zaczerwienioną twarz, a ojciec jest blady. Eliza idzie jak lunatyczka. Próbuję pochwycić jej spojrzenie, ale ona nie patrzy na mnie aż do chwili, kiedy pochyla głowę, wsiadając do samochodu. Wydaje mi się, że posyła mi leciutki uśmiech, ale nie jestem pewien. Tak czy owak, Eliza nie robi zbyt wiele, żeby mnie uspokoić.

Wishartowie odjeżdżają. Samochód wyrzuca za siebie chmurę pyłu. Patrzę, jak przejeżdżają obok mnie. O mało się nie przewracam. Potem długi czas stoję i rozważam, czy wejść na posterunek, ale wreszcie decyduję, że pójdę do domu. Chce mi się popływać w rzece. Chciałbym się napić soku i pogadać z Jeffreyem.

Idę przez szkolne boisko i zauważam, że dzieciakom, które parę tygodni temu tutaj widziałem, wreszcie udało się skutecznie puścić latawca. Zatrzymuję się i gapię na niego.

Łatwo sobie wyobrażam, że to krążący nad nami ptak. Jakby przywiązali cienki sznurek do nogi sokoła, żeby mógł sprawdzić, jak to jest, kiedy się lata. Miałoby się ochotę coraz bardziej rozwijać sznurek, żeby się przekonać, jak wysoko ptak jest w stanie się wzbić. Ale gdy już zniknie z oczu, to chce się go znowu przyciągnąć, no nie? Bo my jesteśmy tu, na dole, i nie możemy polecieć za nim. I fajnie jest sobie uświadomić, że ma się dosyć siły, żeby go utrzymać i przez jakiś czas podziwiać jego lot. Jest parę rzeczy, które ogląda się, lekko się od nich oddalając. Piękny klejnot, dzieło sztuki. Chciałoby się jednak przywiązać je do siebie, zamknąć na noc w klatce i zachować, nie bacząc na ich naturę. Ludzie wsuwają sobie na palce obrączki, żeby żadne z nich nie mogło odejść. Ale

oczywiście to nie działa. To, że coś trzymasz, nie czyni tego twoją własnością. W pewnym momencie dociera do ciebie, że z taką samą siłą, z jaką ty trzymasz, ono się wyrywa. Musisz przeciąć sznurek i pozwolić, żeby poszybowało samodzielnie, jak nowo narodzony pajączek na wietrze.

Odwracam wzrok i na dłuższą chwilę w skupieniu zamykam oczy, jak wtedy, kiedy zbiera mi się na kichanie. Ale gardło samo mi się zaciska, a kąciki ust wyginają w dół. Biegnę do domu, zanim ktokolwiek zauważy, że płaczę.

8

Nie opuszczam Corrigan. Nie odchodzę nocą z Elizą Wishart ani z Jasperem Jonesem. Nie ma podróżowania na pakach ciężarówek, śladów stóp odcisniętych na samotnych drogach, spania pod gwiazdami. Zostaję na miejscu.

To moja matka odchodzi.

Opuściła nas tamtej nocy. Spakowała rzeczy i odjechała zakosami szpalerem utworzonym przez zgromadzonych na trawnikach ciekawskich sąsiadów. Ta sąsiedzka gwardia honorowa słyszała wszystko. Wystarczyło kilka godzin i całe miasto wiedziało. W jednej chwili matka zdarła ze swojego obrazu cały werniks, którym go pokrywała przez lata. Ta jedna scena ujawniła całą jej wulgarność i brzydotę. Matka zachowywała się głośno. I oni wszystko słyszeli.

Tamtej nocy matka odeszła, ale najpierw wrzeszczała i wściekała się. Tak jak to miała w zwyczaju, waliła na oślep, choć nikt nie oddawał ciosów. Ojciec po prostu pozwolił jej odejść. Jakby wrzeszczała na posąg. Ojciec pozwolił jej krzyczeć, obrażać się, okładać się pięściami i ryczeć. Nie zareagował na atak złości, jak zwykle.

Matka odeszła, ale najpierw wdarła się do mojego pokoju, bo miała nadzieję, że mnie tam znajdzie. Powyciągała, rozrzuciła i podarła różne rzeczy. Poniszczyła i połamała. Znalazła powieść taty i roztasowała kartki po całym pokoju. Odeszła, ale najpierw znalazła moją walizkę i otworzyła. To był jedyny raz, kiedy zostawiłem walizkę niezamkniętą na kluczyk. Matka wyrzuciła zawartość na łóżko i przeszukała w daremnym poszukiwaniu czegoś na swój temat. Potem zaciągnęła pustą walizkę do siebie. Ale nie miała

niczego cennego, co mogłaby w niej schować. Włożyła tam tylko ubrania, biżuterię i perfumy. Porwała kluczyki od samochodu z miejsca, gdzie wylądowały po tym, jak rzuciła nimi w tatę. Przy otwartych drzwiach wykrzyczała, jakie ma zamiary. W końcu powiedziała ojcu, co myśli. Bez owijania w bawełnę i wyrafinowanych metafor. Nareszcie powiedziała to, co chciała powiedzieć.

To naturalnie nie zaskoczyło ojca. Wiedział, że matka była tutaj nieszczęśliwa. Miał nawet świadomość, w jakim towarzystwie bywa. Znał wszystkie jej małe tajemnice; te dziury, które sama sobie wykopała. Nie wiem dokładnie, od kiedy wiedział. Może od początku. Zastanawiam się jednak, dlaczego zachował to dla siebie i pozwolił, żeby trwało. Może myślał, że ona jest z tym szczęśliwa. Może było mu łatwiej zamieść to pod dywan i udawać, że nie ma problemu. A może to mnie starał się chronić. Może chciał mi oszczędzić upokorzenia i bólu. Nie wiem. A może miał nadzieję, że ona z własnej woli przestanie. Że zrozumie, przyzna, że źle zrobiła, i zaczną jeszcze raz od początku. Może ciągle miał w sercu własne przyrzeczenie miłości i wierności i trwał w nim nawet wtedy, kiedy matka robiła z niego pośmiewisko?

Nie wiem.

Nie interweniował, kiedy ciągnęła moją walizkę do samochodu. Nie namawiał jej, żeby została. Stał na werandzie i chłodno patrzył. Pozwolił jej odejść. Przeciął sznurek. Patrzył, jak oddala się na dobre. Była wolna. Rozerwał wszystkie więzy łączące ją z miastem, którego nie znosiła, odkąd do niego przyjechała.

Matka nigdy nie wróciła. Przeniosła się do swojej rodziny. Znowu stała się rozpieszczaną dziewczynką. Dali jej na własność dom wypełniony meblami, bibelotami i obrazami. Dali jej panią do sprzątanania, która przychodzi w każdy piątek. Może matka sądziła, że za nią pojedziemy i w ten sposób ujawnimy, że blefowała.

Przez ten czas tylko raz rozmawiała przez telefon z tatą. Powiedziała, że nie wraca. On odpowiedział, że jej o to nie prosi. Ale nalegał, żeby porozmawiała ze mną. Matka odmówiła. Nie powiedziała dlaczego. Może za bardzo się wstydziła. A może to jej było potrzebne, żeby się wyzwolić. Mój sznurek też odcięła. Cała grupa latawców poleciała w niebo bez uwięzi.

W domu jest teraz dziwnie. Z jednej strony chciałbym, żeby matka wróciła, bo zabrakło czegoś, do czego byłem przyzwyczajony, a z drugiej oswajam się z nowymi porządkami, które wprowadzamy z tatą. Obaj uczymy się o siebie troszczyć. Tato oczywiście nie umie ugotować niczego, co dałoby się zjeść, więc ja się tym zająłem. Gotowanie wymaga uporządkowania, pilnowania, żeby każdy składnik dodawać we właściwym momencie i w odpowiedniej ilości. Cała tajemnica leży w proporcjach, lubię to. Naprawdę mam z tego frajdę.

Powoli okazuje się, że tato lubi utrzymywać wszystko w porządku i czystości, więc to on zajmuje się zmywaniem, sprzątaniami i praniem. Wyraźnie odczuwa satysfakcję, kiedy rzeczy są czyste, ułożone i na swoim miejscu.

Nie wiedziałem, że zaczesywanie włosów na łysinę to nie był wcale jego pomysł. Kiedy matka odeszła, tato krótko się obciął i odsłonił łysinę. Zapuścił brodę. Wygląda jak dygnitarz, ktoś ogólnie poważany. Jeffrey mówi, że mój tato wygląda jak komunista.

Nie nadeszła jeszcze odpowiedź od żadnego wydawcy, ale tato tłumaczy mi, że to wymaga czasu. Oczywiście miał w szufladzie drugi egzemplarz *Kłatwy Pattersona*. Matka osiągnęła tylko tyle, że nie zacząłem od razu czytać powieści taty. Skończyłem parę dni temu. Nie spieszyłem się. Czytałem wolno, małymi porcjami, rozsmakowując się.

Książka jest tak piękna, błyskotliwa i smutna, że nawet nie jestem zazdrosny. Mam w środku jakieś ciepłe przeczucie, że ktoś ważny się na niej pozna. I już niedługo nadejdzie dzień, kiedy ujrzę

nazwisko taty na grzbietach książek na półkach księgarni. Będzie się tam prezentowało pięknie, prosto i dumnie.

Eliza Wishart nie powiedziała policji ani słowa. Nic. Domyślili się jednak, podobnie jak ja, że ona trzyma w ręku ważne części tej układanki. Zdawali sobie sprawę, że coś wie. Naciskali ją całymi godzinami. A ona siedziała tylko, bawiła się włosami, wzruszała ramionami i milczała. Jej usta pozostały zaciśnięte, kiedy kusili ją słodyczami i lemoniadą i miło do niej przemawiali. A jeszcze szczelniej się zamknęły, kiedy ją straszili, syczeli jej do ucha i mówili, że zdradziła ludzi, którzy ją kochają.

Po powrocie do domu nie ukarano Elizy. Nikt nawet nie zapytał, gdzie była.

Dopiero kiedy ojciec wyszedł do pubu, zaczęła mówić. Przygotowała imbryk herbaty i posadziła swoją złamaną matkę przy stole. Wcześniej, w pokoju, przygotowała kopię listu Laury i teraz wyjęła na stół. Powiedziała matce, że Kłopot Laury nie był kłamstwem, tylko prawdą. Że tamtej nocy poszła za Laurą, ale nie powiedziała dokąd. Wyznała, że z ukrycia podglądała siostrę. Obwieściła, że wie, gdzie spoczywa Laura. I że Laura nigdy nie wróci, bo odebrała sobie życie. Dwa życia. Jej i to drugie, które zaległo się w niej jak pasożyt.

Matka Elizy pochyliła się, zakryła rękami głowę i cicho łkała. Słońce świeciło coraz słabiej, a herbata stygła. Eliza nie pocieszyła matki i nie okazała jej miłości, bo ta kobieta zdradziła swoją starszą córkę. Matka odwróciła się od prawdy i Laury już nie ma.

Eliza powiedziała jednak, że jeżeli matka kiedyś ujawni, co się naprawdę stało, i zadba, żeby sprawy zostały uporządkowane, ona pokaże jej, gdzie spoczywa Laura. Do tego czasu będzie milczała.

Jak dotąd żadna z nich nie przemówiła. Wishartowie mają teraz tajemnicę. Jest zamknięta szczelnie w słoiku i wstawiona na

zakurzoną półkę w kredensie. Zdaniem Elizy pozostanie tam na zawsze. Kiedyś zapytałem ją, czy chciałaby, żeby jej ojciec został ukarany. Oczywiście się zwięzły i cicho zapewniła mnie:

– On dostanie za swoje. – Nie powiedziała nic więcej.

Często spotykam się z Elizą Wishart. Schudła w ciągu ostatnich kilku tygodni, ale teraz trochę przybiera. I ja też. Powolutku.

Chodzimy razem na polanę, tak jak przed nami robili to Jasper i Laura. Wydeptałem ścieżkę prowadzącą bezpiecznie do okna Elizy. Raczej mnie nie złapia. Dobrze by było wykopać tunel pod Corrigan, który wiódłby prosto na jej ulicę. Stukam w szybę, tak jak zawsze marzyłem. Ona odsuwa zasłonkę i cieszy się, że mnie widzi. Ma słoneczniki na parapecie. Odchodzimy razem, trzymając się za ręce, do tej wyspy w buszu, a tam nie mam już wrażenia, że wchodzę na cudzy teren. Czasami Eliza przynosi kwiaty, siada po turecku nad brzegiem wody, a ja stoję kawalek dalej i słucham, jak szepcze.

Niekiedy Eliza przynosi siostrze podarunki i wrzuca je do wody. Czasami staje się cicha i nieprzystępna, wtedy najlepiej zostawić ją w spokoju. Czasem wygłupiamy się, żartujemy, tańczymy i mamy ubaw. Nigdy tu nie pływamy. Kładziemy się pod gwiazdami, pijemy, gadamy o książkach, o dalekich miastach i rzeczach, które są dla nas ważne. Rozmawiamy o tym, czego byśmy chcieli i kim pragniemy być. Zwierzam się jej. Powiedziałem jej o powieści taty. Wykradam ją po kawalku, tak żeby Eliza mogła go przeczytać w całości przez jeden dzień. Potem opowiadamy sobie, co najbardziej nam się podobało. I o tym, jaki tato będzie sławny i że może pewnego dnia moja książka stanie na półkach obok jego powieści.

Śpimy w dziupli eukaliptusa. Jest tu wygodnie i bezpiecznie. Eliza i ja tulimy się do siebie, tak jak człowiek w zamieci tuli się do słupa latarni. Kładę rękę na jej trzepoczącym sercu i czuję, że się uspokaja.

Całujemy się i leżymy pod potężnym namiotem utworzonym z gałęzi naszego eukaliptusa. Nawet się już nie denerwuję. To najmiłsza rzecz na świecie. Wtulam usta w jej szyję i wdycham jej zapach. Nasze ręce wędrują w miejsca dla siebie nowe. Dotykam jej brzucha, żeber i ciepłej miękkości piersi. Nie miałem racji, kiedy uważałem, że nie ma niczego równie miękkiego jak usta dziewczyny.

To jest nasza tajemnica. I taką tajemnicę warto mieć. Nie czuję, że chciałbym się nią dzielić czy zrzucić z siebie chociaż część. Dzięki tej tajemnicy jest mi lekko. W pewien sposób pozwoliła nam wyzwolić się z ciężaru innych sekretów. Kiedy się tulimy i nasze serca są blisko siebie, słabnie i rozplywa się tamten niepokój. Tak bardzo wyczekuję naszych spotkań.

Wizyty na polanie sprawiły, że nie mówimy już tyle o ucieczce. Nie ma już pośpiechu. Może nie jest nam dany podwieczorek w hotelu Plaza, ale herbata, którą pijemy na polanie Jaspera, jest równie dobra jak nowojorska.

Kiedy Eliza jest szczególnie smutna albo myśli o strasznych rzeczach, powraca ten jej dziwny akcent. Teraz już go rozumiem. Widziałem tamten film. Pamiętam kolejne sceny. Głos Golightly też nie jest naturalny. Nic więc nie mówię, tylko czekam, aż to minie.

Poza tym zazwyczaj polana Jaspera wycisza nas i uspokaja. Myślę, że to chyba jest miłość. Naprawdę. Jest w tym wszystko, o czym czytałem. A jeśli nie wszystko, to prawie wszystko. Chcę poprosić Elizę, żeby za mnie wyszła. Nie chcę nikogo innego. Jest najfajniejsza w mieście. Nie chcę żyć bez niej. Eliza jest dobrem. Jest sznureczkiem, który zawsze chcę trzymać w ręku. Chcę owinać go wokół palca i zrobić z niego obrączkę. Pewnego dnia, kiedy będę miał już dość odwagi, powiem jej. Wypowiem wszystkie właściwe słowa. I może ona także to zrobi.

9

Dzisiaj jest pierwszy dzień szkoły. Jak było do przewidzenia, wydarzenia minionego lata są w myślach i na ustach wszystkich. Zniknięcie Laury Wishart nadal stanowi temat wielogodzinnych pogaduszek. Parę dni temu w Adelajdzie wprowadzono dzieci Beaumontów i przez to ta sprawa na nowo ożyła. Nikt nie jest już bezpieczny. Powietrze wibruje od szeptów i pomruków.

Kiedy Eliza się pojawia, dziewczynki zbijają się w grupki i milkną. Chłopacy trącają się łokciami i głupkowato uśmiechają.

Jasper Jones się nie zjawia, żeby zgłosić swoje przystąpienie do drużyny.

Jeffrey Lu został kimś w rodzaju lokalnej gwiazdki. Po raz pierwszy został pochwalony publicznie, od samego rana przybiera heroiczne pozy i opowiada swoją historię każdemu, kto zechce słuchać. W jego relacji jest wiele przesady i chwilami jej związek z prawdą jest bardziej niż luźny.

To dziwny dzień. Wydaje mi się, jakby wszystko się zmieniło, chociaż w istocie jest takie samo jak zwykle. Nawet Warwick Trent jest na swoim miejscu. Lato spędził leniwie, objając się i łobuzując. Nie udało mu się dostać do terminu w kopalni, ale za to dokumentnie wymęczył Sharon Noonan. No i znowu krąży po korytarzach.

Właśnie to, że Warwick Trent znowu się pojawił, sprawiło, że obecnie, w otoczeniu klasowych kolegów, maszeruję w kierunku posesji Szalonego Jacka Lionela. Jest po ostatnim dzwonku. Gorąco i sucho. A ja założyłem się z Warwickiem Trentem.

Jeżeli dzisiaj, w biały dzień, po lekcjach podejść do brzoskwini Szalonego Jacka Lionela i ukradnę więcej niż cztery owoce, zyskam gwarancję nietykalności na cały rok szkolny. To uwolni mnie od bicia, wyrafinowanych tortur, a nawet od zwyczajnego naśmiewania się. Pozostanę nietykalny niezależnie od tego, jak bardzo wzbogacę słownictwo, jakie dostanę stopnie ani jak kuszące wyda się plotkowanie o mojej matce, bo o niej oczywiście wiedzą wszyscy. Poza własną nietykalnością otrzymam też gwarancję, że Jeffrey Lu pozostanie w drużynie i to nie jako rezerwowy. Będzie otwierał każdy mecz.

Trent jest przekonany, że nigdy tego nie zrobię. Sądzi, że gdy tylko dotrzemy na miejsce, sparaliżuje mnie strach. Przewiduje, że nie przejdę nawet przez bramę. Przecież tylu z nas próbowało bez powodzenia.

Ja z kolei przystałem na nieludzkie kary, jeżeli nie spełnię warunku, bo jestem całkowicie pewien, że dokonam tego, co powiedziałem. Trent zapowiedział, że jeżeli z jakiegoś powodu wrócę z mniej niż pięcioma brzoskwiniami, zrobi ze mnie placek. Nie tylko zostanę pariasem na cały nadchodzący rok szkolny, ale także zostanę przywiązany łańcuchem do drzwi Domu Górnika na całą noc. W dodatku Trent i jego koteria najpierw rozbiorą mnie do golasa, obrzucą jajami, mąką, cukrem i wodą. Przez kilka godzin będę cierpiał ból i upokorzenie, a przez resztę życia będą się za mną ciągnęły poniżające opowieści o tym wydarzeniu.

Zakład został przypieczętowany. Uścisnęliśmy sobie ręce. Przy świadkach.

Chyba dwa tuziny dzieciaków zebrały się po dzwonku, żeby odbyć ze mną wyprawę do posesji Szalonego Jacka Lionela. Jestem pewien, że są tu głównie po to, żeby mieć frajdę z oglądania mojej porażki, chociaż może mają też nadzieję, że dołożę Trentowi. W końcu sami zawsze z nim przegrywali.

Idę spokojnie przez boisko z Jeffreyem Lu u boku. Czuję się jak Clark Kent. Nie mam nic do stracenia. Jestem niepokonany. Skrywam asa w rękawie.

Z tłumy wychodzi Eliza Wishart. Chciałbym ją pocałować, ale nie mogę przy wszystkich. Odciąga mnie na bok.

– Więc to prawda?

– No, tak. – Uśmiecham się i wzruszam ramionami.

Eliza się nie uśmiecha. Wydaje się napięta. Jest blada. Dotykam jej dłoni. Eliza staje.

– Przyjdiesz tam? – pytam.

– Nie mogę. Muszę być gdzie indziej.

– Gdzie?

– Po prostu gdzie indziej. – Eliza patrzy ponad moim ramieniem.

– Zobaczymy się wieczorem?

Podnosi wzrok i patrzy prosto na mnie.

– Nie wiem. Może. Może przedtem się spotkamy.

– Przed czym? Gdzie?

– Zobaczysz.

Biorę ją za ramię.

– Co zobaczę?

Eliza wymyka mi się.

– Muszę iść, Charlie. Do zobaczenia.

Eliza odchodzi sama. Idzie pewnie i szybko. Jakoś głupio mi ją zawołać czy zatrzymać. Coś jest nie w porządku. Chciałbym za nią iść, ale utknąłem w tej procesji.

Jeffrey zbliża się do mnie. Wzdycha.

– Kobiety – mówi, kręcąc głową. – Nawet piekło nie dysponuje takimi mocami jak wściekła kobieta. One nigdy nas nie rozumieją.

– A ja sądzę, że sam nie wszystko rozumiem.

– Cieszy mnie, że przyznajesz, że jesteś idiotą. Chociaż nawet najłotniejsze umysły świata nie pojma, co siedzi w kobiecie, więc masz doborowe towarzystwo.

– Kiedy tak patrzę na moje towarzystwo, to wydaje mi się cieniutkie.

Gdy dochodzimy do parku, Jeffrey pyta:

– To jaki masz plan?

– W jakim sensie?

– W dosłownym. Jaki masz plan? Musisz jakiś mieć. Jak chcesz to obejść? Zamierzasz zwiać? Wymyśliłeś jakiś podstęp, o którym nie wiem? Pułapkę? Wykopałeś dół na słońce? Podłożyłeś materiały wybuchowe? Bierzesz pod uwagę użycie broni palnej?

– Przykro mi, ale nie. A już na pewno nie przeciwko Jackowi Lionelowi. Ty chyba zwariowałeś. Materiały wybuchowe? Oczywiście, że nie. Nie mam żadnego planu, jak tylko dojść do drzewa, zerwać pięć brzoskwiń i spokojnym krokiem wrócić.

– Tak po prostu.

– Tak.

– Charles, ty chyba masz gorączkę krwotoczną. To będzie twój koniec. On cię rozniesie, ty lunatyku! On pewnie trzyma, no nie wiem, tygrysy albo może wyhodował jakiś nowy gatunek zwierząt hybrydowych, jak doktor Moreau. Na przykład rekina z nogami krokodyla. I te zwierzęta zrobią z tobą porządek.

– Jeffrey, on nie jest piratem.

– Ani ty.

– Co?

– Słuchaj, nie próbuj kraść brzoskwiń z drzewa, które należy do komunistycznego psychopaty. To jest złota zasada numer jeden. A jeżeli już coś takiego masz zrobić, to musisz mieć plan, bo będziesz musiał jakoś sprawić, żeby nie pożarły cię jego wilkołaki. Masz problem, Charlie. Jest gorzej, niż myślałem. Nie jesteś przygotowany. Nie znasz nawet podstaw sztuk walki.

– Sztuki walki nie będą mi potrzebne.

– Sztuki walki zawsze są potrzebne, kretynie. O to właśnie chodzi. Jak chcesz być odważny, to przede wszystkim musisz być inteligentny, dobrze przygotowany i chociaż trochę wiedzieć, do cholery. No dobra. Słuchaj. Nie mamy zbyt wiele czasu. Spróbuję cię wytrenować najlepiej, jak potrafię. Pokażę ci pewien cios... Czy ty mnie słuchasz?

– Nie.

– Dobra. Uważaj, bo to pewnego dnia uratuje ci życie. To najłatwiejszy cios w całym podręczniku. Nazywa się małpa kradnąca brzoskwinie. Naprawdę. Nieźle pasuje, prawda?

– Jeffrey, zmyślasz, prawda?

– Nie zmyślam! Okej. No więc, jak cię zaatakują, przyklekasz na kolano i uderzasz napastnika otwartą dłonią w jaja, a potem się zbierasz i zwiewasz od tych brzoskwinek. Bang. Koniec walki. Mówię poważnie, Chuck. Ludzie niezwiązani ze sztukami walki może powiedzą, że to trochę tchórzliwe, bo walczysz na kolanach, ale ja ci mówię, że to mądre. – Jeffrey klepie się w czoło.

– A ja mówię, że to nie będzie konieczne. Zerwę brzoskwinie z drzewa. Nie będę klękał. Uda mi się. Zaufaj mi.

– Jezu Chryste, Chuck! Co z tobą? Ten facet jest psychopata. Schowałeś głowę w piasek jak jakiś pierdolony struś. Jesteś królem

strusiów! Ocknij się! To niebezpieczne, rozumiesz? Nie rób tego, kretynie! To nie jest tego warte.

- Otóż jest.
- Wytlumacz mi, o co chodzi.
- Po prostu gra jest warta świeczki.
- Nie rób tego.
- Właśnie, że zrobię!

Jeffrey ciągnie się za ucho i kręci głową.

- Pierdolę. Idę z tobą. Jak zginiemy, to razem.
- Jeffrey, nie.
- Zrobię to, Chuck. Zrobię. Pójdę z tobą.

On naprawdę by to zrobił. Mimo że nie wie tego, co ja. Ja nie mam powodu, żeby się bać, w przeciwieństwie do Jeffreya. Jego wyobrażenia na temat Szalonego Jacka Lionela ukształtował mit krążący po mieście. Jeffrey jest najodważniejszym facetem, jakiego znam.

– Nie musisz tam ze mną wchodzić, Jeffrey, naprawdę. A poza tym, gdy wejdiesz ze mną, przegram zakład i stracę wygraną.

– Więcej stracisz, jeżeli z tobą nie pójdę. Charles, nie jesteś na to przygotowany!

– Jestem, wierz mi.

– Nie, ty ignorancie! Nie wiesz nawet najprostszych rzeczy o walce. Nie umiesz porządnie upadać. Idziesz po brzoskwinki, chociaż nie jesteś wytrenowany ani nie znasz terenu, ani nie masz podstawowej wiedzy o sztukach walki, ani pierdolonego planu! Jestem ci potrzebny. Beze mnie tego nie zrobisz.

– Nie możesz ze mną iść, Jeffrey.

– No, kurde! To od razu się połóż i myśl o wieczności, Chucku Bucktin, bo niedługo tak czy inaczej cię rozpierdola. Niekiedy bywało z tobą miło. Może czasami to mówiłem, ale teraz naprawdę tak uważam: Jesteś idiotą.

Kładę rękę na ramieniu Jeffreya i ściskam je.

– Jeffrey, jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego miałem. Jesteś dla mnie jak brat. Chcę, żebyś to wiedział.

– Co? A ty czemu nagle zrobiłeś się tak dziwny?

– Bo cię uwielbiam, maluchu. Ale to muszę zrobić sam. Rozumiesz? I uwierz mi, to będzie najprostsza rzecz na świecie. Wszyscy w tym mieście zobaczą, że nie ma się czego bać. A wtedy my przejmemy rządy.

Jeffrey kręci głową z wyrazem niesmaku. Jest zrezygnowany. Po krótkiej chwili pyta:

– A dostanę pestkę, jak uda ci się przynieść brzoskwinie chociaż jedną?

– Jeffrey, dostaniesz wszystkie. Zaszługujesz na to.

Resztę drogi odbywamy w milczeniu.

Przy posesji Lionela wszyscy zebrali się w półkole przy bramie. Niektóre dzieciaki trzymają się z drugiej strony drogi, żeby mieć lepszą pozycję do ucieczki. Czuje się napięcie. Warwick Trent gapi się na mnie i uśmiecha, jakby jego opinia już się potwierdziła.

– No? Idź, tępaku – mówi i wskazuje głową gospodarstwo. – Chyba po coś tu przyszliśmy.

Spodziewają się, że będę się wykręcał. Myślą, że spanikuję i będę się trząsł, gdy tylko zobaczą to ponure podwórko i upiorne zabudowania. Czekają, żebym zawrócił i powiedział, że nie dam rady. Niektórzy patrzą na mnie zafascynowani, jakby przeczuwali coś złego. Wszystkie oczy są zwrócone na mnie. Wszyscy obserwują,

co robię. No cóż. Już tam byłem. Znam prawdę. Dlatego patrzę Warwickowi Trentowi prosto w oczy, odblokowuję zamknięcie i pewnym ruchem mocno popycham bramę. Wchodzę. Zastanawiam się, czy się nie odwrócić i nie wygłosić jakiejś istotnej, wręcz fundamentalnej kwestii, jednak rezygnuję. Przystaję, prostuję plecy i ruszam przed siebie.

– On się boi jak cholera – mówi ktoś.

Myślę, że są zaskoczeni, że doszedłem aż tak daleko.

Idę podjazdem. Samym środkiem. Nie kryję się w samosiejkach. Nie garbię się ani nie skradam cicho. Kroczę, jak nie robił tego jeszcze żaden złodziej brzoskwiń. Bezcelnie, otwarcie i śmiało. Tworzę historię. Słyszę, jak ten sam głos mówi, że zaraz dam się zabić. Uśmiecham się do siebie, bo otwiera się przede mną zespół zabudowań. Jest brzoskwinia i weranda. Wypalony wrak samochodu, szopa i kurnik.

Wszedłem między zabudowania i już nie słyszę tamtych. Nawet nie czuję ich obecności. Chociaż wiem, że nie grozi mi niebezpieczeństwo, to jednak czuję się, jakbym uczestniczył w jakiejś nieziemskiej pielgrzymce. Im bardziej się zbliżam, tym ciszej stąkam. Muszę przyznać, że gdyby Lionel teraz wyszedł, miałby wszelkie powody do niepokoju. Zastanawiam się, czy może mnie obserwuje. Słyszę cykanie świerszczy. Oddycham głęboko.

Ścieżką wydeptaną w wysokiej trawie dochodzę pod artretyczne gałęzie brzoskwini. Unosi się tu słodki zapach gnijących owoców. Spoglądam na gałęzie i serce mi zamiera. Wśród liści nie pozostał już żaden owoc. Gałęzie są ogołoczone. Koniec sezonu. Oczywiście. Cholera. No to ja także jestem skończony. Może Warwick Trent o tym wiedział i dlatego był taki zadowolony i pewny siebie. Zbliżam się, oglądam najwyższe gałęzie w nadziei, że wypatrzę późne owoce, które może przetrwały przez święta. Ale nie ma tam niczego w kolorze pomarańczowym czy szkarłatnym. Mam problem.

Jestem tak skoncentrowany na obserwowaniu drzewa, że nie dostrzegam sylwetki Jacka Lionela, która pokazała się w oknie salonu. Jack wychyla się. Podskakuję na dźwięk jego głosu.

– Charlie! Co u ciebie, chłopcze?

Odskakuję do tyłu.

– Pan Lionel! Dzień dobry. Przepraszam.

– Mów mi Jack, mów mi Jack. – Lionel macha ręką i uśmiecha się. – Nie znajdziesz już żadnej brzoskwini, obawiam się. Za późno, chłopie. Chyba ostatnie opadły poprzedniej nocy. W tym roku było ich tak dużo, że nie dałem rady wszystkich zebrać. Zresztą byłem chory. No i po prostu opadły.

Patrzę w dół. U moich stóp leży warstwa rozkładających się brzoskwiń. To przejrzałe owoce postręcane przez wiatr.

Nie mogę jednak powiedzieć, że ten widok przyniósł mi ulgę, ponieważ nad brzoskwiniami unosi się masa owadów. W większości pszczoł. Podążam za nimi wzrokiem i widzę, jak chowają się za rynną. Poza tym dostrzegam całe kawalkady czarnych mrówek i różne robale pożywiające się soczystym mięszem. I najróżniejsze rodzaje much. To po prostu koszmar. Martwieję i robi mi się zimno. Nic nie jest już proste. Robię krok do tyłu. Muszę się wysikać.

Lionel opiera się łokciami o parapet i już ma się całkiem wynurzyć, ale powstrzymuję go, zanim wejdzie w pole widzenia obserwatorów.

– Nie! Niech pan tam zostanie. Zobaczą pana – mówię cicho. Oglądam się przy tym i podnoszę rękę.

– Kto?

– Dzieciaki ze szkoły – szepczę. – Obserwują mnie. Teraz nie mogę tego panu wyjaśnić. Ale nie mogą zobaczyć, że pana znam, Jack. Muszę zabrać kilka brzoskwiń. Mogę?

– Czestuj się, synu. – Słyszę, jak Jack we wnętrzu domu się śmieje. – Chcesz papierową torebkę? W pralni mam też koszyk. Dzieciaki uwielbiają moje brzoskwinie.

– Nie, nie, żadnych toreb. Ale dziękuję.

– Jak wolisz. Bierz, ile chcesz. Są twoje.

Patrzę w dół na to całe miasto-państwo owadów. Wygląda to znacznie gorzej niż ogród Ana Lu i w dodatku nie ma ze mną Jeffreya, który by mnie wyreczył. Skóra mi cierpnie. Czuję się, jakby owady już po mnie całym chodziły. Wyczuwam, jak maszerują po mnie we wszystkie strony i podgryzają mnie. Zaczynam pocierać dłonią o dłoń.

– Tu jest pełno pszczoł – mówię.

Jack Lionel zapala papierosa i kręci głową.

– Nie zwracaj na nie uwagi. Są teraz zupełnie niegroźne. Przypatrz im się tylko. Wszystkie są nieprzytomne.

– Naprawdę?

– No, popatrz sam. Są półżywe. Owoce sfermentowały w tym upale, no i pszczoły się upiły. Nic ci nie zrobią, chłopie. Nie ma się czym przejmować.

– Jest pan pewien?

– Całkowicie.

Gapię się na ziemię. On może mieć rację. Owady naprawdę wyglądają jak pijane. Poruszają się niepewnie. Może rzeczywiście się upiły. Tak czy owak, nie mam wyjścia. Muszę się zdobyć na odwagę.

Uzmysławiam sobie także, że zbyt długo tutaj stoję. Nie przebiega to tak, jak sobie wyobrażałem. W moim przedstawieniu nie ma już nonszalancji. Boję się, że gdy wrócę z naręczem podgniłych brzoskwiń, i tak zostanę oskarżony o tchórzostwo. Poza tym wszyscy będą się zastanawiać, dlaczego byłem tutaj tak długo.

Mogą się domyślić, że wiedziałem coś, o czym oni nie wiedzą. Albo pomyśla, że Lionela nie było w domu, a ja zdawałem sobie z tego sprawę. Spoglądałam nad ramieniem Jacka, w głąb jego skromnego salonu, na wypłowiałą ścianę, i myślę, że już wiem, co mam zrobić. Wiem, jak to zachować dla potomności. Patrzę Jackowi prosto w oczy.

– Proszę pana, chciałbym pana prosić o małą przysługę. Chciałby pan, żebyś przyszedł w niedzielę i ugotował dla pana obiad?

Jack rozjaśnia się.

To będzie piękna legenda, a tylko Jack Lionel i ja będziemy znali prawdę. Z czasem ta historia rozrośnie się wzwyż, wszcz i w głąb. Wydarzenia staną się bardziej dramatyczne, a mit zacznie żyć własnym życiem i się upowszechni. A moje imię razem z nim. Jednak ani ci, którzy mnie teraz obserwują, ani ci, którzy potem o tym usłyszą, nigdy się nie dowiedzą, że prawdziwego heroizmu z mojej strony wymagało podniesienie kilku owoców z siedliska pszczoł. Ręce mi się trzęsą. Ledwie panuję nad własnymi palcami. Podnoszę jednak owoce. Całą piątkę. Trzymam je przy sobie ramieniem. Są miękkie, ciepłe i soczyste. Czuję się niesamowicie, jakby coś nagle wskoczyło na swoje miejsce. Jest tak jak wtedy, kiedy nauczyłem się jeździć na rowerze i kiedy uwierzyłem, że mogę pływać nawet tam, gdzie rzeka jest najgłębsza. Dygoczę i przyciskam do siebie owoce. Zdobyłem się na odwagę.

Odwracam się, żeby zwycięsko przejść przez bramę w stronę czekającego tłumu. Wtedy z domu wypada Jack Lionel, wrzeszczy, pomstuje i wymachuje strzelbą jak wariat. A wszyscy przecież wierzą, że on jest wariatem. Słyszę, jakie poruszenie zapanowało wśród dzieciaków zgromadzonych na drodze. Słyszę chór zaniepokojonych głosów, a najbardziej Jeffrey Lu, który woła do mnie, żebyś uważał. Odwracam się. Upuszczam brzoskwinię. Biegnę do Jacka Lionela, zderzam się z nim na skraju werandy.

Wyrywam mu strzelbę i odrzucam na bok. Jest znacznie cięższa, niż się spodziewałem. Popycham Jacka Lionela, a on, stale pomstując, przewraca się, zupełnie jakbyśmy byli bohaterami westernu, a ja strzeliłbym mu prosto w serce. Niezłe przedstawienie. Staję nad nim i gestykułuję, a on wycofuje się na czworakach. Nikt nie słyszy, że mówię:

– Dziękuję, Jack. Do zobaczenia w niedzielę.

A on udaje, że się zwija z bólu, a potem z ukrycia pozdrawia mnie skinieniem głowy.

Zbieram owoce, które teraz są całe w piachu, i biegnę przez podjazd. Gram najlepiej, jak umiem. Dyszę ciężko i pochylam ramiona, jakbym ledwie uszedł z życiem. W połowie drogi spotykam Jeffreya Lu. Ruszył w moją stronę, jak tylko zobaczył Jacka Lionela, ale zatrzymał się, gdy przewróciłem go jednym ciosem. Jeffrey nie może ustać spokojnie.

– Jasna dupa! Jasna dupa! Chuck! Jasna dupa! Normalnie go zabiłeś! – Oczy Jeffreya są półprzytomne. Głos mu się załamuje.

– Nie zabiłem go, pacanie – oświadczam spokojnie. – Popchnąłem tylko. Na pewno przeżyje.

– Janiemogę, Chuck! On normalnie wyszedł prosto na ciebie! I miał, cholera, strzelbę! To było niesamowite! Jasna dupa! Jasna dupa! Powinno być już po tobie! Normalnie nie wierzę. No, nie mogę!

Idziemy obok siebie. Najpierw wita mnie cisza. A potem zaczynają się okrzyki. Wszyscy są pod wrażeniem. Podziwiają mnie. Ktoś od razu potwierdza, że wygrałem zakład. Ale teraz chodzi już o coś znacznie poważniejszego. Rzucił się na mnie facet, którego wszyscy się boją. Zobaczyli go pierwszy raz w świetle dnia. Co więcej, jest taki agresywny i dziki, jak sobie wyobrażali. Mit się potwierdził. Jack Lionel jest prawdziwy. A ja go zwyciężyłem. Ani chwili się nie namyślałem. Pokonałem smoka. Zostałem bohaterem.

Tłumek napiera. Mniejsze dzieciaki dotykają brzoskwiń, jakby to były kule ze szczerego złota. Pozostali zachowują się, jakby byli akredytowanymi dziennikarzami i musieli zebrać informacje. Jak on wygląda z bliska? Czy ma na twarzy wielką bliznę? Czy ma na ramieniu wytatuowaną czaszkę?

Szczerze mówiąc, nie czuję takiej satysfakcji, jakiej się spodziewałem. Wreszcie mam brzoskwinie, ale moje zwycięstwo jest jakieś fałszywe. Chociaż przyznaję, że bosko jest oglądać Warwicka Trenta, jak cofa się ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami. Nie mówi ani słowa. Pokonałem go.

No i dobrze jest trzymać brzoskwinie. Jestem dumny, że je mam, bo wiem, ile mnie to kosztowało. Postanawiam, że jedną pestkę zatrzymam dla siebie na pamiątkę tego niesamowitego lata. I może jeszcze jedną wezmę dla Elizy. A resztę dostanie Jeffrey.

Dzieciaki napierają na mnie aż do chwili, kiedy jeden z malców pokazuje w kierunku miasta i mówi:

– Patrzcie!

Wszyscy milkniemy i podnosimy wzrok. Dzieje się coś złego.

Widać słup gęstego, ciemnego dymu. Jakby wybuchł wulkan. Daleko, ale nie bardzo daleko. Wydaje się, że to gdzieś niebezpiecznie blisko centrum miasta. Przez chwilę wszyscy wpatrujemy się w tę samotną, ciemną kolumnę, która wznosi się prosto ku górze. Nie ma wiatru. Patrzymy z uwagą. Gęsty, czarny dym coś oznacza. Każdy w Corrigan wie, że coś takiego niesie prawdziwe niebezpieczeństwo i że tego naprawdę należy się bać. Taki rodzaj dymu zapowiada pożar.

Mrużę oczy i próbuję sobie uświadomić, skąd dokładnie leci dym. Zastanawiam się, co mogło się tak szybko zapalić. Potem wypuszczam z rąk owoce i biegnę.

Mam kolkę. Jakby mi ktoś wbijał w bok rozżarzony żelazny pręt. Staram się nie wyobrazić sobie, że przy każdym zderzeniu stopy z ziemią mięśnie odrywają mi się od kości. Boli mnie jak cholera, ale ciągle biegnę, popychany straszną siłą złego przecucia. Jestem już tak blisko, że w powietrzu czuję dym i słyszę syreny. Mam nadzieję, że się mylę. O Boże! O Jezu Chryste! Mam nadzieję, że się mylę. Tracę oddech, jestem wykończony, ale zmuszam się, żeby biec dalej. Mijam rzekę, most, stację, biegnę przez miasto i obok Domu Górnik. Mój niepokój wzrasta. Chyba zaraz wybuchnę. Koszula przylgnęła mi do ciała, pot spływa po twarzy i kapie z podbródka. Oddycham spazmatycznie. Już nie mogę.

Ciężkim krokiem wybiegam z boiska i wtedy w pewnej odległości widzę uwijających się ludzi. Sądząc po tym, skąd biją płomienie, moje przypuszczenia w pełni się potwierdziły. Nogi mi się uginają. Chyba upadnę. Ale muszę iść dalej. Przez trawnik, do jezdni. Stawiam teraz nierówne kroki, ramiona mam bezwładne, jakby nie było w nich kości. Słyszę głosy i szum. Jestem na jej ulicy. Korony drzew mają kształt parasoli. Panuje chaos. Szaleństwo. Gnam ścieżką. Widzę karetkę pogotowia i w gardle mi zasycha. Na trawniku przed domem Elizy parkuje samochód straży pożarnej. Sąsiedzi spryskują jezdnię z węży ogrodowych. Kolejka ludzi podaje sobie z rąk do rąk wiadra z wodą. Mniej pomocni gapie zostali odepchnięci trochę dalej. Biegnę sprintem w ich kierunku, przeciskam się na przód grupy i widzę dom Wishartów zionący ogniem. Wygląda jak pudło wypełnione płomieniami. Ma powybijane okna, z których spływają purpurowe i pomarańczowe wstęgi ognia. Wydaje mi się jednak, że pożar jest już opanowany. Chociaż wszędzie pełno dymu i trudno się oddycha. Nie mogę w to uwierzyć. Jakiś mężczyzna z brodą i w mundurze khaki przywołuje mnie, ale nie ruszam się z miejsca i dokładnie lustruję tłum. Przede mną jest dosłownie ściana gorąca. Żeby coś zobaczyć w dymie, mrużę oczy. Jest! Widzę ją tam! Jasna dupa, Boże jedyny, jest. Prawie mdleję, bo widzę, że jest cała. Ktoś, kto dotarł do mnie, odciąga mnie siłą do

tyłu. Woła coś do mnie, ale nie słyszę. Eliza stoi wyprostowana obok matki, która szlocha w chusteczkę. Widzę, jak pani Wishart rzuca krótkie spojrzenia na dom, a potem odwraca się. Eliza stoi nieporuszona, jakby to był dom kogoś innego.

A na trawniku leży jej ojciec, któremu udzielają pomocy sanitariusze. Widać, że ledwie uciekł z budynku. Ma maskę tlenową na twarzy. Patrzą, jak ostrożnie pomagają mu usiąść. Opiera ręce na kolanach. Lewą nogę ma owiniętą bandażem. Włosy w nieładzie. Jest bez koszuli. Jego brzuch wygląda jak piłka. Skórę ma osmaloną i spoconą. Ktoś o coś go pyta, a on słabo kręci głową.

Słysząc silną eksplozję i wśród tłumy nastaje poruszenie. Słyszę brzęk sypiącego się szkła. Wszyscy drgnęli, tylko Eliza pozostała nieporuszona. Wolontariusze wykrzykują komendy i poruszają się jeszcze bardziej energicznie. Nadeszło więcej ludzi. Niektórzy po to, żeby pomóc, inni, żeby popatrzeć. Ci, którzy trzymają mokre prześcieradła, żeby w razie czego tłumić nowe zarzewia, wyglądają jak matadorzy. Stoją gotowi, ale mają nadzieję, że wiatr się nie nasili.

Oczy zachodzą mi łzami i kaszlę w ramię. Coraz trudniej mi oddychać. Niebo jest czerwone. W powietrzu wirują płatki popiołu. To jest jak jakaś nieziemska śnieżna kula.

Wycieram oczy rękawem i patrzę na Elizę Wishart. Staram się pochwycić jej spojrzenie. Ale ona tylko patrzy pustym wzrokiem przed siebie. Nie umiem określić wyrazu jej twarzy. Jakaś pani podaje jej szklanekę wody i coś do niej mówi, ale Eliza nie zwraca na nią uwagi i strąca z ramienia jej rękę.

Nie wiem czemu, ale przypomina mi się scena, kiedy złapali wymizerowanego i wściekłego Erica Cooke'a i zadali mu tamto pytanie. „Chciałem po prostu kogoś skrzywdzić” – odpowiedział. Ale przecież to nie była wyczerpująca odpowiedź. I tylko on jeden znał całą historię. A swoje sekrety trzymał jak karty, przy piersi. Albo

głęboko w sercu. Zawsze jest coś, co pozostaje tajemnicą. Zawsze. Potem tajemnicę przykrywa pył historii.

Myślę też o Jenny Likens, która patrzyła, jak jej siostra umiera, która do końca nic nie powiedziała, która za późno zdobyła się na odwagę. Jenny zapewne żyła w napięciu i bezsilnej złości przez wszystkie dni, które nadeszły potem. Jej serce drżało pewnie jeszcze bardziej niż kolana. Na pewno chciała wydrapać i wypalić na własnej skórze to słowo jak tatuaż. Przepraszam. Nie mam wątpliwości, że bardzo chciała zobaczyć, jak ten koszmary dom znika w płomieniach, jak zostaje starty z powierzchni ziemi, może nawet z Gertrudę Baniszewski w środku.

Ogień został ugaszony mniej więcej w ciągu godziny. Dom jest zrujnowany, dach się zapadł. To, co zostało, przypomina pustą, czarną muszlę. Dym się rozwiewa, a wieczorne niebo nad Corrigan purpurowieje. Mam wrażenie, jakby połowa miasta się tu zebrała. Eliza się nie poruszyła. Stoi samotnie. Jej ojca zabrała karetka. Wokół matki zebrała się grupa pań, które podtrzymują ją, pocieszają i podają jej chusteczki.

Ludzie za moimi plecami zaczynają rozprawiać o tym, jak to się mogło zacząć. Piec, wyciek gazu, kiepska instalacja, niepilnowane palenisko, papieros. Rozważają możliwości, kiwają głowami. Nikt ani przez chwilę nie patrzy w stronę chmurnej dziewczynki stojącej samotnie i wpatrującej się uparcie, spokojnie i bez żalu w pozostałości domu.

I wtedy ktoś mówi to, czego już od dobrej chwili się spodziewałem. Mówią o poczcie. Wiedziałem, że będzie o poczcie. Mówią z wielkim przekonaniem. Kiedy słyszę, jak wymieniają jego nazwisko, czuję kluskę w gardle. Żołądek mi się kurczy. Nie mogę tego znieść.

Bo ja znam prawdę. Wiem dokładnie, kiedy Jasper Jones opuścił Corrigan na zawsze. To było parę tygodni temu. Byłem na ulicy i rzucałem właśnie do Jeffrey'a. Panował suchy upał. Nie wiem

dlaczego, ale zatrzymałem się nagle, rozejrzałem się i wiedziałem, że on właśnie odchodzi. Potwierdziło się to wieczorem, kiedy po powrocie do pokoju znalazłem na parapecie butelkę whisky, paczkę papierosów i wieczne pióro. Jednak w tamtym momencie na ulicy czułem, że on odchodzi. Wiedziałem. Popatrzyłem na cichą ulicę, na uporządkowane podwórka, pozamykane drzwi i szyby odbijające białe słoneczne światło. Żadnych helikopterów. Żadnych poszukiwań. Żadnego poruszenia. Jasper Jones wyslizgnął się z tego świata i nikt nawet nie zauważył. Nikogo to nie obchodziło. I wtedy zrozumiałem. Pojąłem, co miał na myśli tamtej nocy. I musiałem szybko zamknąć oczy, żeby Jeffrey Lu nie zdążył zauważyć.

A oni zauważą to teraz, bo coś spłonęło. Będą się rozglądać za Jasperem Jonesem. Ale nie znajdą go, tak samo jak nie znaleźli Laury Wishart. Jest dla nich zbyt inteligentny i zbyt szybki. Za bystry i za sprytny.

Odwracam się i odchodzę. Idę przez trawnik do Elizy, która zwraca się ku mnie i uśmiecha słabym smutnym uśmiechem, kiedy kładę jej rękę na ramieniu. Nareszcie odnalazłem w sobie właściwe słowa. Schylam się i szepczę jej do ucha Elizy, a wokół nas wirują płatki popiołu.

Podziękowania

Drużyna Silveya ma szczęście skupiać w swych szeregach licznych lojalnych, choć nigdy nienagrodzonych członków. Teraz, żeby jakoś się im odwdzięczyć, pozwalam sobie serdecznie pozdrowić:

Moich rodziców, Rocket i Chrisa, wspaniałych partnerów, bez których pomocy to przedsięwzięcie nie byłoby możliwe.

Dr Wendy Were, najbliyskotliwszą kobietę na świecie, która:

a) utwierdziła mnie w przekonaniu, że to dobry pomysł, żeby kupić morrisa minora z 1978 roku, a także

b) wciąż mi przypomina, że jestem szarlatanem.

Na szczęście, mimo niezmiennie kiepskiej opinii na mój temat, pozostaje dla mnie wielkim oparciem.

Glyna Parry'ego, który zawsze był skłonny odsunąć na bok inne sprawy, żeby mi pomóc w mojej bazgraninie.

Brooke May, która jak nikt inny potrafi mnie zbesztać, ale i podbudować.

Jane Palfreyman za jej niewiarygodny entuzjazm i pewność oraz ludzi z A&U za ich gotowość do wydania tej książki.

Ali Lavau za kulturalne metody, które stosowała, żeby zwrócić mi uwagę, że moje pisanie zmierza na manowce.

Lou i Zoe Sleepers z podziękowaniem za to, że bywali nie do zniesienia.

Dystrybutorów i księgarzy za promocję moich książek – wielkie, wielkie dzięki.

Benytrona Goldfielda, męża opatrznosciowego, którego pewność i wiara były po prostu fantastyczne i który potrafił to wszystko, czego ja nie umiem. Pozostaję bardzo wdzięczny, sir.

Moją ukochaną Nancy Sikes.

Adama Caporna. Dobra robota.

Pannę Michèle Faith Cleary, Ministra Botanicznej Ścisłości, za jej niezmienną wiarę i uporczywe wnoszenie kaganka oświaty nad biurka zapracowanych autorów.

W.H. Arndena, który po węgierskim prysznicu i tureckiej łaźni stał się wreszcie człowiekiem i którego zamiłowanie do faktu ustępuje tylko słabości do absurdu.

Każdego, kto był dość szalony, żeby podejmować dyskusję, kiedy zaczynałem gadać o Batmanie.

I w końcu pragnę podziękować niebiosom za mojego brata Betsy, który zimą, Kiedy Się Ziściło, wyczyścił wszystkie swoje karty kredytowe, żeby Jasper mógł wejść na scenę. Dziękuję mu także za jego stałe uczestnictwo w tej szalonej jeździe.